

An illustration of two Star Wars characters in a dark, high-contrast style. On the left, a character with a metallic helmet and a dark, form-fitting suit is shown in profile, looking down. On the right, a character with long, dark hair and a yellow stripe across their eyes is shown from the chest up, holding a glowing yellow lightsaber. The background is a mix of red and black with white splatters.

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

STAR WARS™

MRO CZNY UCZEŃ

AUTORKA BESTSELLERÓW Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

CHRISTIE GOLDEN

NA PODSTAWIE SCENARIUSZY NIEZREALIZOWANYCH ODCINKÓW
SERIALU *GWIEZDNE WOJNY: WOJNY KLONÓW*. PRZEDMOWA: KATIE LUCAS

Christie Golden

STAR WARS. MRO CZNY UCZEŃ

przełożyła Anna Hikiert



Star Wars: Dark Disciple is a work of fiction. Names, places, and incidents either are products of the author's imagination or are used fictitiously. Any resemblance to actual events, locales, or persons, living or dead, is entirely coincidental.

Copyright © 2015 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.
All rights reserved.

Book design by Elizabeth A.D. Eno

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Wydanie I
Warszawa, MMXVI

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Przedmowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[O autorce](#)

Książkę tę dedykuję wszystkim, którzy szybko zorientowali się, że Gwiezdne wojny to coś więcej niż tylko kolejny film science fiction, i pokochali go za to całym sercem.

Podziękowania

Do powstania tej książki – od załóżka pomysłu aż po skończoną pracę – przyczyniło się mnóstwo osób. Chciałabym najserdeczniej podziękować przede wszystkim moim cudownym czytelnikom, dzięki którym miałam szansę włożyć w tę książkę całe serce.

Jak zwykle, ogromne podziękowania należą się także mojej wspaniałej redaktor, Shelly Shapiro, oraz Erichowi Schoeneweissowi, który z entuzjazmem przyjął powieść, lecz nie szczędził jej błyskotliwej krytyki, dzięki czemu stała się ona jeszcze lepsza. Jestem również wdzięczna Dave’owi Filoniemu – za jego fantastyczną pracę przy serialu *Wojny klonów*, a także za to, że pozwolił mi wykorzystać dwie z najbardziej niesamowitych (i najzabawniejszych!) postaci, jakie kiedykolwiek miałam okazję spotkać w tym uniwersum. Chciałabym też podziękować Katie Lucas, Mattowi Michnovetzowi i wspomnianemu wyżej Dave’owi, których scenariusze zapewniły solidną podstawę świetnej historii; Pablowi Hidalgo i Lelandowi Chee – za pilnowanie, by starzy przyjaciele pozostali wiarygodni w swoich nowych wcieleniach, a także Jennifer Heddle, która pomogła mi w mojej karierze na wiele sposobów, nie wyłączając niniejszego przedsięwzięcia.

I wreszcie, ogromne podziękowania należą się samemu George’owi Lucasowi, który niemal czterdzieści lat temu dał nam wszystkim jedno ze swoich najukochańszych uniwersów.

Dziękuję wam wszystkim!

Christie Golden

Przedmowa

Gwiezdne wojny od zawsze były obecne w moim życiu – nie pamiętam czasów, gdy ich w nim nie było.

Kiedy miałam osiem lat, zaczęliśmy kręcić prequeli, przy których praca dobiegła końca, gdy skończyłam piętnaście lat. Spędziłam parę razy letnie wakacje jako asystentka na planie tej trylogii, obserwując pracę przy filmach i ucząc się jej niuansów. Pamiętam, jak mój młodszy brat przygotowywał się pod okiem Nicka Gillarda do skomplikowanych scen walki w roli młodego padawana. Kiedy kręciliśmy te ujęcia, na planie zjawiała się większość aktorów, by mu kibicować – Hayden i Nick byli z niego tacy dumni! Zespół filmowy i obsada stały się dla nas czymś w rodzaju drugiej rodziny. To właśnie na tym opierają się *Gwiezdne wojny* – na współpracy i wsparciu całej społeczności, tworzonej przez pełnych pasji, utalentowanych ludzi.

Gdy miałam siedemnaście lat, spotkał mnie zaszczyt dołączenia do tej społeczności – napisałam scenariusz do swojej pierwszej części serialu *Wojny klonów*, czyli *Katastrofy Jedi*. Pozytywne opinie fanów skłoniły mnie do zajęcia się pisaniem scenariuszy na poważnie – pracowałam nad odcinkami serialu niemal przez sześć kolejnych lat. W tym okresie miałam przyjemność rozpisywać sceny zarówno dla cudownych, jak i do szpiku przesiąkniętych złem postaci, takich jak Aurra Sing, Savage Opress, Darth Maul – i oczywiście moja ulubiona Asajj Ventress.

Od zawsze fascynowały mnie silne kobiece postacie – dorastałam, mając prawdziwą obsesję na punkcie Buffy, „postrachu wampirów”, Ventress zaś była nieugiętą wojowniczką wiedźmą, prawdziwym ideałem. Jej siła i wrażliwość bardzo do mnie przemawiały. Z radością powitałam więc szansę pracy przy odcinkach do podserii *Dark Disciple* – i poświęciłam mnóstwo czasu na cyzelowanie ich scenariuszy. Przechodziłam wówczas bardzo trudne chwile, ale rozpisywanie kwestii Ventress i Vosa było dla mnie bardzo oczyszczające.

Z wielkim smutkiem przyjąłam wiadomość o wycofaniu z produkcji *Wojen klonów*, zanim wspomniane odcinki się ukazały, jednak koniec końców zostałam nagrodzona informacją o wykorzystaniu moich pomysłów w niniejszej powieści. *Mroczny uczeń* to właściwie historia o wyzwoleniu – o tym, jak ludzie potrafią

spaść na samo dno, a jednak ostatecznie znaleźć sposób, by podźwignąć się z niego, wbrew przeciwnościom losu. Każdy z nas raz po raz otrzymuje szansę na dokonanie w życiu zmian i naszym obowiązkiem jest skorzystanie z nich, nim znikną bezpowrotnie.

Współpraca z niesamowitymi scenarzystami *Wojen klonów* oraz niezrównanym Dave'em Filonim pozostanie dla mnie jednym z najwspanialszych doświadczeń w mojej karierze. Ten serial dał mi szansę rozwoju zawodowego, a co ważniejsze – okazję do tworzenia przez jakiś czas gwiazdnowojennego uniwersum.

Do końca życia nie zapomnę tych chwil, kiedy wraz z ojcem wślizgiwaliśmy się na tyły pogrążonego w ciemności kina, podczas gdy z głośników rozlegały się przyprawiające o dreszcze fanfary Johna Williamsa – jak trzymaliśmy się za ręce, a tłum wiwatował, potrząsając mieczami świetlnymi i witając w ten sposób pojawienie się napisu „Star Wars” na kinowym ekranie. Nigdy nie widziałam mojego ojca szczęśliwszego.

Niech Moc będzie z Wami – zawsze.

Katie Lucas

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

Konflikt zwany wojnami klonów pogrążył galaktykę w chaosie na wiele długich lat. Walka między prawowitym rządem Republiki Galaktycznej a Konfederacją Niezależnych Systemów zebrała gorzkie żniwo niezliczonych miliardów istnień.

Władający Mocą rycerze Jedi, od tysiącleci stojący na straży pokoju w galaktyce, są systematycznie dziesiątkowani przez separatystów i ich przywódcę, lorda Sithów hrabiego Dooku.

W sytuacji, gdy nie widać końca tej straszliwej wojny, a liczba ofiar wzrasta każdego dnia, Jedi muszą rozważyć użycie wszelkich dostępnych środków, żeby pokonać przerażającego wroga. To, czy niektóre z nich nie są zbyt drastyczne lub kontrowersyjne, by w ogóle brać je pod rozwagę, dopiero się okaże...

Rozdział pierwszy

Ashu-Nyamal, pierworodna Ashu, dziecię planety Mahranee, kuliła się wraz ze swoją rodziną w ładowni republikańskiej fregaty. Nya i inni uchodźcy z Mahranee rozpaczliwie starali się uchronić przed wstrząsami spowodowanymi szalejącą na zewnątrz bitwą. Czułe, zakończone pędzelkami mahrańskie uszy wyłapywały echa rozkazów wydawanych ostrym tonem – ten sam głos dobiegał z różnych gardeł – a wrażliwe nosy odbierały nikłą woń strachu emanującą z głośników.

Fregata zakołysała się pod wpływem kolejnego strzału. Niektóre z młodych łkały, ale dorosłe osobniki zachowywały spokój. Rakshu kołysała w ramionach dwoje młodszego rodzeństwa Nyi, które położyło uszy płasko po sobie i dygotało, przerażone, wtulając się w gibkie, ciepłe ciało matki. Żadne z nich nie kwiliło jednak – błękitne pyszczki miały mocno zaciśnięte.

Ród Ashu sływał bowiem z dumy, dał przecież Mahranee wielu walecznych wojowników i mądrych mężów stanu – siostra Nyi, Teegu, druga z krwi Ashu, potrafiła łagodzić wszelkie spory, Kamu zaś, najmłodszy, miał wszelkie zadatki, by zostać wielkim artystą. Czy może raczej było tak, dopóki separatyści nie zrównali stolicy Mahranee z ziemią.

Tak jak Mahranie się spodziewali, Jedi odpowiedzieli na wezwanie pomocy i zjawili się – jednak zbyt późno. Rozwścieczeni odmową współpracy ze strony mahrańskiego rządu separatyści uznali, że ludobójstwo – czy raczej w tym przypadku jego odpowiednik wymierzony w Mahran – rozwiąże problemy stojące na drodze pozyskaniu świata tak bogatego w surowce.

Nya zacisnęła kurczowo pięści. Gdyby tylko miała blaster! Była doskonałym strzelcem. Jeśliby któremuś z wrogów przyszło do głowy dostać się na pokład statku, mogłaby wspomóc dzielne klony, ryzykujące w tej chwili swoje życie, by chronić uchodźców. A jeszcze lepiej byłoby, gdyby zdołała dźgnąć któregoś z tych podłych separatystów własnym żądłem – nawet gdyby miało to...

Jej rozmyślania przerwało kolejne trafienie – tym razem gwałtowniejsze. Światła zamigotały i przygasły, zastąpione niemal natychmiast przytłumionym krwawym blaskiem oświetlenia awaryjnego, w którym ciemnoszary metal grodzi wydawał się ponuro klaustrofobiczny. W Nyi coś pękło – i nim jeszcze dotarło do niej, co robi, skoczyła na równe nogi i ruszyła w stronę prostokątnych drzwi.

– Nyo! – zawołała ostro Rakshu. – Kazano nam tu zostać!

Nya odwróciła się na pięcie, jej oczy miały błyskawice.

– Kroczę ścieżką wojownika, matko! Nie mogę tak po prostu siedzieć tu beczynnienie. Muszę spróbować pomóc!

– Tylko się wpa... – Pochwyciwszy spojrzenie córki, Rakshu urwała w pół zdania. Po jej pyszczku spłynęły łzy, lśniące w szkarłatnym świetle awaryjnych lamp. Mahranie nie byli telepatami, lecz mimo to Nya wiedziała, że matka zna jej myśli.

„Nikommu nie zaszkodzę. I tak już nie ma dla nas ratunku” – pomyślała gorzko.

Rakshu wiedziała o tym. Kiwnęła głową, a w jej głosie pobrzmiwała duma, gdy rzuciła córce pożegnalne:

– Kłuj celnie.

Słyszając tę boleśnie szczerą radę, Nya przełknęła nerwowo ślinę. Żądło było błogosławieństwem Mahran... jednak raz użyte przypieczęto wywołało także ich śmierć. Jad, który kładł trupem wroga, docierał również do serca jego kata, sprawiając, że przeciwnicy ginęli ramię w ramię. Tymi słowami żegnano kogoś, po kim nie spodziewano się, że wróci.

– Żegnaj, mamó – wyszeptała przez łzy, zbyt cicho, by matka zdołała ją usłyszeć. Plasnęła dłonią w przycisk i drzwi się otworzyły. Nie zwlekając, Nya puściła się biegiem w głąb korytarza, oblamowanego panelami oświetlającymi go przytłumionym, krwawym blaskiem. Na rozgałęzieniu dróg przystanęła, podjęła decyzję... i niemal wpadła na jednego z klonów.

– Hola, stop! – zawołał łagodnie żołnierz. – Nie powinno cię tu być, mała.

– Nie zginę, kuląc się w strachu! – warknęła Nya.

– Nie, na pewno nie – potwierdził klon, starając się mówić pokrzepiająco. – Nie takim łajbom uciekaliśmy. Wracaj do przedziału pasażerskiego i nie wchodź nam w drogę. Panujemy nad sytuacją.

Nya zwietrzyła nagłą zmianę w woni jego potu. Kłamał! Przez chwilę ze współczuciem zastanawiała się, jak wyglądało jego życie, gdy był młody... Nie miał nikogo, kto by go przytulał czy opowiadał mu bajki na dobranoc, nikogo, kto odpędzałby dziecięce koszmary. Tylko braci – identycznych pod każdym względem, wychowywanych w warunkach laboratoryjnych.

Braci, obowiązki... i śmierć.

Czując się dziwnie starsza niż on – a także wdzięczna za jej jakże odmienne od

jego, niezwykle życie, które wkrótce miało dobiec końca – Nya uśmiechnęła się, pokręciła głową i przemknęła obok żołnierza.

Nie pobięł za nią.

Korytarz kończył się drzwiami. Gdy Nya nacisnęła przycisk, drzwi się otworzyły, odsłaniając wnętrze sterowni, a jej zaparło dech w piersi.

Nigdy wcześniej nie była w przestrzeni kosmicznej, więc nic nie mogło jej przygotować na widok rozpościerający się za pięcioma panelami widokowymi. Na tle irracjonalnie spokojnej, usianej gwiazdami kosmicznej czerni rozbłyskiwały świetlne plamy i mknęły smugi laserowego ognia. Nya nie potrafiła rozróżnić poszczególnych statków – może z wyjątkiem maszyn we własnym świecie, które wszystkie, kubek w kubek, wydawały się małe i żałosne, kiedy próbowali na ich pokładach salwować się ucieczką z ojczystej planety, zabierając ze sobą tylko to, co najcenniejsze: swoje rodziny.

Dwa fotele w sterowni zajmowali klon i generał Jedi gadziej rasy Aleena, którzy dowodzili misją ratunkową wysłaną na pomoc ludowi Nyi. Nagle statkiem wstrząsnęła kolejna salwa. Małą Mahranke rzuciło na oparcie fotela klona, wskutek czego on sam poleciał w przód. Odwrócił się do niej natychmiast i zmierzwszy ją pociemniałymi od gniewu oczami, wycedził:

– Wynoś się z...

– Generale Chubor! – przeszkodził mu nowy, zwodniczo melodyjny głos, na dźwięk którego Nya aż się zjeżyła.

Zawirowała, warcząc bezgłośnie. O, tak – znała ten głos, aż za dobrze. Mahranie słyszeli, jak wypowiada mnóstwo kłamstw i obietnic bez pokrycia. Zastanowiła się przelotnie, czy w galaktyce pozostał ktoś, kto nie rozpoznawał podstępnie słodkiego głosu hrabiego Dooku.

Jego obraz pojawił się na niewielkim ekranie nad głównym iluminatorem: pełne zadowolenia, patrycjuszowskie oblicze, wykrzywione kpiącym uśmiechkiem.

– Jestem zaskoczony, że się ze mną skontaktowaliście – podjął. – O ile dobrze pamiętam, Jedi wolą pozować na silnych i milczących.

Klon podniósł palec do ust, jednak niepotrzebnie. Nya zaciskała mocno ostre zębki, sierść porastająca jej ciało zjeżyła się, a ona sama bez reszty skupiła się na znieawidzonej twarzy, ale wiedziała, że nie powinna się odzywać.

Generał Chubor, zajmujący sąsiedni fotel i tak niski, że jego stopy nie sięgały nawet do podłogi, także nie dał się sprowokować.

– Masz swoje zwycięstwo, Dooku. – W jego nosowym, piskliwym głosie pobrzmiwała troska. – Ta planeta jest twoja... Pozwól nam zatrzymać jej lud. Mamy na pokładzie całe rodziny, wielu rannych. Są niewinni!

Dooku parsknął, jakby Chubor powiedział właśnie coś nieskończenie zabawnego podczas popołudniowej herbatki.

– Mój drogi generale Chubor. Powinieneś już wiedzieć, że na wojnie nie ma miejsca na coś takiego jak niewinność.

– Powtarzam, hrabio: nasi pasażerowie to cywile – ciągnął Chubor ze spokojem, który Nya mogła tylko podziwiać. – Połowa uchodźców to niepełnoletni. Pozwól im przynajmniej...

– Niepełnoletni, których rodzice niezbyt roztropnie postanowili wesprzeć Republikę. – Uprzejmość w tonie Dooku zniknęła bez śladu, a jego wzrok spoczął na Nyi. Nie wzdrygnęła się pod jego spojrzeniem, jednak nie zdołała powstrzymać głuchego warknięcia, które wyrwało się z jej gardła. Zmierzył ją od stóp do głów i przestał się nią interesować. – Monitorowałem wasze transmisje, generale, i wiem, że naszą pogawędkę śledzi na bieżąco Rada Jedi, pozwól więc, że będę z tobą szczery. – Głos hrabiego był teraz beznamiętny i twardy, tak zimny i bezlitosny jak lodowe czapy polarne na Mahranee. – Jak długo Republika mi się przeciwstawia, tak długo będą ginąć wasi „niewinni”. Do każdej śmierci w tej wojnie dochodzi z winy Jedi. A teraz... pora, byście wraz z waszymi pasażerami dołączyli do zastępów martwych.

Jeden z największych mahrańskich statków rozkwitł w żółto-pomarańczowej kuli ognia, zredukowanej szybko do chmury szczątków.

Nya nie zdawała sobie sprawy z tego, że krzyczy, dopóki nie dotarło do niej, że gardło pali ją żywym ogniem. Chubor odwrócił się do niej w swoim fotelu i ich spojrzenia się spotkały.

Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegła Ashu-Nyamal, pierworodna Ashu, była bezgraniczna rozpacz w oczach Jedi.

„Najbardziej ponure w życiu Jedi – pomyślał mistrz Obi-Wan Kenobi – jest doświadczanie porażek”.

Był świadkiem podobnych scen rozgrywających się przed Radą Jedi stanowczo zbyt wiele razy, by je zliczyć, a jednak ból za każdym razem okazywał się taki sam. I Obi-Wan miał nadzieję, że tak już pozostanie.

Przed oczami Rady rozegrały się przerażające ostatnie chwile tysięcy istnień, a potem wstrząsający holograficzny obraz zamigotał i zniknął. Przez moment w komnacie Rady panowała pełna napięcia cisza.

Członkowie zakonu stronili od więzi i związków – i zawsze wychodziło im to na dobre. Niewielu zdawało sobie jednak sprawę z tego, że podczas gdy Jedi odrzucali relacje wynikające z romantycznej miłości czy zakładania rodziny, nie wstydzili się jednak współczucia. Każde życie było cenne – a gdy tak często odbierano je w tak brutalny sposób, Jedi odczuwali towarzyszące temu cierpienie – zarówno przez Moc, jak i w głębi własnych serc.

W końcu mistrz Yoda, mizernej postury, ale niezwykle silna Mocą głowa Rady Jedi, westchnął głęboko i odezwał się:

– Ogromnym żalem patrzeć na tak wiele cierpienia nas napełnia. Odwagą wielką ta mała wykazała się. Zapomniani ona ani jej lud zostać nie powinni.

– Mam nadzieję, że męstwo dało jej ukojenie – powiedział mistrz Kenobi. – Mahranie bardzo sobie je cenią. Ona i jej pobratymcy są teraz jednością z Mocą, jednak niczego nie pragnąłbym bardziej, niż żeby ta tragedia była ostatnią, do jakiej doszło w tej wojnie.

– Tak ja my wszyscy, mistrzu Kenobi – potwierdził Mace Windu. – Niestety, obawiam się, że to nierealne. I trudno spodziewać się tego w najbliższym czasie.

– Czy jakiemuś statkowi i jego pasażerom udało się uciec? – spytał Anakin Skywalker. Kenobi poprosił młodego Jedi, wciąż w randze rycerza, by towarzyszył mu na tym spotkaniu. Skywalker stał za fotelem Kenobiego.

– Zgłoszenia żadnego nie otrzymaliśmy – powiedział cicho Yoda. – Jednak nadziei tracić nie można.

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Yodo – odparł Anakin – ale Mahranie potrzebują czegoś więcej niż naszej nadziei. Prosil nas o pomoc, a my nie byliśmy w stanie zapewnić im jej... w wystarczającym stopniu.

– I niestety, nie tylko im nie mogliśmy odpowiednio pomóc – zauważył Windu.

– Ta wojna trwa od niemal trzech standardowych lat – dodał Plo Koon, członek Rady z Kel Dora, głosem stłumionym z powodu zasłaniającej mu usta i nos maski, której noszenie wymuszała na nim skład lokalnej atmosfery. – Nie możemy oszacować liczby ofiar. Jednak to... – Pokręcił bezsilnie głową.

– A wszystko z powodu ambicji i niegodziwości jednego jedyne go człowieka – podsumował Windu.

– To prawda, że Dooku jest przywódcą separatystów – przyznał Kenobi – i nikt nie zaprzeczy, że jest równie ambitny, co niegodziwy. Nie dokonał tego jednak sam. Zgadzam się, że możemy winić Dooku za każdą śmierć w tej wojnie, ale nie każda ofiara zginęła bezpośrednio z jego ręki.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Plo Koon – jednak to ciekawe, że używasz niemal tych samych słów co Dooku, który właśnie nas obarcza winą za poszkodowanych w tej wojnie.

– Kłamstwem jest to – orzekł Yoda i machnął lekceważąco dłonią. – Nierozsądnie byłoby słowom jego wiarę dawać.

– Czyżby, mistrzu Yodo? – spytał zaszępiiony Windu. Jako starszy członek Rady był jednym z nielicznych, którzy śmieli podważać osąd mistrza Yody.

Kenobi podniósł płową brew.

– Co masz na myśli, mistrzu Windu? – spytał Yoda.

– Czy Jedi naprawdę rozważyli każdą możliwość? Czy nie moglibyśmy zakończyć tej wojny wcześniej? Czy właściwie nie moglibyśmy zakończyć jej już teraz?

Kenobi poczuł na karku dziwne mrowienie.

– Mów otwarcie – poprosił.

Windu rozejrzał się po swoich towarzyszach z Rady, przez chwilę ważył słowa, aż wreszcie przemówił:

– Mistrz Kenobi ma rację. Dooku nie dokonał tego sam, nie osobiście. Ma pod sobą miliardy żołnierzy. Będę jednak upierał się przy swoim: ta wojna to jego dzieło. Ci, którzy mu służą, wypełniają jego rozkazy, to on kontroluje ich działania. Każdy spisek prowadzi do niego.

Anakin zmarszczył brwi.

– Nie powiedziałaś niczego, czego byśmy już nie wiedzieli, mistrzu.

– Bez Dooku – ciągnął Windu – ruch separatystów upadłby. Nie mieliby przywódcy, który mówiłby im, co mają robić, co ambitniejszych pochłonęłaby zaś walka o to, kto zajmie jego miejsce. Jeśli każda z rzek jest odnogą jednej, większej... zatamujmy ten nurt. Odetnijmy głowę, a ciało polegnie.

– Ale przecież właśnie tego próbowali... Och. – Anakin otworzył szerzej niebieskie oczy, gdy zorientował się, co ma na myśli ciemnoskóry mistrz.

„O nie – pomyślał z lękiem Kenobi – Mace nie sugeruje chyba, że powinniśmy...”.

Yoda zastrzygł uszami i wyprostował się w fotelu.

– Zabójstwo na myśli masz?

– Nie – zaprotestował Kenobi, nim jeszcze dotarło do niego, co robi. W jego silnym głosie pobrzmiwała niezachwiana pewność. – Niektóre rzeczy wykraczają poza granice dopuszczalności. A już na pewno – dodał ostrym tonem, patrząc na Mace’a – nie przystoją Jedi.

– Prawdę mistrz Kenobi mówi – orzekł Yoda. – Ku ciemnej stronie czyny takie wiodą.

Mace podniósł uspokajająco dłoń.

– Nikt z tutaj zgromadzonych nie chce się zachowywać jak lord Sithów.

– Mało kto chce. Początkowo – zauważył Yoda. – Mały krok często o losie całym przesądza.

Windu przeniósł wzrok na Kenobiego.

– Odpowiedz mi, proszę, na pytanie: jak często ta Rada siedziała tu, cmokając z dezaprobatą i powtarzając „Wszystko prowadzi do Dooku”? Kilka razy? Kilkaset?

Kenobi nie odpowiedział. Stojący za nim Anakin przestąpił z nogi na nogę. Nie patrzył na Kenobiego ani na Windu i zaciskał usta w wąską linię.

– Należy zadać zdecydowany cios – oznajmił Mace.

Podniósł się z fotela i podszedł kilka kroków w stronę Kenobiego. Był od niego wyższy, jednak Obi-Wan ze spokojem wstał i wytrzymał jego spojrzenie.

– Dooku będzie robił dokładnie to, co robił do tej pory – ciągnął cicho Windu. – Nie zmieni się. A jeżeli my także się nie zmienimy, wojna będzie trwała, dopóki z tej umęczonej galaktyki nie zostanie nic oprócz hałd kosmicznych szczątków i martwych światów. My – Jedi i klony, którymi dowodzimy – jesteśmy jedynymi, którzy mogą ten proces zatrzymać.

– Mistrz Windu ma rację – odezwał się Anakin. – Sądzę, że nadszedł czas, by otworzyć się na pomysły, których w innych okolicznościach nigdy byśmy nie rozważali.

– Anakinie... – ostrzegł go Kenobi, jednak Skywalker nie dał za wygraną:

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Kenobi – ciągnął – zniszczenie Mahranee to straszna rzecz. Jednak to zaledwie ostatnie przestępstwo Dooku przeciw galaktyce i jej mieszkańcom.

– Mahranie, którzy dziś zginęli – dodał Mace – dołączyli do stanowczo zbyt

licznego grona. Czy naprawdę chcemy powiększać tę liczbę? Musimy ocenić znaczenie życia jednego człowieka w obliczu milionów niewinnych istnień. Czyż ich chronienie to nie kwintesencja obowiązków Jedi? Zawadzimy Republikę i jej obywateli. Musimy to zmienić. Teraz.

Kenobi zwrócił się do Yody. Wiekowy mistrz Jedi popatrywał w zamyśleniu na zgromadzonych – obecnych na spotkaniu osobiście albo w formie hologramów: Saeseego Tiina, mistrza rasy Iktotchi, Togrutankę Shaak Ti – spokojną, ale wyraźnie zatroskaną, a także wizerunki Kita Fista, Oppo Rancisisa i Depy Billaby. Kenobi był zaskoczony widokiem smutku i rezygnacji na pomarszczonej, zielonej twarzy Yody. Mały mistrz Jedi przymknął na chwilę wielkie oczy, a gdy je otworzył, powiedział:

– Z bólem serca spraw taki obrót przyjmuję. – Wstał i pokuśtykał do okna, wspierając się na lasce. Wszyscy podążyli za nim wzrokiem. W dole rozciągała się powierzchnia Coruscant, przecinana miriadami niewielkich prywatnych pojazdów, oświetlanych promieniami słońca przebijającego przez leniwie płynące chmury.

Yoda wskazał widok trójpalczastą dłonią.

– Każde życie płomieniem w Mocy jest. Pięknym. Niepowtarzalnym. Lśniące i cenne, mężnie światelko rzuca, niczym wyzwanie ciemności, która pochłonąć je chce. – Podniósł laskę, wskazując chmurę większą i ciemniejszą od innych. – Rozrasta ciemność się jednak, z każdą chwilą, w której Dooku swoje ataki ponawia. – Wiekowy mistrz Jedi zamilkł na chwilę. Nikt się nie odzywał, podczas gdy chmura płynęła w swoją stronę, gotowa lada chwila zasłonić tarczę słońca. Jej cień odarł miasto w dole z życia i barw, zasnuwając je szarością i wysysając z niego całe piękno. Kenobi zdawał sobie sprawę, że to tylko słońce i cień, jednak mimo to poczuł w piersi bolesny ciężar.

– Powstrzymać go musimy – powtórzył ponuro Yoda. Przymknął znów oczy i skłonił głowę. Nikt nie chciał przerywać brzemiennego napięciem milczenia.

Wreszcie odezwał się Mace:

– Teraz trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: kto zada decydujący cios?

Kenobi westchnął i potarł ze znużeniem oczy.

– Hm, ja... Mam pewną propozycję.

Rozdział drugi

Koorivarskiemu kupcowi Shebowi Valaadowi świetnie się powodziło. W zasadzie nie mogłoby być lepiej. Zjawił się w Centrali Otor – miejscu, w którym pobyt był wskazany, jeśli prowadziło się pewne... interesy – standardowy rok przed wybuchem wojny. I podczas gdy inni skoncentrowali się na wyborze strony, Sheb pozyskał „potężnych przyjaciół” po obu. Wszyscy lubili cenne drobiazgi: biżuterię, malowidła, posążki, wymyślne szisze wykonane z egzotycznych materiałów i wysadzone kamieniami z odległych światów. A gdy tym, którzy parali się wytwarzaniem tych niezwykłych przedmiotów, przytrafiało się coś przykrego... Cóż, sprawiało to jedynie, że wychodzące spod ich rąk produkty zyskiwały na wartości. Przez większość czasu Sheb czekał, aż wydarzy się coś złego, i dbał o to, by na tym skorzystać. Bywało jednak, że podejmował bardziej... drastyczne działania.

To znaczy nie on sam, o nie – on był stworzony do zajmowania się pieniędzmi i obrotu kosztownościami. Na szczęście istniało mnóstwo osób chętnych przyjąć jego kredyty w zamian za odwalanie brudnej roboty, zwiększającej wartość pewnych przedmiotów. Sheb opadł na oparcie fotela i zaciągnął się dymem z fajki hookah, bezwiednie gładząc róg wyrastający z jego czaszki.

„Koorivarski róg to koorivarska duma” – mawiał jego ojciec. Róg mówił wszystko o jego właścicielu. A róg Sheba był duży, ciasno skręcony i bogato zdobiony. Wspaniali – nieżyjący już – artyści zadbali o jego misterne przystrojenie, osadzone w nim klejnoty odbijały zaś przytłumiony blask rozświetlający „warsztat” Sheba.

Przekąsił tartinkę z tacy przygotowanej przez jego prywatnego szefa kuchni, a potem dał znak błękitnemu droidowi protokolarnemu, który stał w gotowości pod drzwiami. Towarzyszył mu równie niezawodny jak maszyna zwalisty Gamorreanin imieniem Thurg.

– Zaproś naszego gościa, Błękitku – polecił.

– Oczywiście, jaśnie panie.

Sheb wydał całkiem sporo kredytów, by zapewnić sobie spersonalizowaną wersję najnowszego modelu protokolarnego. Błękitek dysponował dwoma wyspecjalizowanymi programami: Adul-8 i B-Little. Pierwszy z nich służył kojeniu

nerwów Sheba, drugi zaś – zapewnianiu mu rozrywki.

Błękitek przeszedł przez przesłonięte kotarą drzwi do poczekalni, Thurg zaś ze znużeniem kontynuował dłubanie w wielkich, żółtych kłach. Sheb miał nadzieję, że Błękitek go za to zbeszta – obsztorcowanie Thurga przez droida byłoby z pewnością niezłym widowiskiem. Aczkolwiek Błękitek powinien być wdzięczny za to, że Gamorreanin dłubał tylko w zębach – nie w swoim świńskim ryjku.

– Mistrzu Tal? – zagadnął droid uprzejmym, rzeczowym głosem. – Najczcigodniejszy, dostojny i bezgranicznie miłościwy kupiec wysokiej jakości towarów i artefaktów Sheb Valaad łaskawie zgodził się pozytywnie rozpatrzyć twoją prośbę o audiencję.

– A niech mnie! – zawołał radośnie Tal, tymczasem Sheb skubnął kolejną tartinkę i uśmiechając się pod nosem, nalał swojemu klientowi herbaty. W ciągu ostatnich paru miesięcy Tal stał się jego stałym klientem i Sheb zastanawiał się, jaką ciętą ripostą uraczy dziś biednego Błękitka jego srebrnousty kontrahent. – Widzę, że działamy dzisiaj w trybie werbalnego gwałtu, Błękitku – stwierdził Tal. – A poza tym prosiłem cię, żebyś nie nazywał mnie mistrzem.

– Obawiam się, że dzisiejsze ustawienia nie pozwalają mi obejść nakazu używania tego tytułu, mistrzu Tal. – Droid przeszedł przez drzwi, grzecznie przytrzymując Talowi kotarę.

Tal Khar był wysokim, muskularnym Kiffarem, poruszającym się z niewymuszoną gracją. Oczy lśniły mu psotnie znad wąskiego, żółtego paska tatuażu biegnącego w poprzek twarzy. Thurg zastąpił mu drogę i spojrzał na niego wyczekująco z porozumiewawczym chrząknięciem.

Tal przewrócił oczami.

– Sheb, odwołaj tę swoją banthę. Czy kiedykolwiek przyniosłem do ciebie broń? Gamorreanin zawahał się i obejrzał na swojego pracodawcę.

– Thurg, znasz zasady.

Tal wyszczerzył się do świniopodobnego strażnika.

– Proszę bardzo. Wiesz jednak, że nie jestem uzbrojony.

– Wiem, że ty nie mieć broń – burknął Thurg w łamanym basicu, bezceremonialnie obmacując Tala. – On nie mieć broń – oznajmił, odstępując od gościa.

– Może pan teraz dostąpić łaski obcowania z moim szlachetnym właścicielem – oświadczył Błękitek, podkreślając wagę słów teatralnym gestem.

– Hej, Błękitku! – zagadnął go Tal. – Ile synonimów ma twoje imię?

– W basicu występują...

Tal przerwał mu machnięciem ręki.

– Nie, nie. We wszystkich znanych ci językach. I czy mógłbyś uściślić, który jak się nazywa?

Droid wydał z siebie ciche szcęknięcie, po czym zaczął wyliczać, zrezygnowany:

– Moje bazy danych zawierają czterdzieści miliardów jedenaście milionów siedemset czterdzieści dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt trzy uznawane synonimy określenia barwy niebieskiej. Poczynając od basic, w porządku alfabetycznym brzmią one: akwamaryna, błękit...

– Nie musisz wypełniać tego polecenia, Błękitku – wszedł mu w słowo Sheb.

– Och, dziękuję, mój najwspanialszy ze wspaniałych panie. Jestem ci bezgranicznie wdzięczny.

Sheb wskazał tacę z tartinkami.

– Ach, Tal, Tal... – westchnął. – Czy chcesz, żeby u mojego droida doszło do zwarcia?

– Niewykluczone – przyznał Tal z pełnymi ustami.

– Cóż, jeśli kiedyś ci się uda, będziesz musiał pokryć koszt napraw – stwierdził rzeczowo kupiec. – A teraz wytrzyj ręce. Mam dla ciebie coś wyjątkowego.

Tal posłuchał z entuzjazmem dziecka niemogącego się doczekać rozpakowania prezentu. Sheb wezwał gestem jedną ze swoich asystentek i chwilę później Twi'lekanka wniosła tacę przykrytą kawałkiem materiału. Gdy Sheb go podniósł zamaszystym gestem, Tal niemal się zachłysnął – i Koorivar wcale nie był tym zaskoczony. Przedmiot leżący na tacy liczył sobie wiele tysięcy, jednak wyglądał, jakby tuż przed chwilą wyszedł spod ręki artysty – niewielki posążek przedstawiał wodne stworzenie z gatunku wymarłego wieki temu, który niegdyś baraszkował (a przynajmniej można było tak podejrzewać, jeśli ufać pozie, w jakiej uchwycono jego przedstawicielkę) w oceanach dawno zapomnianej planety. Oczy postaci wykonano z niewielkich klejnotów, a ogon, podkulony pod czteropłetwe ciało, stapał się z podstawą wyrzeźbioną na kształt opadającej fali.

Tal odruchowo sięgnął po posążek, ale zatrzymał dłoń w pół gestu i podniósł pytająco brwi. Czując się niczym udzielne bóstwo, Sheb skinął głową, pozwalając klientowi dotknąć cennego artefaktu. Tal podniósł go z podziwem bliskim czci.

– Szefie? Ten łapserdak mówić, że musiec się z szef zobaczyć – oznajmił Thurg, wyglądając zza kotary. Wielkie łapska trzymał na porośniętych sierścią ramionach Mahranina, który trwał spokojnie w jego uścisku, rozglądając się z uznaniem dookoła.

– Nieźle. Całkiem nieźle – ocenił i utkwiał spojrzenie w Talu, który gapił się na niego przez chwilę, a potem westchnął.

– Co tu robisz, Desh?

– Próbuję cię złapać.

– Jak widzisz, jestem zajęty.

Przytrzymywany przez zwalistego Gamorreanina Mahranin, który najwyraźniej znał Tala i którego imię brzmiało Desh, mimo niewygodnej pozycji wzruszył ramionami.

– Wybacz.

– Co u... – wykrztusił Sheb, starając się zorientować w tej dziwacznej sytuacji. – Tal, czy znasz tego... to...

– Znam – potwierdził Tal. – Stare dzieje. Mimo to nie powinno go tu być. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. – Potrząsnął szopą czarnych, posplatanych w dredy włosów i odstawił figurkę na stół, a potem wstał. – Szkoda. Tartinki były całkiem nieźle. – Wyciągnął do Sheba dłoń, po czym nią strzepnął. Poderwany w górę niewidzialną siłą kupiec wydał z siebie okrzyk zaskoczenia, tymczasem Mahranin okręcił się w piruecie i wyrzucił ręce w powietrze, wyszarpując się z uścisku Thurga. Błyskawicznie złapał Gamorreanina za łapsko i powalił go na ziemię.

– Och, lepiej sprowadzę pomoc – wykrztusił Błękitek, kuśtykając do drzwi z ramionami uniesionymi nad głowę. – Pomocy!

Do środka wpadło czterech uzbrojonych ochroniarzy. Rodianin utkwiał spojrzenie wielkich czarnych oczu w Talu i uderzył droida, zwalając go z nóg. Błękitek runął jak długi w kąt, tymczasem Rodianin zabrał się do ostrzeliwania intruzów.

– Nie, nie! Żadnych blasterów! – krzyknął Sheb, obawiając się o swoje bezcenne kosztowności, jednak ochrona go zignorowała. Pokój przecięły czerwone blasterowe błyskawice, a Sheb się rozwrzeszczał – początkowo przerażony spustoszeniem, jakie siały w jego drogocennej kolekcji, później z bólu, kiedy jeden ze strzałów przemknął zdecydowanie za blisko jego ciała.

W pobliżu rozbłyskiwały też dwa inne promienie energii, każdy o długości około metra – jeden zielony, drugi niebieski – którymi Tal i Desh posługiwali się jak ostrzami. Miecze świetlne! A to oznaczało...

Tal trzymał jedną rękę wyciągniętą przed siebie, utrzymując Sheba w powietrzu, a drugą bez wysiłku odbijał czerwone świetlne smugi. Czyżby... nucił pod nosem?

– Ach! – krzyknął Koorivar, gdy jeden ze strzałów przysmażył mu udo.

Tal skrzywił się kwaśno.

– Wybacz – bąknął i uśmiechnął się do Sheba potulnie, po czym wyskoczył zgrabnym saltem w tył, kończąc akrobację kopniakiem wyprowadzonym w sam środek tułowia strażnika. Gamorreanin zatoczył się i runął jak długi, rąbnięty przez Tala w skroń rękojeścią.

– Jeszcze nie skończyłem – poskarżył się Kiffar, zwracając się do Desha. Mniejszy, szczuplejszy Jedi – bo, jak uświadomił sobie poniewczasie Sheb, obaj jego goście musieli być Jedi – stał teraz na stole. Rozcapierzywszy czteropalczone dłonie, podnosił Rodianina nad ziemię. Przez szaloną sekundę ochroniarz i jego pracodawca wisieli oko w oko w powietrzu. Rodianin wykwikiwał przez chwilę gorączkowe protesty, a potem przeleciał przez pomieszczenie i uderzył w ścianę.

– Nie możesz winić posłańca – stwierdził Mahranin. Nie był spocony ani nie dyszał. – Mam ci przekazać, że dostałeś nową misję.

– Jeszcze dwa tygodnie i dopiąłbym wszystko na ostatni guzik! – mruknął Tal. On też był spokojny, odprężony, jakby prowadził niezobowiązującą pogawędkę przy szklaneczce czegoś mocniejszego. – Czy Rada naprawdę nie mogła jeszcze trochę zaczekać?

– Wygląda na to, że nie. – Desh zeskoczył saltem ze stołu na podłogę, chwytając po drodze dwa krzesła i ciskając je w czworookiego arachnoidalnego Aqualisha, ostrzeliwującego zaciekle Tala. Krzesła dosięgły celu i ochroniarz rozpląszczył się na podłodze pod stertą oparcie, nóżek, podłokietników i kończyn powyginanych pod dziwnymi kątami. Blaster wyfrunął mu z dłoni, a Mahranin złapał go bez trudu i gwizdnął, przyjrząwszy mu się bliżej. – Niezły.

– O, nie, Błękitku. Nic z tego – rzucił Tal. Droid protokolarny przypadł do jednego z pokonanych ochroniarzy i podnosił właśnie do wokodera komunikator. Trzymając jedną rękę wyciągniętą w stronę Sheba, Jedi przyskoczył do droida i odciął niebieską dłoń w nadgarstku. Droid wydał z siebie przenikliwy pisk. – Daj

spokój, naprawią ci to – parsknął Tal. – Nie bądź baba!

– No to... zepsułem ci całą misję? – spytał Desh. Wyłączył miecz świetlny i ostrze zniknęło z sykiem w rękojeści.

– Nie całą. Właściwie tylko najbardziej satysfakcjonującą jej część, polegającą na dopinaniu całości na ostatni guzik. – O dziwo, posążek morskiej istoty wyszedł z incydentu bez szwanku. Tal podniósł go z uśmiechem. – To jednak wystarczy. Uzyskałem od niego mnóstwo przydatnych informacji o różnych mętach i szumowinach.

– Ta twoja umiejętność badania przedmiotów jest bardzo przydatna.

– Fachowo nazywa się to psychometrią, dziękuję.

Przysłuchując się ich rozmowie, Sheb zdał sobie sprawę, dlaczego Tal – które to imię było najprawdopodobniej tylko pseudonimem – tak skwapliwie obmacywał wszystko, nim coś kupił. Choć w istocie nie kupił za wiele, jednak z pewnością miał... Sheb zaskamlał.

– Wiesz wszystko! – jęknął.

– No nie! Na pewno nie wszystko – odparł Tal-nie-Tal. – To znaczy, nie znam na przykład wszystkich synonimów barwy niebieskiej. Prawda, Błękitku?

– Och, nie! – pisnął droid.

– A jeśli chodzi o ciebie, Sheb... robienie z tobą interesów to czysta przyjemność. To może być odrobinę bolesne, ale jestem pewien, że Jedi, którzy zjawiają się tu za chwilę, odpowiednio się tobą zajmą. – Podniósł rękę.

Nieszczęsny droid protokolarny zaczął wyliczać miliardy synonimów swojego imienia i Sheb niemal z ulgą powitał perspektywę błogiej nieświadomości, w którą miał za chwilę popaść za sprawą Tala – z przepaszającą miną Jedi brał właśnie zamach, żeby cisnąć czarnorynkowym kupcem o ścianę.

Rozdział trzeci

Quinlan Vos nie urodził się co prawda w Świątyni Jedi, jednak było to miejsce najbliższe pojęciu domu spośród wszystkich, które znał. Tu się wychował. Biegał jej korytarzami, chował się za wielkimi kolumnami, odnajdywał spokój w salach medytacyjnych, toczył walki w pomieszczeniach sparingowych – i wszystkich innych, niekoniecznie do tego przeznaczonych – a także ucinął sobie drzemki w tutejszej bibliotece. Każdy Jedi przybywał tu raz na jakiś czas – a gdy Quinlan wbiegał lekko po schodach okazałej budowli, zawsze czuł się, jakby wracał do domu. Teraz także.

Ukrócenie czarnorynkowej działalności Sheba z pomocą starego przyjaciela sprawiło mu przyjemność, jednak stracił dobry humor, kiedy tylko Desh wrócił na statek. W drodze powrotnej na Coruscant jego towarzysz (którego oficjalne imię brzmiało Akar-Deshu) pokrótce streścił mu szczegóły bestialskiego ataku Dooku na Mahranee. Vos nie wiedział, jak go pocieszyć. Kontrolę nad planetą przejęli separatyści, którzy dali wszystkim jasno do zrozumienia, że każdy Mahranin jest od teraz uznawany za wroga i powinien zostać zabity – bez ostrzeżenia. Świat i jego mieszkańcy upadli w ciągu kilku godzin.

Kiedy Vos i Desh skontaktowali się z Kenobim, w zazwyczaj spokojnym głosie Obi-Wana pobrzmiwało wzburzenie, a jego enigmatyczne słowa kazały Vosowi porzucić wszelkie pozory oficjalności – do których i tak nie przywiązywał specjalnej wagi. Po relaksującej bójce zarówno jego strój, jak i on sam wymagał porządnego odświeżenia, jednak Quinlan uznał, że to może poczekać, dopóki nie przyciśnie Obi-Wana i nie dowie się, o co w tym wszystkim, do diaska, chodzi.

Wszyscy go tu znali – nawet mimo tego, że często wybywał na długie miesiące, przeciągające się czasem w rok. Uśmiechał się szeroko na widok znajomych twarzy i tak często zatrzymywał, by paść komuś w objęcia, poklepać po plecach czy wymienić uścisk dłoni, że zaczął się obawiać, że może być...

– Spóźniony, jak zwykle – stwierdził Kenobi z dezaprobatą.

Vos podniósł wzrok i uśmiechnął się pod nosem, po czym posiłkując się Mocą, pokonał susem kilkanaście stopni i wylądował z wdziękiem przed mistrzem Jedi.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Obi-Wanie – przywitał go. – Na pewno tęskniłeś.

– Niespecjalnie – odparł Kenobi, ale uśmiechał się przy tym ciepło. – Nie wspominam naszej ostatniej przygody z rozrzewnieniem. Niestety, mam poważne wątpliwości, czy następna misja będzie równie przyjemna, chociaż liczę na to, że okaże się bardziej owocna.

Ostatnio współpracowali przy wytropieniu zbiegłego Hutta imieniem Ziro. Niestety, ktoś ich ubiegł, co skończyło się dla biednego Zira niezbyt fortunnie.

Obi-Wan, jak na dobrego Jedi przystało, był biegły w sztuce ukrywania uczuć w Mocy – jeśli tylko zechciał. Teraz jednak z jakichś powodów nie zdecydował się na to, więc nawet osoba niewrażliwa na Moc wyczułaby promieniujący od niego niepokój, wyraźnie widoczny w jego szaroniebieskich oczach.

– To coś poważnego, prawda? – domyślił się Vos, porzucając beztroski ton.

– Zgadza się, przyjacielu – westchnął Kenobi. – Jeśli chodzi o ścisłość, bardzo poważnego.

– Zamieniam się w słuch.

Kenobi pokręcił głową.

– Nie... Lepiej będzie, jeśli Rada sama ci wszystko wyjaśni. – Mowa ciała Kenobiego i powściągliwość, z jaką dobierał słowa, zdradzały bardzo dużo, jednak Vos nie naciskał. Miał złe przeczucia.

Kenobi stwierdził, że za drugim razem holonagrania wcale nie ogląda się łatwiej niż przy pierwszym seansie, więc postanowił się skupić na reakcji Vosa. Kiffarski Jedi rzadko ukrywał swoje emocje – choć potrafił to robić, jeśli zaszła taka potrzeba. Teraz w jego ciemnobrązowych oczach widać było przejmujący ból, narastający, w miarę jak eskalowała tragedia rozgrywająca się na jego oczach. I podobnie jak poprzednio, gdy nagranie dobiegło końca, w Sali Rady zaległa cisza.

Vos wypuścił powietrze i zacisnął usta.

– Desh wspomniał mi o ataku, jednak nie miałem pojęcia, że to z jego powodu mnie wezwaliście. Czego oczekuje ode mnie Rada?

– Podjęcia działań, które, nie bez oporów, uznaliśmy za niezbędne – stwierdził ostrożnie Mace. Vos spojrzał na Yodę, zdziwiony, że Windu przemawia w imieniu Rady zamiast niego. – Nie można tego wyrazić inaczej, niż będąc brutalnie szczerym: mistrzu Vos, Rada chce, żebyś zabił hrabiego Dooku.

Chyba pierwszy raz, odkąd Kenobi go poznał, Vos zaniemówił. Wlepił wzrok

najpierw w Windu, potem w Yodę, a na końcu spojrzął na Obi-Wana. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować czy może zażądać wyjaśnień, ale niemal natychmiast zamknął je z kłapnięciem i milczał przez chwilę. Wreszcie przemówił cicho:

– Ja... Chyba rozumiem. Ale... Jak mam to zrobić?

– Zbliżysz do niego się – stwierdził Yoda.

– Na tyle, by go zabić? Ale... Jak to sobie wyobrażacie? Przecież nie wejdem ot tak do jego pałacu.

– Dobrze przysłużyłeś się Republice w poprzednich tajnych misjach – zauważył Windu.

– Cóż, pewnie, udaremniłem transport kilku czarnorynkowych towarów i unieszkodliwiłem paru przemytników, ale... to nie jest zadanie dla jednej osoby.

– Rację mistrz Vos ma.

Kenobi podniósł rudą brew. To miała być samotna misja, jednak Yoda mówił spokojnie, jakby był absolutnie pewien słuszności swojej decyzji.

– Sam wyruszyć na tę misję mistrz Vos nie może. Więcej niż jednej osoby trzeba, by Dooku zabić.

– Mistrzu Yodo? Zgłaszam się na ochotnika, żeby towarzyszyć mistrzowi Vosowi – odezwał się Anakin.

Nim Kenobi zdążył coś powiedzieć – wiedział aż za dobrze, że wysyłanie Anakina i Quinlana na jedną misję to dopraszanie się o kłopoty – Yoda pokręcił głową.

– Próbowwała już osoba jedna Dooku zgładzić – powiedział. – Nie powiodło jej się, bliżej jednak sukcesu niż ktokolwiek inny była.

Teraz to Kenobi spojrzął z niedowierzaniem na głowę Rady.

– Nie mówisz chyba o Ventress?!

– Ventress? – zawtórował mu Vos. – Ale chyba nie tej uczennicy Dooku? Tej, która bruździ nam od wielu lat?

Yoda tylko spokojnie pokiwał głową.

Asajj Ventress rzeczywiście była dawną sithańską uczennicą hrabiego Dooku, wykonującą zleczone przez niego zabójstwa. Kenobi i Anakin niejednokrotnie krzyżowali z nią ostrza mieczy świetlnych. Smukła, gibka, doskonale wyszkolona we władaniu Mocą była Siostra Nocy stanowiła potężnego przeciwnika. Jeśli jednak istniał ktoś, kto darzył teraz Dooku szczerą i zajadłą nienawiścią, to

właśnie ona. Jej były mistrz próbował ją zabić. Chodziły słuchy, że więcej niż raz starała się mu odpłacić pięknym za nadobne.

– Chwileczkę – bąknął Vos. – Czy ja dobrze słyszę? Rada Jedi chce, żebym współpracował z Sithanką?

Kenobi wiercił się w fotelu, wyraźnie nieswój. Jakkolwiek niedorzecznie to brzmiało, kiedy przymknęło się oko na nagłość tej decyzji, właściwie miała ona wiele sensu.

– Niewydarzoną Sithanką – poprawił go Kenobi. – Nie posuwałbym się tak daleko, by nazywać ją godną zaufania, jednak... Prawda jest taka, że w tym punkcie nasze interesy się pokrywają. A poza tym nikt nie zna go lepiej niż ona. Muszę przyznać rację mistrzowi Yodzie. Asajj Ventress stanowiłaby świetne narzędzie, które mogłoby zagwarantować nam sukces tej misji.

– „Niewydarzona” to zaskakująco trafne określenie – warknął Windu. Wydawał się zaskoczony słowami Kenobiego. – Zważywszy na fakt, że Ventress poniosła porażkę nie tylko w staraniach o uzyskanie statusu Sithanki. Nieraz próbowała zabić Dooku, ale bezskutecznie.

– Wcześniej działała na własną rękę – zauważył Kenobi i zwrócił się do Vosa. – Tym razem będzie inaczej. Będzie miała ciebie.

Zmarszczki na czole Quinlana wygładziły się, a w jego ciemnych oczach nad złotym tatuażem zalśniły zwykłe psotne ogniki.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie romantyk, Kenobi! – parsknął. – Na pewno nie będziesz zazdrosny? – Po chwili jednak spoważniał i dodał: – Czy naprawdę jej pomoc może się okazać tak cenna? Odeszła od Dooku już jakiś czas temu. Dlaczego w ogóle miałaby chcieć z nami pracować? Nie będzie zbyt skłonna do pomocy Jedi.

– Tego samego wroga mamy – przypomniał mu Yoda. – Pomóc nam zdoła, jednak wiedzieć o tym nie może. Jego charakter, sposób myślenia, kryjówki jego... zna to wszystko Ventress. – Pochylił się do przodu, popatrując na Vosa spod ściągniętych brwi. – Ofiara wasza świadoma celów waszych być nie może. Ale z pomocy udzielanej nam przez Asajj Ventress także sprawy zdawać sobie nie powinna.

– To się robi zbyt skomplikowane – jęknął Vos. – Może to zlecenie dla jednej osoby? Z całym należnym szacunkiem, ale jeśli mam się tym zająć, zamierzam to zrobić sam: prosto i czysto. Ona tylko będzie mi przeszkadzać.

Yoda emanował mieszanką łagodności i nieustępliwości.

– Wie Rada, że ścieżką własną zawsze sam kroczyć wolisz – powiedział. – Ventress nie lekceważ jednak. Utalentowana jest. Pomoc jej przyjąć musisz lub niepowodzenie cię czeka.

Na dźwięk słów Yody Kenobiego przeszedł zimny dreszcz, jednak nie był to wyłącznie lęk. Obi-Wan wiedział, co to oznacza. Niewiele było istot silniejszych Mocą od Yody – i chociaż drobny zielonoskóry mistrz Jedi zawsze był pełen pokory i powtarzał, że nikt nie może przewidzieć wciąż zmieniającej się przyszłości ze stuprocentową pewnością, to istniały pewne rzeczy, o których słuszności był po prostu przekonany. I to właśnie była jedna z takich sytuacji.

Drobne zmarszczki, które zmaciły tafelę Mocy, powiedziały Kenobiemu, że pozostali członkowie Rady, doskonale znający przenikliwość Yody, także to wyczuli.

Vos westchnął, zorientowawszy się w zmianie nastrojów.

– W porządku. Podejmę się tej misji. Znajdę Ventress i nakłonię ją do współpracy... chociaż nie wiem jeszcze jak. I zabiję hrabiego Dooku. Nie mogę jednak obiecać, że Ventress wyjdzie z tej konfrontacji cało, kiedy już skończę z Dooku.

– Zakończeń wszystkich przewidzieć nie możesz – zauważył Yoda.

– W tej chwili przewiduję jednak koniec tego spotkania, mistrzu Yodo – stwierdził Vos. – A zakończy się ono tym, że ukłonię się, wezmę prysznic, zjem coś i uzyskam więcej szczegółów od, dajmy na to, mistrza Kenobiego.

Na dźwięk zuchwałych słów Vosa niektórzy ze zgromadzonych zmarszczyli z troską czoła, jednak zielonożłote oczy Yody załśniły tylko rozbawieniem.

– Rację pod każdym względem masz – podsumował. – Porządek właściwie ustaliłeś nawet. – Po czym dodał nieco poważniej: – Podnieść na duchu poczucie humoru może, nawet w najczarniejszych chwilach. Odpowiedzialne jednak zadanie to i niebezpieczne. Moc niech z tobą będzie, Quinlanie Vosie.

Prysznic był niczym wybawienie, a posiłek w sali jadalnianej – prawdziwą rozkoszą. Wszyscy padawani rozpoczynali szkolenie w młodym wieku, dlatego nie pamiętali swoich rodzin – lub pamiętali je słabo. Vos, który trafił do Świątyni wcześniej niż większość Jedi, czuł się, jakby miał tu setki braci i sióstr, którego więc miejsca w grupowej jadalni by nie wybrał, wpadał na tego czy owego.

To było wspaniałe.

Popularność? Podziw? Jak powiedziała Yoda: „Nie pożąda Jedi tych rzeczy”. I właściwie Vosowi na nich nie zależało... Jednak cieszył się na widok swoich towarzyszy – nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc nad wiek poważnych padawanów i mających problem z usiedzeniem w miejscu młodzików. Nie bez oporów zgodził się przyjąć powierzoną mu misję. Często myślał, że to właśnie zdolność do cieszenia się z zastanych okoliczności – jakie by nie były – oraz towarzystwa, w jakie trafiał, sprawiały, że tak skutecznie wypełniał zadania zmuszające go do odwiedzania najpodlejszych miejsc i spotkania się z najgorszymi mętami.

A jednak Quinlan Vos zawsze zapuszczał się do dusznych, ciasnych sal, mrocznych alejek i opustoszałych kompleksów samotnie. Nie było nikogo, kogo musiałby się trzymać, za kim podążać ani na kogo się oglądać. Gdy człowiek zdał sobie sprawę, że każdy z jego otoczenia prawdopodobnie z radością wbiłby mu nóż w plecy – i to dosłownie – wszelkie złudzenia pryskały jak bańka mydlana. Proste, jasne, nieskomplikowane.

Z tego, co Quinlan słyszał o Asajj Ventress, wyłaniał się obraz osoby maksymalnie skomplikowanej. Obi-Wan, Anakin i Yoda mieli okazję się z nią zmierzyć i odczuli, że miała w sobie coś, co kazało darzyć ją jakimś osobliwym szacunkiem.

– O, a więc postanowiłeś zabawić tu dość długo, by się wykąpać i coś zjeść – zauważył Desh, zasiadając naprzeciwko Vosa z posiłkiem na tacy.

– Może nawet się przespać! – odparł Vos, z uśmiechem rozkrawając fioletowego jogana w białe pasy.

– Co za rozpusta! – Desh mrugnął i zatopił zęby w smakowicie wyglądającym steku. – Tylko się nie przyzwyczajaj.

– Nie planuję – odmruknął Vos.

– Chciałbyś rozwinąć tę myśl?

– A jak sądzisz?

Desh zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami, przeżuując, aż wreszcie pokręcił głową.

– Raczej nie. Ale mam wrażenie, że coś cię niepokoi.

– Ach, ci starzy przyjaciele – westchnął Vos. – Mam dostać partnera.

– Wiem, że wolisz pracować sam, ale Jedi często działają we dwójkę – zauważył Desh.

– I właśnie o to chodzi. Ona nie jest Jedi. Ba! Nie powinna się nawet dowiedzieć, że ja nim jestem. A do tego – dodał Vos – misja, którą mamy wypełnić, jest... bardzo delikatna i niebezpieczna. Wolałbym nie musieć zastanawiać się nad tym, czy mój partner nie jest dla mnie zagrożeniem większym niż nasz cel.

– Cóż – westchnął Desh. – Świątynia nie może przygotować nas na wszystko. Na tym właśnie polega zabawa.

– A w jakiej kwestii zawodzi cię Świątynia tym razem, mistrzu Vosie? – zapytał Kenobi z uprzejmym uśmiechem, przysiadając się do nich.

– Wiesz co? Cieszę się, że o to pytasz – odparł Vos.

– Och, tylko nie to. – Obi-Wan westchnął.

– Wiem, jak współpracować z Jedi i z cywilami – dodał Quinlan. – Wiem, jak radzić sobie z przestępcami i ich zbirami. Wiesz jednak równie dobrze jak ja, że partner, o którym mowa, jest... jedyny w swoim rodzaju, a ja muszę wiedzieć, na jakich zasadach będzie chciał współpracować.

– Ach! – bąknął Kenobi. – Desh, czy mógłbyś nam na chwilę wybaczyć? Vos musi jutro wcześniej wyruszyć na misję, a my mamy do omówienia parę... – Zawahał się. – ...spraw.

– Oczywiście, mistrzu Kenobi – powiedział Desh. – Do następnego razu, Vos! – Zabrał tacę i zostawił ich samych.

Kenobi zwrócił się do Quinlana.

– Podobnie jak ty, Ventress lubi pracować sama – zaczął bez ogródek. – Szczerze powiedziawszy... nie mamy pojęcia, jak zareaguje. Dowiedziałem się jednak o niej paru rzeczy, które mogą się okazać przydatne. Jest zdeterminowana, maksymalnie skupiona i nienawidzi Dooku. Gdy już zdobędziesz jej zaufanie, a ona dostrzeże szansę na zabicie swojego byłego mistrza... sądzę, że będziesz mógł na niej bez reszty polegać.

– Cóż, to dobrze. Ale jak mam w ogóle do tego doprowadzić?

– Asajj Ventress jest szalenie inteligentna i nie trawi głupców. Imponują jej umiejętności i kompetencja. – Kenobi urwał na chwilę, ważąc słowa. – Jest też bardzo... atrakcyjna. Mogłaby zacząć coś podejrzewać, gdybyś nie poświęcił jej... eee... wystarczającej uwagi. A poza tym lubi... szermierkę słowną.

Vos zwędził Obi-Wanowi z talerza pieczony korzeń kajaka i wrzucił go sobie do ust.

– Ucinaliście sobie pogawędki podczas walki?

Obi-Wan pokiwał głową.

– To było coś w stylu... – znów urwał w poszukiwaniu odpowiedniego słowa – ...przekomarzanek.

– Podrywałeś ją?

– Daj spokój, Vos – parsknął Kenobi. – Nie powiesz mi chyba, że zdołałeś przeniknąć do tych wszystkich szemranych miejsc, nie flirtując? Z Ventress... to jest jak próba sił. To jej sposób na kontrolę, wywieranie nacisku. Jeśli dasz się w to wciągnąć, wyjdzie ci to tylko na dobre, gwarantuję.

Vos uderzył się w pierś.

– Je-di! – przesyłabował z naciskiem. – Żadnych więzi, zapomniałeś? Jak daleko można się posunąć?

– Spróbuj być nieco... pyszałkowaty. Pozwól sobie na odrobinę zbyt wiele. Da ci jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana... i zrobi to z satysfakcją. Potraktuje to jako swego rodzaju triumf.

Vos westchnął.

– Mam dziwne wrażenie – bąknął, częstując się kolejnym kawałkiem kajaka z talerza Kenobiego – że zabicie Dooku będzie w tym wszystkim najłatwiejsze.

Kenobi nie zaprzeczył.

Rozdział czwarty

Poziom tysiąc trzysta trzynasty nazwano tak, ponieważ znajdował się tysiąc trzysta trzynaście kondygnacji od zewnętrznej warstwy planety. Vos zdecydowanie bardziej wolał skupiać się na tej informacji niż na myśleniu o każdym z niemal czterech tysięcy poziomów dzielących go od sztucznej powierzchni świata. Różnica między dosłownym i przenośnym podziemiem Coruscant oraz obszarem, który oglądał światło słoneczne, była tak olbrzymia, że równie dobrze mogłyby one istnieć w dwóch różnych układach. Przepiękstwa, które zostałyby uznane za rażące naruszenie prawa na powierzchni, tutaj były chlebem powszednim. Jedi zastanawiał się – nie pierwszy raz – ile istot rodziło się tu, przeżywało swoje życie i umierało, ani razu nie oglądając blasku słońca czy gwiazd.

Kroczył pośród drżących sylwetek, ogrzewających dłonie nad wątłymi płomieniami ognisk płonących w metalowych koszach. Zewsząd do jego uszu docierały błagalne prośby: „Proszę... Czy ma pan coś na ząb? Parę kredytów? Co łąska...”, „Hej, przystojniaku! Wiem, czego ci potrzeba! O, tu, tu! Tędy! Mamy wszystko, czego pragniesz – egzotyczne towary z całej galaktyki...”.

Lekkim muśnięciem Mocy, ukradkowym gestem i niezobowiązującym uśmiechem Vos skłaniał każdego, by zapomniał o tym, że w ogóle go widział, skupiając się na swoim celu: barze, który nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród setek podobnych, do których zaglądał w ciągu kilku ostatnich lat.

Bardzo lubił tę część swoich misji: kiedy mogło się wydarzyć dosłownie wszystko, mógł spotkać każdego, wszystko było nowe i ekscytujące – póki nie przerodziło się w coś zawiłego, skomplikowanego i niestety, przeważnie zbyt banalnego.

Drzwi otworzyły się z sykiem i Vos wszedł do środka. Chociaż powietrze było tu gęste od dymu wydzielanego przez różne substancje palone przez klientelę, dostrzegł sylwetki kobiet różnych ras, podrygujące w takt głośnego łupania imitującego muzykę. Rozejrzał się przelotnie po wnętrzu w poszukiwaniu istot, które spodziewał się tu znaleźć.

Jedna z nich, zielonoskóry gadopodobny Trandoshanin w żółtym skafandrze lotniczym, siedziała przy barze. Wkrótce Vos dostrzegł innych w różnych

zakamarkach przybytku – wiedział, że zjawią się później.

Większość klientów była pogrążona w rozmowie, jednak Quinlan zauważył, że jedno z miejsc w pobliżu Trandoshanina jest wolne. Podeszedł pewnym krokiem do baru, gestem przywołał droida kelnera, wskazał coś, co wyglądało na trunek cieszący się powodzeniem pośród gości, i zagadnął jakby nigdy nic, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

– No to... jak leci?

Kilku bywalców siedzących w pobliżu zerknęło na niego z ukosa, jednak nikt nie pofatygował się z odpowiedzią. Vos wskoczył na stołek i kiwnął głową droidowi, który posłał w jego stronę po ladzie kubeczek czegoś gęstego i czarnego, a potem podjął, niezrażony:

– Macie może, panowie, jakąś robótkę na oku?

Trandoshanin (zwany Boskiem, jak przypomniał sobie Quinlan, znany z polowania na Wookieech z zacięłością i skrupulatnością przewyższającą zapalczywość większości Trandoshan, członek Gildii Łowców Nagród) zasyczał z rozbawieniem, rozdrażnieniem, czy też może jednym i drugim.

– To nie pośredniak, stary. Albo wiesz, czego szukasz i gdzie, albo nie. A ty widocznie... nie wiesz. – Skupił się znów na swoim drinku, najwyraźniej przeświadczony, że powiedział wszystko, co w tej sytuacji należało powiedzieć.

Vos odczekał sekundę, wychylił swojego drinka, udając, że kwaśna breja mu smakuje, i rzucił pozornie od niechcienia:

– Mam wrażenie, że ostatnimi czasy ta łyśa wiedźma miesza wszystkim szyki.

Pomruki rozmów oraz pobrzękiwanie naczyń i sztućców ustały jak nożem uciął. Bossk zwrócił się ponownie w stronę Vosa, mierzył go przez chwilę w milczeniu wzrokiem, po czym roześmiał się w głos.

– Ta kobieta to same kłopoty! – Klepnął Vosa w ramię trójpalczastą, szponiastą dłońią i skinął na kelnera. – Dla mojego nowego przyjaciela... cokolwiek tam pije, jeszcze raz to samo. Na mój rachunek.

Vos podziękował mu skinieniem głowy.

– No to – podjął Bossk – zwinęła ci fuchę sprzed nosa, co?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Vos spytał:

– Wiesz może, gdzie się ostatnio pałęta?

Trandoshanin zmrużył lekko oczy.

– Nie mam bladego pojęcia.

Nim Vos odpowiedział, zadbał o to, by nasycić swoje słowa odpowiednią dawką Mocy:

– Chciałbym się jej jakoś... odwdzińczyć. Wiesz, co mam na myśli?

Bossk mierzył go przez chwilę spojrzeniem, aż wreszcie podjął decyzję.

– Możliwe, że znam kogoś, kto wie, gdzie jej szukać. Chodź. – Mówiąc to, wstał i ruszył przez salę, przepychając się bezceremonialnie przez tłum. Vos podążył za nim do jednego z pogrążonych w mroku bokсів na tyłach knajpy. Pod stolikiem drzemała anooba – pasiasty drapieźnik z ogonem owiniętym niemal dwukrotnie wokół bladego ciała. Na dźwięk kroków Vosa obudziła się i zaczęła warczeć.

Jedi uspokoił ją machnięciem ręki, jednak tylko zdawkowo – byłoby podejrzane, gdyby bestia nagle zaczęła się do niego łąsić, z drugiej strony nie miał ochoty paść jej ofiarą. Zwierzę węszyło przez chwilę, a potem warczenie zmieniło się w ciche skamlenie, chociaż po uszach i oczach anooby było znać, że wciąż jest czujna.

W boksie siedzieli: theelińska łowczyni nagród o rudych włosach upiętych w nadające jej zwodniczo niewinny wygląd kucyki (Latts Razzi, ulubiona broń: chwytne boa), Kyuzo w wielkim kapeluszu z ciężkiego metalu (Embo, używający nakrycia głowy jako bronii i środka transportu; cieszący się pośród łowców estymą właściciel anooby wabiącej się Marrok), droid (Hightsinger, zabójczo skuteczny łowca, niemający sobie równych), a także ogolony na łyso młodzieniec o szczerym, prostoliniowym obliczu, który musiał być...

– Hej, Boba! – warknął Bossk. – Ten gość szuka Bezimiennej. Tej nowej.

Boba Fett, sprawiający wrażenie nastolatka, parsknął:

– Nowej? Nie sądzę. Laska wie, co robi.

– A dokładniej...

– Naciąga ludzi. A dlaczego w ogóle cię to interesuje? – Fett zajął się swoim drinkiem, niezbyt skory do rozmowy. Najwyraźniej temat Ventress należał do śliskich. Jakoś to Vosa nie dziwiło.

– Orznęła mnie przy paru fuchach, tak jak was – rzucił.

– Wcale nas nie orznęła – zaszczebiotała Latts Razzi i zakołysała swoim drinkiem, popatrując na Vosa z rozbawieniem. – Dostaliśmy kasę. Po prostu wyszło... inaczej niż życzyłby sobie szefu.

– Powiedzmy – wymamrotał Fett. – Nie podobają mi się jej... metody. – Wychylił drinka jednym haustem dla podkreślenia wagi swoich słów.

– Racja – przytaknął mu Vos. Nie próbował wpłynąć Mocą na żadnego z łowców nagród – nie zyskali reputacji naiwnością i prostodusznością. Stał więc tylko, spokojny i otwarty na rozwój wydarzeń.

Fett zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Wydaje ci się, że jej podołasz? Że zdołasz jej nabruździć?

– Jestem tego pewien.

Chłopak skinął głową, najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi.

– W porządku. Chodzą słuchy, że wzięła robotę na Pantorze. Ściga Volpaia imieniem Moregi. – Wyciągnął z kieszeni holoprojektor i za chwilę nad jego dłonią zamajaczył wizerunek czwororękiego humanoida. Na widok postaci Fett się nachmurzył. – Sam miałem wziąć tę robotę, dopóki nie usłyszałem, że się tego podjęła. Jeśli uważasz, że możesz z nią rywalizować, droga wolna. – Rzucił Vosowi holoprojektor niczym bezużyteczny sabakowy żeton, a Jedi złapał go zręcznie.

Bosk obdarzył go zębatym uśmiechem.

– Miejmy nadzieję, że masz dość ikry, by sobie poradzić.

Vos obrócił holoprojektor w palcach, mrugnął i tyle go widzieli. Nim jednak wmieszał się w tłum, usłyszał jeszcze, jak Boba Fett mówi:

– Nie wie, w co się pakuje.

„Może i tak” – pomyślał obojętnie. Nigdy nie wiedział.

I właśnie na tym polegała cała zabawa.

Pantora – o umiarkowanym, łagodnym klimacie, diametralnie różnym od surowych warunków panujących na mroźnej, niegościnniej planecie była głównym księżycem orbitującym wokół Orto Plutonii. Jej pejzaż tworzyły kopulaste zabudowania o kształcie zbliżonym do łez – czy może, jeśli użyć mniej poetyckiego określenia, cebul. Z jakichś niejasnych przyczyn Pantoranie lubowali się w konstrukcjach wielopoziomowych. To, co na innych planetach wieńczyłyby dachy, tu zdobiły parki, kładki i inne wymyślne twory architektoniczne.

Asajj Ventress nie miała romantycznej natury i architektura Pantory obchodziła ją jedynie o tyle, że utrudniała jej tropienie ofiary. Obecnie stała na dachu budowli o kształcie spłaszczonej kopuły, z oczami ukrytymi za specjalnymi goglami, które poszczełkiwały i szumiały cicho, przetwarzając obraz.

Dostała cynk, że cel jej łowów preferuje tę część stolicy i lubi się tu kręcić.

Bardziej przydatna byłaby oczywiście dokładniejsza informacja – o knajpie, burdelu czy choćby okolicach któregoś z pobliskich pomników, jednak w ciągu kilku ostatnich miesięcy Ventress nauczyła się cierpliwości.

Rozdział piąty

Rozwścieczona Ventress zniżyła głos do lodowatego pomruku:

– Kim. Jesteś.

Moregi wciąż szamotał się w uścisku nieznanego, który nie przestawał się do niej szczyrzyć.

– Spokojnie, złotko. Panuję nad sytuacją.

– „Złotko”? – Asajj Ventress postąpiła naprzód, szarpnięciem oderwała intruza od swojej ofiary i rąbnęła go solidnie w szczękę.

Rozpłaszczył się na ziemi z miłym dla jej ucha stęknieniem i spojrzał na nią osłupiały, a jego ręka powędrowała do ust. Równie zdumiony Moregi przez chwilę wodził rozgorączkowanym wzrokiem od Ventress do intruza i z powrotem, a potem z pełnym uciechy rechotem skoczył na równe nogi i tyle go widzieli.

Ventress puściła się za nim biegiem, napędzana wściekłością. Nie zawracała sobie głowy oglądaniem się na nieznanego. Czymkolwiek kierował się ten palant – nieważne, czy bezczelnie próbował doprowadzić jej ofiarę, czy też była to zwykła, źle ukierunkowana demonstracja męskiej wyższości – tylko nieznacznie opóźnił nieuchronne.

Moregi zyskał nad nią jedynie parę sekund przewagi. Ktoś inny pewnie straciłby go z oczu w labiryncie dachów, jednak Ventress śledziła go z morderczą skutecznością, dopóki nie zanurkował w kępę drzew w parku. Wówczas zatrzymała się, uspokoiła przyspieszony oddech i poszukała go w Mocy. Niestety, w pobliżu było zbyt wiele form życia, żeby zdołała go namierzyć. Wyostrzywszy zmysły, ostrożnie ruszyła przed siebie. Była niemal całkowicie pewna, że nie skoczył na pobliski dach – obie powierzchnie dzieliła przerwa zbyt duża, żeby zdołał ją pokonać w biegu ktoś niewrażliwy na Moc.

Czy naprawdę istniały światy, na których na dachach budynków sadzono tyle drzew? Gdyby ten dureń nie wszedł jej w paradę, złapałaby już Moregiego ze trzy razy. Musiała jednak przyznać, że niepotrzebnie dała się wyprowadzić z równowagi i sprowokować.

Wyczuwszy za plecami czyjąś obecność, przymknęła oczy, zbierając siły.

– Czy tym się właśnie zajmujesz? Zaczajasz się i podkradasz ludziom ofiary? – warknęła, gdy ciemnowłosy palant stanął obok niej z blasterem w pogotowiu. –

Czy po prostu miałam pecha?

Postąpił zwinnie o krok, rozglądając się czujnie pośród drzew.

– Łowy to nie kaszka z mleczkiem. Chyba jesteś w te klocki zielona.

Podniosła brew, a on wyszczerzył się do niej szeroko.

– Jeśli będziesz grzeczna, może coś z tego wyjdzie.

Próba podrywu była tak nieudolna, że Ventress nawet gdyby chciała, nie mogła się poczuć urażona.

– Masz szczęście, że nie ukatrupiłam cię na miejscu – warknęła, obchodząc pień drzewa. Ani śladu Volpaia.

– Żeby mnie zabić, potrzebowałabyś dużo szczęścia – odparł.

Trzask!

Odgłos był ledwie słyszalny, jednak na jego dźwięk oboje zamarli. Moregi musiał uznać, że są tak pochłonięci dogryzaniem sobie, że zdoła się przemknąć tuż obok. Szacunek Ventress do nieznanego złodzieja ofiar nieznacznie wzrósł. Niewielu miało słuch dość czuły, żeby usłyszeć tak cichy dźwięk. Nadeszła jednak pora zakończyć tę farsę. Jej cierpliwość – zarówno do tego palanta, jak i do łowów – była na wyczerpaniu.

Skupiła się na źródle dźwięku, wyciągnęła dłoń i jakby nigdy nic wyrwała z podłoża drzewo, za którym ukrywał się Moregi. Odslonięty, zagapił się na nią czworgiem oczu, a potem, przerażony, pomknął na skraj dachu.

Ruszyła za nim, z palantem depczącym jej po piętach. Odepchnęła go na bok, poirytowana.

– Nawet o tym nie myśl! – ostrzegła go. – Jest mój!

Zastanowiła się przelotnie, co myślał sobie Moregi – o ile w ogóle myślał. Nie był w stanie przeskoczyć na sąsiedni dach, a upadek oznaczałby...

Skoczył.

Ventress i nieznanomy przypadli do krawędzi i wyjrzeni za nią – tylko po to, żeby zobaczyć, jak Volpai przemieszcza się zwinnie niczym małpa pośród zwisających w dole szyldów różnych sklepów, robiąc dobry użytek z dwójga dodatkowych ramion. Z wprawą godną Wookieego przerzucił ciało z MODNYCH KAPELUSZY OGGSORA na GARDEROBĘ U F'JLK, aby potem ucześcić się OBUWIA NA KAŻDĄ STOPE, podczas gdy Ventress i Palant biegli za nim wzdłuż dachu. Pościg doprowadził ich z rekreacyjnej przestrzeni publicznej do skupiska budek w modnym pasażu handlowym i Asajj poświęciła chwilę, by z rozbawieniem

przyjrzeć się zamożnym Pantoranom nerwowo przyglądającym się akrobatycznym wyczynom Volpaia.

Moregi zwisał właśnie z tablicy reklamującej PRAŻKI PIKOBİ – wyczerpał możliwości manewru i zawahał się, rozważając, gdzie przeskoczyć dalej, gdy Ventress zanurkowała wprost ku niemu i zacisnęła palce na jego bluzie. Wpadli z rozpędu na pobliski szyld, przyozdobiony wizerunkami wykwintnych deserów.

Dłoń Asajj wystrzeliła w powietrze, a gdy jej palce zacisnęły się na rurze biegnącej wzdłuż budynku, bluza Moregiego się rozdarła i Volpai wyslizgnął się z jej chwytu. Natychmiast sięgnęła ku niemu, a on złapał ją za rękę – najwyraźniej woląc zaryzykować niż uderzyć w chodnik kilka pięter niżej.

Korzystając z Mocy, nateżyła uchwyt na rurze i zacisnęła mocniej palce. Niestety, mokre od potu, zawiodły ją i dłoń Volpaia powoli, ale nieuchronnie zaczęła wyslizgiwać się z jej uścisku.

– Ty podła czwororęka kupo szlamu! – wycedziła, gdy Moregi runął w dół, gorączkowo młócąc kończynami w powietrzu, z ustami otwartymi do krzyku.

Sięgała właśnie ku niemu Mocą, by spowolnić jego upadek, kiedy rąbnął w dach przelatującego w dole śmigacza. Z niedowierzaniem zagapiła się na swoją niedoszłą ofiarę, próbując jednocześnie poprawić chwyt na rurze. Volpai tymczasem zadarł głowę i pokazał jej obelżywy gest.

– *Me juuz ku, wermo!* – wykrzyknął.

„Na razie, frajerzy!”

„To się nie dzieje naprawdę!” – jęknęła w duchu Ventress. Nie do wiary!

Nie miała innego wyjścia, jak tylko podjąć pościg. Czwarty raz! Zwinnie zeskoczyła na ulicę i puściła się biegiem w ślad za śmigaczem. Była silna i wysportowana, jednak zaczynała podejrzewać, że ta pogoń może trochę potrwać, więc postanowiła ułatwić sobie zadanie, wskakując na przemykający obok jaskrawoczerwony pojazd. Skupiła się bez reszty na niebieskim śmigaczu, którego jej ofiara uczepiła się niczym rzep ogona banthy.

Gdy maszyna skręciła za róg, Ventress straciła ją na moment z oczu, jednak kiedy pojazd, do którego przyłgnęła, pomknął za nim, zobaczyła, że volpaiski pasażer na gapę porzucił swój środek transportu.

Natychmiast zlustrowała okolicę w poszukiwaniu śladów gwałtownego ruchu i płynnie zeskoczyła z dachu śmigacza. Nim jednak zdążyła odtoczyć się na bok i wstać, jej ofiara zniknęła w tłumie.

Westchnęła. Zwolniła do marszowego tempa i zaczęła przeciskać się pośród pieszych, rozglądając się za Moregim. Wyglądało na to, że właśnie dziś odbywał się tu jakiś uliczny festiwal czy inna impreza – wokół pełno było straganów, a powietrze przesyciły apetyczne zapachy.

Ventress wyszła na plac, nad którym górował imponujących rozmiarów pomnik, przedstawiający brodatego jegomościa o surowych rysach, stojącego w dramatycznej pozie na słupie pośród czterech kamiennych narglatchów. Łby drapieźników zdobiły kolczaste wypustki, a ich paszcze były rozwarte w niemym ryku.

Wyczuła za plecami obecność irytującego intruza i odwróciła się do niego, krzyżując ramiona na piersi. Był przystojny, bez dwóch zdań: na ramiona spływały mu fale splecionych w dredy ciemnych włosów, a wydatne kości policzkowe zdobił żółty tatuowany pas przecinający nos. Ciało miał gibkie, umięśnione, jednak miła dla oka aparycja ani na jotę nie zmniejszyła jej irytacji.

– Nie wiesz, kiedy odpuścić, co? – warknęła.

– Wiem tylko, że współpraca znacznie ułatwiłaby sprawę – odparł lekkim tonem, a potem wyciągnął do niej rękę, jednak odepchnęła ją i minęła go, ostentacyjnie ignorując przyjazny gest.

– Pracuję sama.

– Nie ma sprawy... partnerko! – skwitował radośnie.

– Nie jestem twoją partnerką! – wycedziła. Kipiąc gniewem, wskoczyła na najwyższy z pomnikowych stopni i rozejrzała się dookoła.

– Ale za to z pewnością nie brak ci wytrwałości.

Ventress wycelowała w niego palec wskazujący, zatrzymując go tuż przed jego nosem.

– Nie. Pogrywaj. Ze. Mną! – Przez chwilę patrzyła mu groźnie w oczy, po czym wróciła do poszukiwań.

– Słuchaj, to nie moja wina, że ci się wymknął...

Miarka się przebrała.

Odwróciła się do niego z furią i zasłoniła mu usta dłonią.

– Trzymaj się z dala ode mnie! – ostrzegła go. Czując, że jego wargi zaczynają się ruszać pod jej palcami, napała mocniej, zupełnie jakby zaciągała ciaśniej kaganiec na psim pysku. – Mówię serio!

Wargi znów się poruszyły, jednak nieznajomy nie patrzył na nią – machał ręką,

chcąc jej coś pokazać.

– Mmphrr! – wykrztusił, a gdy podążyła za jego wzrokiem, zobaczyła Moregiego, który właśnie załapywał się na kolejną jazdę na gapę. Nie odrywając dłoni od ust nieznanego natręta, mruknęła:

– Może jednak do czegoś się nadajesz... – A potem odepchnęła go, wybiła się z grzbietu jednego z kamiennych narglatchów i skoczyła na siodełko pozostawionego na jałowym biegu skutera. Rodiański kierowca zaczął coś mówić, ale Ventress uciszyła jego protesty, skopując go z siodełka. Gdy zsunął się na chodnik, przejęła stery, puszczając się w pogoń za ofiarą.

Szybko zmniejszyła dystans dzielący ją od Moregiego. Nim jednak jej cel zdołał przeskoczyć na kolejny pojazd, podniosła się lekko na siodełku i pochyliła dziób maszyny. Nawet w ruchu nie mogła chybić.

Moregi zaskoczył ją jednak – nie zamierzał uciekać. Zamiast tego skoczył wprost na nią, przygniatając do siodełka rozpędzonego pojazdu i próbując ją udusić. W ułamku sekundy stoczyli się ze skradzionego skutera na dach przelatującego obok śmigacza. Ventress stęknęła z wysiłku i napała piersią na zaskakująco ciężkiego Volpaia. Spróbowała go z siebie zepchnąć, ale wyszarpnął broń z jej dłoni i odrzucił ją na bok.

Żarty się skończyły. Łuk, z którego zamierzała do niego strzelić, był darem od Sióstr Nocy – jej nieodżałowanej rodziny. Z gardłowym pomrukiem sięgnęła po Moc, by spotęgować swoją skuteczność, a potem wyślizgnęła się z uścisku napastnika i przewinęła na górę, przyszpilając go do dachu. Unieruchomiła co prawda dwoje silnych ramion, lecz Volpai nie próżnował: zrobił dobry użytek z drugiej pary rąk oraz z nóg, wierzgając nimi zaciekle, dopóki nie trafił, niemal zrzucając ją wprost na nieszczęsnego pantorańskiego kierowcę. Nie dała jednak za wygraną. Nowy kopniak wyparł jej dech z piersi, ale odtoczyła się na bok. Dwoje ramion Moregiego uderzyło w jej klatkę piersiową i jedynie dzięki Mocy zdołała się w porę uchylić, żeby nie oberwać mocniej. Zerwała się na równe nogi, zadała cios, ale nawet wsparcie Mocy nie dawało jej wystarczającej przewagi nad kimś, kogo natura wyposażyła w cztery pięści. Starając się uniknąć kolejnego ciosu, sięgnęła do ramienia Volpaia, żeby pozbawić go równowagi... i sama ją straciła, gdy jedna z pięści uderzyła ją w szczękę. Spróbowała odzyskać pion, chwytając się jego ramienia... I w tej samej chwili element zbroi Volpaia ustąpił pod jej palcami, a ona całkiem straciła równowagę i zaczęła spadać.

Owionął ją pęd powietrza. Chociaż w głowie kręciło jej się od ciosu Moregiego, sięgnęła po Moc, by złagodzić upadek... i poczuła na ramieniu silny, pewny chwyt.

Zawieszona zaledwie parę metrów nad chodnikiem, podchwyciła spojrzenie Palanta, zwisającego ze śmigacza parę metrów nad nią. Płynnie sprowadził maszynę nad chodnik, opuszczając Asajj bezpiecznie na ziemię, a potem sam wysiadł.

Podniosła dłoń do ust i poruszała ostrożnie szczęką. Nie była złamana, ale bolała jak diabli.

– Zawsze cię jakoś dorwie tą czwartą łapą – mruknęła pod nosem i łypnęła na Palanta, czekając na jakiś dowcipny komentarz.

Zamiast jej dociąć, zasznurował tylko wargi i pokręcił głową.

– Złapałibyśmy go, gdybyś pozwoliła sobie pomóc.

Skrzywiła się i natychmiast tego pożałowała – szczęka zabolęła jeszcze mocniej.

– Mówiłam ci, że nie potrzebuję twojej pomocy!

– Cóż – bąknął, sięgając za plecy. – Odniosłem przeciwne wrażenie. – Gdy wyciągnął rękę przed siebie, trzymał w niej jej łuk. Ventress zerknęła na broń, a potem z powrotem na nieznanego, i wyrwała mu z palców swoją własność.

– Mam być ci wdzięczna, że się wtrąciłeś? – warknęła. – Przez ciebie gość mi zwiął!

– Hej, to nie ja pozwoliłem mu uciec!

Ventress podeszła do niego, zimna, wyrachowana.

– Lepiej się zamknij. Natychmiast – wycodziła. Na widok jej rozwścieczonej miny Palant zaczął się cofać. – Inaczej przysięgam, że wkopię cię z powrotem do tej nory, z której wypełzłeś. – Pchnęła go mocno w pierś, odsuwając z drogi.

Gdy szła, czuła na sobie jego wzrok, ale nie obchodziło jej to. Niech się gapi, ile wlezie. Jej plecy były wszystkim, co będzie mu kiedykolwiek dane oglądać.

Jej ofiara uciekła, a ona sama była zmęczona, bolała ją szczęka i miała serdecznie dość użerania się z chyba najbardziej denerwującym człowiekiem w galaktyce.

Musiła się napić.

Rozdział szósty

Vos przywykł już do tego, że wszyscy w kółko powtarzali mu, że nie wie, kiedy przestać. Nie mieli jednak racji. Wiedział, kiedy przystopować. Teraz na przykład była na to idealna pora. Przynajmniej chwilowo. Utaił jej ten zadarty nos dość mocno, wiedział jednak, że nie może przeginać. Da jej nieco czasu, żeby ochłonęła, i znów spróbuje.

Musiał jednak przyznać, że był trochę bardziej niż odrobinę zbity z tropu. Podobała mu się postać, którą stworzył na potrzeby tej misji – przebojowa i błyskotliwa, silna i kokieteryjna... No dobrze, w zasadzie wcielając się w nią, w dużej mierze był samym sobą. No, może poza tą kokieteryjnością.

Co jednak miał robić? Ventress – chociaż groźna, nawet on musiał to przyznać – była atrakcyjną kobietą. Szczupła, ale silna, o lodowato zimnych oczach i... cóż – wielu innych ciekawych atrybutach, które trudno było przeoczyć. Oczywiście, zwracała na siebie uwagę i bez wątpienia przywykła do tego, lecz nawet Kenobi ostrzegł go, by nie posuwał się za daleko. I tak już zbyt kusił los, próbując się z nią sprzymierzyć – teraz widział to wyraźnie.

Ruszył za nią. Nie miał najmniejszego problemu z jej śledzeniem, pilnując jednocześnie, by go nie zauważyła. Tę sztukę opanował do perfekcji już dawno. Cóż, przynajmniej ten jeden element operacji był dla niego oczywisty. Nie miała śmigacza – szła pieszo, więc nie musiał korzystać z Mocy, by przekonać kogoś, że pilnie potrzebuje rozstać się ze swoim pojazdem ani kraść drugiej maszyny.

Zaburczało mu w brzuchu. Pościg za zwinnym Moregim zaostriżył mu apetyt. Zafundował sobie kanapkę z miejscowymi pieczonymi warzywami i zjadł ją, śledząc swój cel. Raz czy dwa wydawało mu się, że go zauważyła, i musiał nurkować w bramę albo chować się za przechodniem o dużych gabarytach. A gdy skończył posiłek, żałując, że nie pomyślał o czymś do popicia, Ventress zbliżała się właśnie do baru.

– Idealnie – mruknął i uśmiechnął się pod nosem. Półgodzinna przechadzka powinna wystarczająco ostudzić jej gniew – może nawet nieco ją odprężyć.

Zajął stołek obok niej i rzucił na bar kredyta. Gdy odwróciła się do niego, pomyślał, że przerażenie na jej twarzy mogłoby być komiczne – gdyby nie było tak prawdziwe.

– Czy człowiek nie może mieć chwili spokoju?! – jęknęła, wyrzucając ramiona w górę, a potem ukrywając twarz w dłoniach.

– Po co ci spokój? – spytał niewinnie. – Wydawało mi się, że nie możesz usiedzieć na miejscu i chcesz dorwać tego Volpaia. – Wskazał na dzbanek... dziwnej cieczy w ręku barmana.

– Miałam Volpaia. Dopóki nie poczujesz potrzeby zademonstrowania mi na nim blokady – przypomniała mu. – Twoja głupota kosztowała mnie dwadzieścia pięć tysięcy kredytów.

Vos kiwnięciem podziękował kelnerowi za drinka.

– Gdybyśmy współpracowali, teraz dzielilibyśmy się nagrodą – stwierdził.

– Tak się składa – wycedziła niskim, ociekającym jadem głosem – że pamiętam, jak cię ostrzegałam, że ofiara jest moja, że nie potrzebuję twojej pomocy i żebyś trzymał się z dala!

– Zabawne, bo ja pamiętam, że wspominałaś, że do czegoś się nadaję.

– Poza tym – ciągnęła, ignorując jego uwagę – powiedziałam ci też, że nie jestem twoją partnerką i że pracuję sama.

Vos pomyślał, że sam jad, którym były nasycone jej słowa, wystarczyłyby do odstraszania przeciętnego człowieka. Na szczęście on nie był przeciętny.

– Wcale nie musi tak być.

Asajj otworzyła usta... I właśnie w tym momencie światełko na jego prawym naramienniku zaczęło migotać. „Beznadziejne wyczucie czasu, Kenobi – pomyślał smętnie, jednak za chwilę poprawił się: – A może raczej idealne?”. Podniósł palec i poprosił:

– Zaczekaj chwilę z tym, co chcesz mi powiedzieć. Jestem pewien, że to coś błyskotliwego. Zaraz wracam.

Wydawała się rozczarowana – nie tym, że chciał ją opuścić, tylko faktem, że nie mogła mu dołożyć do pieca. Westchnęła więc tylko i zadowolila się stwierdzeniem:

– Mam to gdzieś.

Jeśli rzeczywiście jej nie obchodził, i tak nie wyjdzie – a jeżeli spróbuje się wymknąć, będzie ją śledził. Kiwnął głową i wyszedł na ruchliwą ulicę. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, aktywował holoprojektor.

Mały, niebieski Obi-Wan Kenobi uśmiechnął się do niego.

– Muszę przyznać, że czuję ulgę, widząc cię wciąż wśród żywych – powiedział

na powitanie. – Jakież postępy?

Hm, jak miał odpowiedzieć na to pytanie?

– Jest dokładnie taka, jaką ją opisywałeś... – stwierdził. – ...i nie tylko.

Kenobi sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

– Ach, a więc zdobyłeś jej zaufanie? Jest skłonna do współpracy?

Vos rozważał przez chwilę jego słowa, analizując wydarzenia z ostatniej godziny.

– Powiedziałbym, że nie tyle skłonna, ile... łaskawie toleruje moją obecność.

– Cóż, jakoś nie jestem zaskoczony. Nikt nie spodziewał się, że to będzie łatwa misja. Lepsze to niż nic.

– Rani mnie twój brak wiary we mnie – stwierdził lekko urażony Quinlan. – Zobaczysz, ani się spostrzeżesz, jak będzie mi ją dła z ręki.

– Dzięki Mocy wszystko jest możliwe – ocenił Kenobi. – Wszystko, oprócz tego.

– No dobra, może trochę przesadziłem.

Obi-Wan przybrał ten swój lekko zboląły wyraz twarzy, typowy dla chwil, w których Anakin palnął coś kontrowersyjnego i ekscytującego jednocześnie.

– Jestem pewien, że to dla ciebie błahostka – powiedział. – Informuj mnie i Radę na bieżąco.

– Tak zrobię.

– I niech Moc będzie z tobą. Będziesz jej potrzebował.

Chociaż hologram mierzył zaledwie parę centymetrów, Vos dostrzegł wyraźnie błysk w oku Kenobiego. Mimo powagi misji Obi-Wan wyraźnie czerpał satysfakcję z jego mitręgi.

– Ha, ha. – Vos wyłączył holoprojektor i schował go do kieszeni. Obi-Wan nie powiedział tego co prawda wprost, jednak Quinlan wiedział, co chciał mu dać do zrozumienia: musi szybko zaskarbić sobie przychyłność Ventress.

Gdy wrócił do baru, wciąż tam była. Obdarzyła go przelotnym spojrzeniem, a potem znów wbiła wzrok w zielony metalowy przedmiot leżący przed nią na barze.

– Wiesz, co jest zabawne? – zagadnął ją, jakby nigdy nic. – Że nawet nie znam imienia kobiety, która tak mi zalazła za skórę.

Po jej pełnych wargach przemknął cień uśmiechu.

– Tylko za skórę?

Gdy wzruszył ramionami, po raz pierwszy szczerze się uśmiechnęła.

– Przynajmniej na razie.

Wytrzymała jego wzrok – tym razem lodowato zimne oczy przypatrywały mu się jednak nie z gniewem i rozdrażnieniem, tylko taksująco. Vos wychował się w murach Świątyni Jedi. W młodości był bezustannie poddawany testom, kontrolowany i krytykowany – i wiedział, że za każdym razem, kiedy stawał przed Radą Jedi, oceniano jego przydatność do wypełnienia misji, którą zamierzano mu powierzyć. Proces ewaluacji nie był dla niego niczym nowym, ale teraz czuł się... inaczej.

Kenobi powiedział mu, że Ventress nie trawi głupców, jednak Quinlan wiedział, że od ich pierwszego spotkania zachowuje się jak jeden z nich. Dotarło do niego, że nadszedł ten moment, który zadecyduje o powodzeniu lub porażce jego misji. Obi-Wan ostrzegął go także przed próbą wpływania w jakikolwiek sposób na Ventress Mocą. „Jest bardzo uparta i ma we władaniu Mocą doświadczenie większe niż wielu Jedi” – powiedział.

Vos odprężył się, nie przejmując się zbytnio jej natarczywością. Zaczynał darzyć Asajj Ventress szacunkiem – udowodniła mu, że jest dobra w tym, co robi, a on powiedział jej już, że załaziła mu za skórę. To były prawdziwe, szczerze uczucia – i nie wstydził się ich. Teraz rzucił kością i pozostało mu obserwować, co wypadnie. Spokojnie odwzajemnił jej spojrzenie i czekał.

– Ventress – powiedziała wreszcie.

– Vos. – Znów wyciągnął do niej rękę. Tym razem nie odtrąciła jej. Pierwszy raz dotknęła go niepowodowana wściekłością czy poirytowaniem.

Wskazał zielony przedmiot, któremu się przyglądała.

– Co to?

Skrzywiła się i upiła łyk ze szklanki.

– To? Zerwałam z Volpaia.

Strzał w dziesiątkę!

– Mogę zobaczyć?

Przypatrywała mu się przez chwilę z lekkim zdziwieniem, ale w końcu wzruszyła ramionami.

– Śmiało. Nic mi po tym.

Dbając o pozory i zachowując na twarzy wyraz lekkiego zaskoczenia, Vos ujął kawałek metalu w dłoń i sięgnął ku niemu poprzez Moc. Nie obawiał się, że zdradzi się przed Ventress. Jego psychometryczne zdolności były tak idealnie

zestrojone z Mocą, że nikt, nawet inni mistrzowie Jedi, nie był w stanie wyczuć, kiedy ich używał. Barowe wnętrza, wypełnione muzyką, rozmowami i brzękiem szklanek, nagle stało się dziwnie odległe i zamglone. Vos czuł się, jakby spadał w głąb jamy, jednak uczucie było znajome i krzepiące. Pojawiły się obrazy: szaroskóra Rodianka z błękitnoskórym malcem, podskakującym radośnie na kolanach matki, ściskającym w rączce pluszową zabawkę. Zagaworzył, gdy do jego policzka zbliżyła się dłoń i pogładziła go czule. W polu widzenia Vosa pojawiła się znajoma twarz: twarz Moregiego. Mignęła mu tylko na chwilę, jednak to wystarczyło – gesty Volpaia były pełne uczucia, a rysy łagodne. Oprócz obrazów i dźwięków Vos odbierał czasem także emocje – i tym razem jego serce wypełniła nagle miłość Moregiego do matki i dziecka.

Szybko odciął się mentalnie od uczuć Volpaia i cofnął obraz, tak by móc zobaczyć scenę w szerszej perspektywie. Skupił się na szczegółach, pobieżnie zapisując je w pamięci: wąskie, rozszerzające się ku dołowi okno z kwitnącymi roślinami w doniczkach i niebiesko-żółte zasłony, zielono-fioletowe mazaje na murze za oknem, wypisane w nieznanym języku...

Wizja poblakła, powróciły obrazy i dźwięki baru – minęło zaledwie parę sekund. Vos oddał Ventress (wcale nie tak bezużyteczny, jak mogłoby się zdawać) element pancerza Volpaia, spokojny, pewny siebie.

– Wątpię, żeby Moregi odleciał z planety – oświadczył. – Chyba wiem, gdzie go szukać. – Przyjrzała mu się bez przekonania. – Serio – zapewnił ją.

– Niby skąd?

– Mam pewien trop.

– Nie mogłeś powiedzieć wcześniej?

– Cóż – stwierdził – podobnymi informacjami dzielę się tylko z partnerami.

– Rozumiem.

Wstał.

– Idziesz?

Ponownie taksujący wzrok, jednak chwilę później Asajj Ventress cisnęła na bar garść kredytów, wstała i ruszyła za nim.

– Ten trop nie jest chyba zbyt dobry – mruknęła Ventress jakieś pół godziny później, kiedy znów stali na jednym z dachów. – Mam wrażenie, że kręcimy się po prostu w kółko.

Vos zmarszczył czoło. Jego dar był cenny, ale daleki od ideału. Nie miał wpływu na to, co mu się objawiało – chociaż wizje oferowały mu pewne pole manewru. Jasne, byłoby miło, gdyby Moc podała mu od razu adres, jednak ukazała mu tylko migawkę z okolicy, obraz, który mógł wykorzystać. Oczywiście nie mógł powiedzieć tego Ventress.

– Po prostu... staram się wybrać właściwe miejsce – powiedział z całym przekonaniem, na jakie było go stać. Przywołał ponownie w pamięci szczegóły sceny i skupił się na poszukiwaniu...

...graffiti w kolorach fioletu i zieleni.

– To chyba to. – Wskazał okno na jednym z wyższych pięter wąskiego budynku, o niebiesko-żółtych zasłonach.

– Przekonajmy się. – Ventress podniosła łuk do strzału. Ciężka i promień załśniły na różowo. Gdy wypaliła, Vos zorientował się, że są z plazmy, podobnie jak lina, którą przeciągnęła między budynkami.

– Przydatny sprzęt – zauważył.

– Owszem – zgodziła się – całkiem poręczny. – Umieściła łuk nad liną, złapała go za oba końce i ześliznęła się po niej bez słowa. Vos przyglądał się jej z lekkim rozdrażnieniem. Sam musiał zejść w klasyczny sposób, bez użycia Mocy, żeby jej nie zaalarmować. Ventress zaczęła na niego na dole, zniecierpliwiona.

Otworzyli przyciskiem główne drzwi i wjechali rozklekotaną windą na czwarte piętro. Gdy zbliżali się do drzwi mieszkania, Vos zachowywał się niczym wzorowy, pewny siebie łowca nagród – tak, jak powinien: wysunął się przed Ventress i załomotał do drzwi.

– Otwierać! – krzyknął. Cisza. Wyczuwał po drugiej stronie kilka form życia – Ventress bez wątpienia także. – Powiedziałem „otwierać”! – powtórzył.

Zero reakcji. Sekundy mijały. Udając niepewność, Vos machnął na Ventress ręką.

– Ee... ty, otwórz.

Była uczennica Sitha przewróciła oczami i wystrzeliła energetyczny ładunek z łuku w panel kontrolny, który zaskwierczał, zaiskrzył – i drzwi się rozsunęły.

Rozdział siódmy

Vos wiedział, kogo ujrzy, i był przygotowany do ataku, jednak Ventress była szybsza: z głuchym pomrukiem rzuciła się naprzód i kopnęła Moregiego w pierś. Zaskoczony Volpai zatoczył się w tył, ale nie rzucił się do ucieczki. Zamiast tego wysunął się przed dwójkę Rodian, których Vos widział w swojej wizji – matkę i dziecko – i rozrzucił szeroko czworo ramion w obronnym geście.

– Nie róbcie im krzywdy!

Wystraszone dziecko krzyknęło, a matka przycisnęła je do siebie. Gdy tak wpatrywała się to w Vosa, to w Ventress swoimi wielkimi, otwartymi szeroko ze strachu oczami, Quinlana ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Nic nie zrobiłem! – krzyknął Moregi.

Z tego, co Vos wiedział, malwersacja była w większości środowisk uznawana za coś złego – jednak wszyscy zawsze upierali się, że są niewinni. W konfrontacji zawsze deklarowali niewinność.

– Nie obchodzi mnie to – syknęła Ventress, celując z łuku w szeroką pierś Moregiego. Vos także wycelowwał w niego swój blaster. – Klan Rang wyznaczył za twoją głowę nagrodę tak dużą, że mam szczęście, że znalazłam cię pierwsza – ciągnęła Asajj.

– Znaleźliśmy – poprawił ją Vos. – My. – Po czym dodał: – Razem.

Ventress przymknęła na moment oczy. Na szczęście Moregi był zbyt rozkojarzony, by to wykorzystać.

– Jeśli to na pieniądzech ci zależy, mam ich pod dostatkiem!

Punkt programu numer dwa: po zapewnieniach o niewinności przychodzi pora na próbę przekupstwa.

– Wiem – powiedziała Ventress. – Jednak płacą za ciebie dość dobrze, byśmy dopilnowali, że te pieniądze wrócą do prawowitego właściciela. – Nie zaakcentowała specjalnie tego „my”, jednak Vos aż się rozpromienił.

– Dziękuję.

– To nie ja jestem tym złym! – upierał się tymczasem Moregi. – Nie rozumiecie? Staram się tylko zapewnić godziwe warunki mojej rodzinie! Mojemu dziecku!

Słyszając jego słowa, Vos skrzywił się w duchu. Mały nie był biologicznym dzieckiem Moregiego – wyglądał na czystej krwi Rodianina – jednak nie miało to

znaczenia. „Moja rodzina”. „Moje dziecko”. Jak każdy dobry partner i rodzic, Moregi chciał tylko tego, co najlepsze dla swoich bliskich. Nie mieszkali w pałacu – widać było, że ledwie wiążą koniec z końcem. Moregi desperacko chciał to zmienić – i Vos nie mógł mieć o to do niego pretensji. Nie każdemu dane było dorastać w Świątyni, otoczonemu opieką i troską, mając pod dostatkiem jedzenia i dach nad głową.

Quinlan miał przelotnie do czynienia z Klanem Rang i wiedział, że Moregi ma rację – nawet jeśli Volpai przywłaszczył sobie cudze pieniądze, to nie on był tym złym.

– Rozczulające. – Znudzony głos Ventress brzmiał w uszach Vosa jeszcze zimniej niż zwykle. – Obawiam się jednak, że nie mogę ci pomóc.

Szybko, by zapobiec przerodzeniu się spotkania w szarpaninę w ciasnym pomieszczeniu, Vos nieco opuścił lufę blastera i wyciągnął wolną rękę do Moregiego.

– Idziesz z nami.

Volpai rzucił się na niego. Jedną ręką wytrącił Vosowi blaster, drugą rąbnął go z całej siły w szczękę, a dwiema pozostałymi pchnął go mocno.

– Uch! – Quinlan zatoczył się w tył, niemal ścinając przy tym Ventress z nóg. W ostatniej chwili zwinnie uskoczyła w bok.

Moregi tymczasem obejrzał się na swoją żonę. Oczy miał pełne udręki. Rodianka otoczyła dziecko ramionami.

– Uciekaj! – załkała. – Uciekaj. – Chociaż nie dodała nic więcej, nie musiała: w jej głosie słychać było wyraźnie: „Kocham cię”.

I Moregi posłuchał, bez wahania wyskakując przez łukowato sklepione okno. Vos podbiegł do strzaskanej ramy – w samą porę, by zobaczyć, jak Moregi wstaje, otrząsa się i czmycha.

– Miałaś rację z tą czwartą ręką – wymamrotał, rozcierając szczękę.

– Ty palancie! – Ventress zaciskała pięści i Quinlan przygotował się na kolejny cios. Jednak Asajj nie zamierzała tracić na niego czasu. Wskoczyła po prostu przez okno w ślad za Moregim i puściła się za nim w pościg.

Volpai tymczasem wskakiwał już za stery czerwonego repulsorowego śmigacza. Sęk w tym, że popędził w nim w złą stronę. Gdy podniósł wzrok, zobaczył biegnącą wprost na niego Ventress. Gorączkowo manipulując kontrolkami, obejrzał się przez ramię i wycofał maszynę w głąb uliczki. Asajj była blisko, coraz

bliżej.

Vos dołączył do swojej przyszłej – jak miał nadzieję – partnerki, wyskakując przez okno i korzystając z Moc, by wylądować miękko na ziemi. Rozejrzał się pospiesznie dookoła, spostrzegł bezpieczny skuter repulsorowy o długich rączkach i nisko umieszczonym siodełku otoczonym jednostkami napędu – i pożyczył go sobie. Dopędził biegnącą Ventress w chwili, gdy Moregi zawrócił śmigaczem i ruszył przed siebie. Asajj zwolniła i przystanęła właśnie, spowita szarymi kłębamii spalin. Zacisnęła dłoń w pięść, potrząsnęła nią i warknęła gardłowo, sfrustrowana.

– Dokąd, partnerko? – spytał z uśmiechem Vos, zatrzymując się obok niej.

Łypnęła na niego gniewnie i westchnęła ciężko, ale wskoczyła na skuter.

Vos czuł poprzez Moc, że miała serdecznie dość – skończyła jej się cierpliwość do Moregiego. Emanowała od niej falami zimna, przerażająca determinacja – w tym momencie cieszył się, że to nie on jest jej celem. Przemknął skuterem – zaskakująco sterownym – pod śmigaczem, a potem wynurzył się przed jego dziobem. Moregi aż się zatchnął, a Ventress zeskoczyła zwinnie z siodełka, wyginając szczupłe ciało w idealny łuk. Gdy jej ręce uderzyły w pierś Moregiego i złapały go za ubranie, wyglądała osobliwie zachwycająco. Impet sprawił, że oboje stoczyli się z pojazdu i wylądowali na chodniku.

Moregi zerwał się natychmiast na równe nogi i spróbował podjąć ucieczkę, jednak Vos czekał w pogotowiu, blokując mu drogę. Volpai z cichym jękiem spojrzał na triumfującą Asajj, dzierżącą w prawej dłoni miecz świetlny o złotym ostrzu.

– Ręce do góry – warknęła. – Wszystkie cztery.

Niczym zapędzone w kąt zwierzę, Moregi spróbował mimo wszystko uciec. Odwrócił się... i nadział prosto na pięść Vosa. Siła ciosu obróciła go dookoła własnej osi i Volpai padł jak długi na ziemię. Gdy zaczął się zbierać, zamarł na widok wycelowanych w niego ostrza miecza świetlnego i lufy blastera, zawieszonych zaledwie parę centymetrów od jego twarzy.

– To koniec, Moregi. Jesteś nasz.

Volpai spojrzał na nich z tą samą udęconą miną co wcześniej. Spróbował ostatni raz:

– Proszę... Moja rodzina mnie potrzebuje. Dam wam trzy razy tyle, ile wam płacą.

– Powiedziałaś ci już, że to nie działa w ten sposób – wycedziła Ventress i zmrużyła lodowato błękitne oczy. – A poza tym zmarnowałam zbyt dużo czasu, uganiając się za tobą po mieście. Nawet trzykrotna stawka by mi tego nie powetowała.

– Nam – poprawił ją Vos. – Ruszajmy.

– Nie chciałbym psuć atmosfery po tym spektakularnym pościgu, ale może omówimy kwestię honorarium? – Vos opierał się o burtę statku Ventress, „Banshee”, przyglądając się, jak jego właścicielka schodzi po trapie. Kiedy poinformowała go, jak nazwała swój środek transportu, z rozbawieniem skonstatował, że najprawdopodobniej słyszała, że właśnie tak mówią o niej w niektórych kręgach – i postanowiła to wykorzystać. Statek był płaską jednostką pościgową w kształcie dysku. Miał dwa potężne silniki, jednak tępo zakończony dziób i imponujący arsenał broni nie przydawały mu zbyt urody. Na jego górnej części znajdowało się potrójne działko blasterowe, sterownia zaś była wyposażona w dwa blastery przeciwpiechotne i dwa ciężkie działa laserowe. „Banshee” służyła do dwóch celów: brutalnych ataków i szybkich ucieczek. To jej wystarczało.

Moregi nie stawiał już oporu – obecnie siedział w pokładowym areszcie, spętany i załamany. Ventress mogła po prostu podnieść trap i odlecieć, jednak zamiast tego stała tu i przyglądała się Vosowi, który mówił:

– Rozumiem, że dzielimy się pół na pół? – Błysnął zębami w jednym ze swoich firmowych uśmiechów. – W końcu niezły z nas zespół.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się z namysłem. Był całkiem atrakcyjny, ale znała wielu przystojnych mężczyzn. Był silny i szybki... jednak mógłby być silniejszy i szybszy. Potrafił być zabawny – co było dość rzadkie – i przypuszczała, że jest inteligentniejszy, niż początkowo zakładała. I nie zniechęcał się łatwo. A w fachu łowcy nagród to było bardzo, bardzo ważne.

Zamiast więc spróbować znów go spławić, wsparła ręce na biodrach i spytała bez ogródek:

– Dlaczego tak bardzo chcesz ze mną pracować? Potrzebujesz kogoś, kto będzie za tobą nosił bagaż?

Położył teatralnie dłoń na sercu i otworzył szeroko oczy.

– Ja? Żartujesz sobie? Sam dźwigam swoje graty.

Czekała.

– Cóż, musisz przyznać, że to sporo roboty jak na jedną osobę – stwierdził wreszcie. – Chyba nie zaprzeczysz?

Wciąż milczała. Odwrócił wzrok, a uśmiezek, który go dotąd nie opuszczał, nieco zbladł.

– Po prostu... Jestem już zmęczony graniem solo. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Niespodziewanie załała ją fala wspomnień. Przez większość życia miała kogoś bliskiego... kogo traciła w tragicznych okolicznościach. Najpierw jej mistrz, Ky Narec, potem Matka Talzin i jej siostry. Teraz wszyscy nie żyli, kochali ją – i zginęli.

Dooku jej nie kochał. Myślała, że darzy ją uczuciem – oczywiście nie jak kobietę czy nawet córkę – ale jako uczennicę. Kogoś, kto dobrze rokował, kogo chciał szkolić i kształtować. Jakże gorliwie się uczyła! Jak chętnie mu służyła i go słuchała! A on tak szybko postawił na niej krzyżyk. Znaczyła coś dla niego tylko dopóty, dopóki mógł ją wykorzystać. „Jest coś bardzo, ale to bardzo nie tak ze wszechświatem, w którym spośród wszystkich moich sojuszników i mentorów tylko Dooku przeżył, a reszta odeszła na zawsze” – pomyślała z goryczą.

Bolesna zaduma trwała jednak tylko przez chwilę. Ventress знаła swoje słabości i wiedziała, jak je pokonywać. Z takimi trudnościami musiała się często mierzyć w swojej solowej karierze łowcy nagród – najpierw podczas spotkania z Plumą Sodi, młodą Kageanką zabraną od rodziny i zmuszoną do małżeństwa wbrew własnej woli, a potem wielokrotnie, za każdym razem, kiedy rodzina ofiary zaczynała bruździć.

Powinna odprawić tego zabawnego palanta, który przed nią stał. Powinna trzymać się z dala od partnerów, unikać tworzenia więzi, zaufania.

A jednak usłyszała teraz własne słowa:

– W porządku. Wchodzę w to. Podzielimy zysk.

Wyniosła poza Vosa prysnęła jak bańka mydlana. Chociaż wcześniej widziała, jak wprawnie sobie radzi, teraz niemal osunął się po poszyciu kadłuba. Szybko się jednak opamiętał, musiała mu to przyznać.

– Mówisz serio?

Jego wyraźne zaskoczenie i entuzjazm sprawiły, że w jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko: „Uważaj na siebie!” – jednak było już za późno. Bez

cienia sympatii dodała więc:

– Pamiętaj tylko, że nie będę się na ciebie oglądać. – Dźgnęła go palcem w szeroką pierś. – Jeśli chcesz ze mną pracować, musisz się starać. To nie zabawa, tylko robota. Musisz się nauczyć biegać szybciej i walczyć skuteczniej. Żadnych głupich błędów. Żadnego tracenia ofiar z powodu durnej wielkoduszności. Nie będę tolerowała lenistwa ani głupoty. Czy to jasne?

Szybko zamaskował zaskoczenie. Błysk w oczach i szeroki uśmiech powrócił – w całej swojej krasie.

– Bezlitośnie skuteczna, jak zawsze. Przyda ci się jednak porządny partner.

– A tobie przydałby się porządny trening. – Wspięła się po trapie i zaczęła wchodzić po drabince.

Ruszył za nią.

– Sądzę, że wkrótce się do mnie przekonasz – stwierdził zarozumiale. Gdy obejrzała się na niego, spostrzegła, że bezwstydnie gapi się na jej pośladki.

– Nawet o tym nie myśl – ostudziła jego zapał. – Nie mieszam życia prywatnego z interesami.

– Nie wiesz, co tracisz.

– W takim razie zadowolę się błogą nieświadomością. A ty pozostaniesz przy życiu. Przynajmniej na razie. Jeśli chcesz otrzymać połowę honorarium, musisz wypełniać połowę obowiązków. Poza tym będziemy musieli brać dwa razy więcej zleceń. Do roboty!

– Się robi, partnerko!

Wspinając się szybko po drabince i prowadząc Vosa w głąb statku, złapała się na tym, że się uśmiecha.

Rozdział ósmy

Vos sądził, że Ventress tylko się z nim droczyła, każąc mu „biec szybciej”, „walczyć skuteczniej” i twierdząc, że potrzeba mu porządnego treningu, kiedy więc – zaledwie parę godzin po tym, jak zgodziła się z nim współpracować – wręczyła mu listę z czasami biegowymi do osiągnięcia i zaczęła nalegać na codzienny sparing... roześmiał się jej w twarz.

– Chyba sobie żartujesz – parsknął, odrzucając jej datapad. Złapała go i cisnęła w kąt.

– Rzadko żartuję.

Vos przyjrzał się jej uważniej.

– Wydawało mi się, że całkiem dobrze wypadłem podczas „rozmowy kwalifikacyjnej”?

– Owszem. I właśnie dlatego zgodziłam się wziąć cię ze sobą. Nim jednak będziesz gotów do współpracy, musisz się nauczyć kilku rzeczy.

Nie podobał mu się jej dobór słów, bo za bardzo ocierały się o prawdę. Celowo nie korzystał z Mocy w jej obecności, jednak trenował fizycznie od chwili, gdy zaczął chodzić. Czy Ventress starała się udowodnić mu swoją wyższość, jak ostrzegał go Kenobi? Czy może naprawdę nie dostrzegała, jaki jest dobry?

A może po prostu podejrzewała, że jest Jedi?

– Nie, dzięki – bąknął.

Skrzyżowała szczupłe ramiona na piersi.

– W porządku, zrobimy inaczej. Możemy odpuścić sobie dodatkowe treningi, jeśli zdołasz mnie pokonać.

Ups, to się nie skończy dobrze...

– Nie lubię bić kobiet.

– W takim razie każda kobieta, z którą będziesz walczył, wygra. Wróg to wróg, Vos, niezależnie od gabarytów, rasy czy płci.

Cóż, w tej sytuacji nie miał za bardzo wyjścia. Podczas gdy „Banshee” niosła ich przez nadprzestrzeń, udali się do ładowni. Vos rozgrzał się, wyciągnął szyję i zaczął zajmować pozycję, gdy Asajj skoczyła na niego. Zanurkował w prawo, chwytając ją za kostkę, lecz wywinęła się zwinnie. Niemal zdołał uchylić się przed kopniakiem wymierzonym w jego twarz, ale w porę przypomniał sobie, by

poruszać się nieco wolniej niż normalnie i nie korzystać z Mocy. Obrócił jednak głowę, wskutek czego jej noga uderzyła w jego policzek, nie nos. Zatoczył się przesadnie, ale stęknienia z bólu nie musiał udawać.

Ventress pozwoliła mu złapać oddech i zatoczyli koło.

– Szybko zareagowałeś, chwytając mnie za nogę – przyznała niechętnie. Quinlan skrzywił się w duchu: „A więc zauważyła...”. Cóż, Kenobi uprzedzał go, że jest bystra.

Uśmiechnął się pod nosem, starając się wyglądać na kogoś, kto pokłada zbyt dużą wiarę we własne zdolności.

– Widzisz? Jestem od ciebie le... – Zablokował błyskawicznie zadany cios, ale powstrzymał się od kontrataku. Wyglądało na to, że będzie trudniej, niż się spodziewał. Jak mocno mógł ją uderzyć? Czy naprawdę powinien spróbować ją znokautować? Gdy tak się nad tym zastanawiał, szykując do zadania kolejnego ciosu, Ventress złapała go za drugą rękę i szarpnęła. Postanowił położyć kres tej farsie – nie stawiał oporu, gdy Ventress powaliła go na łopatki. Musiał jednak przyznać, że nie było tak strasznie, jak się obawiał: Asajj lekko złagodziła uderzenie Mocą – coś, czego zwykły przeciwnik nawet by nie zauważył.

Wylądował na twardej metalowej podłodze, przygnieciony do niej jej kolanem. Asajj przewróciła oczami, wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać.

– Chyba jednak skorzystam z tego dodatkowego treningu – mruknął Vos, rozmasowując szyję.

– Poradziłeś sobie lepiej, niż się spodziewałam – odparła. Podniosła datapad z rozpiską ćwiczeń i rzuciła mu ponownie. – Ale stać cię na więcej.

I tak oto Quinlan Vos, mistrz Jedi, znów przechodził szkolenie. Po pierwszych paru sesjach uznał, że rzeczywiście mu się ono przyda. Ventress nie tylko walczyła nieczysto i bezlitośnie, lecz była w tym świetna. Podczas ich pierwszych łowów miał okazję sporo zobaczyć, ale okazało się, że to dopiero przedsmak. Czego jednak się spodziewał po kimś, kto szkolił się pod okiem samego hrabiego Dooku? Wcześniej zastanawiał się, dlaczego ani Kenobiemu, zaprawionemu w bojach, ani równie skutecznemu, choć może nieco nierozważnemu Anakinowi, nie udało się jej pokonać. Teraz już rozumiał.

Skrętnie wykorzystywał zagrania, których nauczyła go podczas kilku kolejnych polowań, by pokazać jej, jak wiele się „nauczył”. Zlecenia nie były specjalnie

ciekawe. Standard: jeden obślizgły zbrodniarz wyznaczał nagrodę za głowę drugiego. Mimo to Vos zauważył, że polowanie u boku Ventress i prezentowanie jej umiejętności, które „przyswoił” pod jej okiem, sprawiało mu dużą frajdę.

Tylko raz mało brakowało, a zdemaskowałby się: ścigali właśnie jedną z ofiar pośród mrocznych, niebezpiecznych i bardzo brudnych uliczek tysiąc trzysta trzynastego poziomu Coruscant, kiedy wpadli w zasadzkę. A przynajmniej tak utrzymywała Ventress. Jeśli chodzi o Vosa, to zastanawiał się, czy po prostu tego wieczoru niektórym mieszkańcom okolicy się nie nudziło.

Nie żeby napastnicy byli jakoś specjalnie biegli w walce – mieli po prostu przewagę liczebną, i to imponującą. Vos i Ventress musieli się nieźle napracować. Jedi w pewnej chwili zauważył, że Weequay o pobrużdżonej skórze, o którym Asajj myślała, że go unieszkodliwiła, ocknął się i celuje do niej z blastera.

Quinlan nie miał wyboru – użył Mocy, by wyrwać mu broń z ręki, jednocześnie skokiem pokonując dzielący ich dystans. Kiedy Ventress się obróciła, Vos był dość blisko atakującego, żeby móc twierdzić, że wytrącił mu broń kopniakiem. Jego partnerka przyjrzała mu się nieufnie, jednak tym razem upewniła się, że Weequay nie żyje – i nie drażyła już tematu.

Od tamtej pory odwdzięczyła się Vosowi za przysługę więcej niż raz.

Wykonywał właśnie naprzemiennie pompki w staniu na rękach i balansowanie w staniu jednorącz (bez użycia Mocy), kiedy usłyszał, jak trap statku opada.

– Hej! Masz coś dla nas? – zawołał, nie przerywając ćwiczeń.

W jego polu widzenia pojawiła się odwrócona postać Ventress, przyglądającej mu się krytycznie.

– Całkiem możliwe – rzuciła i dodała: – Spróbujmy tego z nieco większym obciążeniem. – Złapała go za stopy i przeniosła ciężar ciała na dłonie, uginając przy tym kolana i pochylając się lekko w przód. Vos stęknął, a nogi zaczęły mu drżeć. – Och, daj spokój, przecież nie ważę aż tak wiele. Nie przerywaj sobie.

– Uch – jęknął, ale posłuchał, nie sięgając po Moc.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, niesforne kosmyki jasnych włosów przesłoniły jej oczy.

– Będziemy pracować z piratami – poinformowała go.

– Z piratami? – stęknął, wykonując kolejną pompkę. – Czy to rozsądne?

– Pracowałam z nimi już wcześniej. Oni... Ona ma własny kodeks honorowy i żadna siła w galaktyce ci nie pomoże, jeśli go naruszysz. – Ventress napała

mocniej na jego stopy. Gdyby mógł używać Mocy, mogłaby sama wykonywać na jego stopach pompki, a jemu nie robiłoby to różnicy, jednak teraz musiał polegać wyłącznie na sile mięśni. Gdy opadł ku ziemi, ramiona paliły go żywym ogniem.

– Ona?

– Nie powiesz mi chyba, że nigdy nie słyszałeś o Lassie Rhayme?

– Nie.

– Zakon Krwawej Kości?

– Ach, oni. Tak, słyszałem o nich. To załoga Rhayme?

– Zgadza się. Kieruje się bardzo... egalitarnymi zasadami. Została wybrana na przywódczynię w powszechnym głosowaniu i może zostać w każdej chwili odwołana z tego stanowiska – na razie jednak nikt nie starał się jej pozbyć i nie zanoszą się na to, żeby próbował. – Mówiąc to, Ventress wsparła się na jego stopach prawie całym ciężarem ciała. Vos niemal się zakrztusił. – No co jest? – parsknęła, ale zwołała nacisk. Na chwilę. – Dzieli dole po równo – podjęła. – Wśród jej załogi nie ma miejsca na oszustwa czy bójki na pokładzie. Pójdą za nią wszędzie.

– Zakładam, że dezercja nie wchodzi w grę?

– Wręcz przeciwnie – poinformowała go. – Każdy może odejść, kiedy mu się żywnie podoba, jednak wszyscy wiedzą, na czym lepiej wyjdą. Nasza ofiara... Powiedzmy, że zepsuła atmosferę. – Ponownie zwiększyła nacisk na jego stopy.

– Czyżby? Uch... Ventress?

– Jej pierwszy oficer... i partner życiowy zbiegł trzy dni temu z ostatnim celem Rhayme.

– Łupem?

– Łupem i dziedziczką, której zamierzali go odebrać.

– Rozumiem. Ventress...

– Kapitan Rhayme wzięła to bardzo do siebie. Do tego stopnia, że wyznaczyła za jego głowę niezwykle wysoką nagrodę. – Ventress wydawała się niepomna tego, że Vos lada chwila przewróci się pod zwiększonym ciężarem.

– Co się z nim... uch... stanie?

– Nawet ja wolałabym nie wiedzieć. Wyobraź sobie tylko pirackie poczucie sprawiedliwości w połączeniu z urazą porzuconej kochanki.

– Łapię. Ventress, naprawdę powinnaś...

Oduściła, jednak nie omieszkała wcześniej szarpnąć go za stopę. Vos opadł na ziemię, wydając zboląty jęk.

– Au!

– Nie marudź, tylko wyciśnij jeszcze parę.

– Po prostu lubisz się nade mną znęcać – stwierdził, próbując wstać.

– Nigdy nie obiecywałam ci, że będzie inaczej.

– Sądziłem, że stać cię na więcej – odparł i mrugnął. Przez długą, straszliwą chwilę nie odpowiadała i Quinlan zaczął się bać, że podejmie wyzwanie, jednak wreszcie przewróciła oczami.

– A skoro już o tym mowa... czas, byś zapoznał się z nową strategią. Nic trudnego. Ten były gach Rhayme to pies na baby. Więc go zwabimy.

Dobrą chwilę zajęło Vosowi zorientowanie się, co ma na myśli.

– Chcesz być... przynętą? – Gdy tylko to powiedział, dotarło do niego, że mogła to uznać za obelgę, czego oczywiście nie chciał. Na szczęście chyba się tym zbyt nie przejęła.

– Mam dwa scenariusze, które wykorzystuję przy takim podejściu – poinformowała go. – Subtelniejszy nazwałam „zalotnym mrugnięciem”. Jest idealne w bardziej skomplikowanej intrydze lub gdy konieczna jest dyskrecja. Drugie to „pójście na całość”, coś w rodzaju otwartej zachęty. Zawsze doskonale mi szło wcielanie ich w życie na własną rękę, jednak tym razem posiadanie partnera sporo ułatwi.

– Łapię.

Ventress zerknęła na niego z namysłem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

Prychnął.

– Pewnie, że mam! Ej, załóżę się, że świetnie sobie poradzę! – zapewnił ją z udawanym przekonaniem.

Po jej pełnych wargach przemknął cień uśmiechu.

– Tak sądzisz?

– Pewnie!

– W porządku, w takim razie zaryzykujemy.

„Ups!” – pomyślał Vos, czując przyływ paniki. Czym innym był niewinny flirt, a czym innym to, co proponowała Ventress.

– Najpierw zalotne mrugnięcie. – Ventress przestąpiła z nogi na nogę, przenosząc ciężar ciała na jedną stopę. Swobodnie przesunęła dłoń wzdłuż talii, po udzie, a potem zerknęła na Vosa spod szopy jasnych włosów. Uśmiechnęła się

uwodzicielsko, skinęła ledwie zauważalnie głową i mrugnęła niebieskim okiem.

– Teraz ty – zakomenderowała, porzucając uwodzicielską pozę, tak jak zrzuca się płaszcz. Znów stała przed nim Ventress, jaką znał.

– Poddaję się – westchnął, podnosząc ręce do góry. Czuł, że pieką go policzki, i pomyślał, że wolałby raczej odbyć sesję z droidem torturującym niż spróbować powtórzyć to, co właśnie z taką łatwością zademonstrowała. – Nie przebiję cię.

– Nie widziałeś jeszcze pójścia na całość!

– Nie muszę.

Roześmiała się i poklepała go poufale po policzku, uśmiechając się – ciepło, szczerze.

– Twoja cnota jest przy mnie bezpieczna. Twoje zażenowanie jest urocze, ale jestem pewna, że pokonasz ten strach.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc zamiast tego zapewnił:

– Jeśli sądzisz, że to konieczne, na pewno świetnie dasz sobie radę.

– Przy tym zleceniu? Bez dwóch zdań. Dobry łowca nagród korzysta ze wszystkich dostępnych środków, które uzna za stosowne. Czasem jest to miecz świetlny, czasem nokautujący cios, a czasem – zalotne mrugnięcie. Chodzi o to, aby schwytać cel sprawnie i terminowo, bez niepotrzebnych komplikacji. Zaufaj mi, w tym wypadku to idealna strategia.

Załatwili sprawę w ciągu piętnastu minut – Ventress nie musiała nawet „iść na całość”.

Gdy Ventress zajęła miejsce za pulpitem sterowniczym, z Vosem usadowionym za jej plecami, przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Misja zakończyła się pełnym sukcesem. Nagroda była suta, a wdzięczność Lassy Rhayme – nieoceniona. Vos na szczęście porzucił już tę swoją przesadną manierę i zaczął zachowywać się normalnie – okazał się kimś, kto mógł budzić prawdziwą sympatię. Cieszyła się, że ma w nim partnera – ani razu nie dał jej powodu, by pożałowała decyzji o współpracy.

Ich związek, tego typu partnerstwo, był w jej karierze czymś niezwykłym. Wcześniej zawsze pozostawała w stosunkach „pan i sługa”. Bywało – tak jak w czasie szkolenia pod okiem mistrza Jedi Ky Nareca czy hrabiego Dooku – że była sługą, uczennicą. Dawniej, w szczenięcych latach, była nawet niewolnicą. Kiedy Savage Opress, zabracki Brat Nocy, którego ukształtowała, użył mrocznych

mocy Sióstr Nocy, aby zniszczyć Dooku, była jego mentorką. Tamte wydarzenia odcisnęły na niej piętno dyscypliny i powagi.

Bardzo prawdopodobne, że Vos był z kolei najmniej poważną osobą, jaką spotkała w swoim życiu – zachowywał się niepoważnie nawet w chwilach, w których nie było miejsca na żarty. Rozśmieszał ją – a ona nie pamiętała, by śmiała się od czasów nauki pod skrzydłami Ky Nareca. W towarzystwie Vosa czuła jakąś dziwną swobodę, której nie dawała jej obecność nikogo innego – nawet Sióstr Nocy – i dotarło do niej, że podoba jej się to.

Wiedziała jednak, że to nie będzie trwało wiecznie. Każdy związek kiedyś się kończył. Mimo to uznała, że na razie pozwoli sobie się nim cieszyć.

– Hej! – zagadnął ją Vos. – Właśnie sobie coś uświadomiłem.

– Co znowu? – Ventress ustawiła kurs i wpisała współrzędne. Sekundę później gwiazdy zmieniły się w świetliste smugi i znaleźli się w niebiesko-białym korytarzu nadprzestrzennym.

– Dziś jest nasza rocznica!

Obejrzała się na niego przez ramię.

– Co takiego?

– Cóż, to znaczy, może nie rocznica – zaczął tłumaczyć – bo nie świętujemy upływu określonej miary czasu, ale... Właśnie wypełniliśmy z powodzeniem – ogromnym powodzeniem, powiedziałbym – naszą piątą wspólną misję. Dlatego... można powiedzieć, że to coś w rodzaju rocznicy. Jak można by to nazwać?

– Nie mam pojęcia i nie interesuje mnie to – prychnęła. – Musimy się przygotować do następnej misji. – Opadła na oparcie fotela i zabrała się do dzieła, wywołując na niewielki ekran aktualną listę poszukiwanych.

– Czy kiedykolwiek myślisz o czymś innym niż praca? – jęknął. – Czy kiedykolwiek bywasz wyluzowana?

– Mam pewne określenie na ludzi, którzy są wyluzowani.

– Och, czyżby? Jakie?

Zaznaczyła kliknięciem kilka rekordów.

– Martwi.

– Zabawna jesteś, wiesz?

– Wiem.

– Och, daj spokój! – poprosił. Wstał, podszedł do niej i wsparł się o jej fotel. – Twoja kumpela Rhayme dała nam butelkę starej whiskey Tevraki. Otwórzmy ją.

I tak nie mamy nic do roboty aż do jutra, a poza tym jesteśmy w nadprzestrzeni.

Ventress westchnęła.

– Często się, jeśli masz ochotę.

– O, nie. Jesteśmy partnerami. Dzielimy się po równo.

– Zapomniałam już, jaki z ciebie uparciuch – stwierdziła, wstając. –
W porządku.

Na pokładzie „Banshee” nie było zbyt dużo wolnego miejsca – jedynie dwie niewielkie kajuty, wspólny dziób, ciasny kambuz i ładownia. Usiedli na twardej, metalowej podłodze tej ostatniej, otworzyli butelkę i Vos nalał im po kapce trunku.

– Za kolejne łowy – wzniosła toast Ventress.

– Za partnerstwo – dodał Vos i wypili.

Trunek palił przelyk żywym ogniem, pokrywając język warstwą słodczy i przepajając członki Ventress miłym ciepłem. Piło się go stanowczo zbyt łatwo i Ventress wiedziała, że musi uważać. Nigdy nie piła, by się upić.

Vos otworzył szeroko oczy.

– Twoja przyjaciółka ma dobry gust – stwierdził z podziwem. – Daj, proszę, znać kapitan Rhayme, że jeśli kiedykolwiek zechce nas jeszcze wynająć, z chęcią weźmiemy od niej zlecenie.

Ventress parsknęła krótkim śmiechem i upiła kolejny łyk, podczas gdy Vos nalał sobie nową porcję. W normalnych okolicznościach po polowaniu omawiali je, rozkładając na czynniki pierwsze, co się sprawdziło, co nie, co mogli zrobić inaczej. Tym razem jednak wszystko poszło tak idealnie, że nie było czego analizować. Zamiast tego Vos spytał ją więc o broń, z której zakupem się nosili, i pewne ciosy, które wykorzystywała podczas walki. Zamarła na chwilę, kiedy zapytał o miecz świetlny. W tym momencie jej partner był już po kilku głębszych i podejrzewała, że alkohol sprawił, że stracił czujność. Nigdy wcześniej nie pytał o jej broń.

– Myślałem, że tylko Jedi ich używają – stwierdził.

– To źle myślałeś. Bez trudu dostaniesz je na czarnym rynku. Sądziłam, że o tym wiesz.

– Niepotrzebny mi czarny rynek – parsknął i machnął ręką, wskazując surowe wnętrze statku. – Prostota to wszystko, czego nam trzeba – powiedział, lekko przeciągając zgłoski, a potem wychylił zawartość szklaneczki i znowu sięgnął po

butelkę.

– Jeśli wylejesz choć kroplę, potrączę ci z twojej doli – ostrzegła go, ale tylko się roześmiał i podjął:

– No to... – wymamrotał, nalewając sobie w wielkim skupieniu. – W porządku. Kupiłaś miecz na czarnym rynku. Kto cię szkolił?

– To miecz – powiedziała z naciskiem. – Wiem, jak walczyć mieczem. – To nie było kłamstwo. No, w każdym razie nie do końca.

Vos wyciągnął się na plecach, podkładając sobie ramię pod głowę i stawiając szklaneczkę na piersi. Spojrzenie miał lekko zamglone.

Ventress postanowiła odwrócić role.

– A ty, Vos? Jaka jest twoja historia?

Spodziewała się jakiejś ciętej riposty, jednak zamiast tego spojrział na nią bezradnie, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Odwrócił wzrok, wpatrując się w pustkę.

– Wiesz co? – wybełkotał wreszcie z lekkim zaskoczeniem. – Chyba nie mam żadnej historii.

– Każdy jakąś ma – nie odpuszczała, zaintrygowana.

Podniósł głowę, opróżnił szklanekę do dna i odstawił na bok.

– Nie ja. To znaczy... Robiłem różne rzeczy, wiele widziałem. Wiele przeżyłem. Ale... chyba nie mam historii. – Wyglądał, jakby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, a uświadomiwszy sobie to, przeżył wstrząs. Ventress zastanawiała się, czy to z powodu alkoholu, czy może Vos naprawdę czuje się taki zagubiony. – A ty? – spytał. – Jaka jest twoja historia? Czy ty też nie masz swojej?

– Och, mam, a jakże – zapewniła go. – Właściwie to całe mnóstwo. – Miała historię dziewczyny, która trafiła do niewoli. Historię padawanki. Uczennicy mrocznego mistrza. Siostry Nocy. – Ale żadna z nich nie skończyła się dobrze – dodała i zmarszczyła czoło, zaglądając w głąb swojej szklaneczki. Może ten pyszny trunek działał i na nią? Rzadko kiedy się nad sobą rozczulała. Nie lubiła tego.

– Zastanawiam się – rzucił Vos, przypatrując się jej znowu z namysłem. – Co jest gorszego... Mieć nieszczęśliwe historie czy nie mieć żadnej?

– Dzisiejsza historia zakończy się snem. – Ventress miała dość. Wstała, jednak Vos nie poszedł od razu w jej ślady. – Vos? – zaniepokoiła się. – Dasz radę wstać?

– Taa.

– Kłamiesz?

– Może?

Vos pozwolił, żeby Asajj odprowadziła go do kajuty. Pożegnała go ostrzeżeniem, żeby rano lepiej nie pokazywał się skacowany. Zapewnił ją, że tak się nie stanie – co zresztą było prawdą, bo wcale nie był pijany.

Podczas pracy w półświatku musiał wypracować silną tolerancję na alkohol, aby wtopić się w otoczenie. Wykwintny trunek, tak hojnie podarowany im przez kapitan piratów, był silny, jednak w swojej karierze Vos nie takie rzeczy pijał. Udawał odurzenie w nadziei, że Ventress wyjawi mu kilka szczegółów dotyczących jej życia, ale sprawy nie do końca potoczyły się po jego myśli.

Jej niewinne pytanie: „Jaka jest twoja historia, Vos”? zaskoczyło go i zbiło z tropu tak, jak nigdy by się tego nie spodziewał. Oczywiście nie mógł wyznać jej prawdy, jednak jej dobór słów uświadomił mu, że naprawdę nie ma żadnej historii. Owszem, uczestniczył w serii wydarzeń, do których mógł się odnieść, ale nigdy nie był w ich centrum – to nie były jego historie, a jedynie sytuacje, w których brał udział. Różnica była subtelna – tak nieznaczna, że nigdy dotąd nie przyszło mu nawet do głowy, żeby się nad tym zastanawiać. Może winę ponosił alkohol, a może po prostu to kwestia czasu, który spędził w towarzystwie Ventress, współpracując z nią – jednak uświadomienie sobie tego wstrząsnęło nim do głębi.

I właśnie dlatego powiedział dokładnie to, co przyszło mu do głowy, a potem znów próbował indagować Ventress. I wtedy po raz drugi tego wieczoru przeżył szok: był gotów założyć się o milion kredytów, że Ventress także odpowiedziała szczerze – i że jej odpowiedź zaskoczyła ją i wstrząsnęła nią, tak jak jego zaskoczyły własne słowa.

Potańił ze znużeniem oczy. Najprawdopodobniej niepotrzebnie doszukiwał się we wszystkim ukrytych znaczeń. Alkohol wciąż przyjemnie rozgrzewał go od środka, jednak myśli krążyły niespokojnie. Wyciągnął się na koi, ale sen nie przyszedł od razu. Raz za razem napływało do niego echo słów: „Co jest gorszego... Mieć nieszczęśliwe historie czy nie mieć żadnej?”.

Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Rozdział dziewiąty

– Spóźniłeś się – powiedział mężczyzna siedzący w obskurnym, ciemnym barze na poziomie tysiąc trzysta trzynastym.

Miał na sobie podszytą futrem kamizelkę, beżową kurtkę i ekwipunek łowcy nagród. Spod kaptura patrzyły bystre, szaroniebieskie oczy. Jego głos, miły dla ucha i uprzejmy, pozostawał w żywym kontraście z odstręczającym wyglądem.

– Jesteś niecierpliwy – odparł Vos.

Wezwał gestem barmana i wskazał na szklanekę, którą jego towarzysz trzymał w zapuszczonej łapie. Chwilę później droid BD-3000 o tułowiu pomalowanym na jaskrawy szkarłat postawił przed nim kieliszek. Mechaniczna kelnerka mrugnęła do niego, przymykając metaliczną powiekę, i odmaszerowała.

Vos upił łyk. Tak jak się spodziewał, napój nie był zbyt mocny. Podczas misji Obi-Wan Kenobi stronił od wysokoprocentowych alkoholi.

– Owszem – przytaknął Kenobi. – I nie tylko ja. Rada na mnie naciska. Jak mają się sprawy z Ventress? Czy poczyniłeś jakieś postępy?

– Cóż, teraz jestem jej partnerem – poinformował go Vos, wychylając duszkiem napój i zamawiając gestem drugą kolejkę. – Współpracujemy... i całkiem nieźle na tym wychodzimy, można by rzec. Ale, ale! Właśnie! – dodał ze śmiertelną powagą.

– Czy po wypełnieniu misji będę mógł zatrzymać kasę?

Kenobi potarł oczy i westchnął ciężko.

– Nie możesz wiecznie się bawić w łowcę nagród.

Vos wydał usta i mrugnął do BD-3000, która postawiła przed nim szklaneczkę z rozwodnionym alkoholem.

– Teraz, skoro już zaczęliście się ze sobą dogadywać – podjął Obi-Wan – musisz w jakiś sposób ją zmotywować, by zwróciła się przeciwko Dooku.

Dobry humor Vosa prysnął jak bańka mydlana.

– Motywacji to ona ma aż nadto – powiedział cicho, jednak Obi-Wan udał, że nie dostrzega jego ponurej miny.

– Cóż, w takim razie pomóż jej przekuć ją w czyn. Najlepiej szybko.

– Znajdę sposób.

– Jestem tego pewien. – Dopieroświ drinka, Kenobi rzucił na stół kilka kredytów i wstał. Położył Vosowi dłoń na ramieniu i przytrzymał ją tam przez chwilę,

a potem wyszedł. Quinlan siedział samotnie w zatłoczonym barze, wlepiając wzrok w swoją szklankę.

Zamówił jeszcze raz to samo, a gdy wychylił zawartość, zaczął obracać puste szkło w dłoniach. Wielu Jedi sceptycznie podeszłoby do pomysłu medytowania w barze, jednak Vos robił to już wcześniej – chodziło po prostu o zdolność do utrzymania części umysłu w stanie czujności, pozwalając jednocześnie, by reszta dryfowała swobodnie. Szczerze powiedziawszy, Vos zastanawiał się czasem, czy przypadkiem inni klienci, pochyleni nad swoimi drinkami i wpatrzeni pustym wzrokiem w szklanki, nie próbowali na swój sposób tego samego.

Z rozmysłem zwolnił tempo oddechu i bicia serca, wpatrując się nieobecny wzrokiem w kilka ostatnich niebieskich kropel na dnie szklanki.

Jego zadanie można było podsumować krótko dwoma słowami: „zabić Dooku”. Od tego punktu jego zakres rozszerzał się na konieczność uzyskania pomocy Asajj Ventress. A stąd kręgi rozchodziły się coraz szerzej, niczym fale od kamienia ciśniętego do wody – aż do momentu, w którym pojawiała się zastrzeżenie „bez jej wiedzy”.

Vos wstrzymał na krótką chwilę oddech, a potem zaczerpnął głęboko tchu. To właśnie w tym miejscu pojawiał się konflikt. Zdobył jej zaufanie – więcej, zaczął ją nawet lubić. To się czasami zdarzało w tego typu pracy. Jednak Ventress... była niezwykła, wyjątkowa. Nawet Rada zdawała sobie z tego sprawę – inaczej nie prosiłoby go, żeby się z nią sprzymierzył.

A co był wart on sam? Co był winien sam sobie i innym? Zakonowi? Radzie Jedi? Swojej „partnerce”? Był Jedi. Świątynia stanowiła jego dom niemal od urodzenia. To normalne, że powinien okazać Jedi bezwarunkowe posłuszeństwo. Przecież zadanie, które mu powierzyli, było odpowiedzialne i uzasadnione. Jeśli kogokolwiek we wszechświecie należało powstrzymać, to właśnie Dooku. Vos pozwolił, by jego umysł podsunął mu wizję wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek zginęli przez Dooku, zebranych w jednym miejscu – i obraz ten wydał mu się tak przerażający, że jego trzewia przeszył dojmujący ból.

Co jednak z Ventress? Podczas ich wspólnych polowań ocaliła mu życie – więcej niż raz. Miał wobec niej dług. A on...?

Ta nagła myśl wyrwała go ze stanu medytacyjnego skupienia. Jedi nie myśleli o sobie samych – o własnych pragnieniach, potrzebach czy zachciankach. „Spokojnie – nakazał sobie w myśli. – Wykorzystujesz ją, owszem, jednak nie

robisz nic wbrew jej woli. A poza tym wiesz, że gdy dojdzie co do czego, sama zechce zabić Dooku”.

I chociaż ten tok rozumowania wydawał się rozsądny, nie mógł się pozbyć uczucia, że robi coś nie tak – i nie był już w stanie wrócić do stanu medytacji.

Zamówił kolejnego drinka i długo jeszcze siedział przy stole.

Na widok Vosa Ventress przerwała spawanie. Potrzebowała paru godzin względnego spokoju, żeby wprowadzić na „Banshee” kilka modyfikacji. Wspólnie ustalili, że wylądują właśnie tutaj – na platformie wysuniętej spod masywnego portalu wzniesionego na jednym z niższych poziomów Coruscant. Vos wykorzystał ten czas na uzupełnienie ich zapasów i Ventress sama nie mogła się nadziwić, że powierza komuś swoje ciężko zarobione kredyty i że ani przez chwilę nie zamartwiała się przy tym, czy ten ktoś wróci ze sprawunkami. Zsunęła z oczu ochronne gogle i uśmiechnęła się do niego.

– Widzę, że mamy dobry humor – zauważył.

– Owszem – potwierdziła. – Mam ku temu powody: jesteśmy zaprowiantowani, niemal skończyłam z modyfikacjami, a na dodatek dostaliśmy nowe zlecenie. – Zgasila palnik i zdjęła gogle.

Gdy się z nią zrównał, wstała i ruszyli przed siebie, ramię w ramię.

– Och, czyżby? Dokąd lecimy?

– Na Oba Diah. Na spotkanie z Syndykatem Pyke.

Skrzywił się kwaśno. Nie mogła mieć do niego o to pretensji. Vos lubił dobrą zabawę, a spotkania z Pyke nie należały do przyjemnych. Członkowie syndykatu lubili nazywać siebie samych rodziną, jednak daleko im było do familiarności. Tworzyli gang przestępców zajmujący się rozprowadzaniem różnych rodzajów nielegalnej przyprawy – od łagodnej aż po najpaskudniej silną, przeżerającą mózg.

– Praca z tobą to czysta przyjemność – zażartował.

– Nikt nie każe ci się za mną włóczyć – przypomniała mu.

– Och, wiesz przecież doskonale, że tęskniłabyś za mną.

Zamiast odpowiedzieć, podniosła tylko brew. Gdyby jednak miała być ze sobą szczerą, musiałaby... przyznać mu rację.

– Wygląda na to, że czeka na nas komitet powitalny – mruknął Vos.

Planeta Oba Diah była światem równie niegościnnym co jego mieszkańcy.

Spowitą mgłami stolicę wykuto z poszarpanych obsydianowych skał ponurej okolicy. Wieki temu Pyke'owie wzniesli budowle z materiału przypominającego ciemnozielone przydymione szkło. Przez świetliste, zielononiebieskie okna tych pięknych budynków bogaci i możni spoglądali na tych, którym się nie powiodło. Ventress posadziła „Banshee” na jednej z wielu platform lądowniczych, wzniesionych na ramionach wysuniętych z głównej cytadeli Pyke'ów, i wyrzała przez iluminator.

– Fife – stwierdziła. – To majordomus Marga Krima. Pracowałam z nim wcześniej. Przeważnie jest przekonany, że świetnie sobie ze wszystkim radzi. To może być interesujące. Chodźmy.

Dumnie wyprężonemu Fife'owi towarzyszyło ni mniej, ni więcej, tylko ośmiu uzbrojonych po zęby strażników. Ventress wysunęła się na czoło i zatrzymała przed Pykiem, a Vos stanął tuż za nią. Nieważne, jak często miało się z nimi do czynienia, każde spotkanie z Pyke'ami zaskakiwało na nowo. Wyżsi i szczuplejsi od ludzi, mieli długie, patykowate trójpalczaste kończyny i wielkie, wydłużone głowy, zwężające się ku tyłowi, jednak twarze maleńkie jak u dzieci. Ogólny efekt budził niepokój.

– Fife – przywitała się chłodno Ventress.

Obca istota nie odpowiedziała. Zamiast tego zwróciła lśniąco fioletowo oczy na Vosa, który stał za nią w milczeniu („Całe szczęście” – pomyślała Ventress) z rękami założonymi na piersi, wytrzymując spokojnie spojrzenie Fife'a.

Ventress przyglądała mu się przez chwilę, po czym, licząc na to, że zwięzła prezentacja wystarczy z natury ciekawskiemu Pyke'owi, powiedziała tylko:

– Mój partner, Vos.

Fife odrzucił głowę na plecy w geście zaskoczenia typowym dla Pyke'ów i wlepił w nią zdumiony wzrok.

– Ty i partner? To coś nowego. – Zmierzył Vosa od stóp do głów i dodał: – Musisz być niezły, skoro ci zaufała.

– Jestem.

Fife dał im znak, żeby poszli za nim. Ośmiu strażników eskortowało ich w milczeniu, gdy prowadził ich przez komnaty Pałacu Pyke'ów.

Po kamiennej posadzce w kolorze ciepłego piasku przeszli przez marmurową bramę, krocząc między potężnymi ciemnymi kolumnami, oblewającymi wszystko zielonkawym blaskiem. Chociaż kunszt i piękno tego architektonicznego cuda

zapiały dech w piersiach, Ventress dostrzegła w niszach po obu stronach leniwe ruchy i przelotne spojrzenia zamglonych oczu. Z najwyższym trudem powstrzymywała się od kaszlu wywołanego drażniącą, słodkawą wonią przyprawy. Choć miejsce było piękne, to, co się tu działo, budziło niepokój.

Skupiła znów uwagę na Fifie.

– Znamy się już jakiś czas – zagaiła, przyspieszając kroku, żeby się z nim zrównać. – Czy jest coś, co powinnam wiedzieć, nim spotkamy się z twoim szefem?

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym przemówił cicho:

– Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że Czarne Słońce zagięło parol na Syndykat Pyke. Marg Krim znalazł się w fatalnym położeniu. To dla niego trudny czas. Czarne Słońce chce przejąć jego interesy. Marg ryzykuje utratę zarówno twarzy, jak i kontroli nad organizacją, a także... cóż, resztę wyjawi ci on sam.

Dotarli do stóp tronu. Marg Krim zamrugał, wstrząsany nerwowymi drgawkami. Poprzez Moc emanowały od niego zmartwienie, gniew i strach. Jego głowę zdobiło przybranie stanowiące symbol jego statusu – metalowa maska przypominająca ptasi pióropusz i otoczone promieniami słońce.

Fife skłonił mu się nisko, wymachując patykowymi ramionami.

– O, czcigodny imperatorze, Margu Krimie – rzekł – przyprowadziłem ci poszukiwaczy nagród, których chciałeś widzieć.

Krim wpatrywał się w Vosa i Ventress tak długo, że Asajj zaczęła podejrzewać, że „czcigodny imperator” jest zbyt naćpany, by móc się spójnie wysławiać, jednak wreszcie przemówił – i nie marnował słów:

– Moja partnerka i dwoje młodych zostało porwanych przez Czarne Słońce i uwięzionych na Mustafarze.

– A niech mnie – mruknął pod nosem Vos.

– Znajdźcie ich i zwróćcie mi żywych. – Głos drżał mu od emocji, więc zaciągnął się fajką hookah, żeby się uspokoić.

Ventress ostrożnie dobierała słowa:

– Nim podejmiemy się tej misji – zaczęła, tchnąc przez Moc spokojem – musimy się dowiedzieć paru rzeczy. Na przykład...

– ... dlaczego nie wyślesz po nich własnych ludzi? – wypalił bezceremonialnie Vos.

Dźgnęła go łokciem pod żebra i syknęła:

– Bo wówczas nie zarobimy!

Na szczęście Krim był tak zatopiony w swoich myślach, że tego nie dosłyszał.

– Powinienem to zrobić, czyż nie? – zadumał się. – Prawda jest jednak taka, że nie mogę. Moi rzekomo oddani mi ludzie są skłonni pozwolić mojej rodzinie umrzeć, jeśli to ma oznaczać, że nie będą musieli dołączyć do Czarnego Słońca. Ta podła banda postrzega atak na moją rodzinę jako zwycięstwo, bo wiedzą, że w ten sposób mnie zranią. Musicie sprowadzić moją rodzinę bezpiecznie... i potajemnie. To pokaże zarówno Czarnemu Słońcu, jak i moim ludziom, że Marg Krim wciąż jest potężnym członkiem Rodziny Pyke. – Przymknął oczy i powtórzył smutno: – Rodziny...

– Nie martw się – powiedział łagodnie Vos. – Sprowadzimy twoją rodzinę, całą i zdrową.

– Pod warunkiem, że znajdziemy ich całych i zdrowych – zastrzegła Ventress. Nie chciała być obarczona odpowiedzialnością, gdyby okazało się, że porywaczy z Czarnego Słońca zanadto swędziały łapy.

– Sprowadźcie ich do domu – oznajmił bezbarwnym głosem, a potem dodał niewypowiedziane smutnym szeptem: – Proszę...

Rozdział dziesiąty

– Jesteś dziwnie cicha – zauważył Vos, gdy przygotowywali się do odlotu.

– Nie mam nic mądrego do powiedzenia.

Najwyraźniej jednak Vos, w przeciwieństwie do niej, miał.

– Wiem. Mną także to wstrząsnęło. Tak bardzo przywykliśmy do łapania szumowin i przestępców, że trudno jest nam się przestawić na ratowanie czyjejs żony i dzieci.

– Jak długo dobrze płacą, tak długo jestem skłonna ratować każdego, kogo będziemy musieli.

Słowa gładko przeszły Ventress przez gardło, jednak wiedziała aż za dobrze, że to kłamstwo – i to nie pierwsze, które sprzedała Vosowi. Całkiem niedawno nie pracowała sama – należała do zespołu łowców nagród, któremu przewodził Boba Fett. Pewnego razu otrzymali zlecenie dostarczenia tajemniczego, lecz cennego ładunku. Ventress odkryła, że „towarem”, który znajdował się w skrzyni, była dziewczyna nazwiskiem Pluma Sodi. Wyglądająca na nie więcej niż kilkanaście lat, została porwana od rodziny i miała trafić do chciwego, lubieżnego Beluganina Otui Blanka, który zamierzał poślubić ją wbrew jej woli. Ventress nie dostarczyła Plumy Sodi obmierzłemu rozpustnikowi niczym przewiązanego wstążką prezentu. Uwolniła ją, a zamiast niej umieściła w skrzyni Bobę Fetta. Czasami zastanawiała się, czy chłopak kiedykolwiek o tym zapomni, jednak nie żałowała swojego czynu. Mimo to nie lubiła wracać do tego myślami. W tamtym czasie była słaba, miękka – a od tamtej pory życie nauczyło ją, że wszechświat nie jest krainą szczęśliwości.

Vos przyglądał się jej badawczo.

– Serio?

– Serio.

Wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz...

– Przestań gadać i wpisz w komputer współrzędne Mustafara.

– Ach, tak. Malowniczy Mustafar. Wszyscy wyglądają dobrze w czerwonym świetle. Zostań łowcą nagród! Zwiedź galaktykę!

Asajj za nic we wszechświecie nie przyznałaby się do tego, jednak chociaż chwilami miała ochotę udusić Vosa, który wydawał się nigdy niczym nie

przejmować, bywały momenty, w których z ulgą witała jego entuzjazm. Jej samej perspektywa wizyty na Mustafarze wcale nie napełniała radością – zresztą nie napełniałaby nikogo przy zdrowych zmysłach. Jedyne powód, dla którego planeta była coś warta, stanowiła lawa, a jedynymi jej mieszkańcami byli ci, którzy podejmowali się ryzykownego zadania eksploatacji jej wrzących treści, Czarne Słońce (uznające lawę za przydatny surowiec, szczególnie w procesie pozbywania się dowodów), a także najróżniejszego sortu indywidua, które nie chciały zostać odnalezione lub chciały mieć kontrolę nad innymi, których odnalezienia same sobie nie życzyły.

Gdy w sali tronowej Krima usłyszała, że przyjdzie im się udać na Mustafar, aby zaś dostać zapłatę, będą się musieli zmierzyć z Czarnym Słońcem, Ventress miała ochotę odwrócić się na pięcie i odmaszerować. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że obecnie Marg Krim dysponował dużą władzą – i chociaż operacja wymagała zachowania wszystkiego w sekrecie, to zyskanie wdzięczności Krima mogło popłacić, nie mówiąc już o niebotycznej kwocie, którą obiecał im za wypełnienie jego żądań.

Cóż. Tak czy inaczej, przecież nikt nie żył wiecznie, prawda?

Gdy wyskoczyli z nadprzestrzeni, powitał ich widok majaczącej w dali czerwonej planety. Vos otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, jednak Ventress odwróciła się do niego i uciszyła podniesionym ostrzegawczo palcem.

– Ani słowa na temat koloru – wycedziła.

Roześmiał się w głos.

– Skąd wiedziałaś? – spytał z rozbawieniem.

– Jeśli coś można skomentować kiepskim żartem, to nie omieszkaż przepuścić okazji. To pewne.

Vos westchnął teatralnie.

– Przyznaję się bez bicia. – Wzruszył ramionami, jakby wcale nie zamierzał rzucić jakiejś głupiej uwagi na temat barwy Mustafara.

Ventress przeprowadziła „Banshee” przez gęste chmury czarnego dymu i sprowadziła statek na platformę lądowniczą na skraju górniczej osady.

Samo lądowisko, podobnie jak miasto, niebezpiecznie wisiało nad pomarańczową kipiącą wrzącą rzeką. Gdyby zamiast nad lawowym ciekim wzniesiono je nad niebieską tonią bardziej przyjaznego świata, takiego jak Naboo, uchodziłaby za prawdziwy kurort – tutaj jednak tworzyły je slumsy zamieszkane

przez nieszczęśników trudniących się wydobywaniem lawy. Ventress zastanowiła się przelotnie nad założeniem maski oddechowej, lecz ostatecznie uznała, że nie będzie jej potrzebna. Byłaby niezbędna, gdyby mieli narażać się przez długi czas na trujące opary, ale kilka godzin spędzonych na tej planecie nie powinno im zaszkodzić.

Panujący tu upał był dokuczliwy, lecz możliwy do zniesienia. Tubylcza rasa Mustafarian podczas prac w pobliżu lawowych strumieni nosiła maski, co sprawiało, że wyglądali wszyscy tak samo – ponuro i tajemniczo. Pod zdziwionymi spojrzeniami napotkanych istot Ventress uświadomiła sobie – zbyt późno – że maski zapewniłyby im tu anonimowość i kamuflaż.

– Nienawidzę małych miasteczek – wymamrotała, gdy wraz z Vosem spiechli ku stadu lawowych pcheł, udomowionych przez Mustafarian dawno temu. – Każdy wie wszystko o wszystkich.

– Tak, ale tym razem tylko nam to pomoże – stwierdził beztrząsowo Vos.

– Tyle tylko, że w ciągu godziny wszyscy dowiedzą się o naszym przybyciu.

Znaleźli przygarbionego tubylca, właściciela pcheł. Ustalili cenę i wręczyli mu odpowiednią kwotę.

– Trochę tu ciepło, co nie? – zagadnął Vos, gdy dosiedli wynajętych wierzchowców. Mustafarianin łypnął na niego spod łba, ale nie odezwał się ani słowem. Mimo to Vos ciągnął, niezrażony: – Pić się od tego chce. Gdzie dostaniemy coś dla ochłody?

– W Ostateczności – odparł Mustafarianin głosem stłumionym przez maskę.

– Czy to najlepszy lokal w mieście? – zainteresowała się Ventress.

Mustafarianin zarechotał.

– Jedyny!

– Więc chyba trzeba do niego zajrzeć – skwitował Vos. – Dzięki. – Ściągnął lekko wodze swojej pchły, która posłusznie dała susa w kierunku miasteczka. Ventress poszła w jego ślady, ale jej pchła zawierzała tylko nieporadnie i wykonała serię niezgrabnych kicnięć. Asajj położyła dłoń na jej lśniącym pancerzyku i pomyślała: „Pamiętaj, że nie jesteś aż tak wielka, żeby nie można cię było zmiażdżyć”. Nie miała zdolności telepatycznych, jednak przekazała zwierzęciu swoje intencje poprzez Moc – i pchła natychmiast pospiesznie pobrykała za Vosem i jego wierzchowcem.

Od dymu Asajj zaczęły łzawić oczy. Tylko siłą woli powstrzymywała się od

kaszlu, skupiając się bez reszty na prowadzeniu pchły przez miasto. Wąskie uliczki z każdym krokiem gęstniały od tłuszczy, złożonej w głównej mierze z robotników różnych ras, kierujących się – jak spostrzegła – w tym samym kierunku.

– Wygląda na to, że trafiliśmy na koniec zmiany w kopalni – stwierdziła. – Podążajmy po prostu za tłumem.

Strumień górników płynął niczym lawa, a dwóch wynajętych pcheł nie trzeba było długo namawiać, by do niego dołączyły. Wkrótce na horyzoncie pojawiła się Ostateczność – duży budynek, równie zapyziały jak reszta miasteczka.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy nasz bar – mruknął Vos, ściągając cugle swojego wierzchowca i spinając go, by dołączył do innych lawowych pcheł uwiązanych do żerdzi przed wejściem. Zsiedli ze zwierząt.

W środku pachniało nieco lepiej niż na zewnątrz i Ventress naszała refleksją, że nieważne, jaki wystrój czy jaką klientelę mają podobne miejsca, zawsze panuje w nich ta sama atmosfera rozpaczy, wyrosła z dawnych uraz i niedostatku, sporadycznie punktowana przez wybuchy krótkotrwałej euforii.

Tu jednak poczucie wyczerpania wyraźnie dominowało nad innymi emocjami. Górnicy każdego dnia popadali coraz głębiej w coś na kształt gorzkiego letargu, który...

Odwróciła głowę, wyławiając pulsujący trop arogancji, który wybijał się spośród przytłumionych uczuć. Jej wzrok padł na grupkę barczystych Falleenów. Ich ubiór nie świadczył w żaden sposób o tym, że należą do Czarnego Słońca, jednak nie było takiej potrzeby – ich pozy i krzepa, związana nie tylko z tężyzną fizyczną, ale także będąca świadectwem dobrego odżywiania, wyróżniała ich na tle większości bywalców baru, zgarbionych nad swoimi trunkami, jakby półmartwych.

Jeden z Falleenów siedział z wyciągniętymi swobodnie nogami w kącie, opróżniając kufel, i przyglądał się swoim kompanom pogardliwym, pełnym wyższości wzrokiem.

Jakby czytał jej w myślach, Vos mruknął:

– Chyba mamy zwycięzcę naszego plebiscytu.

To było niemal zbyt łatwe.

– Siedź spokojnie i się odpręż – odmruknęła. – Zajmę się nim.

– Co planujesz? „Zalotne mrugnięcie” czy „pójście na całość”?

– Z tym tutaj? Pewnie, że pójście na całość – zapewniła go. Ten arogancki

Falleen poczułby się obrażony – i stałby się podejrzliwy – gdyby spostrzegł, że jego silne feromony na nią nie działają.

Vos rozejrzał się pospiesznie, a potem wycofał, mówiąc:

– A więc do dzieła.

Wmieszał się płynnie w tłum i cienie. Ventress stała przez chwilę w bezruchu, czekając, aż Falleen ją dostrzeże. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, podeszła z wolna do baru i wślizgnęła się na stołek obok niego.

– Witaj, żołnierzu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Witaj, moja piękna. Czy mógłbym postawić coś do picia tak uroczej damie?

Oblizwała wargi, nie spuszczać z niego wzroku.

– Nie jestem spragniona. A przynajmniej nie alkoholu... – Pochyliła się ku niemu i szepnęła: – Trudno się tu... rozmawia. – Następnie pochyliła głowę i przeczesła króciutkie włosy palcami – ten sygnał ustalili pierwszy raz, kiedy używali tej sztuczki podczas łowów na kochanka piratki. Kątem oka dostrzegła, jak salę opuszcza cień.

Strażnik Czarnego Słońca był tak dumny z siebie i ze swoich „niezawodnych” feromonów... Zapowiadała się niezła zabawa.

– Tak, trudno tu... rozmawiać – potwierdził.

– W takim razie znajdziemy jakieś ustronne miejsce.

Wstał tak szybko, że niemal przewrócił swój stołek. Ventress mrugnęła do niego i wzięła go za rękę, wiodąc przez tłum żalonych ochlejusów w głąb ciemnego korytarza prowadzącego do toalet.

Strażnik nie marnował czasu. Pchnął drzwi i zamknął je za sobą kopniakiem.

– Chodź do mnie, ślicznotko. – Złapał Ventress za ramiona, pchnął na ścianę i pochylił się, żeby ją pocałować.

Położyła mu dłonie na szerokiej piersi i zaśmiała się gardłowo.

– Nie tak prędko, mój drogi. Czy nie wyszliśmy z baru, bo chcieliśmy porozmawiać? Pozabawiaj damę przez chwilę rozmową.

Cofnął się, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechając się szeroko.

– Twarda z ciebie sztuka, co?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – wtrącił męski głos.

– Hę? – bąknął zaskoczony strażnik, a gdy się odwrócił, spojrzał prosto na Vosa, który czekał na nich ukryty w jednej z kabin. Obserwując, jak Quinlan opuszcza

lewe przedramię na gardło Falleena, Ventress zaczęła się zastanawiać, czy może członkowie Czarnego Słońca nie zaczynają tracić ikry. Strażnik zakrztusił się lekko, ale szybko doszedł do siebie i odpowiedział ciosem. Dość szybkim, jednak Vos uchylił się przed nim z niemal nieludzką prędkością, kopiąc przy tym celnie osiłka w rzepkę. Strażnik zgiął się wpół, wówczas Quinlan runął na niego, wskutek czego obaj wylądowali na lepiącej się podłodze – Vos na górze, z kolanem na gardle Falleena. Dla porządku złapał go jeszcze za ramię i wykręcił mu je boleśnie, a potem podniósł wzrok na Ventress i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Odpowiedziała uśmiechem, przykucnęła przy strażniku i spojrzała na niego zimnym wzrokiem, zupełnie wyzutym z wcześniejszej zachęty.

– Kim jesteście? – wykrztusił strażnik, strzelając oczami od niej do Vosa i z powrotem, jednak Asajj zignorowała jego pytanie.

– Gdzie są pykeańscy zakładnicy?

– Za-zakładnicy? – Udał zdziwienie, jednak zupełnie nieprzekonująco.

Ventress westchnęła.

– Daj spokój, słonko. Nie utrudniaj.

Jak na umówiony znak, Vos pochylił się lekko, zwiększając nacisk na gardło strażnika Czarnego Słońca i wykręcając mu ramię nieco mocniej, i już za chwilę Falleen spuścił z tonu:

– Są w głównej celi. W domu.

– Trochę więcej szczegółów? – poprosił grzecznie Vos.

– Nie! Nie mogę powiedzieć nic więcej! Zabiją mnie! – zaprotestował Falleen.

Cierpliwość nigdy nie była mocną stroną Asajj Ventress. Strażnik Czarnego Słońca był osobnikiem z rodzaju tych, których nienawidziła najbardziej – aroganckim typem pozbawionym pasji, celu, ambicji, dążącym jedynie do zaspokojenia podstawowych potrzeb. Dobyła miecz świetlny i uruchomiła go.

– Ależ owszem, możesz. Inaczej my cię zabijemy.

– Dobrze już, dobrze! – Vos zmniejszył nieco nacisk na gardło Falleena. Strażnik odkaszlnął i zaczął mówić: – Piętro, po lewej stronie. Drzwi są zabezpieczone systemami ochronnymi. Pomieszczenia strzeże cały czas dwunastu strażników. Sześciu na górze i sześciu na dole.

Ventress uśmiechnęła się, zgasiła miecz i poklepała żołnierza po policzku.

– No i proszę. To nie było takie trudne, prawda?

Nawet teraz w jego oczach zalśniło światło nadziei. Ventress pokręciła

z niedowierzaniem głową, zwinęła dłoń w pięść i rąbnęła go w wydatną szczękę. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, a ciało zwiotczało. Początkowo chciała go załatwić, jednak Vos przekonał ją, że nie powinni narażać się Czarnemu Słońcu i ryzykować, że będą ścigani za morderstwo, jeśli tylko mogli go uniknąć. A poza tym i tak musieli tylko wyeliminować go na dość czasu, by dostać się do środka, uwolnić partnerkę i dzieci Krima, po czym odlecieć.

– Spokojna głowa – zapewnił ją, wlokąc strażnika do ostatniej kabiny. – Prędko się nie ocknie. Nie po jednym z twoich firmowych ciosów. – Zatrzymał się na chwilę i po krótkim namyśle ułożył ciało w zupełnie odartej z godności pozycji.

Ventress próbowała powstrzymać uśmiech, jednak bezskutecznie.

– Chodźmy. Musimy się dostać do fortecy.

Rozdział jedenasty

Gdy Vos przyglądał się wznoszącej się wysoko, złowrogiej budowli, dotarło do niego, że poświęcił jak dotąd zdecydowanie za dużo czasu i wysiłku na robienie rzeczy, które nie zbliżyły go zbyt do celu misji. Na przykład ta cała forteca Czarnego Słońca – górowała nad kompleksem górniczym i rozpadającymi się klitkami niczym olbrzym na tronie, stanowiąc niemal miasto samo w sobie. Strażnik nazywał ją „domem”, jakby mówił o zwykłym budynku mieszkalnym – jednak ten „dom” znajdował się wysoko, ukryty w głębi wielkiej wieży, w samym centrum twierdzy. Latarnie lśniły w jej murach niczym oczy, a całość dosłownie ociekała ostentacyjnie władzą i potęgą – a także brakiem oporów przed jej wykorzystaniem.

Wraz z Ventress zostawili swoje pchły na obrzeżach miasta i ostrożnie przekradli się w okolice fortecy, aby następnie zaszyć się w jednym z magazynów. Quinlan omiatał okolicę wzrokiem zza okularu elektrolornetki.

– Są strażnicy, tak jak wspomniał – mruknął.

Ventress zerknęła przez własne gogle, dotykając ich długim palcem, żeby powiększyć obraz.

– Jest dobrze strzeżona, ale nie ma tu nic, z czym nie spotkałabym się wcześniej – rzuciła. W ustach kogoś innego te słowa zabrzmiałyby jak czcza przechwałka, jednak Vos poznał Asajj dość dobrze, by wiedzieć, że stwierdza po prostu fakt.

Spędziwszy nieco czasu w jej towarzystwie, zrozumiał, dlaczego Kenobi darzył ją takim szacunkiem – nawet mimo tego, że była wrogiem. Cóż, wciąż nim pozostawała. W pewnym sensie. Czy nie? Pokręcił lekko głową i skupił się na czekającym ich zadaniu. Chociaż oboje dysponowali Mocą, strażników przy wejściu było po prostu zbyt wielu, żeby zarówno ich zdjąć, jak i próbować się obok nich przekraść.

– Twój niedoszły kochaś twierdził, że są w głównej celi w domu. Piętro, po lewej. – Vos spojrzał w górę i jego wzrok padł na fragment dachu niebędący murem. „Ha!”. – Już wiem, którędy się tam dostaniemy. Chodźmy.

Szybko i cicho przecięli otwarty teren. Gdy go okrążali, żeby dostać się do ściany wieży, płaski kamienny dziedziniec ustąpił poszarpanym czarnym skałom.

Vos zerknął znów w górę.

– To wygląda jak podstawa balkonu – zauważył. Wystrzelił z wyrzutni strumień ciekłej linki, który przylgnał jednym końcem do wybranego miejsca. – Trzymaj się – poradził Ventress, jednak spojrzała tylko na niego beznamiętnie, a potem sięgnęła po swój łuk i zaczepiła tuż obok własną plazmową wiązkę. Przez chwilę przyglądał się jej, jak pospiesznie pnie się w górę. Z pewnym zdziwieniem spostrzegł, że jej odmowa sprawiła mu przykrość. To nie było konieczne. Czego się bała – że spróbuje w powietrzu skraść jej całusa? Znała go dość dobrze, by go o to nie posądzać. Na nowo zalała go fala wątpliwości, czy kiedykolwiek naprawdę zdobędzie jej zaufanie, jednak odsunął te myśli od siebie i podążył za partnerką – o ile rzeczywiście mógł ją tak nazywać.

Dotarła do balkonu pierwsza i użyła miecza, by utorować sobie drogę przez kilka metalowych barier. Sprawiały, że balkon wyglądał jak klatka – którą właściwie był. Vos wślizgnął się przez otwory na platformę, uważając przy tym, by nie poparzyć się o rozgrzane krawędzie metalu.

– Doskonale! – zawołała Asajj na widok szeregu romboidalnych, zakratowanych otworów służących za okna. – Tak proste, że aż podejrzan. – Od strony okien dobiegało ciche brzęczenie pola energetycznego.

Vos zajął ostrożnie do środka i zobaczył dwie drobne, skulone istoty, tulące się do siebie. Powitał ten widok z ulgą.

– Owszem – przytaknął. – Musimy działać szybko. To może być pułapka.

Ventress zatrzymała się przy terminalu i wraziła ostrze miecza pod kontrolki, przeładowując generator osłon. Vos bez trudu przeszedł przez niechroniony pole otwór. Na dźwięk hałasu dzieci poderwały gwałtownie głowy, jednak Quinlan przykucnął przy nich, podnosząc palec do ust.

– Cii! – szepnął, tchnąc w nie poprzez Moc spokój, i uśmiechnął się do nich. – Wydostaniemy was stąd. Musicie tylko nam zaufać i być tak cicho, jak zdołacie, w porządku?

Drżąc, pokiwały główkami. Ventress tymczasem wbiła klingę miecza w panel obok drzwi, blokując je. Potem odwróciła się w stronę dzieci, przyglądając się im błękitnymi oczami i omiatając spojrzeniem pokój.

– Gdzie ona jest?

Vos miał już zapytać kto, ale powstrzymał się, gdy zorientował się, o kim mówi Asajj. W pokoju nie było matki.

– Jak ci na imię, mały? – spytał chłopca.

Dzieciak otarł buzię rączkami i spróbował wyglądać dzielnie.

– Jestem Vram – powiedział i wskazał młodszą siostrę. – A to Laalee.

– Gdzie wasza mama, Vram?

Laalee zaczęła płakać, a Vram przełknął głośno ślinę.

– Zabrali ją, kiedy nas porwali. Słyszałem, że bali się, że ojciec może wysłać kogoś, żeby nas odszukał.

Vos starał się brzmieć tak pewnie, jak tylko zdołał:

– Mieli rację. Właśnie my jesteśmy tym kimś. Znajdziemy ją. Nie martwcie się. – Wstał, podszedł do Ventress i poinformował ją cicho, zwrócony plecami do dzieci: – To nieco komplikuje sprawę.

Zmrużyła gniewnie oczy.

– Wygląda na to, że gość w barze nie był wcale taki głupi. Oszukał... – Urwała na dźwięk alarmu. Dzieci zaczerpnęły gwałtownie tchu, tuląc się do siebie i popatrując na Vosa i Ventress szeroko otwartymi ze strachu oczami, podczas gdy ci podbiegli do okna, żeby przez nie wyrzeć. Do wieży napływał strumień strażników.

Ventress nasunęła na oczy gogle i zbliżyła obraz.

– Oto i on – mruknęła.

– Twój kochaś z baru?

– Daruj sobie – prychnęła. Vos przypomniał sobie pozycję, w jakiej zostawił Falleena, i mimo powagi sytuacji parsknął krótkim śmiechem.

– Chyba powinnaś rąbnąć go mocniej – stwierdził.

Już miała się odciąć, jednak urwała w pół słowa, gdy do drzwi zaczęli łomotać strażnicy.

– Co wybieramy? – spytał ją. – Lawa czy strażnicy?

– W normalnej sytuacji wybrałabym strażników, ale mamy towarzystwo, które trzeba chronić. – Machnęła z rozdrażnieniem na dzieci.

– W porządku, a więc lawa. Wskakujcie! – Zachęcił radośnie dzieci Vos, kłękając przed nimi, jednak Vram i Laalee przyglądali mu się tylko nieufnie.

Ventress doskoczyła do niego i fuknęła:

– Szybko. Nie mamy czasu!

Rodzeństwo wymieniło spłoszone spojrzenia i wdrapało się posłusznie na plecy swoich wybawców. Gdy Vos poczuł przytulone do siebie drobne ciało Vrama, drżące ze strachu, jego serce zalała fala tkliwości. Razem z Ventress dostarczą te

dwie niewinne istotki – i ich matkę – do ojca. Jakby wyczuł przepelniające Vosa emocje, Vram przywarł do niego mocniej i przestał dygotać. Quinlan wyprostował się... i w tej samej chwili do wycia alarmu dołączył charakterystyczny wizg blasterowych strzałów.

– Chyba znudziło im się pukanie – stwierdził.

Obejrzał się w popłochu na drzwi i zobaczył u ich podstawy cienkie pęknięcie. Wkrótce dostaną się do środka.

Wyskoczył na balkon, gwizdnął głośno, sięgając jednocześnie poprzez Moc i poczuł, że lawowe pchły reagują na wezwanie. Zerknął na Ventress, która skinęła głową, gdy ich spojrzenia się spotkały. Na jej znak zeskoczyli razem na niższy poziom. Dzieci krzyczały, wczepione w nich kurczowo, gdy obok ucha Vosa przelatywały strzały z blastera – znak, że strażnicy wdarli się do pokoju i raczej nie ucieszyli się, widząc, że jest pusty.

– Trzymaj się! – zawołała Ventress, znikając za balustradą.

Przez chwilę Quinlan przyglądał się, jak mknie w dół z małą, zmartwiałą z przerażenia Laalee na plecach, oglądającą się na niego trwożliwie. Blasterowe strzały przemykały jak na jego gust stanowczo zbyt blisko. W chwili, gdy zobaczył, że Ventress ląduje z gracją na skałach, skoczył w ślad za nią, czując na szyi zaciśnięte mocno rączki Vrama. Gdy dotarł na dół, Asajj przeskakiwała już z kamienia na kamień, a potem na wspornik, po którym lekko wbiegła. Kątem oka zauważył jakiś ruch, a gdy podniósł wzrok, zobaczył wybiegające jej na spotkanie lawowe pchły. Kiedy pierwsza z nich była dość blisko, Ventress wybiła się i poszybowała przez powietrze łukiem, lądując pewnie w siodle.

– O rany! – wykrzyknął podekscytowany Vram, momentalnie zapominając o strachu.

– To jeszcze nic – zapewnił go Vos, przygotowując się do skoku. – Patrz na to!

Jego pchła była już niemal tuż pod nim, na skalnym występie. Uśmiechnął się szeroko, spojrzawszy w dół, wiedząc, że idealnie zgrał wszystko w czasie – i skoczył. Dzieciak będzie miał co opo...

Jego ramię przeszył nagły ból: oberwał z blastera! Wytrącony z równowagi, stęknął, szarpnął się... I zamiast wylądować z wdziękiem na grzbiecie pchły, uderzył w jej bok, odbił się od niego i runął w kierunku lawowego strumienia.

Skręcił ciało, próbując w locie zmienić kierunek i jednocześnie wyciągając przed siebie ręce, żeby wyhamować impet Mocą. Wylądował miękko na nogach na

wystającym kawałku skały, jednak Vram stracił chwyt – krzyknął, zsunął się z jego pleców i zaczął toczyć się w stronę wrzącej pomarańczowej toni.

Mimo przeszywającego bólu Vos skoczył za chłopcem, wyciągając do niego rękę, zdeterminowany złapać łkającego malca... jednak Vram był za daleko. Quinlan zmrużył oczy, maksymalnie się koncentrując, i sięgnął ku brzdącowi, który nagle zatrzymał się w pół drogi w dół, tuż nad lawą – na chwilę wystarczająco długą, by Vos zdążył go złapać za rękę.

– Chodź!

Vram zarzucił mu ręce na szyję, wrażając przy okazji drobny, kościsty łokieć w ranę od blastera. Vos zacisnął zęby i podniósł wzrok na Ventress, która trzymając jedną ręką wodze swojej pchły, drugą sprawnie odbijała blasterowe strzały klingą miecza świetlnego. Jedi z trudem wspiał się po skałach. Gdy dotarł do Asajj, wskoczył z Vramem na siodło. Chłopiec pochlipywał, przerażony, jednak już za chwilę, gdy wieża, w której dzieci były przetrzymywane, znikła im z oczu, brat i siostra zaczęli wiwatować.

Bolało. Cóż, nic dziwnego – w końcu oberwał z blastera. Vos siedział w ładowni z dziećmi, które przyglądały mu się nieufnie, oddalone od niego tak bardzo, jak to było możliwe. Gdy dotarło do niego, że patrzą z przestachem w oczach na jego poczerwiałe, zakrwawione ramię, zmienił pozycję, tak by nie widziały rany. Niestety, nie był w stanie nijak zaradzić swądowi spalonego ciała. Gdy usłyszał szcęk butów Ventress na metalowych stopniach drabinki, odwrócił się, żeby się do niej uśmiechnąć, jednak miał wrażenie, że tym razem niezbyt mu to wyszło.

Asajj przyklękła przy nim z medypakiem i dostrzegł, że po twarzy przemknął jej cień troski.

– Nie jest tak źle, jak ci się zdaje – skłamał.

Łypnęła na niego krytycznie.

– Jest dokładnie tak źle, jak mi się zdaje, bo widziałam takie rzeczy już wcześniej i doskonale wiem, czym są. Sama... – Urwała, gdy wskazał podbródkiem dzieci i podniósł brwi, po czym w milczeniu zabrała się do opatrywania jego rany.

Przyglądał się jej, gdy zakładała mu opatrunek. Miała zwinne, chłodne palce, dziwnie delikatne, gdy dotykała jego poczerwiałej skóry i mięśni. Oczyszczyła ranę, a potem owinęła ją bandażem nasączonym bactą. Ból nieco zelżał, jednak Vos

złapał się na tym, że wciąż wpatruje się jak zahipnotyzowany w te długie, blade palce. Widział, jak Ventress trzyma w nich miecz, władając nim z zabójczą skutecznością, jak przyzywa Moc, pilotuje statek, wymierza ciosy. Dla niej jej dłonie były bronią, narzędziami – jednak teraz pierwszy raz dotykała go z... czułością.

– Właśnie dlatego – mruknęła, chowając instrumenty po zakończonej pracy – nie mam partnera.

– Nie – wyrwało się Vosowi, nim zdążył się ugryźć w język. – To właśnie dlatego potrzebujesz partnera. – Wyciągnął zdrową rękę, żeby dotknąć jej dłoni. Zauważył, że przy jego ciemnej karnacji jej skóra wydaje się jeszcze bledsza.

Asajj zamarła, a kiedy podniósł na nią wzrok, zauważył, że wpatruje się w niego lodowato błękitnymi oczami z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Przełknął nerwowo ślinę, nagle pierwszy raz w dorosłym życiu czując się niepewnie.

– Musimy znaleźć matkę – stwierdziła beznamiętnym głosem Ventress, a potem wstała, oswobodzając dłoń z jego ręki i bez słowa wróciła do sterowni.

Co się właśnie wydarzyło? Vos nie miał pojęcia. Był tak zbity z tropu, że początkowo nie zwrócił uwagi na cichą muzykę dobiegającą z kąta, w którym kulili się Laalee i Vram. Potrząsnął głową, próbując oczyścić umysł.

– Hej, Laalee! – zawołał przyjaźnie. – Co tam masz?

Dziewczynka zaczerpnęła głośno tchu i nieporadnie spróbowała coś ukryć za plecami.

– N-nic – zająknęła się.

Wyciągnął do niej rękę.

– Czy mogę zobaczyć? Proszę. Obiecuję, że zaraz ci oddam.

Laalee zawahała się, ale po chwili podała mu niewielki medalion. Gdy Quinlan go otworzył, w powietrzu zamajaczył miniaturowy hologram Pykeanki.

– To mama – wyjaśniła cicho Laalee. W jej oczach lśniły łzy.

Jednak Vos prawie jej nie słyszał – tak jak zdarzało się to wcześniej niezliczoną ilość razy, świat zniknął.

„Nie!” – krzyczała matka rodzeństwa, walcząc z potężnie zbudowanymi falleeńskimi strażnikami, którzy brutalnie wlekli ją, rozdzielając z jej dziećmi. Sprawiała wrażenie dziwnie kruchej – tak szczupła, że wydawało się, że bez trudu zdołaliby jej zmiażdżyć smukłe kończyny lekkim uściskiem. A mimo to walczyła jak nexu w obronie swoich dzieci. „Nie! Laalee! Vram! Nieee!”.

„Mamusi!” – zawodziła Laalee.

„Nie zabierajcie jej!” – krzyczał Vram, ale trzymający ją w żelaznym uścisku strażnik roześmiał się tylko paskudnie. To był Falleen z Ostateczności – ten sam, którego wraz z Ventress zmusili do zdradzenia im miejsca przetrzymywania zakładników. „Nie martwcie się, Ziton dobrze się o nią zatroszczy w swoim pałacu!”.

Wizja zakończyła się równie gwałtownie, jak się pojawiła. Oszołomiony Vos z trudem podźwignął się na nogi i pokuśtykał do sterowni. Gdy tam dotarł, rzucił bez zbędnych wstępów:

– Musimy wrócić do fortecy. Matka jest w pałacu Zitona.

Ventress odwróciła się i spojrzała na niego, podnosząc brew.

– Czyżby? Skąd wiesz? – Jej wzrok spoczął na medalionie, który Vos wciąż ścisnął w dłoni.

– Laalee mi powiedziała. – Cóż, właściwie nie skłamał. Wręczyła mu medalion, który mu „powiedział”.

Nawet nie mrugnęła.

– Wcześniej twierdzili, że nic nie wiedzą.

Vos przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

– Chyba po prostu uznały w końcu, że mogą mi zaufać. Dobrze sobie radzę z dziećmi.

– Zachowujesz się jak ich rówieśnik – skwitowała Ventress. – Więc jakoś mnie to nie dziwi. – Przyglądała mu się jeszcze przez dłuższą chwilę i wspomnienie dotyku jej chłodnych dłoni wróciło do niego nieproszone. Z zamyślenia wyrwały go dopiero jej słowa:

– W porządku. W takim razie wracajmy.

Obejrzał się na dzieci w ładowni.

– A co z nimi?

– A co ma być?

– Nie możemy ot tak zostawić ich na statku. To dzieci! Zredukują go do sterty złomu! A co, jeśli uciekną?

– Zajmę się tym.

Rozdział dwunasty

Piętnaście minut później lądowali na dziedzińcu fortecy, u stóp strzeżonej przez strażników wieży. Ventress pośród głośnych protestów Vrama i Laalee zatrzasnęła klamry upręży unieruchamiających.

– Rany – bąknął Vos, niezbyt uszczęśliwiony. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Ventress spojrzała na niego skonsternowana.

– Słucham? Te krzesła utrzymywały w ryzach najgorsze męty tej galaktyki. Chyba powinny dać radę dwojgu dzieciakom?

– Ja... Hm, nie to miałem na myśli, ale w porządku.

– Vos! – załkała Laalee, wyciągając do niego małą trójpalczystą rączkę.

– Przykro mi, mała, ale to jej statek. – Wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście mówiącym: „Co mogę zrobić?”. – Trzymaj się mocno, a wrócimy z twoją mamą, nim się spostrzeżesz. – Poklepał dziewczynkę po główce i uśmiechnął się poczekajaczo do Vrama, ale gdy zwrócił się w stronę Ventress, jego uśmiech znikł bez śladu. Asajj stała z rękami skrzyżowanymi na piersi – w tej chwili dałby wszystko, żeby dowiedzieć się, o czym myśli.

– Tak dla jasności – powiedziała. – Ja się zajmę strażnikami, podczas gdy ty odnajdziesz matkę. – Wyciągnęła rękę do kontrolek wjazdu, jednak zanim go otworzyła, Vos zawołał za nią cicho, niezdolny się powstrzymać:

– Hej!

Odwróciła się do niego.

– Co znowu? – W jej głosie nie było chłodu, choć nie brzmiał też łagodnie ani miło.

Co miał jej powiedzieć? Nie bardzo wiedział – a teraz, pod jej czujnym spojrzeniem, nie przychodziło mu do głowy nic sensownego. Wreszcie rzucił:

– Postaraj się nie dać się zabić.

Uśmiechnęła się pod nosem, tak jak się tego spodziewał, jednak wydawało mu się, że tuż przed tym, jak zeszła po trapie, jej rysy twarzy złagodniały, a uśmieszek został zastąpiony przez prawdziwy, ciepły uśmiech.

Wziął głęboki oddech. „Bierz się do roboty” – nakazał sobie i odczekał, aż strażnicy skupią bez reszty uwagę na Ventress, po czym ukradkiem wyślizgnął się

na trap.

Ziton Moj nie wyglądał na zadowolonego.

Nie był zadowolony, kiedy Marg Krim niespodziewanie odrzucił niezwykle lukratywną propozycję fuzji Syndykatu Pyke z Czarnym Słońcem. Jego niezadowolenie wzrosło, kiedy został zmuszony do porwania rodziny Krima, a gdy dowiedział się, że zaledwie dwadzieścia minut temu odbito dwójkę zakładników, wpadł w prawdziwy szal.

Ziton podniósł wzrok na Kurga Utała, gdy adiutant zbliżył się do niego, i natychmiast zorientował się, że Kurg za chwilę jeszcze bardziej go wkurzy.

– Panie Zitonie? – zagadnął Utał i zaczął gestykulować w sposób niebezpiecznie przypominający wyłamywanie palców. – Nie udało nam się znaleźć tych nikczemników, którzy zabrali dzieci.

Ziton westchnął.

– Szkoda. Marg Krim wiedział, jaka kara czeka go za próbę odbicia jeńców. Przygotujcie się do stracenia jego żony.

– Tak, mój pa... – zaczął Utał, jednak przerwał na widok strażników wchodzących do sali. Eskortowali kobietę o krótkich włosach w kolorze jasnoblonde.

– Panie – odezwał się strażnik na czele grupy – emisariuszka Pyke'ów przybyła, aby negocjować uwolnienie więźniów.

Utał i Ziton wymienili czujne spojrzenia, po czym ten ostatni skupił wzrok na kobiecie. To ciekawe, że zjawiała się akurat w tej chwili. Bez dwóch zdań nie była Pykeanką i nie wyglądała z pewnością na żadną „emisariuszkę”. Jej skórzany strój był znoszony, a ją samą otaczała aura wojowniczkii, nie służalczej dyplomatkii.

– Interesujące – mruknął pod nosem, rozsiadając się wygodniej w swoim fotelu, z uprzejmym uśmiechem na ustach. – Nie mogę się wprost doczekać, aż usłyszę twoje postulaty.

– Wybacz – odparła „emisariuszka” – ale wolałabym załatwić wszystko należycie i po kolei. Najpierw chciałabym zobaczyć dzieci i żonę, żeby mieć pewność, że wciąż... – urwała, ostentacyjnie szukając właściwego słowa – ... oddychają.

– Tak jak wspomniałaś, po kolei – zmiłogował ją Ziton. – Możesz zobaczyć żonę, ale jeśli chodzi o dzieci... to będzie musiało poczekać. – Wezwał gestem Kurga,

a gdy ten pochylił się do niego, szepnął: – Trzymaj się dalej naszego planu, ale przyprowadź ją tutaj. Odeślę tę emisariuszkę, o ile rzeczywiście nią jest, z głową Tezzki Krim jako naocznego świadka tego, jak osobiście ją o nią skracam.

– A jeśli to nie żadna emisariuszka?

– To nie ma znaczenia. Tezzka musi umrzeć tak czy inaczej, a ta kobieta wkrótce do niej dołączy.

Wargi Kurga rozciągnął okrutny uśmiech, a oczy zalśniły mu z podziwu dla zmyślności jego pana. Skłonił się, a gdy opuszczał salę, rzucił emisariuszce pogardliwe spojrzenie, jednak wytrzymała spokojnie jego wzrok – nawet nie mrugnęła.

Ziton uśmiechnął się znów do swojego gościa.

– Powiedz mi, moja droga – zagadnął, skubiąc brodę – czy uważasz mnie za głupca?

Zmrużyła błękitne oczy.

– Dlaczego pytasz?

– Wiem, że wykradłaś dzieci.

Jego słowa wzbudziły u niej przekonujące zdziwienie – i wściekłość.

– Co takiego?! Czy chcesz powiedzieć, że zniknęły?

Ziton warknął cicho, gardłowo, i strażnicy eskortujący kobietę stężeli, czujni. Znali aż za dobrze sygnały zwiastujące gniew ich pana.

– Jak długo zamierzamy grać w tę grę?

Była niewzruszona.

– Czy naprawdę sądzisz, że przychodziłabym do ciebie, gdybym je miała? Najwyraźniej nie wiesz, jak dobra jestem w swoim fachu.

Ziton otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wówczas otworzyły się drzwi do cel – stała w nich Tezzka Krim. Niebieskie oczy miała szeroko otwarte i wodziła nimi płochliwie po zgromadzonych. Ziton uśmiechnął się pod nosem. To będzie prawdziwa przyjemność.

– Cóż, oto i ona.

– A oto i ja – odezwał się ktoś i przed Pykeankę wparadował mężczyzna o ciemnej karnacji i włosach, z dziwnym żółtym tatuażem na twarzy, szeroko uśmiechnięty.

Zaskoczenie sprawiło, że Ziton zawahał się na ułamek sekundy, ale zaraz sięgnął po broń. Nim jednak zdążył wystrzelić, obcy z żółtym tatuażem wypalił do

niego, wytrącając mu blaster z rąk.

Tymczasem blondynka zdążyła się już rozprawić z jednym z jego krzepkich falleeńskich strażników i właśnie łamała rękę drugiemu – z przerażającą łatwością. Unikając z gracją, pozornie bez trudu, blasterowych strzałów, ciemnoskóry mężczyzna po kolei wytrącał strzałami broń z rąk pozostałym strażnikom. Osłupiały Ziton przyglądał się, jak intruz niemal radośnie popisuje się, okręcając blastery na palcach, po czym strzela do najbliższej stojącego strażnika i chowa je do kabur.

Falleen był tak bardzo skupiony na nieznanym z żółtym tatuażem, że nie zauważył emisariuszki, nim nie znalazła się niecały metr od niego. Z gniewnym okrzykiem zerwał się z fotela i ruszył na nią. Zamachnął się, żeby zadać cios, jednak jego pięść przecięła tylko powietrze, za chwilę zaś zataczał się już w tył. Kręciło mu się w głowie, a szczęka bolała go od celnie wymierzonego kopniaka. Kolejny uderzył w podstawę jego tronu, na który Ziton bezwładnie opadł.

W momencie, gdy białowłosa zrobiła obrót, żeby zmasakrować twarz strażnika, który zanadto się do nich zbliżył, Ziton stanął znów na nogi, gotowy do ataku. Był świetnie wyszkolony w różnych sztukach walki i umiał po mistrzowsku łączyć style, tak by przeciwnik nie zdołał przewidzieć jego kolejnego ruchu...

Jednak tej blond zarazie w jakiś sposób się to udawało.

Jakby walka toczyła się zgodnie z ustaloną wcześniej choreografią, kobieta blokowała każdy jego cios – od ataku nexu aż po kopniak banthy – z łatwością graniczącą z cudem. Odgłosy uderzeń i jęki płynące z gardeł jego strażników mówiły Zitonowi, że jej towarzysz bez trudu radzi sobie z trzema, a może nawet czterema napastnikami naraz. Kim, do licha, byli ci ludzie?!

Całkiem jakby jego przeciwniczka znudziła się igraniem z nim, przestała się bronić i przeszła do morderczego ataku. Zaczęła go zasypywać gradem ciosów i kopniaków następujących jeden po drugim w piekielnej sekwencji i Ziton poczuł, jak gardło zaczyna mu ścisnąć panika. Unik, parada, blokada, cios...

Wymierzony z przerażającą siłą i precyzją lewy sierpowy sprawił, że świat na moment poszarzał, a za chwilę gardło Zitona znalazło się w żelaznym uścisku. Nie, chwileczkę... Blond furia stała niemal dwa metry od niego! Wyciągała co prawda rękę, palce zaś miała zakrzywione jak szpony w imitacji gestu miażdżenia jego tchawicy, a jednak czuł, że...

Nie zdążył uświadomić sobie, co czuje, bo nagle znalazł się w powietrzu. Zaczął

dziko wierzgać i wić się, sięgając spazmatycznie do gardła, by pozbyć się niewidzialnych szponów, gdy tymczasem kobieta przemówiła niskim, mrozącym krew w żyłach głosem:

– Mam dla ciebie wiadomość od Pyke'ów: nigdy więcej nie mieszaj w to ich rodziny. – Z tymi słowy cisnęła go z powrotem na jego tron – z takim impetem, że mebel aż się przewrócił. Ziton wylądował na podłodze, dysząc ciężko. Kiedy wreszcie uścisk na szyi zelżał, wstał. Niestety, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było nie tylko śladu po nieznanym z żółtym tatuażem i emisariuszce, ale także po Tezzce Krim. Strach zastąpiła fala gniewu – gniewu i wstydu.

Rozmasowując gardło, wykrztusił między kaszlnięciami:

– Zatrzymać ich! Straże! Straaaż!

Gdy strażnicy pełniący wartę na zewnątrz próbowali powstrzymać uciekinierów, jego uszu dobiegły kolejne strzały. Bez wątpienia dwuosobowy zespół ratunkowy był już zmęczony walką z przeciwnikami w sali tronowej. Ziton usłyszał dziwny odgłos, a kiedy wstał, kątem oka dostrzegł błysk światła, od którego zdawały się odbijać promienie energii wystrzelwane przez jego strażników. Czyżby... miecz świetlny?

Rzucił się w stronę walczących – tylko po to, żeby zobaczyć Tezzkę trzymaną za rękę przez emisariuszkę i ciągniętą przez nią po trapie czekającego na zewnątrz statku. Strzały z blasterów trafiały w metalowe poszycie zaledwie kilka centymetrów za ich uderzającymi w nie szybko stopami, dopóki kobiety nie zniknęły wewnątrz.

Wówczas strażnicy skupili się bez reszty na nieznanym z żółtym tatuażem. Odpowiedział, chwytając jednego z nich za ramię i zasłaniając się nim jak tarczą, a potem cisnął go na resztę straży oraz Zitona, zbliżającego się prędko do nich. Gdy dwójka zatoczyła się w tył, utraciwszy równowagę, obcy pognał do statku, który unosił się już w powietrze. Mężczyzna był zmuszony wybić się i skoczyć, aby złapać za skraj podnoszonego już trapu.

Ziton zabrał blaster jednemu z pokonanych strażników i wycelował. Promienie energii przelatowały obok intruza, który jakimś cudem zdołał wspiąć się po trapie i bezpiecznie skryć się wewnątrz statku – w mgnieniu oka.

Nim właz zamknął się za nim i statek odleciał, miał jeszcze czelność pomachać Zitonowi na pożegnanie.

Gdy opadły emocje i adrenalina wywołane brawurową ucieczką, nastąpiło pełne radości i łez powitanie. Ventress słyszała głosiki wykrzykujące: „Mama! Mama!” i ciche szepty łkającej Tezzki, tulącej do siebie dzieci.

– Uwielbiam szczęśliwe zakończenia – westchnął siedzący za jej plecami Vos. Była pewna, że się uśmiecha, słyszała to w jego głosie. – A ty, Asajj Ventress, fantastycznie poradziłaś sobie z Zitonem. Gość nieźle się wkurzył.

W zwykłych okolicznościach, po wypełnionej sprawie misji Ventress gawędziłaby z nim swobodnie, jednak tym razem coś się zmieniło. Między nimi panowało jakieś dziwne napięcie, a ona czuła się... zdezorientowana.

Tak jak mu wcześniej powiedziała, nie łączyła interesów ze sprawami prywatnymi, z przyjemnościami. I chociaż prawdą było, że jej życie wypełniały głównie interesy, to przyjemności także się trafiały, od czasu do czasu – jednak nic nie wykraczało poza jednorazowe spotkania. I nigdy, przenigdy nie mieszała w to kogoś, z kim pracowała i kogo szanowała.

Nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z zupełnie jej obcymi emocjami, jakie wywołał w niej dotyk jego dłoni. Była samotna – i dzięki temu silna. Nie musiała się martwić o życiowego partnera ani o dzieci, tak jak Tezzka tuląca właśnie swoje pociechy – więc po prostu nie odpowiedziała. Vos spróbował ponownie ją zagadnąć, ale wreszcie dał za wygraną i zamilkł.

Reszta podróży upłynęła im w ciszy.

Kiedy „Banshee” osiadła na platformie lądowniczej Oba Diah, Vos poprosił ją, żeby poszła do herszta syndykatu sama. Stwierdził, że zostanie na pokładzie, żeby przygotować statek do startu, podczas gdy ona odbierze zapłatę. Maluchy błagały go, by im towarzyszył, ale uśmiechnął się tylko i przytulił je na pożegnanie.

To nie było w stylu Quinlana Vosa, którego Ventress знаła. Czegoś tu brakowało. Z pewnym skrepowaniem przyjęła podziękowania Marga Krima, a potem – ze zdecydowaniem mniejszym – pokaźną sumkę kredytów.

Gdy wróciła, Quinlan poinformował ją, że wkrótce będą musieli zatankować.

– A po tym całym bieganiu w skwarze chętnie bym się czegoś napił – dodał porozumiewawczo. Brzmiał znów jak dawny Vos i uśmiechał się szeroko, jednak spojrzenie miał dziwnie nieobecne. A więc tak zamierzał to rozegrać... Cóż, w porządku.

– Łap! – zawołała i rzuciła mu torbę z połową kredytów.

Złapał ją zwinnie, ale zlustrowawszy jej zawartość, zmarszczył czoło.

– To za dużo.

– Marg Krim był zadowolony. Tak bardzo, że podwoił zapłatę.

– Ekstra – skwitował. – Więcej do przepuszczenia w knajpie. Lecimy? – Jego entuzjazm wydawał jej się wymuszony.

Ściągnęła brwi, ale nie odezwała się ani słowem. Nie lubiła być poganiana i starała się nie wywierać presji na swoim partnerze. W milczeniu wpisała w komputer współrzędne pobliskiej planety.

Ledwie opuścili atmosferę, w pobliżu z nadprzestrzeni wyskoczyło kilkanaście statków. Asajj otworzyła szeroko oczy – stanowiły zbieraninę myśliwców i fregat typu Interceptor, wszystkie zaś były przyozdobione brzydkim, charakterystycznym symbolem słonecznej korony okolonej szpikulcami promieni, ze sferą umieszczoną w środku niczym wszystko widzące oko – symbolem Czarne Słońca.

– Nie... – jęknął zduszonym głosem Vos. – Tylko nie to...

Ventress zobaczyła oczyma duszy tulące się do niego dzieci, przelotnie przypomniała sobie dotyk drobnych rączek Laalee na swojej szyi i ramionach, gdy biegła.

A potem, ponieważ nie mogła zrobić nic innego, aktywowała hipernapęd i „Banshee” skoczyła w nadprzestrzeń.

Wylądowawszy, od razu skierowali kroki do baru. Vos wyzutym z emocji głosem złożył zamówienie, wychylił szybko drinka i poprosił o następnego.

Ventress sęczyła własny trunek w milczeniu. Chociaż się nie odzywała, widział, że ukradkiem go obserwuje. Starał się nie okazywać emocji, ale wiele go to kosztowało i pod maską obojętności cierpiał. Czyżby Czarne Słońce ich śledziło? Nie, wiedzieli, gdzie mieszkają Krimowie. Bez trudu porwali Tezzkę, Laalee i Vrama. Zjawili się po prostu, żeby dokończyć swoje dzieło. W głębi duszy wiedział, co się wydarzy. Czarne Słońce ich zabije, pozwalając, by Marg Krim patrzył na ich śmierć, próbując jednocześnie walczyć o życie.

Zabolała go pięść. Gdy spojrzał na nią, mrugając nieprzytomnie, zorientował się, że rąbnął ją o bar. Powoli podniósł głowę. Wszyscy się na niego gapili. Nagle nie był w stanie znieść towarzystwa innych ludzi. Wychylił kolejnego drinka, czując palący ból, gdy alkohol spłynął mu do żołądka, rzucił na ladę kilka kredytów i odwrócił się do Ventress.

– Przejdźmy się – zaproponował.

Podniosła brew, ale bez słowa ruszyła za nim.

Na planecie, na której wylądowali, wstawał właśnie świt i ulice były opustoszałe. W oczyszczającym świetle pierwszych promieni słońca wszystko wydawało się nowe i świeże – nawet to, co podniszczone, zepsute i brudne.

Vramowi i Laalee nie będzie jednak dane oglądać kolejnego wschodu słońca.

Wiedziony nagłym impulsem, Quinlan wydobył zza pazuchy sakiewkę z kredytami i wyciągnął w stronę Ventress.

– Trzymaj. Zasłużyłaś na nie.

Przyjrzała mu się uważnie, ale nie wzięła pieniędzy.

– Nie zostawiaj mnie teraz, Vos – powiedziała cicho. – Dopiero co zaczęliśmy tworzyć zgrany zespół.

– Nie gramy w tej samej lidze – odparł. Nie wiedział za bardzo, co chciał powiedzieć, jednak słowa same popłynęły z jego ust, jakby wstrzymywał je zbyt długo i jakby nadeszła chwila, w której wyrwały się na wolność. – Do sprawnego działania w zespole potrzebne jest zaufanie. A ja... Nie byłem z tobą szczery, jeśli chodzi o moją tożsamość. – Wziął głęboki oddech. – Asajj, ja... Jestem Jedi.

Rozdział trzynasty

– Wiem – odparła Ventress.

Tego się nie spodziewał. Patrzył na nią osłupiały.

– W-wiesz? Skąd?

Obdarzyła go uśmiechem nieco łagodniejszym niż zwykle.

– Nie jestem głupia. Widziałam, co potrafisz. Ten błyskawiczny refleks... Tamten upadek na Mustafarze? Powinieneś być wówczas zginąć. I Vram także.

– Och...

– Dlaczego? – spytała krótko.

Przymknął oczy, próbując pozbierać myśli i zdecydować, jak wiele może jej powiedzieć. Odpowiedź nadeszła szybko – jasna i prosta: wszystko.

– Rada Jedi poleciła mi zabić hrabiego Dooku. Stwierdzili, że najlepszym sposobem na to będzie zaangażowanie ciebie.

Skrzyżowała ramiona na piersi, jednak sprawiała wrażenie bardziej zaciekawionej niż wkurzonej.

– Mów dalej.

Więc mówił. Wyjaśnił jej, że Rada Jedi, a także on, wiedzieli, że Dooku odtrącił ją i próbował ją zabić. Wiedzieli także, że zna go lepiej niż ktokolwiek inny. Że próbowała sama zabić swojego byłego mistrza – i dwukrotnie jej się to nie udało. Że mistrz Yoda uznał, że działając w duecie, ona i Vos mogą odnieść sukces.

Słuchała, nie przerywając mu. Kiedy wreszcie zamilkł, powiedziała:

– Jestem zaskoczona, że Rada Jedi zdecydowała się na taki krok. Nie żebym go nie pochwałała. To jednak dla Jedi duże ryzyko: posunięcie się do zabójstwa. Przyglądałam się, z jakim trudem przychodzą ci pewne... rzeczy, które robiliśmy, Vos. I zaufaj mi, widziałeś tylko bardzo łagodną wersję tego, z czym zazwyczaj łączy się fach łowcy nagród. – Pokręciła głową. – Twoja Rada Jedi nie zdaje sobie w pełni sprawy z tego, czego będzie wymagało osiągnięcie tego celu.

– Zrobię to. Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi za to zapłacić.

– Doceniam twoją pewność siebie – odparła. Po jej pełnych wargach błąkał się cień uśmiechu. – A także – dodała, poważniejąc – twoją szczerość. Rzadko spotykam u kogoś obie te cechy. Jesteś kimś wyjątkowym, Vos. Jednak Dooku... Nie jestem pewna, czy jesteś gotowy na ten rodzaj walki.

– W takim razie przygotuj mnie. Właśnie po to wysłała mnie do ciebie Rada. Zaczęła się od niego odwracać.

– Nie wiesz nawet, o co prosisz.

Gdy wiedziony impulsem złapał ją za ramię, powiodła czujnie, niemal nieufnie, wzrokiem od jego dłoni do twarzy.

– W takim razie powiedz mi. Spraw, żebym zrozumiał.

Odwróciła się znów do niego, patrząc mu w oczy.

– To będzie wymagało od ciebie porzucenia niemal wszystkiego, co wiąże się z byciem Jedi. Jednak wstąpiłeś już na tę ścieżkę, jak sądzę. Mimo to twój żal z powodu śmierci Krimów nie świadczy o tym, że jesteś obojętny.

Zmarszczył czoło.

– Jedi nie wyzbywają się emocji. Wolno nam rozpaczać.

– Może i tak – zgodziła się. – A jednak mam dziwne wrażenie, że większość Jedi nie stara się zagłuszyć bólu alkoholem i waleniem pięścią w stół.

– Nie – przyznał Vos. Jej słowa dotykały sedna bardziej, niż śmiałyby przyznać. Jedno mógł jej jednak wyznać: – Ja... Ta wojna, Ventress... – Pokręcił głową. – Rada ma rację. Trwonimy na nią wszystkie nasze środki, a ona jest jak bezdenna otchłań. Jesteśmy zbyt zajęci, by interweniować we wszystkich sytuacjach kryzysowych. Jesteśmy Jedi, nie generałami. Powinniśmy zwalczać organizacje takie jak Czarne Słońce, robić coś, co uczyni różnicę. Dooku to uosobienie tej wojny. Kiedy zginie, skończy się i ona. Bez niego Jedi znów będą mogli naprawdę pomagać ludziom, robić coś, co przyczyni się do trwałej różnicy. Coś więcej niż tylko wyrwykowa pomoc tu i tam, która... – urwał i przełknął głośno ślinę. Uświadomił sobie, że wpija palce w jej ramię. Wydawała się tego nie zauważać, ale zmusił się do rozluźnienia chwytu i wziął głęboki oddech. – A więc... Tak, chcę, żeby Dooku zginął. Jego śmierć wszystko naprawi.

Położyła mu dłoń na piersi. Pod dotykiem jej palców serce zabiło mu szybciej – i wiedział, że ona także to czuje.

– Będziesz musiał uczynić to swoje miękkie serce twardszym – powiedziała łagodnie.

– Zrobię wszystko, cokolwiek będę musiał. Stanę się kimkolwiek trzeba. Zrobię to.

Przyglądała mu się przez chwilę spokojnie, a potem stwierdziła:

– To się jeszcze okaże.

Siedzący w pograżonym w półmroku barze na poziomie tysiąc trzysta trzynastym Obi-Wan Kenobi oparł się chęci sprawdzenia ponownie godziny. Wiedział, że Vos się spóźnia – nie musiał przekonywać się, jak bardzo. Ta informacja tylko wzmogłaby jego irytację.

Pod wieloma względami Vos nadawał się idealnie do wypełnienia tej misji. Miał smykałkę do szybkiego i łatwego wkradania się w czyjeś łaski.

Jednak Asajj Ventress nie była pierwszą lepszą osobą. O, nie, była kimś znacznie więcej. Kimś niezwykłym – wrogiem, którego Kenobi podziwiał. A jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, teraz ich sojusznikiem.

Wziął głęboki oddech, sięgając po Moc, aby uspokoić swoje rozdrażnienie, gasząc je niczym ogień wodą. Pomogło, a chwilę później ujrzał wchodzącą do baru znajomą postać, która skierowała kroki do jego stolika.

– Spóźniłeś się – powiedział bez zbędnych wstępów, po czym dodał z naciskiem: – Znowu.

Vos błysnął zębami w swoim firmowym uśmiechu.

– Hej, przynajmniej jestem konsekwentny! – Usiadł na krześle, położył nogi na stole i splótł dłonie za głową, czując się najwyraźniej jak u siebie.

– Jak misja?

– Poczyniłem prawdziwe postępy. Tak jak było w planie. – Czubkiem buta postukał w pustą szklanę i podniósł pytająco brwi. Kenobi westchnął i sięgnął po butelkę.

– Żadnych problemów z naszą nową „przyjaciółką”? – spytał, nalewając Vosowi.

– Nic z tych rzeczy. W rzeczywistości okazała się całkiem pomocna. Twierdzi, że zna kogoś w Sojuszu Separatystów, kto ma wobec niej dług. Odezwą się do niej, gdy dowiedzą się, gdzie pokaże się Dooku w najbliższym czasie.

Kenobi pchnął szklanę po stole, a Vos złapał ją tuż przy krawędzi blatu.

– Ufasz jej?

Gdy Quinlan wychylił drinka i otarł usta wierzchem dłoni, Obi-Wan poczuł dziwne mrowienie – ogarnęło go wrażenie, że coś jest nie tak. Vos zbyt długo zwlekał z odpowiedzią, jednak zauważyłby to tylko Jedi – i to taki, który dobrze go znał.

– Tak – powiedział wreszcie Kiffar. – Ufam. – Pchnął szklanę z powrotem do Kenobiego, prosząc o dolewkę.

Obi-Wan przyjrzał mu się uważnie. Pod warstewką niezachwianej pewności

siebie Vos sprawiał wrażenie... bezbronnego.

– Uważaj, Quinlanie – ostrzegł go łagodnie. – Ventress to biegła manipulatorka. Nie zawaha się przed wykorzystaniem twojego zaufania przeciwko tobie, jeśli posłuży to jej własnym egoistycznym celom. – Przesunął do niego napełnioną szklankę. Vos złapał ją i spojrzał mu w oczy.

– Jest wobec mnie... lojalna.

Kenobi pomyślał, że to dziwny dobór słów, i znowu poczuł ukłucie niepokoju, jednak nie był w stanie nic na to zaradzić. Ostrzegł Vosa – i nie mógł zrobić nic poza tym. W końcu miał do czynienia z mistrzem, który bywał w podobnie ryzykownych sytuacjach więcej razy niż on sam.

Poprzestał więc na stwierdzeniu:

– Na razie.

Stuknęli się szklankami i opróżnili je, po czym Obi-Wan postawił swoją na stoliku, wstał, założył hełm i klepnął Vosa na pożegnanie w ramię.

Odchodząc, nie mógł się jednak wyzbyć złych przeczuc.

Ventress wpisała w komputer pokładowy współrzędne świata, na który nigdy nie planowała wracać – jednak wiedziała, że to odpowiednie miejsce na rozpoczęcie szkolenia Vosa.

Wyczuł, że chce być sama, i uszanował to, chociaż znając go, wiedziała, że pewnie zżera go teraz ciekawość. Gdy wyskoczyli z nadprzestrzeni i iluminator wypełniła sfera czerwonej planety, Asajj poczuła tępy, gorzki ból, który – jak wiedziała – tylko się nasili w miarę rozwoju sytuacji.

Sprowadziła „Banshee” do lądowania pod powykręcanymi, poczerniałymi kikutami, będącymi niegdyś osiemdziesięciometrowymi drzewami. Kilka z nich ocalało z płomieni i na niektórych wciąż wisiały cierpkie owoce. Siedziała przez chwilę w sterowni, otwierając się na ból, pozwalając, by ciął jej duszę niczym nóż wrażliwe wnętrze dłoni. Żal, nienawiść i poczucie winy skapywały z niej niczym krew. Od rzezi nie minął nawet rok – rana wciąż była świeża i otwarta.

Nie odzywając się do Vosa ani słowem, wstała, podeszła do drzwi, otworzyła właz i opuściła trap. Ruszył za nią, spoglądając najpierw na nią, a potem na czerwony, mglisty świat. Nagle zamarł. Przypuszczała, że to pod wpływem energii ciemnej strony, przesycającej jej ojczyznę – wyczuwał, jak jest silna i jak głęboko sięga.

– Czy pamiętasz tamten wieczór, kiedy piliśmy whiskey Lassie Rhayme? – spytała go cicho. Pokiwał głową. – Zapytałam cię wówczas, jaka jest twoja historia, a ty powiedziałeś, że jej nie masz. Czy pamiętasz, co odpowiedziałam, gdy zadałeś mi to samo pytanie?

– Powiedziałaś, że masz ich kilka, jednak żadna z nich nie skończyła się dobrze – odparł równie cicho.

– Zamierzam teraz podzielić się z tobą jedną z nich – powiedziała głosem bardziej niż zwykle zachrypniętym od emocji. – O siostrzanej więzi. I o dziewczynie, której ją odebrano... i która wróciła do domu. – Ruszyła przed siebie pośród bladych cieni i usłyszała, jak Vos zaczerpuje gwałtownie tchu, gdy dostrzegł szkielety czegoś więcej niż tylko drzew. Żaden z nich nie był nietknięty – padlinożercy zrobili swoje, jednak tu i tam dało się dostrzec trudny do pomylenia z czymkolwiek innym kształt ludzkiej czaszki.

– Kiedy byłam dzieckiem – zaczęła – mój klan został zmuszony do przekazania mnie w ręce przestępcy. Zostałam jego niewolnicą, jednak okazał się zaskakująco łagodnym panem. Zginął, gdy byłam jeszcze młoda, podczas ataku weequayskich najeźdźców. Uratował mnie rycerz Jedi nazwiskiem Ky Narec, który wyczuł, że jestem silna Mocą. Został porzucony na Rattataku i wziął mnie pod swoje skrzydła. Wziął mnie na padawanę.

– Szkolił cię Jedi? – Vos wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

Kiwnęła głową i przez chwilę zaciskała w milczeniu szczęki. Serce ścisnęła jej ból, przed którym nie próbowała się bronić.

– Przez dziesięć lat pomagaliśmy ludowi Rattataka. Byliśmy bohaterami... cóż, przynajmniej dla większości. Dla niektórych stanowiliśmy wrogów.

– Jedi zawsze są dla kogoś wrogiem – zauważył gorzko Vos.

– Narec zginął na moich oczach. Jego także zabili Weequayowie – ciągnęła. Opowiadanie o tym było jak przerwanie tamy i teraz jeszcze mocniej poczuła ból, który nigdy jej do końca nie opuszczał. A także pokrzepiający chłód nienawiści. – Pewnie zauważyłeś, że ich nie lubię. Poprzysięgam zemstę i dopełniłam jej. Wkrótce członkowie gangu byli martwi, a ja zajęłam ich miejsce. To właśnie na Rattataku znalazł mnie Dooku. Ja zaś znalazłam jego. – Wzruszyła ramionami. – Nienawidziłam Jedi za to, że porzucili mojego mistrza, a Dooku chciał mnie wziąć na swoją uczennicę, wyczuwszy przepełniające mnie gniew i gorycz. To było dobre połączenie.

– No to... co się zmieniło?

Gdy przywołała w pamięci słowa Dooku, jej wargi wykrzywił gorzki grymas.

– Porzucił mnie bez słowa wyjaśnienia. Powiedział, że zawiodłam go ostatni raz, i zostawił mnie na pewną śmierć. Ale przeżyłam. I jemu także poprzysięgam zemstę. Wiedziałam, że będę potrzebowała sprzymierzeńców, jeśli ma się to udać. Dlatego właśnie wróciłam do domu. – Wskazała szerokim gestem okolicę. – Domu Sióstr Nocy, w którym zostałam przyjęta z otwartymi rękami i w którym przywódczyni naszego klanu, Matka Talzin pomogła mi uknuć zemstę. Dwukrotnie próbowałam zabić Dooku. I dwukrotnie poniosłam klęskę. – Zwróciła się do Vosa i spojrzała mu twardo w oczy. Wiedziała, że wyczuwa przesycające to miejsce głębokie cierpienie. Wbił wzrok w ziemię, wpatrując się w szczątki łuku jednej z Sióstr Nocy.

– To na Dathomirze zdobyłaś swój łuk, prawda? – Kiwnęła głową bez słowa. – Nic dziwnego, że jest dla ciebie tak ważny. – Pochylił się, podniósł z szacunkiem resztki broni... i niemal się zachłysnął. Jego czoło zrosił pot, a wszystkie jego mięśnie napięły się w bolesnym bezruchu. Otworzył szeroko oczy, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w coś widocznego tylko dla niego...

Szczątki łuku wypadły mu z drżących palców, gdy cofnął się o krok.

– Przepraszam – wymamrotał, gdy doszedł już nieco do siebie. – M-mój talent, psychometria... Kiedy trzymam jakiś przedmiot i skupię się na nim dostatecznie mocno, czasem widzę rzeczy, które wydarzyły się z jego udziałem. I czasami... czasami czuję, co się stało.

– W takim razie wiesz, że to Dooku był odpowiedzialny za masakrę – powiedziała cicho. – To wydarzyło się tej samej nocy, której przesłam rytuał pasowania na Siostrę Nocy. Dooku przysłał tu generała Grievousa ze swoją armią. Stawiliśmy im czoło. Wykorzystałyśmy naszą magię... i wezwałyśmy zmarłych. – Wskazała kępę drzew, których nie tknął ogień, i saki zwisające z nich niczym wielkie łzy. – Zawierają ciała moich sióstr – wyjaśniła, po czym wyciągnęła dłoń i pogładziła gładką skórzastą powierzchnię. – Mówiono mi, że gdy któraś ginie, odprawia się rytuał ku czci jej pamięci. Kąpie się ją w świętej sadzawce, a potem zamyka w takiej łupinie. W ten sposób na zawsze zostaje z nami. Nie żyje, jednak jest skryta w czymś żywym, pełnym energii. Jest zawieszona między niebem a ziemią, bo tak naprawdę nie przynależy do żadnego z tych światów. Zawsze jest w pobliżu, wciąż należąc do klanu. Powiadają, że nasze zmarłe siostry cieszą się

z naszych radości i dzielą z nami smutek. I że pewnej nocy... staną u naszego boku podczas walki. – Wskazała na rozrzucone wokół szkielety, przez chwilę niezdolna wykrztusić słowa. – Ale ja... Nie znam tajemnic ceremonii grzebania poległych, a nie został już nikt, kto mógłby się nimi zająć....

– Asajj... – szepnął czule Vos i wyciągnął rękę, by dotknąć delikatnie jej ramienia. – Tak bardzo, bardzo mi przykro...

Przez jeden ulotny moment pozwoliła, by prosta szczerłość jego słów i ten gest niemal ją rozrzewniły, jednak szybko odegnała od siebie tkliwość, nim opanowała ją na dobre. Przyproceedziła tu Vosa, aby uczyć go o nienawiści, uczynić dość silnym Mocą, by stawił czoła Dooku – nie żeby ją pocieszał. To był jedyny sposób. Żywiła dziwne przekonanie, że Dooku może zabić tylko ktoś o sercu przesiąkniętym nienawiścią. Dlatego otrząsnęła się i zwróciła do Quinlana.

– Nie współczuj mi. To słabość. Daj upust swoim uczuciom, Vos. Nie wstrzymuj ich. Poczuj obecność moich sióstr, ich strach, cierpienie, nienawiść... To właśnie tego musisz się nauczyć, jeśli ma nam się udać.

Wyczuwając obecność istoty żywej, odwróciła się ku jednej z osmalonych gałęzi. Wokół niej owinął się czarny wąż, długi na około pół metra – wysuwał swój rozdwojony język, smakując jej zapach. Bez lęku dotknęła jego umysłu i przyzwała go do siebie. Posłuchał, wpełzając po jej lewym ramieniu na szyję. Dotyk jego języka za uchem łaskotał.

– Nienawiść? – Vos roześmiał się z przymusem. – To raczej nie ścieżka Jedi.

Nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę przyglądała się, jak wąż pełźnie z jej szyi na drugie ramię, a potem podniosła głowę i spojrzała na Vosa, wpatrując się twardo w jego zmrużone oczy.

– Tak jak cię ostrzegałam... jeśli mamy pokonać Dooku, nie możemy postępować jak Jedi. – Podniosła prawą rękę, wąż zaś posłusznie zaczął się owijać wokół niej. Przysunęła go do twarzy, zatrzymując zaledwie kilka centymetrów od niej.

Nienawiść...

Wąż zasyczał gniewnie i szarpnął się gwałtownie. Vos chciał interweniować, Asajj podniosła jednak lewą rękę, powstrzymując go.

– Kiedy Ky Narec został zabity, bez reszty pogrążyłam się w nienawiści. – Wąż zaczął się rzucać jeszcze gwałtowniej. Ventress syciła się jego strachem: zacisnęła w powietrzu wolną rękę, podczas gdy Moc wysysała z gada życie. – Nienawiść

dała mi dostęp do zdolności, które Jedi uznają za zbyt... wynaturzone. Jednak Sithowie wiedzą, że ścieżka do nienawiści to ścieżka do władzy absolutnej. – Ciało węża zwiotczało i Asajj pozwoliła, by opadło bezwładnie na ziemię. Vos przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym zaczął mówić, nie spuszczać z niego wzroku:

– Ja... Wiem, co czujesz. Ja także straciłem swojego mistrza. Zginął w początkach wojny. Trudno mi było wyzbyć się emocji, gniewu, który wzbudziła we mnie jego śmierć. I rozumiem także twoje poczucie winy. – Urwał na chwilę, sznurując wargi, jakby chciał powstrzymać cisnące mu się na usta słowa. – Tamtego dnia miałem mu towarzyszyć, jednak zamiast tego Rada wysłała mnie na samotną misję. – Oczy mu pociemniały, a ciało stężało, gdy podjął: – Nie mogłem się wyzbyć przeczucia, że gdybym tam wówczas był, ocaliłbym mistrza Tholme'a. – Wciąż sycąca się cierpieniem węża Ventress zauważyła, że głos Vosa nabrzmiewa nienawiścią.

– Pamiętam tę bitwę – powiedziała, przesyłając mu poprzez Moc zachętę do zanurzenia się głębiej w to uczucie.

Poderwał gwałtownie głowę i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Byłaś tam?

Zbyt późno uświadomiła sobie swój błąd. Nagle w jej sercu wezbrał obcy jej strach. Gdyby Vos wiedział... Nie. Zdoła to naprawić – wykorzysta jego uczucia do niej, aby tego dokonać.

– Nie – skłamała gładko. – Dooku chwalił się nią przede mną. To właśnie on zabił twojego mistrza. Zachował nawet miecz świetlny Tholme'a jako trofeum.

Twarz Vosa wykrzywił grymas bólu. Uwierzył jej bez zastrzeżeń, co przyjęła z ulgą, bo wyczuła u niego przypływ gniewu.

– Nie wiedziałem o tym – wymamrotał. – Rada nigdy mi nie powiedziała...

Uświadomiła sobie, że właśnie utwierdziła jego zaufanie do niej, dając mu osobisty powód do zemszczenia się na Dooku, a także wznieciła iskrę żalu wobec Rady – a to wszystko dzięki kilku dobrze dobranym słowom, dzięki zdradzieckiej mocy ciemnej strony.

– Pozwól, by twój gniew cię prowadził – wymruczała ochryplym głosem. – Żal po stracie mistrza...

Gdy przemówił, patrząc jej w oczy, głos mu się łamał:

– Szkolono mnie, bym trzymał się z dala od podobnych emocji.

– Bo byłeś Jedi – odparła.

Skrzywił się, słysząc, że użyła czasu przeszłego.

– Ja... Wciąż jestem...

Podeszła do niego bliżej, nie spuszczając z niego ani na chwilę wzroku. Drżał. Ku własnemu zaskoczeniu, zdała sobie sprawę, że ona także dygocze – nie była jednak w stanie stwierdzić dlaczego. Pogłaskała go drżącą ręką po policzku, dziwnie intensywnie odczuwając pod palcami szorstkość jego zarostu. Vos przymknął oczy i wtulił się w jej dłoń. Jego ciepły, przyspieszony oddech owionął jej nadgarstek.

– Są również inne emocje, przed którymi Jedi mają się wzbraniać – wyszeptała.

– Czy je także odrzucisz?

Otworzył oczy – głębokie, ciepłe, brązowe – i wpatrywał się w nią przez długą chwilę, a potem, z jękiem udręki i pożądania, jakby coś w nim pękło, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Rozdział czternasty

Kolejne dni Vosa przepelniał natłok emocji, od których jego głowa i serce pogrążyły się w chaosie. Ventress odkrywała przed nim zupełnie nowe płaszczyzny bytu – uczucia o nieznanym mu dotąd głębi, intensywności i ostrości. Obudziła w nim głód, o jaki nigdy by siebie nie podejrzewał – chociaż teraz dotarło do niego, że inni Jedi musieli o tym wiedzieć. Dorastając, przyzwyczyił się, że nazywano go „nieortodoksyjnym” czy „nietypowym” z powodu radości, jaką czerpał z korzystania ze swoich zdolności płynących z Mocy. Nic dziwnego, że Zakon Jedi zakazywał przywiązania i pogłębiania uczuciowych więzi. Któż bowiem, zasmakowawszy tego, co Quinlan Vos dzielił teraz z Asajj Ventress, dobrowolnie by się tego wyrzekł?

Upajał się łączącą ich namiętnością, celebrował słodycz płynącą z prostej możliwości wyciągnięcia dłoni i pogładzenia jej policzka oraz świadomości, że sprawia jej to przyjemność. Zdał sobie sprawę, że uczucia, którym tak ochoczo dał upust, trwały w nim, uspięne, przez długi czas – być może od dnia, w którym spotkał ją podczas tego emocjonującego, frustrującego i zabawnego pościgu za Volpaiem. A już na pewno od chwili, kiedy opatrzyła jego ranę po tym, jak uratowali małych Krimów. I za każdym razem, kiedy trzymał ją w ramionach, był przekonany, że ona podziela te uczucia.

Kiedy rozpoczęli jego szkolenie, mające przygotować Vosa na stawienie czoła Dooku, Ventress powiedziała mu, że będzie go szkolić tak, jak szkoliłaby Siostrę Nocy.

– Rozmawiałam z Karis i Naa’leth – poinformowała go. – Opowiedziały mi, jak to wyglądało w ich przypadku. Siostry Nocy znają ciemną stronę lepiej niż ktokolwiek inny. Dorastamy, zanurzone w niej, jednak umiemy używać jej jak narzędzia i pozostać sobą – w przeciwieństwie do Sithów. Musisz się nauczyć zachowywać tę równowagę.

Rozbili obozowisko. Z szacunkiem zgromadzili szczątki poległych sióstr Asajj i pogrzebali je z należytą dbałością, a następnie zabrali się do budowania siły i zwinności Vosa. Wyruszyli na wyprawy, podczas których Quinlan oswajał się z koniecznością zabijania dla zdobycia pożywienia, długie biegi zwiększały zaś jego wytrzymałość. To właśnie podczas jednego z nich miał okazję przyjrzeć się

przelotnie domowi Ventress.

Wcześniej widział majaczące w oddali wysokie, czerwone góry, ale Asajj zawsze kierowała go podczas wspólnych przebieżek w przeciwną stronę. Pewnego ranka pobiegli jednak ku wzgórzom.

Szczyt góry rósł w oczach, gdy się do niego zbliżali, ale potężne drzewa przesłaniały jej zbocza, dopóki niemal się na nie nie wspięli. Las w tym miejscu był jeszcze bardziej zniszczony niż w okolicy, w której Ventress posadziła „Banshee”. Vos czuł, jak temperatura spada, a jego jaźń muskają echa bólu Sióstr Nocy.

Ventress prowadziła, jednak teraz zwolniła tempo. Wzięła go za rękę i poprowadziła między drzewami na polanę.

Quinlan rozejrzał się, zdumiony – to nie była zwykła góra, tylko forteca wykuta w jej wnętrzu. Wyciosano w niej potężne posągi kobiet o ramionach wzniesionych nad głowy, jakby podtrzymywały ciężar konstrukcji. Były ich niezliczone rzędy, znikające wysoko pośród cieni sztucznej jaskini. Niektóre leżały skruszone na ziemi – niemi świadkowie ataku, jaki pochłonął klan Ventress. Było tu jeszcze więcej szkieletów, między którymi dało się dostrzec porzrzucone części droidów.

Posągi robiły niesamowite wrażenie, jednak to potężna płaskorzeźba w ścianie górskiej fortecy zaparła Vosowi dech w piersiach – stylizowana twarz kobiety o otwartych ustach, formujących wejście do kamiennej... budowli? Skalnego tworu? Jaskinia tak perfekcyjnie harmonizowała z otoczeniem, że trudno było stwierdzić, gdzie zaczyna się naturalna przestrzeń, gdzie się zaś kończy dzieło ludzkich rąk.

– Co... – zająknął się głosem chrapliwym z nieskrywanego podziwu. Odchrząknął. – Co jest w środku?

Ventress stała w milczeniu, przypatrując się płaskorzeźbie.

– Moja wioska – wyznała cicho. Oczy miała suche, ale jej ból był niemal namacalny. Vos ścisnął pokrzepiającym gestem jej ramię, ale pokręciła głową. – Nie – zaprotestowała. – Żadnego współczucia. Tylko świadomość, że Dooku zniszczył wszystko, co było mi drogie. Nie jesteś jeszcze gotów wejść do środka. Jednak kiedy ta chwila nadejdzie... – Podniosła na niego wzrok. Spojrzenie miała twarde, zimne. – Lepiej miej pewność, że zdołasz stamtąd wyjść.

Ventress milczała przez całą drogę powrotną, a przez resztę dnia była cicha,

zamknięta w sobie. Nie był tym zaskoczony. Dała mu jasno do zrozumienia, że nie zbliżali się wcześniej do fortecy między innymi z tego właśnie powodu – jej widok wzbudził w niej falę świeżego bólu.

Vos znał nieco szczegółów z historii Ventress – przynajmniej te fakty, które interesowały Jedi – jednak w życiu tej niesamowitej kobiety było zdecydowanie więcej niż tylko nauka pod okiem Dooku, a potem etap otwartej wrogości wobec niego. Gdy chwilami traciła czujność, dostrzegał u niej przebliski dziecięcej niewinności, którą dawno utraciła – i w tych momentach jeszcze głębiej zatracił się w... Cóż, czymkolwiek było uczucie, które do niej żywił.

Gdy wrócili do obozowiska w pobliżu „Banshee”, zapowiedziała mu, że dziś sama uda się na polowanie. Popołudnie spędził, czyszcząc i przeglądając ich broń, a gdy wróciła z dwoma średniej wielkości veekami, czekał już na nią przy ognisku. Parę chwil później czerwono opierzone ptaki, oskubane i wypatroszone, skwierczały na ogniu, a powietrze przesycił apetyczny zapach pieczystego.

Kiedy skończyli posiłek i posprzątali po nim, Ventress wciąż pozostawała zamyślona i milcząca. Oparli się o poczerniały pień drzewa, blisko siebie, ale nie stykając się ciałami. Vos czekał cierpliwie, aż wreszcie Asajj się odezwała:

– Pamiętasz dzień, w którym tu przylecieliśmy? – spytała, odwracając się, żeby na niego spojrzeć. W jej oczach migotał blask płomieni.

– Nigdy tego nie zapomnę. – Sięgnął do jej policzka i pogłaskał go czule. Złapała jego dłoń i odsunęła od siebie, delikatnie, ale stanowczo.

– Miałam na myśli węża.

Uwolnił dłoń z jej uścisku i kiwnął głową. Wiedział, że tego również nigdy nie zapomni – widoku Ventress przyzywającej węża, a potem duszącej go Mocą, podczas gdy gad wił się i prężył w jej niewidzialnym uścisku. Pamiętał też, jak mówiła o śmierci jego mistrza... i tym, że to Dooku zabił Tholme’a.

Poczuł w żołądku gniew – palący i lodowaty jednocześnie. Ventress wyczuła go i kiwnęła z aprobatą głową.

– Dobrze, Vos. Teraz potrafisz na zawołanie dotykać ciemnej strony. Jednak czym innym jest odczuwanie tych emocji: wściekłości, nienawiści, bólu, a czym innym ich wykorzystywanie. Musisz wyzbyć się współczucia i skupić na nienawiści.

– I... użyć ich przeciwko istocie żywej.

– Właśnie.

Wyciągnęła rękę i skinęła nią. Vos dostrzegł rozmigotane płomienie, odbite w zimnych oczach i za chwilę w ich polu widzenia pojawił się wezwany przez Ventress gad. Zwinął się w pierścień, utkwivszy oczy w Jedi. Vos przyglądał mu się ze smutkiem. Chociaż w pełni i skwapliwie przyjmował to, co czuł do Ventress, świadomie zatracając się w odczuwaniu namiętności i głębokiej więzi... To było coś zupełnie innego. Nawet gdyby nie był Jedi, wstrętą byłaby mu myśl o bezsensownym zabijaniu. A tym właśnie było uśmiercanie zwierzęcia stanowiącego nierozzerwalną część Mocy, całkowicie nieświadomego istnienia dobra czy zła, które w tej chwili nie było dla niego zagrożeniem – tylko po to, by zrobić kolejny krok na ścieżce prowadzącej ku mrokowi.

Jednak to właśnie była misja, którą mu powierzono, czyż nie? Tu nie chodziło o schwytywanie hrabiego Dooku albo pokonanie go w uczciwej walce – od początku mówili o zabójstwie. Wiedział, że dzięki temu przetrwają miliony niewinnych istot, które w innym wypadku zginęłyby, gdyby ta przerażająca wojna nadal trwała. Istot takich jak Tezzka, Vram i Laalee.

„Dla dobra sprawy” – pomyślał i podniósł dłoń.

Wyczuwając jego zamiary, wąż natychmiast zaczął się wycofywać. Odpełził i zasyczał, odsłaniając ostre kły.

– Nie tak. Łagodnie – dobiegł go silny, kojący głos Ventress. – Musi sam do ciebie przyjść.

To było jeszcze gorsze niż prosty, brutalny atak, ale Vos kiwnął tylko głową, przekierowując energię i modyfikując stan skupienia. Wąż odpowiedział, zamykając pysk. Wciąż wysuwał i chował język, smakując jego zapach, jednak teraz już z zaciekawieniem, nie wrogością.

– Dobrze – pochwaliła go Asajj. – Teraz zwab go do siebie. Uśpij jego czujność...

Vos skinął ręką w przyzywającym geście. Oczyma duszy widział, jak wąż posłusznie pełźnie do niego, i chwilę później stworzenie pomknęło po skałach i ziemi w jego stronę, napinając i rozluźniając sprężyste mięśnie.

Gdy Ventress znów przemówiła, bardziej wyczuwał niż słyszał jej cichy głos:

– Poczuj ciemną stronę. To ona daje ci moc. Jesteś górą: kontrolujesz sytuację. Możesz nakłaniać inne istoty, by wypełniały twoją wolę.

Miała rację. Od czasu do czasu Vos korzystał z Mocy, aby „sugerować” pewne rzeczy tym, których umysły nie były dość silne, by mu się oprzeć. Obcowanie

z węzem było podobne do tamtych doświadczeń, tyle tylko, że tysiącrotnie intensywniejsze. Gad nie był po prostu posłuszny – był mu bez reszty oddany.

Zadrzał, gdy płatek jego ucha musnęły pełne wargi.

– A teraz... wykorzystaj tę moc. Zabij go.

Zabij go. Zabij Dooku. To właśnie to zadanie mu powierzono – właśnie to musiał zrobić.

Wziął głęboki oddech, starając się pogłębić więź łączącą go z ujarzmionym węzem. Powoli zacisnął palce, wyobrażając sobie, że trzyma go w dłoni, otaczając obłe ciało palcem wskazującym i kciukiem tuż pod szyją zwierzęcia, dławiąc je...

– Ach! – Jego dłoń przeszył dojmujący ból, gdy wąż ugryzł go głęboko. Gdy szarpnął rękę, gad odpełził błyskawicznie, znów panując nad własną wolą.

Quinlan zacisnął nadgarstek ukąszonej lewej dłoni w prawej, zdrowej, i podniósł wzrok na Ventress. Miała rysy tak twarde, jakich nie widział u niej od wielu tygodni, a jej piękne oczy znów były zimne jak okruchy lodu.

– Nie jesteś jeszcze gotów zmierzyć się z Dooku. Ale będziesz.

To nie była odpowiedź, której oczekiwał. Spojrzał na swoją dłoń, która zaczynała już puchnąć.

– Czy jest... jadowity? – wykrztusił przez zaciśnięte zęby. Znał odpowiedź, nim jeszcze zapytał. Ból się nasilał – ręka paliła żywym ogniem, jakby zanurzył ją we wrzątku, jednocześnie dygotał jak w febrze. Uświadomił sobie, że doznaje szoku.

– Jad nie jest zabójczy, ale bywa przydatny.

Zalała go fala mdłości i zakręciło mu się w głowie. Zanim zorientował się, co się dzieje, opadł na kolana. Przydatny? Co mogła mieć na myśli? Czy nie zamierza go uleczyć? Chociaż wydawało się to niemożliwe, ból jeszcze wzrósł. Podniósł wzrok na Asajj – jej postać falowała, zamazywała się, a głos stał się dziwnie odległy i zniekształcony.

– Ból pozwoli ci dopuścić do siebie gniew. Przyjmiesz go jako karę za porażkę.

Jego ciało przeszyła nowa fala niewyobrażalnego bólu, jakby trucizna słuchała jej słów. Vos czuł się tak, jakby zamiast krwi jego serce pompowało w żyły płynny ogień – i nie zdołał już dłużej tłumić zbolełego okrzyku. Upadł na ziemię, czując, jak w ciało wbijają mu się ostre krawędzie skał, potęgując jego cierpienie do poziomu tak niewyobrażalnego, że dziwił się, że wciąż jest przytomny.

Skręcał się z bólu, krzycząc, podczas gdy Ventress przypatrywała mu się z wyrazem kamiennej obojętności na twarzy – i ból, który powodował ten widok,

był gorszy od trucizny.

Rozdział piętnasty

Vos spał snem torturowanego. Opadały na niego, koszmar za koszmarem, wizje pełne mroku, krwi i cierpienia – wywoływane przez niego samego i przez niego doznawanego. Przez wszystkie przewijała się postać Asajj Ventress – na jej pięknej, okrutnej twarzy malowały się wszystkie grymasy, jakie kiedykolwiek u niej widział, a także parę mu nieznaną. Jednak ostatni sen nie był wypełniony bólem, tylko ekstazą, spowodowaną czułym dotykiem jej palców na twarzy, jej cichym szeptem...

Dotyk stał się chłodniejszy – wciąż gładki i płynny, ale teraz dało się w nim wyczuć dziwną szorstkość. Gdy otworzył oczy, zobaczył owijającego się wokół jego ciała węża – jego trójkątna głowa wślizgiwała mu się pod podbródek. Krzyknął i szarpnął się, czując w żyłach żar adrenaliny. Obojętne na jego strach zwierzę odpełzło, a Vos zmusił się do uspokojenia oddechu.

Palący ból zniknął, zastąpiony przez ospałość – czuł się, jakby pływał w gęstym błocie. Nisko nad ziemią wisiała mgła, przesłaniając mu widok – czy może był to efekt ukąszenia przez węża? Nie, zdecydował. Czuł wilgoć osiadającą mu na skórze. Dosłyszał dobiegający gdzieś z tyłu cichy szelest. Gdy się odwrócił, dostrzegł kolejnego węża – tym razem grubego niczym jego ramię, mierzącego ze trzy metry. Zerwał się na równe nogi i zatoczył w tył – za wolno, ze zbyt dużym wysiłkiem. Wąż najwyraźniej także nie szukał zwady, bo odpełził w drugą stronę w poszukiwaniu śniadania.

– Czas sprawdzić efekty twojego szkolenia Jedi, mój drogi.

Vos zorientował się, że w pobliżu leży jego miecz świetlny. Oczywiście ukrył go przed Ventress w pierwszych dniach ich współpracy, lecz na Dathomirze nie było powodu, by nie korzystał z niego podczas polowań. Był jednak pewien, że nie miał go przy sobie ostatniego wieczoru. Ujął go w zeszywniałe palce.

Głos Ventress zdawał się dobiegać zewsząd naraz. Quinlan wciąż miał problemy z pozbieraniem myśli i rozejrzał się w popłochu, próbując ją zlokalizować, zastanawiając się jednocześnie, jaką znów lekcję mu zgotowała. Usłyszał charakterystyczny syk oraz buczenie klingi miecza świetlnego i nieporadnie aktywował własną broń, gdy nagle skoczyła na niego z góry.

Wskutek oszołomienia spowodowanego działaniem jadu – i niedowierzania –

dopiero w ostatniej chwili spostrzegł, że jest śmiertelnie poważna. Jakimś cudem zdołał cofnąć się o krok i sparować jej cios. Ventress zwinnie przeskoczyła mu nad głową. Odwrócił się – ponownie zbyt wolno: o mały włos, a rozplątałaby go na pół.

Ostrza ich mieczy spotkały się, krzesząc iskry. Asajj napała mocniej, zatrzymując klingę zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Jej pełne wargi rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

– Bardzo dobrze, Vos – wycedziła niemal kpiąco. – Przynajmniej wiesz, jak się bronić. – Skoczyła saltem w tył, lądując w kucki na dużym głazie. – Czy jednak zdołasz dokończyć to, co zacząłeś? – Szybki skok i zniknęła we mgle.

„Co ma na myśli?” – zachodził w głowę Vos. Byli przecież partnerami... Czymś więcej niż partnerami. Wiedział, że zależy jej na nim. Czuł to w jej dotyku, wyczuwał poprzez Moc. Jeśli zaś chodzi o niego, to...

Jej śmiech – zimny, okrutny – zmroził go bardziej niż chłód gęstniejącej mgły. Postąpił krok naprzód, kierując się do miejsca, w którym widział ją przed chwilą, i sięgnął po Moc, by ją namierzyć. Myślał już nieco jaśniej i zakłopotanie ustępowało powoli rozdrażnieniu. Cokolwiek robiła, nie było to konieczne – i zaczynało go to denerwować. Marnowali czas na głupie...

Buczenie świetlnej klingi znów poprzedziło atak i tym razem zawirował, żeby zablokować cios zadany zza pleców. Jej piękną twarz wykrzywił grymas, gdy runęła na niego z niepohamowaną mocą. Zasypała go gradem ciosów – nie powstrzymując się, atakując, by zabić. Nie chcąc jej zranić, cofnął się o krok, a potem kolejny, skupiając na blokowaniu sztychów. Wilgotne powietrze skwierczało, przecinane klingami mieczy ścierających się z morderczą zaciekłością.

Ventress nie odpuszczała, napierając coraz mocniej, i wreszcie coś w Vosie pękło. Z gardła wyrwał mu się okrzyk wściekłości i przeszedł do ofensywy. Tym razem to ona była zmuszona cofać się, gdy parł na nią, zawijając swoim mieczem z taką prędkością, że ostrze tknęło w powietrzu świetlistą zieloną zasłonę. Gdy wycofała się, szykując się do ponowienia ataku, jego ręka wystrzeliła naprzód i zamknęła się na jej gardle. Palce wpiły się w ciepłe ciało, podnosząc ją bez trudu w powietrze, aby za chwilę cisnąć nim o ziemię.

Upadła z morderczym impetem, z rozrzuconymi beładnie kończynami, bez krztyny towarzyszącej zwykle jej ruchom gracji, i zakasłała, rozmasowując gardło.

Vos stał nad nią z mieczem świetlnym podniesionym do zadania kolejnego ciosu, gdy na jej wargach zatańczył uśmiech.

– Widzisz? – wychrypiła. Na jej bladym gardle wykwitwały już cienie sińców. – Gniew uczynił cię potężnym!

Opuścił miecz świetlny i wyłączył go. Furia, która zmaćla mu umysł, powoli ustępowała. A więc to był po prostu test, nic więcej... Zmarszczył czoło. Nie lubił, gdy ktoś z nim pogrywał.

Nim jednak zdążył coś powiedzieć, Ventress skoczyła na równe nogi i ponownie zniknęła we mgle. Co znowu?! Quinlan zacisnął wargi w cienką linię i ruszył za nią. Dosyć tego. To zaszło stanowczo za daleko. Nadszedł czas zakończyć tę grę – bo to rzeczywiście była gra. Raz za razem Ventress pozwalała mu się dostrzec przez chwilę dość długą, by mógł ją śledzić. Skakali po powalonych pniach drzew, przemykali pod skałami. Vos zorientował się, że Ventress prowadzi go ku górskiej fortecy. Przypomniał sobie, co powiedziała mu, gdy pierwszy raz odwiedzili to miejsce: „Nie jesteś jeszcze gotów wejść do środka. Jednak kiedy ta chwila nadejdzie... Lepiej miej pewność, że zdołasz stamtąd wyjść”.

Był gotów. Wiedział to. Był w stanie podołać wszystkiemu, co mu zgotuje.

Asajj wybiegła teraz na polanę. Szczupłe, długie nogi niosły ją prędko przez kamienną połąć ku rozwartym ustom jaskini. Zniknęła w mroku. Pobiegł za nią, zwalniając, gdy poczuł na skórze chłodną pieśczoć cienia. Trzymając przed sobą miecz świetlny poruszał się ostrożnie, sięgając poprzez Moc, żeby wyczuć jej obecność.

Przeszedł między rzeźbionymi filarami i znalazł się na pogrążonym w mroku placu, w niezwykle pięknym miejscu. Kiedy Ventress mówiła o wiosce, Vos wyobrażał sobie niewielką, prymitywną przestrzeń, jednak jaskinia była olbrzymia, a to, co mieściła, tchnęło niezrównanym pięknem i budziło w nim osobliwy szacunek.

Większość oświetlenia zapewniały sadzawki wypełnione wodą lśniąca hipnotycznym, bladoniebieskim światłem. Tu i ówdzie strumienie wody spływały z góry, ze skrytych w ciemności źródeł. W półmroku dało się dostrzec, że – podobnie jak na zewnątrz – budowniczywie działali w zgodzie z naturą. W tym miejscu, w wiosce sióstr Ventress, nie dostrzegł elementów wymyślnej architektury – nic, przynajmniej na pierwszy rzut oka, co wyglądałoby na wytworzone masowo. Strzeliste stalagmity o skrytych w mroku szczytach wznosiły

się z błękitnych sadzawek. Wykuto w nich okna, drzwi, schody i wielopoziomowe tarasy. Lazurowe światło wzmacniały cętki fosforyzującego kamienia. Bez wątpienia płonęły tu kiedyś także pochodnie.

Vos wszedł w krąg wyłożony płaskim kamieniem. Tu i tam widział ślady codziennego życia: przewrócone dzbany i wazy, kotły i misy.

Pomyślał półprzytomnie, że byłoby to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek oglądał... gdyby nie przesyciała go tak ciemna strona. Wydawała się tu silna – kontrolowana, ukierunkowana. Po przeciwnej stronie placu zobaczył ołtarz i zastanowił się przelotnie, jakich okropieństw był on świadkiem. Możliwe, że kiedyś tę zwykłą jaskinię, neutralne miejsce, przesyciła ostatecznie energia nagromadzona przez stulecia mrocznych czynów. A może po prostu mrok królował tu od zawsze?

Nie miało to znaczenia. Vos wiedział tylko, że Ventress znała wszystkie zaułki i zakamarki wioski jak własną kieszeń – jemu zaś teren ten był zupełnie obcy... a ona na niego polowała.

Wyczuł jej obecność, ale nie mógł jej zlokalizować – była dziwnie zamglona. Skradając się, skierował kroki ku jednemu z mniejszych stalagmitów i wyskoczył z niego z gardłowym pomrukiem, zawijając nad głową mieczem świetlnym.

Jednak Ventress tam nie było – pojawiła się za nim, z krzykiem opuszczając na niego lśniące żółte ostrze. Musiał zrobić unik. Szybka jak myśl, Ventress śmignęła obok niego i zawirowała, aby stanąć z nim twarzą w twarz.

– Jesteś silny – powiedziała i ku jego zaskoczeniu odstąpiła o krok, po czym wyłączyła miecz świetlny. Niepewny jej zamiarów, zawahał się. – Nie martw się, Quinlanie. Tę część testu mamy już za sobą.

Kiwnął głową i dezaktywował własną broń.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że mi przykro. Co teraz?

Odwróciła się i powiodła wzrokiem po błękitnych sadzawkach.

– Główną częścią magii Sióstr Nocy jest płyn, który nazywamy Wodą Życia.

– Z tych bajor? – spytał.

– Nie do końca. Woda Życia jest... pozyskiwana.

Vos ściągnął ciemne brwi.

– Nie nadążam.

– Te sadzawki... Nigdy nie zmierzono, jak są głębokie. Wiemy tylko, że sięgają bardzo daleko w głąb ziemi i zamieszkują je różne stworzenia. Jedno z nich

Siostry Nocy nazywają Śpiącym. Aby uzyskać status osoby dorosłej, młode kobiety z mojego klanu uczestniczyły w rytuale przejścia. Korzystając z Mocy, budziły Śpiącego, ujarzmiły go i zmuszały do wyrwania sobie kawałka ciała.

– W charakterze trofeum? – Vos poczuł obrzydzenie.

– Nie. Składnika. Ten kawałek ciała gotuje się w wodzie z sadzawki wraz z innymi i w ten sposób powstaje Woda Życia. Mówiono mi, że Śpiący ma bardzo silną wolę. Utrata kontroli nad nim, nawet na krótką chwilę, oznacza dla nowicjuszek śmierć.

Vos wpatrywał się w świetlistą taflę.

– Jak często próba kończyła się niepowodzeniem?

– Nigdy o to nie spytałam.

– To gdzie jest haczyk? Zwykle kontrolowanie zwierzęcia, nawet takiego o silnej woli, to dla Jedi betka.

– Być może w wypadku zwykłego zwierzęcia i gdy korzystasz tylko z jasnej strony Mocy – wyjaśniła Ventress. – Ale Śpiący, Quinlanie... Nie jest zwyczajny. To starożytna istota. Opowieści o nim sięgają początków mojego klanu. Sam czujesz, jak silna jest tu ciemna strona: wpływa na wszystko wokół, nawet dzikie zwierzęta. Śpiącego można obudzić i kontrolować jedynie ciemną stroną Mocy.

– Rozumiem – powiedział i znów przyjrzał się bezdennej toni. – Cóż, w takim razie bierzmy się do roboty.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeszcze nie. Niewiele wiem o Śpiącym, ale podzielę się z tobą tą odrobiną wiedzy. – Uśmiechnęła się słabo. – Teraz wiesz, dlaczego chciałam, byś zwiększył swoją wytrzymałość. Twoje kolejne ćwiczenie będzie wymagało pływania... i wstrzymywania oddechu.

Rozdział szesnasty

– Mam filtr oddechowy, ale sugerowałabym trenowanie zarówno z nim, jak i bez niego – poinformowała go przy kolacji. – Woda w sadzawkach jest nieprzejrzysta, więc będziesz miał ograniczone pole widzenia. Możesz skorzystać z gogli umożliwiających widzenie poza spektrum widzialnym.

Vos zastanowił się nad tym przez chwilę, odkroił kawałek mięsa niewielkiego jaszczura piekącego się na rożnie i potrząsnął głową.

– Nie. To nie byłoby w porządku. W tym całym teście, o ile dobrze rozumiem, chodzi o to, bym ujarzmił Śpiącego Mocą, nie zaś dzięki technologii.

– Ciemną stroną mocy – przypomniała mu Ventress.

Kiwnął głową i zatopił zęby w kawałku mięsa.

– No to... co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?

Sprawiła wrażenie sfrustrowanej.

– Mniej, niż bym chciała. Wiem, że jest wielki, przerażający i potężny. I, tak jak powiedziałam, ma niesamowicie silną wolę.

– Wspomniałaś o pływaniu i wstrzymywaniu oddechu – przypomniał jej. – Zakładam, że będę też musiał walczyć pod wodą?

– Najlepiej byłoby tego uniknąć – odparła. – Śpiącego można wywabić na ląd, na którym oczywiście będziesz miał nad nim przewagę. Jednak musisz być przygotowany na wszystko.

– W takim razie... jak to coś wygląda? – zapytał, zmuszając się do zjedzenia porcji większej niż zazwyczaj. Wkrótce podczas ćwiczeń będzie spalał dziennie tysiące kalorii.

– Różnie, w zależności od relacji różnych osób – wyjaśniła Asajj. – Karis twierdziła, że ma taki sam odcień jak woda. Luce z kolei utrzymywała, że był śnieżnobiały. Talia powiedziała mi, że Śpiący ma wielkie oczy i szczypce, a Naa'leth – że ma macki. Wszystkie jednak zgadzały się co do jednego: że jest przerażający. Wygląda na to, że jeśli szybko nie zdołasz przejąć nad nim kontroli i dasz się wciągnąć do wody – za pomocą szczypiec lub macek – ryzykujesz kontakt z substancją, którą próbujesz zdobyć. A ona może powodować halucynacje. – Spuściła wzrok. – Talia widziała, jak jej siostra bliźniaczka po prostu zamiera sparaliżowana ze strachu. Śpiący ściągnął ją w dół.

– Hej – zawołał cicho, ściskając pokrzepiająco jej ramię. – Mam wiele szacunku dla Sióstr Nocy i ich zdolności do władania Mocą, jednak nie jestem młodzikiem. Jestem dorosły i zdobyłem tytuł mistrza Jedi. A poza tym – dodał, chcąc nieco poprawić atmosferę – mam najlepszą trenerkę w galaktyce, w której interesie leży dopilnowanie, bym przetrwał.

Podniosła na niego wzrok, ujęła jego twarz w dłonie i pogładziła palcami jego wargi. Zadrżał lekko i przygryzł je delikatnie.

Cofnęła ze śmiechem rękę i pacnęła go żartobliwie w nos.

– Nigdy o tym nie zapominaj, Palancie.

– Nie zapomnę – obiecał i pocałował ją namiętnie.

Dathomira miała swoje oceany i Vosowi szybko przyszło się z nimi dogłębnie zaznajomić. Zaczęli od zwykłego nurkowania. Dzięki szkoleniu Jedi Quinlan do perfekcji opanował kontrolowanie ciała i umysłu, co stanowiło klucz do sukcesu. Gdy zachowywał spokój, rytm jego serca spowalniał, a ciało spalało tylko absolutnie niezbędne minimum tlenu. Świadom, że jeśli nie zdoła objąć kontroli nad Śpiącym i będzie zmuszony do walki, ćwiczył też siłowanie się z podmorskimi stworami.

– Twoje szkolenie przebiega prawidłowo – powiedziała mu Ventress pewnego wieczoru, gdy jedli potrawkę z ryby burra, którą Vos zabił tego dnia.

– Cieszę się, że tak uważasz – odparł, a po krótkim wahaniu zapytał: – A co z... tym, co będzie później?

Zerknęła na niego, dokładając sobie potrawki.

– A co ma być później?

– Po tym, jak zabijemy Dooku.

Ventress spojrzała na garnek potrawki bulgoczącej wesoło na ogniu i opuściła głowę, tak że nie widział jej twarzy pośród cieni i blasków tańczących płomieni. Nie chciała myśleć o tym, co będzie później. Ich czas spędzony wspólnie był zbyt cenny... i zakazany. Jedi nigdy nie zezwoliliby jednemu ze swoich na związek – nie mówiąc już o związku z byłą uczennicą Sitha. Kiedy Dooku zginie, zakończy się także ich przygoda. Vos ją zostawi i będzie sama. Znowu.

Rozumiała to. Wiedziała, jak sobie radzić z samotnością, i od początku zdawała sobie sprawę z tego, że nawet ten krótki czas spędzony z Vosem to cenny podarunek.

– Trudno będzie ci wrócić na łono Jedi, jednak to wciąż możliwe – powiedziała, starając się brzmieć swobodnie.

– Asajj...

Zamarła. Vos wziął od niej miskę, odstawił ją na bok i ujął jej dłonie w swoje ręce. Spojrzał na jej silne palce, poznaczone zgrubieniami i bliznami wnętrza dłoni i ucałował każdą po kolei.

– Nie chcę wracać – oświadczył. Ventress przymknęła oczy, nie śmiejąc uwierzyć w to, co słyszy. – Chcę być z tobą.

Zaryzykowała spojrzenie na jego przystojną twarz. W oczach Vosa, odbijających nad żółtym pasem tatuażu ciepłe płomienie ogniska, lśniła determinacja.

– Nie mógłbym porzucić tego wszystkiego. I nie chcę tego robić. A ty?

Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Nie – wyznała wreszcie. – Ja także nie chcę, Quinlanie. Jednak... musisz być tego naprawdę pewien. To wszystko, co kiedykolwiek miałeś.

– Teraz mam ciebie – odpowiedział, ściskając jej dłonie dla podkreślenia wagi swoich słów. – A jeśli bycie Jedi oznacza niemożność bycia z tobą... wiem, co wybiorę. – Uwolnił jej ręce, rozpiął karwasz i położył go na ziemi. Przyglądała mu się, zbита z tropu, z podniesioną brwią, gdy znalazł kamień i podrzucił go w powietrze, a potem spojrzał na nią z powagą. – Począwszy od teraz.

Opuścił kamień na przycisk hololączości, zrywając w ten sposób swój kontakt z Jedi – teraz i... na zawsze? Czy naprawdę mógł to zrobić? Przyglądała się przez moment zepsutemu urządzeniu, a potem spojrzała na Vosa.

Uśmiechnął się do niej – szeroko, radośnie. W jego twarzy nie było śladu żalu – jedynie spokój i pewność siebie. Jej serce przepełniło uczucie, które było jej tak obce, że z największym trudem rozpoznała w nim radość. Na ustach czuła smak nazwy innego, głębszego i bogatszego uczucia, wiszącego w powietrzu między nimi – czy on także? Łączyła ich więź, namacalna, żywa i silna, która wydawała się jej nierozwalna.

– Razem – powiedział głosem zachrypniętym od emocji.

Ona jednak bała się otworzyć usta, nie ufając samej sobie. Zamiast tego złapała go więc za ramiona, przyciągnęła do siebie i pocałowała namiętnie. Odwzajemnił pocałunek z żarliwością, która spotęgowała jej pożądanie. Każdy jej zmysł był wyczulony do granic, nabrzmiął wyczekiwaniem, a jego dotyk przyprawiał ją o doznania przekraczające fizyczność. Wstał, trzymając ją w ramionach, ucałował

ją mocno, zachłannie, a potem odwrócił się i ruszył w stronę statku.

W ciemności zamigotało małe czerwone światełko. Ventress przymknęła oczy i warknęła gardłowo, a Vos roześmiał się z przymusem. Jego ciepły oddech zmierzwił jej włosy, gdy pocałował ją w czubek głowy i postawił na ziemi.

– Lepiej odbierz.

– Cóż za wycucie czasu – parsknęła i sięgnęła po holokomunikator. W powietrzu zamajaczyła niewielka postać, przysadzista i pomarszczona, szczebiocząc z podekscytowaniem:

– *Kuck chi sol ildi!*

Trzewia Ventress zmroził nagły strach. „Tak szybko?”. Zerknęła na Vosa, który, zaciekawiony, podniósł brew. Najwyraźniej nie rozumiał gossamskiego.

– Rozumiem – odparła. – Dobrze się sprawiłaś, Sumdin. A gdzie dokładnie odbędzie się to spotkanie?

Gossamka podniosła niezgrabną trójpalczystą dłoń i pomajstrowała nią przy czymś, czego Ventress nie widziała. Za chwilę jej miejsce zajął hologram miłej dla oka, zielono-niebieskiej planety.

I wówczas do Vosa dotarło:

– Znalazłaś Dooku!

Ventress przyglądała się jeszcze przez chwilę maleńkiej planecie, po czym przerwała połączenie.

– Będzie na Raxusie. Znamy miejsce i czas.

Skrzywił się lekko.

– To jego podwórko. – Raxus był stolicą Konfederacji Niezależnych Systemów. Na pewno będą musieli się liczyć ze wzmocnioną ochroną. – Jeśli jednak go znalazłaś... musimy się spieszyć. – Gdy nie odpowiedziała, ściągnął z troską brwi.

– Hm?

– Quinlanie... – westchnęła. – Boję się, że nie jesteś jeszcze gotów. Ledwie zaczęłaś poznawać ciemną stronę, nie mówiąc już o zdolności kroczenia po... ostrzu noża. Nie przyzwałaś Śpiącego, a jeśli nie zdołasz tego zrobić... jeśli teraz odpuścisz, możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Uśmiechnął się do niej krzywo.

– Większym niż to, w jakim się już znalazłem?

– Większym, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

– Rozumiem twoją troskę, jednak nie możemy przepuścić tej szansy.

Nie odpowiedziała od razu. Sądziła, że będą mieli więcej czasu – więcej czasu na szkolenie Vosa, na okiełznanie kapryśnej i podstępnej ciemnej strony Mocy, na bycie razem – nim przyjdzie im się zmierzyć z niewypowiedzianym niebezpiecznym wrogiem... a także więcej czasu na to, żeby zdobyła się na odwagę i wyjawiała mu prawdę o jego mistrzu. Teraz nie mogła jednak tego zrobić – nie w tym momencie. Powie mu po wszystkim, kiedy zabiją Dooku i zostawią za sobą swoją przeszłość. Kiedy będą razem, kiedy to wszystko minie.

Nawet gdyby zrozumiał i jej wybaczył, z pewnością przeżyje szok – przynajmniej początkowo. Aby ich misja się powiodła, Quinlan Vos musiał być w najwyższej formie, maksymalnie skupiony... a nienawiść, którą fałszywie w nim zaszczepiła, mogła tylko w tym pomóc.

Poza tym miał rację. Nie wiadomo, kiedy trafi się im następna okazja. Hrabia był zwinny jak kalamariański węgorz.

Vos położył jej ręce na ramionach i spojrzał w oczy.

– Asajj, ja... To prawda. Ciemna strona uczyniła mnie silnym. Uczuliłaś mnie na wiele rzeczy. Jednak nie zraniło mnie to. Sprawilo tylko, że uwierzyłem, że może nam się udać.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– I właśnie to jest niebezpieczne.

Westchnął.

– Pozwól, że ci to udowodnię. Wiem, że jestem gotów wezwać Śpiącego. I pokonać go.

Nie podzielała jego pewności siebie. Nie podważała jego biegłości w korzystaniu z samej Mocy, a jedynie manipulowania jej ciemną stroną. Był... dobrym człowiekiem. Martwiła się, że nawet teraz może wciąż być... zbyt dobry.

Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– W porządku – powiedziała. – Chodźmy.

Rozdział siedemnasty

Drogę do jaskiń przebyli w milczeniu. Gdy znaleźli się w wiosce, Vos poczuł znajomą pieśczołę ciemnej strony. Myśli kłębiły mu się w głowie, mgliste i chaotyczne.

Zatrzymała się w pobliżu jednego z jaskiniowych jezior.

– Co to? – spytał Vos.

Stali nad brzegiem sztucznego basenu wykutego w skale u stóp ołtarza. Woda nie była przejrzysta ani niebieska, tylko granatowoczarna. Ventress zasnuowała wargi.

– To właśnie tu zostawiłam za sobą swoją sithańską przeszłość. To tu zostałam Siostrą Nocy. Byłam zbyt dorosła i doświadczona, żeby wezwać Śpiącego, więc moja inicjacja przebiegała nieco... inaczej.

– Co się wówczas wydarzyło?

Gdy spojrzała na niego, w jej rysach dostrzegł dziwny spokój, ale i cień bólu.

– Odrodziłam się – wyjaśniła. – Weszłam do wód basenu jako Sithanka... a wynurzyłam się jako Siostra Nocy.

– Dzięki magii?

– W pewnym sensie. Jednak głównie dzięki temu, że podjęłam decyzję o zostawieniu wszystkiego za sobą i zapragnęłam przyjąć miłość moich sióstr.

Dotknął czule jej policzka.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

– Cóż – bąknęła, siląc się na niezobowiązujący ton – tym razem pora, żebyś to ty mnie zadziwił.

Podniósł czoło i wyprężył pierś.

– Prawda. Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej będziemy mogli rozprawić się z hrabią. A gdy będzie już po wszystkim... – Nie dokończył, ucałował ją lekko w czoło i cofnął się o krok, a potem podał jej swój miecz świetlny. Siostry Nocy mierzyły się ze Śpiącym nieuzbrojone i tak też miał postąpić Vos. To miała być bitwa umysłów. – Zaopiekuj się nim przez... hm, kolejnych parę minut, bo będę go chciał odzyskać – rzucił lekko.

– Nie martw się. Będzie na ciebie czekał. Obiecuję.

Skinął głową, odwrócił się i postąpił ku sadzawce.

– Quinlanie! – zawołała za nim, a kiedy odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, dodała: – Nie przyspieszaj tego. Upewnij się, że jesteś naprawdę gotów, gdy będziesz go wzywał.

Kiwnął głową. Nie pytał jej, czy zdoła mu pomóc, jeśli wpadnie w tarapaty, a ona nie złożyła takiej deklaracji. Nie był pewien, czy chciałby poznać odpowiedź na to pytanie – i nie zamierzał się dowiadywać. Rozpoczął od wyrównania oddechu: oddychał powoli, głęboko, miarowo. Poczł, jak tlen przenika do jego krwi pompowanej przez serce, jak przejmuje kontrolę nad swoim ciałem, co – jak przekonywała go Ventress – stanowiło klucz do zwycięstwa nad tajemniczym, rzekomo przerażającym Śpiącym. Otworzył się na mrok i poczuł, jak go otacza – niemal fizycznie.

Wsunął do ust filtr oddechowy i rozesłał wici umysłu. W wodach sadzawki roilo się od najróżniejszych form życia – od maleńkich, jednokomórkowych organizmów, aż po średniej wielkości ryby i skorupiaki. Były prostymi, nieskomplikowanym bytami. Delikatnie muskał świadomość każdego i kontynuował poszukiwania. Jego umysł zanurzał się coraz głębiej w ciemnoniebieską toń. Niektóre z istot ukrywały się w jaskiniach, inne pływały swobodnie... Nagle jednak natrafił na inne stworzenie, zdecydowanie bardziej skomplikowane niż reszta – skomplikowane i... znacznie starsze.

Starożytne.

Spało. Śniło. Gdy Vos dotknął jego umysłu Mocą, zorientował się, że śpi od jakiegoś czasu nieniekójone. Chciał przesłać mu poprzez Moc sygnał poczekienia i spokoju, pozwolić mu dalej odpoczywać, jednak nie mógł tego zrobić. Przygotował się i spokojnie, stopniowo zaczął otwierać własny umysł przed Śpiącym. Natychmiast poczuł, jak zwierzę wzdryga się z niechęcią, opierając mu się z zaskakującą siłą – nawet w stanie półsnu.

„Obudź się” – zażądał.

Nic z tego. Podniósł dłoń i rozcapierzył palce, wołając do niewidzialnej bestii ponownie: „Obudź się!” I nagle świadomość Śniącego rozpostarła się przed nim w pełnej okazałości. Zwierzę nie było rozleniwione ani powolne, tylko czujne i skupione – skoncentrowane na Vosie. Quinlan stęknął cicho z wysiłku, świadom, że nie może utracić przewagi nad stworzeniem – ani na chwilę. Ujarzmił swoją troskę i przekuł ją w gniew i urazę.

„Powstań. Żądam tego”.

I zwierzę posłuchało. Poczuł, jak niewyobrażalnie stara istota porusza się w swojej jaskini, w której spoczywała i śniła o niewyobrażalnym, i powoli, niechętnie płynie w górę. Na powierzchnię mętnej niebieskiej toni wypłynął pęcherz, pękając z kleistym mlaśnięciem. Za nim drugi i kolejny, a już za chwilę w wodzie zamajaczyła para lawendowych ślepi, każde rozmiaru głowy Vosa. Kołysały się na cienkich szypułkach, zdając się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz, a potem skupiły się na Vosie stojącym na brzegu sadzawki. W Quinlana uderzyła fala niechęci – tak potężna, że czuł ją niemal fizycznie. Nie zawahał się jednak ani na chwilę. Okiełznał ją i odbił w stronę Śpiącego, którego cielsko zadrżało.

„Nakazałem ci się wynurzyć! Na powierzchnię! Słuchaj mnie i wyjdź na brzeg!”.

Przez jedną przerażającą chwilę Vos był pewien, że mu się nie uda. Śpiący zamarł, jednak już za moment ruszył powoli w górę, cały czas walcząc z jego wolą. Wychynął wreszcie na powierzchnię w całej swojej siedmiometrowej okazałości pokrytego skorupą cielska, zwieńczonego drżącymi antenkami i dwiema... nie, czterema kończynami. Pierwsza para miała kształt długich sierpowatych, ostro zakończonych odnóży. Druga była wąska w miejscu połączenia z ciałem, rozszerzając się na końcach na wzór pałek – te Śpiący trzymał przykurczone blisko ciała.

Vos skonstatował to wszystko po jednym przelotnym spojrzeniu, jednak tym, co go uderzyło, było niezwykle piękno obcej istoty – jej kończyny i oczy mogły się wydawać przerażające dziecku, które nie wychyliło nigdy nosa poza swój świat, ale on widział w swoim życiu bardziej przerażające rzeczy. Nie – to właśnie kalejdoskop barw sprawiał, że Śpiący był tak niesamowity. Mienił się wszystkimi kolorami, jakie Vos był sobie w stanie wyobrazić. Quinlan znał rasy o ślepiach podobnych do tych u Śpiącego, zdolnych widzieć pięć lub nawet dziesięć barw więcej niż on. Jednak oczy tej przedziwnej istoty wydawały się jeszcze bardziej skomplikowane i Vos przez chwilę zastanawiał się, czy zwierzę było tak trudno poskromić właśnie dlatego, że jest zdolne dostrzegać samą Moc.

Z najwyższym trudem, jednak udało mu się zachować maksymalną koncentrację. Kipiąc gniewem, lecz zachowując kontrolę nad spokojnym ciałem, cofnął się – nie do końca pewien, ile przestrzeni zajmie stworzenie, gdy wygramoli się na ląd. Kiedy dotarło do miejsca, w którym stał jeszcze przed chwilą, sierpowate nogi wystrzeliły z oszałamiającą prędkością i uderzyły w skałę z taką

mocą, że kamień popękał. Masywne cielsko opadło na ziemię.

Vos założył wcześniej, że istota jest czymś w rodzaju skorupiaka, jednak kiedy wynurzyła się całkiem z wody, spostrzegł, że jej dolne kończyny to wcale nie odnóża, ale macki – długie, lśniące i mieniające się każdym odcieniem błękitu, jaki znał droid z czarnorynkowego sklepu Sheba – a pewnie i więcej. Stwór był tak niesamowity, że Vos poczuł, jak na chwilę jego kontrola nad nim słabnie.

Śpiący także to wyczuł – i przygotował się do ataku. Quinlan niezwłocznie wyrzucił ręce w powietrze i pchnął go Mocą po skalistym podłożu, wprost na kotły i naczynia stojące pod ścianami. Poczuł falę zimnej, czystej nienawiści i przyjął ją ze spokojem.

„Będziesz. Mi. Posłuszny!”.

Zwierzę szamotało się przez chwilę, walcząc z jego rozkazami – potężne cielsko kołysało się w przód i w tył, a macki i odnóża młóciły powietrze.

„Przestań”.

Zimną nienawiść przeszył ostry promień bólu. Vos ranił stworzenie siłą woli. Wzmocnił swoją więź z Mocą, nieokiełznaną i surową – i zwierzę ustąpiło. Podkuliło kończyny pod siebie, a jego macki przestały falować.

Vos wziął głęboki oddech, nie przestając jednak kontrolować stworzenia. Udało mu się. I nawet nie potrzebował filtra oddechowego. Wyciągnął go z ust, żeby móc mówić.

– Ventress! – zawołał, nie odrywając wzroku od olbrzymich, zagubionych ślepi Śpiącego. – Czy mam go zmusić do odcięcia sobie kończyny?

– Nie. – W jej głosie pobrzmiwał dziwny żal. – Vos... Posłuchaj, zachowaj najwyższe skupienie.

Na dźwięk jej słów poczuł ukłucie niepokoju. Macki potwora zadrzały, sondując go, szukając najmniejszej szczeliny w bastionie jego siły woli.

– W porządku – odparł. – Zamieniam się w słuch.

– Musisz go... zabić.

Szok trwał tylko ułamek sekundy, jednak to wystarczyło. W rozbłysku triumfalnej wściekłości jedna z macek Śpiącego wystrzeliła i owinęła się wokół Vosa. Chwilę później obaj zniknęli w toni sadzawki.

Gwałtowne zderzenie z taflą wody sprawiło, że filtr oddechowy wypadł Quinlanowi z ręki. Nacisk macki miażdżącej mu pierś w żelaznym uścisku zmusił go do wypuszczenia powietrza, które uleciało ku górze w łańcuszku baniek. Puste

płuca paliły żywym ogniem, złażnione tlenu. Jedi miał wrażenie, że jego organy wewnętrzne powoli są rozgniatane na papkę. Jedno ramię było unieruchomione, przyciśnięte do tułowia, i ledwie co widział w nieprzeniknionej, mętnej toni. Panika sprawiła, że serce zaczęło mu walić jak młotem.

Samą tylko siłą woli zmusił je do zwolnienia, co wielokrotnie ćwiczył. Poczuł, że znów przecina wody sadzawki, tylko po to, by zatrzymać się mniej niż metr od pyska Śpiącego. Dwie płaskie łuski w kształcie łez za oczami pradawnej istoty zmieniły kolor z jadowitej zieleni na pulsującą czerwień i Vos zorientował się, że ta nagła zmiana sygnalizuje rychły atak. Niewiele myśląc, zdając się bez reszty na Moc, zamachnął się wolną ręką w stronę drugiej pary pałkowatych odnóży – z impetem zdolnym zmienić trajektorię ciosu, który okazał się silniejszy, niż się spodziewał. Nagle woda wokół niego zawrzała od fali wywołanej gwałtownym ruchem, a mleczny błękit wody kipiał od czarnego płynu i poszarpanych szczątków macek Śpiącego. Czerwone punkty zmieniły barwę na ciemnosiną – zamiast Vosa zwierzę zaatakowało samo siebie, z niewyobrażalną mocą. W uszy Vosa uderzył ogłuszający jęk bólu. Z najwyższym trudem powstrzymał się od zmarnowania żalonych resztek powietrza, które mu zostały, na własny zbolwały okrzyk, gdy czarna kipiela obmyła jego ciało palącą falą.

Wykorzystując chwilowe rozkojarzenie Śpiącego, użył Mocy, by wypchnąć ciało w górę, łapczywie zaczerpując tchu. Kiedy jego głowa wynurzyła się na powierzchnię, skierował się ku bezpiecznemu lądowi. Poczuł przeszywający ból, gdy Śpiący zaatakował go jednym z ostrych jak brzytwa szpikulców – z każdą chwilą bardziej rozwścieczony własną raną i utratą krwi.

Gdy zorientował się, że zwierzę sięga ku niemu kolejną macką, schwycił ją Mocą i ścisnął gwałtownie. Śpiący ponownie wydał z siebie grzmiący pomruk bólu i na moment się zdekoncentrował. Vos wykorzystał te cenne kilka sekund, by ponownie próbę wygramolenia się na brzeg, po czym odwrócił się i chwycił istotę Mocą. Przymknął oczy i posłał poprzez nią rozkaz, wkładając w niego całą siłę, jaką dysponował. Śpiący zamarł. Nie był już wściekły, żądny krwi czy przepelniony nienawiścią.

Był przerażony.

Vos zaczerpnął spazmatycznie tchu, a potem jeszcze raz, stężyły z napięcia. Słyszał głos Ventress, krzyczącej do niego:

– Na co czekasz? Zabij go!

A mimo to nawet teraz, po walce, zawahał się. Śpiący nie miał w sobie zła. Był zwykłym, prostym stworzeniem, nieodróżniającym dobra od zła. Chciał tylko, by zostawiono go w spokoju – a gdy coś mu groziło, bronił się. Czemu miałoby służyć bezrozumne, niepotrzebne zabijanie go?

– Ventress! – zawołał, nie przestając kontrolować Śpiącego. – On może być ostatnim ze swojego gatunku!

– Owszem, a jeśli umrze, zginie wraz z nim największa tajemnica mojego klanu – odzyskała. – To nie ma znaczenia. Oboje musimy się poświęcić. Musisz to zrobić!

– Posłuchał mnie dwukrotnie! Dlaczego muszę go zabijać?

– Bo zostałeś wysłany, by zabić Dooku. Z zimną krwią, jeśli będzie trzeba. Jeśli nie zdołasz wykorzystać ciemnej strony, by teraz go unicestwić, czy zdołasz tego dokonać później, kiedy naprawdę będzie to konieczne? Czy może pozwolisz, by twoje współczucie Jedi zniweczyło cały plan?

W oczach załśniły mu łzy – łzy współczucia, które właśnie mu zarzuciła. Desperacko chciał odesłać Śpiącego z powrotem do jego przytulnej jamy, pozwolić mu odpocząć i lizać rany. Ventress będzie rozczarowana i zła, jednak Vos znajdzie jakiś inny sposób, by przekonać ją, że mogą zabić Dooku bez uciekania się do pomocy ciemnej strony. Czyniła go potężnym, owszem, ale jakim kosztem?

W głębi duszy rozumiał jednak różnicę, o której mówiła Ventress. Jedi walczyli już wcześniej z Dooku – i zawsze mieli szansę zabić go w walce. Jednak Vosowi nie nakazano go po prostu zabić. Kazano mu go zamordować z zimną krwią.

A teraz Asajj chciała od niego, by pozbawił życia zwykłe zwierzę, które nie musiało umierać.

Sekundy mijały, ciągnąc się – zdawałoby się – w nieskończoność. Każda z nich wyczerpywała Vosa coraz bardziej. Nie mógł dłużej zwlekać.

Musiał dokonać wyboru.

Skupił się na swoich wcześniejszych obawach: bezradności, którą czuł, i swojej wściekłości na nią. Zmrużył oczy, przywołał nienawiść i wściekłość, czując, jak wybuchają w nim gorącym płomieniem – tak bardzo, bardzo potężnym.

To był wróg. To był hrabia Dooku. Vos wyciągnął rękę – powoli, z rozmysłem, dając sobie dość czasu, by głęboko doświadczyć każdej emocji, podczas gdy jego myśli zmieniały się w czyny:

„Giń”.

Śpiący szarpnął łbem, odrzucając go na grzbiet. Najpierw zalała go fala zaskoczenia, zastąpiona szybko przez zimny, zwierzęcy strach. Tak czysty, tak silny – tak... wyzwalający.

Vos wyciągnął Śpiącego z wody, nie przestając przekuwać swoich uczuć w energię Mocy, nie przestając go dusić.

Zwierzę cierpiało. Vos oczyścił umysł ze wszystkiego oprócz świadomości tej chwili, podczas gdy stworzenie wiło się z bólu, młóćąc daremnie kończynami. Targnięta ostatnim wstrząsem bestia zwiła wreszcie w powietrzu – wiotka, bezwładna. Vos zwolnił uścisk i zwierzę runęło do wody, zanurzając się na chwilę w ciemną toń, a potem wypływając na powierzchnię.

Quinlan wpatrywał się w martwe cielsko dryfujące w sadzawce. Czuł mrowienie w członkach. Serce waliło mu jak młotem, jednak nie ze strachu, ale z euforii. Poczucie potęgi pochłonęło go bez reszty – tak silne, że nie słyszał, jak Ventress pochodzi do niego, dopóki się nie odezwała:

– Quinlanie?

Zachwiał się, podnosząc odruchowo dłoń – dopiero gdy nieco ochłonał, opuścił ją, lekko przerażony swoją reakcją i skołowany po tym, czego właśnie dokonał. Ventress jednak nie miała mu tego za złe – rozumiała, co w tej chwili czuje, patrzyła na niego z dumą i podziwem.

– Quinlanie – powtórzyła, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Wiem, że to było dla ciebie trudne, ale i konieczne. Dotarłeś tak daleko w tak krótkim czasie... Jestem pod wrażeniem.

Na usta cisnęło mu się wiele różnych słów, ale nie śmiał wypowiedzieć żadnego z nich – nie chciał mówić o przejmującej rozkoszy, jakiej dostarczyło mu brutalne zaduszenie niewinnej istoty. Ani o pragnieniu powtórzenia tego – podobnie jak chęci ujarznienia tej potęgi i wykorzystania jej według własnych zachcianek. Nie chciał też mówić o smutku skręcającym mu ciasnym węzłem trzewia, smutku, który przenikał go na wskroś, kiedy dotarło do niego, że coś w nim pękło... Ani o radości, jakiej doznał, uwolniwszy się z okowów.

Nie musiał. Wyczuwał dumę Ventress i jej zadowolenie – jej pragnienie uczynienia go silniejszym, przygotowanym na to, co ich czeka. Wiedział, co czuje.

Powiedział więc tylko:

– Jedi zawsze powtarzali, że ciemna strona to szybka, łatwa ścieżka.

– Musisz być ostrożny, by nie zapuścić się nią zbyt daleko – ostrzegła go. –

Teraz, gdy już jej posmakowałeś, może cię pochłonać. To bardzo trudna sztuka: zachować dość wolności, by z niej czerpać, a jednocześnie pozostać panem własnego losu.

– Tak jak ty.

– Udało mi się to, ale nie bez trudu. Niemal poległam. – W jej oczach zalśnił smutek i padła mu w ramiona. – Żałuję, że musisz kroczyć tą ścieżką. Jednak to konieczne, jeśli mamy pokonać Dooku.

Pogładził jej krótkie, jasne włosy. Wspomnienie własnych czynów wytrącało go z równowagi, a jej słowa działały orzeźwiająco. Cofnął się, kładąc jej dłonie na ramionach i patrząc jej w oczy.

– Dooku jest silny – powiedział. – Ale my będziemy silniejsi. – Pogłaskał ją po policzku. – Razem.

Rysy jej twarzy złagodniały i uśmiechnęła się, jednak w tym uśmiechu były ból i mrok – i Vos wiedział, że niewiele było dane oglądać takie jej oblicze.

– Razem – powtórzyła i go pocałowała.

Rozdział osiemnasty

Vos się spóźniał. Znowu. Kenobi usiadł wygodniej i przygotował się na długie oczekiwanie w barze na poziomie tysiąc trzysta trzynastym. „Pewnego dnia – pomyślał – Vos zjawi się na czas”. Zastanowił się przelotnie, czy zdoła znieść taki szok.

Minuty mijały. Nadal ani śladu Quinlana. Kiedy upłynęły dwie godziny i Kenobi został zmuszony przyjąć więcej alkoholu, niż by sobie tego życzył, a także coś na kształt posiłku, poddał się i aktywował komunikator.

– Mistrzu Obi-Wanie, zaskoczony jestem, że kontaktujesz się ze mną – przywitał go Yoda.

– Mistrzu Yodo... Martwi mnie coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać na osobności.

– Do Świątyni w takim razie wracaj. Tu porozmawiamy.

Kiedy Kenobi wszedł do kwater Yody, mistrz Jedi siedział pogrążony w medytacji obok niewielkiej fontanny wysadzonej kryształami znanymi jako „śpiewające kamienie”. Obmywane wodą, emitowały melodyjne, ciche dźwięki – coś między dzwonieniem a dźwiękami wydawanymi przez instrumenty smyczkowe. Kenobi zazwyczaj uznawał je za kojące, podobnie jak zapach specjalnych olejków podgrzewanych przez płomyki, jednak dziś nawet te bodźce nie zdołałyby rozwiać jego trosk.

Yoda nie otworzył oczu.

– Witaj, Obi-Wanie – powiedział. – Obok mnie usiądź.

Kenobi posłuchał, z trudem zachowując spokój. Kilka chwil później Yoda znów przemówił:

– Mgłą zasnuwa troska serce twoje. Czy wyjawić mi ją zechcesz?

Obi-Wan przygryzł wargę.

– Mistrz Vos nie zjawił się na umówione spotkanie. Obawiam się, że mogło mu się coś... przytrafić.

– Czy w Mocy wyczuwasz coś? Wizję miałeś?

Obi-Wan pokręcił głową.

– Nie – wyznał. – Ale ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy, czułem w nim... coś.

Był powściągliwy. Wyczułem to, mimo że zachowywał się jak dawniej. I użył słów, które... – Urwał, by się zastanowić lepiej nad tym, co chciał powiedzieć. – Wówczas pomyślałem po prostu, że zaczyna go przytłaczać brzemień tej misji, jednak teraz, gdy patrzę na to wstecz... Mistrzowi Yodo, sędzę, że nie doceniliśmy Ventress. Możliwe, że odkryła jego prawdziwą tożsamość.

Yoda zastrzygł uszami z lekkim zaskoczeniem.

– Wiele tajnych misji Quinlan Vos wypełnił. Beztroski bywa, jednak nigdy nieostrożny. Być może więź zbyt mocną wypracował. Zawsze takie ryzyko istnieje.

– Vos? – zdumiał się Obi-Wan. – Nigdy taki nie był.

– Gdy życie własne powierzyć komuś trzeba, więź się tworzy. W takiej sytuacji ani Vos, ani Ventress nie byli wcześniej.

– Powiedział, że tworzą zgrany zespół – przypomniał sobie Kenobi. – A ja wiem aż za dobrze, że Ventress zawsze pozwalała nam widzieć to, co sama chciała. Jest osobą bardzo... skomplikowaną, indywidualistką. Mogę sobie tylko wyobrazić, co to znaczy przebywać z nią stale, tak jak Vos.

– A teraz skontaktować się z nim nie możesz.

Kenobi pokiwał głową.

– Być może powinienem był przyjść do ciebie w chwili, w której ogarnęły mnie wątpliwości. Lub wyjawić je Vosowi. Jednak to wydawało się takie... niedorzeczne, martwić się doborem słów i niejasnym poczuciem niepewności. Vos to nie padawan. Jest mistrzem. Nie zasługuje, by żywić wobec niego podejrzenia na podstawie takich błahostek.

– Więcej do powiedzenia masz mi, ale nie na ten temat – domyślił się Yoda.

Kenobi zmarszczył czoło, ale przyznał:

– Tak. Od początku miałem złe przeczucia co do tej misji. Wciąż jestem przekonany, że wysyłanie Jedi z zadaniem dokonania zabójstwa jest niewłaściwe. I obawiam się, że utracimy nie tylko mistrza Jedi, ale i kogoś, kogo uważałem za przyjaciela, po nic.

Yoda wstał, sięgnął po swoją laskę, podszedł do Kenobiego i położył mu drobną dłoń na ramieniu.

– Zgodzić się z tobą nie mogę. Teraz jednak, gdy w ruch wszystko wprawione zostało, powstrzymać toku wydarzeń się nie da. Wszystko musi się toczyć zgodnie z wolą Mocy. Czasem mroczną ścieżką kroczyć musimy, aby za światłem zatęsknić.

Kenobi przykrył dłoń Yody własną. Nie pytał, czy mały mistrz Jedi ma na myśli Vosa, czy też Zakon Jedi – w głębi serca nie chciał bowiem poznać odpowiedzi.

– Niech Moc będzie z nim – powiedział tylko.

– Do dzieła. – Ventress wklepała w konsolę polecenie i „Banshee” wyskoczyła z nadprzestrzeni. – Pilnuj kontrolek systemu łączności.

– Tak jest – potwierdził Vos. – Mam nadzieję, że kod dostarczony przez Sumdin zadziała, inaczej szybko zrobi się bardzo ciekawie.

– Zadziała – zapewniła go. – Sumdin można zaufać. Wysyłam. – Płynnie wprowadziła statek w strumień ruchu o umiarkowanym natężeniu, zajmując miejsce pośród jednostek kierujących się na Raxusa. W oddali przed nimi majaczył punkt kontrolny – blokada potężnych okrętów. Vos wpatrywał się w pulpity kanału łączności, gdy przelatywali tuż obok jednego z nich.

– Droga wolna – odsapnął. – Jedno potencjalne zagrożenie z głowy. Teraz musimy tylko dostać się na teren imprezy, znaleźć Dooku i go zabić. Bułka z masłem. – Wstał ze swojego fotela za jej plecami i pochylił się nad nią.

– Ale wcześniej jeszcze jedno – dodała Ventress. – Najpierw musimy się zatrzymać w Tamwith Bay.

– Tamwith Bay? – powtórzył Vos. – Sądziłem, że Dooku bawi w Raxulonie.

– Bo tak jest. My musimy jednak najpierw kupić nieco ubrań – wyjaśniła. – Tamwith Bay to jedno z większych miast, nieco oddalone od Raxulonu. Będzie mniej strzeżone.

– Nie podejrzewałem cię o zakupoholizm.

Wychyliła się z fotela i spiorunowała go wzrokiem.

– Czy zamierzałeś wejść ot tak na galę, na którą wstęp kosztuje dwadzieścia tysięcy kredytów, w... tym?

Vos gwizdnął.

– Aż tyle? Mam nadzieję, że zdążymy coś przekąsić. Tylko nie pytaj mnie o radę przy wyborze butów.

– Spokojna głowa. Masz gust Wookieego.

Powiódł wzrokiem po swoim znoszonym skórzanym stroju, który nosił od... odkąd pamiętał. Zakładał go zawsze, gdy nie nosił szat Jedi. Dawał mu całkiem niezłą ochronę, zapewniając przy tym swobodę ruchów i nie przyciągając zbytniej uwagi. Przynajmniej w kręgach, w których zwykle się obracał.

– Ale... czarny do wszystkiego pasuje.

Ventress parsknęła kpiąco.

– Zostaw to mnie.

Zabrała go do placówki obsługującej gości kosztownych przyjęć i już niebawem Vos został wyposażony w czarne spodnie, wygodne skórzane buty i śnieżnobiałą bluzę w śmiałe złote pasy.

– Koszula wspaniale kontrastuje z pańską ciemną karnacją – zapewnił Vosa krawiec, gdy Quinlan w końcu mógł obejrzeć się w lustrze.

Jego ciemna skóra wydawała się lśnić na tle bieli. Prosty, dopasowany krój i ostre kanty spodni podkreślały jego długie nogi, szerokie ramiona i wąską talię.

– Hm, hm – mruknął pod nosem. – Całkiem nieźle.

– Racja – zgodziła się Asajj i zmierzyła go wzrokiem, od którego podskoczyło mu tętno. Uśmiechnął się do niej.

– Cóż, jeśli dama mojego serca jest zadowolona, biorę. – Po czym zapytał Ventress: – A co z tobą?

Pokazała mu torbę.

– Znalazłam już coś, podczas gdy mierzyłeś spodnie. Ruszajmy.

– Pokaż – poprosił.

– Nie mamy czasu na przebieranki – prychnęła, ucinając dyskusję.

Lot z Tamwith Bay do Raxulunonu nie trwał długo. Vos nie zdążył nawet pobrudzić sobie nowego ubrania. Gdy słońce zachodziło nad piękną stolicą Raxusa, malując ciepłymi odcieniami różu i fioletu wysokie wieżycy stolicy, Ventress sprowadziła statek nie do głównego kosmoportu, ale jednego z mniejszych i mniej popularnych. Był jednak wystarczający na ich potrzeby – było tu czysto, a droidy, które zjawiły się, aby zatankować i umyć „Banshee”, wyglądały na dość nowe modele. Widać było jednak na pierwszy rzut oka, że to zwykła lokalna platforma lądownicza, nieprzeznaczona dla możnych i bogatych – obecnie Ventress i Vos byli jedynymi, którzy z niej korzystali.

Quinlan zszedł po trapie i rozejrzał się ostrożnie dookoła, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Kilka sekund później jego uszu dobiegł stukot obcasów. Obejrzał się.

– Chodźmy więc zobaczyć... – Na widok Asajj zamilkł. Wcześniej wydawało mu się, że widział ją we wszystkich jej wcieleniach: jako zapalczywą wojowniczkę, zimną twardzielkę, kusicielkę, wcielającą w życie podejście zarówno „zalotnego

mrugnięcia”, jak i „pójścia na całość”, a także najpiękniejszym, najbardziej niesamowitym, kiedy leżała, jako ona sama, w jego ramionach w świetle gwiazd.

Jednak to... to było coś zupełnie innego.

Miała na sobie dwuczęściowy kostium bez rękawów, z materiału w kolorze głębokiej czerni, ozdobiony subtelnym spiralnym haftem o barwie ciemnego fioletu, ze wstawkami z koronki w tym samym odcieniu. Góra ciasno opinała jej piersi, odsłaniając rąbek umięśnionego brzucha, a suta rozkloszowana spódnica spływała miękko z jej bioder. Czarna i rozcięta z przodu, opadała aż do podłogi. Asajj wsuwała właśnie miecz świetlny za podwiązkę na szczupłym, ale muskularnym udzie. Gdy się wyprostowała, ich spojrzenia się spotkały.

Strój był elegancki, ale nie krzykliwy, nosząca go kobieta była zaś silna i pełna życia. To połączenie sprawiało, że Vos poczuł się przez chwilę niczym sokół w tej niepowtarzalnej chwili między przejściem z lotu nurkowego do szybowania – i na moment zaparło mu dech w piersi.

Wreszcie przełknął ślinę i wykrztusił:

– W-wyglądasz...

Po jej twarzy przemknął ciąg zmieniających się jak w kalejdoskopie emocji: rozdrażnienie, radość, a także coś, czego nigdy by się po niej nie spodziewał – zakłopotanie.

– No, dalej, wyrzuć to z siebie – prychnęła.

– W-wyglądasz...

„Jak bogini miłości i wojny, nadziei i ekstazy” – chciał powiedzieć. – „Jak lśniąca gwiazda, którą jakimś cudem dane mi było trzymać w ramionach. Jak... reszta mojego życia”. Jednak zamiast tego rzucił tylko:

– ...niczego sobie.

Miał ochotę skopać sobie tyłek.

Ventress przewróciła oczami.

– Nie dziwota, że wy, Jedi, jesteście tak sfrustrowani – parsknęła. – Tak jak wspomniałam wcześniej, te nieszczęsne przebrania są konieczne, jeśli nasza misja ma się powieść.

Gdy schodziła po trapie, Vos próbował przestać szczerzyć się do niej jak głupi, ale poległ z kretesem. Przyciągnął ją do siebie i wymamrotał w jej długą, smukłą szyję:

– Ta misja coraz bardziej mi się podoba.

Nim jednak zdążyła mu się odgryźć jakąś ciętą ripostą, odwróciła gwałtownie głowę. Podążył za jej spojrzeniem, ale nie zauważył nic niepokojącego.

– Spodziewasz się kogoś? – zagadnął.

– Sumdin!

Na dźwięk imienia z cienia wynurzyła się Gossamka. Ventress wyszła jej na powitanie i przyklękła przed znacznie od niej niższą przedstawicielką jaszczurowatej rasy.

Sumdin przypatrywała się przez chwilę Vosowi, po czym przeniosła wzrok na Ventress.

– *Qwaazzz zuck chi cho wazz?* – prychnęła.

Asajj kiwnęła głową.

– Tak. Jak dotąd wszystko szło jak z płatka. Gdzie nasze wejściówki?

Sumdin podała jej dwie niewielkie grawerowane karty.

– *Cho chuck chuck zoo zum.*

– Domyślam się, że to nie było łatwe – zgodziła się z nią Ventress i uśmiechnęła się ciepło. – Świetnie się sprawiłaś. Dziękuję. Twoja lojalność zostanie wynagrodzona. – Pochyliła się i położyła lewą dłoń na ramieniu Sumdin, ściskając je lekko. Powietrze przecięła rozmaszana błyskawica, której towarzyszyło znajome buczenie, i Sumdin padła bez życia na ziemię. W jej tułowiu ziała dymiąca dziura. Tymczasem Ventress zgasła, jakby nigdy nic, miecz świetlny i wyprostowała się.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Vos ledwie był w stanie dostrzec, co się stało, więc nie było szansy, by zdołał temu zapobiec.

– Coś ty najlepszego zrobiła? – wykrzyknął. – Ona nam pomogła!

– Pamiętaj, czego cię nauczyłam, Vos – odparła beznamiętnie Asajj. – Żadnego współczucia. Żadnego roztkliwiania się. Ona się nie liczy. Liczy się tylko to, po co tu przyszliśmy. Nic, absolutnie nic, nie może nam teraz stanąć na drodze. Zbyt daleko zaszliśmy.

Nadal skołowany, Vos spojrział z niedowierzaniem na drobne, bezwładne ciało. Sumdin była bez wątpienia profesjonalistką, informatorką sprzedającą swoją wiedzę temu, kto lepiej zapłaci... Była też jednak żywą istotą. Nie zasłużyła sobie na taką śmierć, skoro zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano.

Czy jednak mahrańscy uchodźcy zasłużyli sobie na to, by zginąć w przestrzeni kosmicznej? Czy którykolwiek z poddanych Dooku wbrew własnej woli zasługiwał na powolną, bolesną śmierć głodową lub morderstwo z powodu zachcianki kogoś,

kogo rozdrażnił? Co, jeśli Sumdin grała na dwa fronty?

Udręczony Vos przymknął na chwilę oczy. Czuł się zraniony, rozdarty, ale Ventress miała rację – musieli bez litości wyeliminować wszystkie potencjalne przeszkody, które mogłyby powstrzymać ich przed wypełnieniem ich misji. Dooku musi zginąć. Miał cichą nadzieję, że śmierć Sumdin będzie ostatnią, o którą można by obwinić hrabiego. Bez słowa podniósł z ziemi drobne ciało, myśląc przy tym, że Sumdin nie waży więcej niż Vram – co sprawiło, że ogarnęła go wściekłość.

Skupił się bez reszty na tym uczuciu, gdy szli na przyjęcie, pozwalając, by przygotowało go i kierowało nim podczas tego, co ich czekało.

Rozdział dziewiętnasty

– Obawiam się, że muszę państwa przeszukać na okoliczność posiadania broni – oznajmił im słusznej postury strażnik, gdy wręczyli mu swoje zaproszenia.

Ventress zmierzyła go od góry do dołu wzrokiem i uśmiechnęła się.

– Ależ gdzie miałabym ukryć broń w takim stroju? – spytała niewinnie, wskazując na swój ubiór.

Strażnik roześmiał się z przymusem.

– No właśnie, gdzie miałyby pani ukryć w takiej sukni broń? Zapraszam, psze pani.

Mrugnęła do niego i przeszła przez bramkę. Vos użył dokładnie tej samej sztuczki – i on również został przepuszczony.

– Dooku powinien lepiej dbać o ochronę – mruknął do Ventress, kiedy wsunęła dłoń pod jego ramię.

– Jego arogancja nie pozwalała mu przyjąć do wiadomości, że mógłby tu po niego przyjść ktoś wrażliwy na Moc.

Rozejrzał się pośród eleganckich gości, przechadzających się bez celu i prowadzących ciche konwersacje. Nigdy nie miał żadnych problemów z dostosowaniem się do nowego środowiska – czuł się jak u siebie zarówno na terenie jałowych pustkowi, w melinach szefów przestępczego świata, w szemranych spelunach, jak i przed Radą Jedi. Tutaj jednak czuł się dojmująco nieswojo. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po popełnionym przez Ventress z zimną krwią morderstwie – chociaż nie wstrząsnęło nim tak, jak wstrząsnęłoby dawniej. Miał także pewność, że w ciągu najbliższej godziny albo wraz z Asajj zabiją hrabiego Dooku, eliminując na zawsze zagrożenie, jakie stanowił – albo sami będą martwi.

A może po prostu chodziło o ubiór? Powstrzymał się od nieustannego poprawiania wysokiej stójki bluzy i uznał, że będzie właśnie w ten sposób tłumaczył sobie fakt, że czuje się nieswojo – nic poza tym.

Ventress jednak... O, Ventress poruszała się, jakby w życiu nie robiła nic innego poza bywaniem na przyjęciach, ubrana w długie, zwiewne suknie i na wysokich obcasach. Aby dodać sobie wiarygodności, skropiła się nawet perfumami. Kręciło go od nich w nosie, jednak musiał przyznać, że nie tylko wygląda i rusza się, jakby

należała do wyższych sfer, ale nawet tak pachnie. Nie mógł od niej oderwać wzroku, ale zmusił się, żeby nieustannie się na nią nie gapić. Mieli do wypełnienia zadanie.

Przechadzali się, ramię w ramię, pośród tłumu bogatych gości zgromadzonych na placu. Było tu dość tłoczno, jednak nie panował ścisk – droidy bojowe doskonale radziły sobie z zarządzaniem tłumem, a poza tym, jak domyślał się Vos, goście nie chcieli psuć sobie misternych fryzur. Lub piór. Albo macek.

Fala istot przeróżnych ras płynęła w ospałym, ale uporządkowanym szyku ku budynkowi na obrzeżach placu. Vos nie wiedział, co to za miejsce, ale cechował je oficjalny, surowy wygląd, typowy dla architektury rządowej, który potrafiłby rozpoznać wszędzie. Był wyposażony w kładkę i balkon, a wszystkie twarze zwróciły się ku jego górnej części – czy raczej dużemu podium ustawionemu na środku brukowanego placu.

Zaświtała mu pewna myśl.

– Wiesz co? – zagadnął swoją towarzyszkę. – Nie powiedziałaś mi nawet, co to za impreza.

Ventress przewróciła oczami, pochyliła się do jego ucha i zniżając głos do szeptu, oznajmiła:

– Konfederacja Niezależnych Systemów przyznała hrabiemu Dooku Raxuską Nagrodę Humanitarną.

Vos parsknął – na wpół z rozbawieniem, na wpół z niedowierzaniem. Zgromiony przez partnerkę wzrokiem, udał, że kaszle.

W tłumie wrzało od ożywionych poszeptywań, jednak teraz przeszła przez niego fala pomruków. Na balkonie pojawiło się właśnie kilka droidów bojowych, które zajęły pozycje strażnicze. Vos poczuł, jak jego puls przyspiesza. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić i spowolnić bicie serca. Skupienie było jedynym właściwym sposobem na kontrolowanie Mocy – obu jej stron.

– Przedstawienie czas zacząć – mruknęła Ventress.

W tej samej chwili na balkon wyszedł hrabia Dooku, w pełnym galowym rynsztunku.

Tłum zaczął wiwatować, klaskać i wznosić radosne okrzyki, pohukiwać i na wszystkie możliwe sposoby wyrażać swoją aprobatę. Dooku, wyglądający w każdym calu jak dobrotliwy, wysoko urodzony przywódca, pomachał zgromadzonym i uśmiechnął się do nich ciepło. Wyświetlony symbolicznie

„pośród ludu” na placu jego trzymetrowy hologram zrobił to samo.

Vos pomyślał o mistrzu Tholmie. O tym, co Ventress powiedziała mu o jego śmierci – jak zginął, rozplątany przez szkarłatne ostrze miecza Dooku. Dawniej odsunąłby od siebie szybko te myśli i stłumił w zarodku palącą falę gniewu, jednak teraz pozwolił, by go obmyła, moszcząc się w jego sercu niczym wąż gotowy do ataku.

Dooku nie był sam. Kilka kroków za nim zajął pozycję generał Grievous, cybernetyczny przywódca wielkiej armii droidów. Czwororęki, o twarzy przesłoniętej maską przypominającą czaszkę i szponiastych stopach, wydawał się istotą wyjętą raczej z przyprawowego koszmaru niż istniejącą naprawdę. Był bardziej maszyną niż stworzeniem z krwi i kości, jednak w jego zmrużonych oczach, łypiących spod białej maski, czaiło się niewyobrażalne zło.

– Wygląda na to, że Dooku przyprowadził swoje popychadło – mruknął pod nosem Vos.

Wciąż się uśmiechając, Dooku podniósł rękę, prosząc o ciszę, i przemówił:

– To dla mnie wielki zaszczyt, stać tu przed wami, ponieważ reprezentujecie wolność i przyszłość naszej galaktyki. Niegdyś świetna Republika i Zakon Jedi stały się ofiarami własnych ambicji, najwyższy kanclerz zaś to teraz zaledwie pionek korporacyjnych monopoli.

Vos skrzyżował ramiona na piersi, słuchając jego słów. Ventress także zdawała się słuchać, jednak Quinlan kątem oka widział, że ukradkiem lustruje tłum.

– Wy, lud, domagaliście się zmiany. Dopominaliście się przywództwa, a ja w swej skromności odpowiedziałem na te prośby – ciągnął Dooku. Jego głos, jak zawsze, brzmiał dźwięcznie i mocno. – Wspólnie stawiliśmy czoło systemowi. Zażądaliśmy równości. A jaką otrzymaliśmy odpowiedź? W formie wojny! Ujawniono istnienie tajnej armii klonów Jedi, ich zdrada okazała się zaś sięgać znacznie głębiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać!

Tłum zawrzał gniewnymi pomrukami i niskimi pohukiwaniami, w górę wzniosły się zaciśnięte pięści. Dooku podjął, kipiąc słusznym gniewem:

– Niezliczone istoty żywe, klony stworzone przez Jedi, zostały posłane na śmierć, podczas gdy my rzucamy do walki głównie droidy.

Vos skrzywił się lekko i szepnął do Ventress:

– W tym jednym ma rację.

Posłała mu kose spojrzenie, jasno dając do zrozumienia, że nie robi to na niej

najmniejszego wrażenia.

– Nasi żołnierze z krwi i kości to świadomi ochotnicy, walczący z własnej nieprzymuszonej woli! To nasi ojcowie i synowie, nasze matki i córki, które biorą udział w tej wojnie nie dlatego, że zostali wyhodowani i tak ukształtowani, ale dlatego, że wiedzą, że walczą o słuszną sprawę!

Zerwała się kolejna burza wiwatów. Vos rozejrzał się, wodząc wzrokiem po twarzach rozświetlonych ekscytacją i uwielbieniem. Obserwowanie, jaką miłością i szacunkiem darzą ci ludzie Dooku, frustrowało go. Ventress nie patrzyła na hrabiego – i chociaż doskonale szło jej zachowywanie kamiennej twarzy, to Quinlan znał ją dość dobrze, by przejrzeć jej maskę i dostrzec kipiącą pod nią nienawiść. Ścisnęła jego ramię i wskazała lekko głową kolumnadę po ich prawej stronie. Zaczęli przedzierać się przez tłum w tamtym kierunku, podczas gdy Dooku kończył przemowę:

– Nie jest łatwo być waszym przywódcą w czasie tej niefortunnej wojny, jednak przyjmuję na siebie ten humanitarny obowiązek oraz tytuł, na znak waszego uznania, potwierdzający, że moje starania spotykają się z waszą aprobatą. – Niczym wytresowane pupile reagujące na komendę, tłum wybuchł entuzjastyczną wrzawą. Rozpromieniony Dooku rozłożył dobrotliwie ręce, jakby wszystkich ich symbolicznie obejmował. – Czas świętować!

Tłum wiwatował przez długą chwilę, po czym zaczął płynąć ku kolejnej szeroko otwartej bramie na końcu kolumnady.

– Obecność Grievousa nieco nam utrudnia sprawę – oznajmiła bez zbędnych wstępów Asajj. – Jak sądzisz, poradzisz sobie z nim?

Vos skinął głową.

– To nie powinien być problem. Trzeba go tylko powstrzymać, żebyśmy mieli pewność, że zmierzmy się z samym Dooku.

– Z programu imprezy wynika, że teraz nastąpią toasty i część towarzyska, a potem rozpocznie się bankiet. Pójdę do środka i złożę hrabiemu wizytę. Najprawdopodobniej skontaktuje się wówczas z Grievousem. Bądź gotów.

Vos obdarzył ją swoim najbezpieczniejszym uśmiechem.

– Hej! – zawołał, udając, że czuje się urażony. – Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Jego słowa miały nieco rozluźnić atmosferę, jednak jakimś cudem przyniosły odwrotny skutek. Asajj przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, a potem

dotknęła delikatnie jego policzka, odwróciła się na pięcie i wmieszała w tłum gości. Zbity z tropu, patrzył za nią przez jakiś czas, a potem wyruszył na poszukiwania Grievousa.

Z wysoko uniesioną głową, Ventress weszła swobodnym krokiem do jadalni – wielkiego, przestronnego pomieszczenia. Zdołały je posągi: popiersia słynnych polityków wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w tłum gości. Ściany pomalowano na ciepły odcień głębokiej czerwieni i przyozdobiono tętniącymi życiem malowidłami, przedstawiającymi gwiazdne pejzaże, portrety i martwe natury. Na samym środku pokoju, pod zdobnymi żyrandolami, ustawiono kilka stołów. Niektórzy z gości już zajęli miejsca, podczas gdy inni kręcili się w pobliżu. Droidy roznosiły na tacach przekąski i napoje, zręcznie lawirując w ścisku. Znienawidzona przez Ventress suknia była idealnym przebraniem – przyciągała wzrok jedynie łasych na damskie wdzięki.

Wygładziła jej fałdy i wróciła myślami do wcześniejszej reakcji Vosa na jej widok. Przywykła do tego, że mężczyźni otwarcie się jej przyglądają – i bez skrępowania wykorzystywała to do osiągnięcia własnych celów. To było – jak wspomniała Vosowi – po prostu kolejne narzędzie w jej arsenale. Jednak nikt nigdy wcześniej nie patrzył na nią tak jak on. Sprawiał, że czuła się... obnażona. Nie tyle jak obiekt pożądania, ile jak ktoś, kogo przejrano na wylot – kogo poznano na wskroś, a jednak przy tym czczono i ceniono.

Vos pokazał jej, że był gotów porzucić dla niej swoje dawne życie, gdy będzie już po wszystkim. Czy jednak ona mogła odwzajemnić mu się tym samym? O co takiego spytał ją któregoś razu? „Czy kiedykolwiek przestajesz myśleć o pracy?”

Odpowiedź zawsze brzmiała: nie. To była jej tożsamość, jej droga we wszechświecie. Korzystała ze swoich „narzędzi” – kłamstw, miecza świetlnego, sposobu „na całość”, Mocy – aby stać się tym, kim chciała, kim musiała, by wypełnić czekające ją zadanie: zabójczynią, uwodzicielką, oszustką.

Kim byłaby bez miecza świetlnego czy fałszywego oblicza? Czy gdyby naprawdę wyzbyła się całej nienawiści i zamiast tego przyjęła to, co widziała w oczach Vosa – że kochał ją po prostu za to, że była – zostałoby coś z Asajj Ventress?

Przepełniło ją dziwne uczucie, nie wiedziała jednak, czy to tęsknota, czy strach.

Droid kelnerka o metalowej fryzurze, w krótkiej czerwonej sukience, wyciągnęła w jej stronę tacę z drinkami. Wyrwana z zamyślenia, Ventress zgaśniła

się w duchu za roztargnienie, sięgnęła po koktajl i upiła łyk, rozglądając się po sali.

Tak jak się spodziewała, Dooku stał w samym centrum – ludzie tłoczyli się wokół niego i przepychali, jednak nie próbowali dostać się w pobliże gwiazdy holofilmów. O, nie – zachowywali się ze swobodą, ocierającą się nawet o obojętność. Ventress obserwowała przez chwilę z cienia bogatych i potężnych, aż wreszcie wkroczyła w sam środek tłumu.

Gdy zaczęła iść w stronę hrabiego, poczuła, jak w piersi wzbiera jej gorąca fala nienawiści. Z trudem powstrzymywała się, by nie podejść prosto do niego, nie sięgnąć po miecz świetlny i nie zaatakować go z miejsca. Ale przecież to on ją szkolił, a jej dawne porażki nauczyły ją, że nie zdoła go pokonać sama. Pomyślała o Karis i Naa'leth i ich pierwszej próbie zamachu na Dooku. Matka Talzin zapewniała ją, że to najbieglejsze wojowniczkę spośród Sióstr Nocy – i rzeczywiście, nie miały sobie równych. Jednak nawet tego, że działały we trójkę, wspomagając się mroczną magią Sióstr Nocy, ukrywając je przed Dooku, poległy z kretesem. Za drugim razem Ventress próbowała zabić hrabiego z pomocą Matki Talzin – tym razem wykorzystwała zabrackiego Brata Nocy nazwiskiem Savage Opress, który przeszedł brutalne szkolenie, przepojony siłą ciemnej strony dzięki rytuałom Matki Talzin, a następnie został poddany torturom, gdy ją rozczarował. Był jej dziełem, jej tworem, a jednak kiedy przyszło co do czego, zwrócił się zarówno przeciwko Dooku, jak i przeciwko niej.

Z Vosem sprawy miały się inaczej. Należał do niej – sprzymierzył się z nią z własnej woli, jak Karis i Naa'leth, zakosztował również ciemnej strony i szkolił się do wykonania tego zadania jak Opress. Jednak ponad wszystko był panem własnego losu. Był dość silny, by przejść wszystkie próby, którym go poddała. Dzięki temu – a także jej kłamstwu w sprawie prawdziwej tożsamości zabójcy mistrza Tholme'a, podsycającego jego gniew – wspólnie mieli dość siły, by zgładzić hrabiego Dooku.

Jego słowa po prostu ją zasmuciły – choć on oczywiście nie rozumiał dlaczego. Jasne, nigdy jej nie zawiódł. To ona zawiódła go swoimi kłamstwami. Kiedy jednak to wszystko się skończy...

Podeszła bliżej. Dooku stał do niej plecami, zajęty rozmową. Wypowiadane gładko słowa wzbudzały w niej nowe fale nienawiści. Nagle zamarł i rozejrzył się po pokoju – na pozór naturalnie, jednak Ventress go znała, każdy jego gest i ruch,

i dotarło do niej, że ją wyczuł.

To dobrze.

Uszła jeszcze krok i szepnęła mu do ucha:

– Witaj... mistrzu.

Rozdział dwudziesty

Hrabia przez chwilę milczał. Stanąwszy z nim oko w oko, Ventress czuła się dziwnie spokojna. Dla otaczających ich dygnitarzy i możnych wyglądali zwyczajnie, nic nie mogło wzbudzić podejrzeń.

Wreszcie Dooku westchnął.

– Powrót nie był zbyt dobrą decyzją, moja droga. Tym razem dopilnuję, by to się nie powtórzyło.

To samo powiedziała wcześniej Vosowi – no, prawie. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie podchwyciła tej frazy od swojego dawnego nauczyciela. Zacmokała z dezaprobatą.

– No, no... to niezbyt humanitarne, czyż nie? Poza tym nie zabijesz mnie tu chyba na oczach wszystkich. – Wiedziała, że tego nie zrobi i że jej słowa tylko go bardziej rozdrażnią.

Gdy znów się odezwał, w jego melodyjnym głosie brzmiały szorstkie nuty:

– Czego chcesz?

– Znudziło mi się już cię ścigać. Chcę uczciwej walki, nic poza tym. Spotkajmy się dziś na tarasie i zakończmy to, w ten czy inny sposób.

– Możesz być pewna, że to zakończy... Ach, gubernatorze, dziękuję za przybycie.

– To dla mnie wielki zaszczyt! – wił się w ukłonach Aqualish, potrząsając energicznie dłonią Dooku. Miał na sobie mundur wyprasowany jak liść, lecz marszczący się pod ciężarem medali i epoletów, a jego wydatne kły były białe i lśniące.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił go grzecznie Dooku, po czym zwrócił się do jego żony, by ją przywitać. Onieśmielona, skłoniła łysą głowę i uciekła w bok wielkimi, czarnymi oczami.

Ventress skorzystała tymczasem z okazji, żeby wmieszać się z powrotem w tłum. W pobliżu stał akurat potężnie zbudowany Falleen – jego widok przypomniawszy jej o strażnikach, z którymi walczyli w fortecy Czarnego Słońca. Był idealną przeszkodą dzielącą ją od Dooku i uniemożliwiającą mu jej dostrzeżenie. Przyglądała mu się niepostrzeżenie, gdy wreszcie zdołał opędzić się od swoich wielbicieli na dostatecznie długą chwilę, by sięgnąć po komunikator i coś do niego

szeptnąć.

Nie próbowała nawet ukryć triumfalnego uśmiechu, który rozciągnął jej wargi, gdy wymykała się z sali.

– Generale? – Głos bez dwóch zdań należał do hrabiego Dooku. Ze swojego miejsca na balkonie Vos wymamrotał z satysfakcją:

– Tak!

W pokoju rozległ się trudny do pomylenia z czymkolwiek innym, chrapliwy głos Grievousa:

– Tak, mój panie?

Vos nie miał większych trudności z ustaleniem lokalizacji centrum ochrony, podobnie jak z wyeliminowaniem droidów strzegących korytarza z obu stron.

– Ta zdrajczyni Ventress jest tutaj. Spotkajmy się na tarasie.

– Tak jest, panie – odparł natychmiast Grievous, a chwilę później dodał: – Ruszajmy!

Klony nazywały czasem wrogie droidy „blaszakami” i Vos pomyślał, że to bardzo trafna nazwa, gdy Grievous w towarzystwie trzech droidów bojowych wymaszerował przy akompaniamencie ich szczęku z centrum ochrony.

Quinlan zeskoczył saltem na ziemię, dobywając w locie miecz świetlny. Chlasnął ostrzem w panel kontrolny, który w powodzi iskier zablokował drzwi. Obok niego przemknął z sykiem strzał z blastera, jednak Vos wyczuł go odpowiednio wcześniej i zrobił unik, obracając się jednocześnie, by odbić kolejne wystrzelone w jego stronę wiązki ognia. Pozwolił, by pęd poniósł go naprzód i zawiął mieczem ponownie, odcinając głowę jednemu z droidów. Blaszak wydał z siebie zaskoczony skrzek, wystrzelił niegroźnie w sufit i padł bezwładnie na podłogę.

Vos tymczasem ustawił się tak, by Grievous znalazł się między nim a pozostałymi dwoma droidami, które popatrywały po sobie niepewnie, próbując zdecydować, czy zdołają oddać celny strzał, nie raniąc przy tym swojego dowódcy. Podczas gdy się wahały, Quinlan wyrzucił przed siebie dłoń, rozcapierzając palce. Kiedy Grievous sięgnął po dwa miecze przytroczone u pasa, broń pofrunęła prosto w nadstawioną rękę Jedi.

– Nie będą ci potrzebne – poinformował Vos generała cyborga, który, żałośnie pozbawiony poczucia humoru, wydał z siebie ryk wściekłości i ruszył do ataku,

tak jak Quinlan się spodziewał. Jakby od niechcienia, Jedi odstąpił na bok i machnął mieczem, odcinając lewą rękę Grievousa w nadgarstku. Mechaniczna dłoń upadła na podłogę metalowe palce wciąż zaciskały się kurczowo na obudowie komunikatora.

– Wybacz – mruknął Vos, podnosząc urządzenie i machając nim pod nosem rozwścieczonego cyborga. – Ja też tego potrzebuję. Nie mogę pozwolić, żebyś się teraz skontaktował z hrabią, prawda?

Grievous tymczasem rozłożył szeroko czworo ramion i rzucił się na niego niczym atakujący owad. Vos skoczył mu na spotkanie. Starli się w pół drogi. Grievous był cięższy i impet, z jakim uderzył w przeciwnika, pchnął ich obu na ścianę za plecami Quinlana. Śmiejąc się okrutnie, Grievous zamknął prawe dłonie wokół gardła Vosa i cisnął nim o twardą, kamienną podstawowy, jednak wypuszczając go z uścisku, popełnił zasadniczy błąd: Quinlan wylądował na ziemi bezpiecznie, w kucki, aby błyskawicznie zerwać się i odwrócić do cyborga.

– Zostałbym tu i cię zabił – poinformował go – ale mam dziś mało czasu.

W tej samej chwili droidy zorientowały się, że mają wolne pole do ostrzału, i otworzyły ogień ze zdwojonym entuzjazmem. Vos bez trudu odbijał przez jakiś czas czerwone błyskawice, po czym, machając Grievousowi radośnie na pożegnanie, uderzył dłonią w panel kontrolny ostatnich drzwi. Kiedy się zamykały, przemknął pod nimi, a na zewnątrz upewnił się, że cyborg ich nie otworzy. Po przeciwnej stronie zdążył stopić kontrolki.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę, aby ponapawać się dźwiękami dobiegającymi zza drzwi: rozwścieczonym wyciem Grievousa i jego bębnieniem pięściami o zatrzęsniętą gródź oraz zaniepokojonym bąknięciem jednego z droidów, próbującego najwyraźniej otworzyć wrota:

– O-o...

Cała walka trwała mniej niż sześćdziesiąt sekund.

Misja numer jeden wypełniona. Teraz czas zająć się Dooku.

Ventress pochyliła się nad kamienną poręczą tarasu, z którego Dooku wygłaszał wcześniej swoją górnolotną mowę. Zapadła już noc, jednak nie było wcale ciemno – niebo rozświetlały fajerwerki we wszystkich kolorach, jakie można było sobie wyobrazić, wokół niosły się echem huki ich wystrzałów.

Tak jak on wyczuł ją wcześniej, teraz ona wyczuła jego: chłodny mrok, tak

odmienny od przyjaznej ciemności nocy, złowrogi i odpychający. Nie pierwszy raz zastanowiła się, jakim cudem mogła kiedyś darzyć tego człowieka takim uwielbieniem.

Nie przestawała wpatrywać się w fajerwerki. Nocna bryza mierzwiła jej krótkie, jasne włosy i wydymała długą spódnicę.

– Coś na ochłode? – Gdy odwróciła się, zaskoczona, spostrzegła, że Dooku trzyma w dłoniach dwa kieliszki. Wyciągnął jeden w jej stronę. – Alderaańskie wino. Doskonały rocznik... Ostatnio dość trudne do zdobycia.

Nie pofatygowwała się nawet z odpowiedzią. Niedostępne czy popularne, ta nędzna kreatura najprawdopodobniej zatrąła wino – a gdyby nawet nie, wolałaby zginąć, niż z nim pić. Kiedy odwróciła się z powrotem do barierki, wzruszył ramionami i upił łyk z kieliszka, który jej zaproponował, stawiając drugi na poręczu.

– Jaka szkoda, że nam nie wyszło – westchnął, spoglądając na fajerwerki i w zadumie kołysząc wino w szkle. – Mieliśmy u stóp całą galaktykę. Jednak widać było nam pisane co innego, moja nieszczęsna uczennico.

Ventress miała dość jego protekcyjnej gadki. Była gotowa walczyć z nim na miecze świetlne, nie cięte riposty.

– Zniszczyłeś mi życie – warknęła. – Mój lud!

Jego usta ukryte w białej brodzie rozciągnął półuśmiech.

– Po raz kolejny utwierdzasz mnie tylko w przekonaniu, że nie mogło być inaczej. Postąpiłaś głupio, zjawiając się tu w pojedynkę. Ja nigdy nie popełniłbym tak niewybaczalnego błędu. – Aktywował swój komunikator, rzucając do niego z uśmiechem: – Generale?

Cisza.

O, tak. Ventress była bardziej niż gotowa, cała sprężona w oczekiwaniu na chwilę najdzikszej radości w jej życiu.

– Generale? – W głos Dooku wkradły się nuty niepewności. Ventress uśmiechnęła się z wolna, napawając się tym momentem. Za ich plecami rozległ się trudny do pomylenia z czymś innym odgłos klingi świetlnej budzącej się do życia.

Dooku zawirował, odwracając się ku źródłu dźwięku. Gdy Ventress zwróciła się w jego stronę, z głęboką satysfakcją spostrzegła, że z twarzy odpłynęła mu cała krew.

– Wygląda na to, że jednak się czegoś nauczyłam – wycedziła.

– Jedi?

Och, ten moment sprawił jej autentyczną rozkosz. Chyba nigdy nie widziała u Dooku takiej konsternacji, która jeszcze wzrosła, gdy bąknął z niedowierzaniem:

– Vos?

Quinlan wzruszył tylko ramionami.

– Sam jestem tym nieco zaskoczony, hrabio.

Dooku wodził przez chwilę wzrokiem od niego do Ventress i z powrotem, a potem, ku jej zdziwieniu, oświadczył niefrasobliwie:

– Nigdy nie zdołacie wziąć mnie żywcem. – I jakby nigdy nic napił się wina.

Vos wciąż się uśmiechał. Nie był to miły uśmiech, jednak na jego widok Ventress rosło serce. Cofnęła się kilka kroków od barierki i przesunęła dłonią po spódnicy, sięgając po miecz świetlny, podczas gdy cała uwaga Dooku skupiała się na jej partnerze.

– Nie zależy nam na tym – wyprowadził go z błędu Vos. I zaatakował.

Dooku, wciąż próbujący zrozumieć, co się dzieje, dał się zaskoczyć – jednak tylko na chwilę. Jakimś cudem zdołał odstawić ostrożnie kieliszek alderańskiego wina na poręcz i jednocześnie sięgnąć po własny miecz. Asajj cięła mieczem, ale hrabia zanurkował.

Przeskoczył między nimi, blokując cios Ventress szkarłatnym ostrzem i w tym samym czasie wymierzając Vosowi kopniaka – niemal tańczył między nimi, tak że musieli uważać, by atakując go, nie zranić siebie nawzajem. Asajj zakłęta pod nosem i odskoczyła saltem w tył, zrzucając przy tym z nóg buty na niedorzecznie wysokich obcasach. Dzięki więzi, jaka ich łączyła, Vos natychmiast zorientował się w jej taktyce i zajął lepsze miejsce, z którego mogli kontynuować natarcie.

Dooku jednak nie odpuścił ani na chwilę, atakując ze zdwojoną siłą. Ostrze jego miecza ledwie drasnęło żebra Quinlana, lecz Jedi szarpnął się gwałtownie i w błękitnej poświacie fajerwerków Ventress spostrzegła, że jego twarz wykrzywia grymas bólu, przeradzającego się szybko w nienawiść.

„Ból – pomyślała przelotnie – czyni nas silniejszymi”. Wiedziała o bólu wszystko.

Z gardłowym warknięciem zaatakowała Dooku, napawając się siłą i elastycznością własnych mięśni, gdy zadawała cios za ciosem. Jej były mistrz odbijał każdy z nich, jednak nieustępliwie zmuszała go do odwrotu. Zrobił unik, odskakując w bok, a gdy dotarło do niej, że przeliczyła się i przeszarżowała,

Dooku zacisnął lewą dłoń na jej nadgarstku i wzniosł do ciosu własny miecz. Teraz to ona chwyciła go za ramię, utrzymując szkarłatną klingę z dala od siebie. Przez moment ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. Wpatrywali się w siebie z natarczywością będącą parodią namiętnego spojrzenia, jakim mogliby się mierzyć kochankowie. I wówczas Dooku podźwignął ją i cisnął jej ciało na kamienną posadzkę. Nie zdolałszy w porę złapać równowagi, Asajj wylądowała na ziemi z głuchym stęknięciem.

Rozwścieczony Vos zaatakował Dooku z za pleców, jednak lord Sithów zawirował i w porę przyjął cios Quinlana na własną klingę, skręcając nadgarstek, aby sparować. Vos odpowiedział, markując sztych, który sprawił, że Dooku odsłonił swoją pierś, wystawiając ją na atak – a potem rzucił się na hrabiego, by zadać śmiertelny cios. Dooku usunął się z drogi rozżarzonej głównej, lecz w jego ruchach pierwszy raz od rozpoczęcia tej walki Ventress spostrzegła dziwną niezręczność.

– Całkiem nieźle walczysz, jak na Jedi, Vos – pochwalił Quinlana Dooku.

– Miałem dobrego nauczyciela – warknął Vos i wskazał podbródkiem Ventress, która zerwała się już na równe nogi i zaczynała właśnie okręzać Dooku, zachodząc go z przeciwnej strony. I wówczas do Asajj dotarło, że popełniła błąd.

– Ventress? – zdziwił się hrabia, popatrując na nią z podniesionymi brwiami. – Rozumiem...

Chwyciła mocniej rękojeść miecza świetlnego.

– Vos? – ostrzegła go, starając się przekrzyczeć eksplozje fajerwerków. – Skup się! Pamiętaj, co ci mówiłam! – nie zwracała sobie głowy wyjaśnieniami. Im mniej Dooku będzie wiedział, tym lepiej.

Quinlan zmrzył brązowe oczy w szparki i zaatakował z nieartykułowanym okrzykiem na ustach. Ventress czuła jednak, że dynamika walki się zmieniła. Dooku nie sprawiał już wrażenia zaniepokojonego – w najmniejszym stopniu. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wyciągnął zwycięską kartę w sabaka. Przeszedł ją zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z nocnym chłodem ani cienkim materiałem jej sukni.

Stał tam – wysoki, okazały – i ani drgnął, gdy Vos biegł ku niemu. Opuścił po prostu miecz, a zamiast tego wyciągnął dłoń. Vos wzbił się nagle w powietrze, wówczas hrabia machnął ręką, ciskając jego bezwładne ciało na jedną z kolumn. Potem odwrócił się i niemal nonszalancko powtórzył gest, rozprawiając się

z Ventress. Impet uderzenia wyparł jej z płuc powietrze: nie mogła złapać tchu, jednak z uporem, zaciekle, tak jak uczyła Vosa, zaczerpnęła sił z przepelniającej ją nienawiści, dźwigając się na kolana, ani na chwilę nie wypuszczając przy tym z dłoni miecza świetlnego.

Wargi Dooku wykrzywił grymas, który równie dobrze mógł być uśmiechem, co oznaką wściekłości. I nagle Asajj znów znalazła się w powietrzu, za jego plecami, odrzucona w tył niczym zepsuta zabawka, którą znudziło się dziecko.

Ból był potworny, jednak zachowała przytomność dość długo, by przekonać się, że Dooku jeszcze nie skończył. Patrzyła bezradnie, jak szybuje głową w dół, ku twardej kamiennej powierzchni misternie rzeźbionej ławki, a potem wszystko utonęło w bieli i przestało istnieć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Asajj!

Vosa zalała fala żalu i strachu. Chciał ruszyć jej na pomoc, jednak nie zyskałby w ten sposób nic poza ryzykiem, że Dooku go zaatakuje i zabije. W ułamku sekundy przed oczami stanęła mu scena próby ze Śpiącym. Bestia miażdżyła mu żebra i poczuł wówczas przemożny, pierwotny strach. Wykorzystał go wtedy – przekuł w nienawiść, którą pokonał bestię. Teraz znów ujarzmił swój lęk i skupił się na myśli o tym, że Ventress... mogła zginąć.

Oczyszczony umysł wypełnił jeden jedyny, chłodny, wykalkulowany cel: zabić Dooku.

Hrabia uśmiechnął się z satysfakcją.

– A więc – mruknął – dała ci posmakować ciemnej strony... A także pewnie innych rzeczy, jak mniemam. Powiedz mi, Vos, ile ślubów Jedi złamałeś, by mnie zniszczyć?

Quinlan drgnął jak użądłony. U boku Ventress tak łatwo było myśleć o tym, co zyskał – nie o tym, co porzucił... i miał stracić na zawsze, jeśli chciał z nią zostać.

Zamarł na jedno uderzenie serca... a potem zaatakował z okrzykiem na ustach. Wymierzane przez niego ciosy nigdy nie były silniejsze, niż wtedy, gdy napędzała go rozpalona do białości furia. Jego miecz świetlny tkał świetlistą zasłonę, a Dooku wycofywał się pod naporem jego sztychów, jednak Vos miał wrażenie, że odpiera każdy z nich bez trudu.

– On tobą... manipuluje – dobiegł go słaby, ale pełen determinacji głos Ventress. – Nie słuchaj go!

A więc żyła! Z nową siłą Quinlan ponowił atak, lecz jego zielone ostrze ześlizgnęło się po czerwonej klindze Dooku, gdy hrabia sparował cios i pochylił się ku niemu. Barwy ścierających się broni i rozkwitające nad ich głowami fajerwerki oblewały twarz hrabiego osobliwym blaskiem. Byli tak blisko siebie, że Vos czuł kwiatową woń wina w oddechu Dooku.

– Czuję, że ciemna strona jest już w tobie silna – wymruczał hrabia. – Silniejsza, niż była w Ventress!

Zaskoczony Vos zaryzykował szybkie spojrzenie w jej kierunku. Stała w pobliżu, jasne włosy miała pozlepiane krwią, jednak pewnie trzymała w dłoni miecz

światlany.

Hrabia kłamał, a Quinlan nie zamierzał słuchać jego kłamstw.

– Nie zwiedzisz mnie, Sicie! – Wyskoczył w powietrze nad Dooku, lądując miękko za plecami człowieka, który był jedyną przeszkodą dzielącą go od wspólnej przyszłości z kobietą, którą kochał. Zawinał mieczem w ciosie, który powinien był skrócić Dooku o głowę, jednak hrabia bez trudu się uchylił.

– O, nie, mistrzu Vosie. Nie zwodzę cię. Ale Ventress – tak!

Quinlan potrząsnął gwałtownie głową, lecz było za późno – w jego serce wkradł się już cień wątpliwości. Nalegała na przerwanie szkolenia – dlaczego? Dlaczego nie miałyby chcieć wykorzystać każdego narzędzia, jakim dysponowała, do zgładzenia hrabiego Dooku?

– Wykorzystuje cię – stwierdził z satysfakcją Dooku. Zaatakował ponownie i Vos był zmuszony wycofać się pod ścianę, desperacko kontrując ciosy. – Nie nauczyła cię wykorzystywać całego twojego potencjału. Inaczej, niż ja bym to zrobił!

– Quinlan!

Brzmienie jego imienia w ustach Ventress otrzeźwiło Vosa. Nie używała go często, podobnie jak on rzadko nazywał ją Asajj. Odwrócił się błyskawicznie – w samą porę, żeby zobaczyć, jak atakuje...

Grievous! Jakim cudem generał...

Vos wbił Dooku zniecka obcas buta w brzuch, po czym obrócił się i kopnął drugą nogą Grievousa. Gdy cyborg z rozwścieczonym rykiem przeleciał nad barierką, Quinlan – zbyt późno – zorientował się, że generał trzyma w uścisku ramię Ventress. Z przerażeniem patrzył, jak oboje spadają.

– Asajj! – krzyknął, odruchowo biegnąc do balustrady. Kątem oka dostrzegł, jak Dooku opuszcza ostrze miecza.

Jeśli ją zabił...

Sięgnął do najgłębszych pokładów mroku, które tkwiły w nim, uśpione, aż do tej chwili. Ventress ostrzegała go przed korzystaniem z nich, jednak dlaczego miałby tego nie robić? Potrzebował ich! Desperacko! Bardziej niż kiedykolwiek.

Jego członki przeniknęła świeży zastrzyk energii – pożoga cieni podsycana jadem nieokiełznanych, niekontrolowanych emocji. Uwolnił ją – całą, do cna. Przez sekundę Dooku wydawał się zaniepokojony jego ponowionym atakiem. Vos pikował i wyskakiwał, napierał i szarżował...

Niczym wąż.

Wskoczył na poręcz i wymierzył hrabiemu kopniaka w twarz. Głowa Dooku odskoczyła i przez jedną dziką, cudowną chwilę Vos był pewien, że złamał mu kark – jednak wówczas starszy mężczyzna doszedł do siebie i ponowił atak. Uśmiechał się szeroko, a w jego oczach lśniła aprobata.

– Tak! Daj upust swojemu gniewowi! Ventress z pewnością powiedziała ci, że to jedyny sposób, w jaki można mnie pokonać!

Ventress... W piersi Vosa zakwitła nowa fala strachu. Ujarzmił go i nagiął do własnej woli. Rzucił się na Dooku, zatracając w amoku, z gardłem obolałym od zwierzęcego skowytu, nieludzkiego krzyku.

Tym razem hrabia nie zdołał odeprzeć ataku. Upadł.

Zaczął się pospiesznie wycofywać – wciąż odbijał ciosy, jednak widok cieszył serce Vosa. Teraz musiał tylko przedrzeć się przez barierę miecza starca.

Szybki, markowany cios wymierzony w pierś, skręt nadgarstka i broń Dooku poszybowała w powietrze.

Zielone ostrze miecza Vosa znalazło się centymetr od gardła hrabiego, który zamarł, wpatrzony w przeciwnika. Quinlan wziął głęboki oddech i podniósł klingę nad głowę. Zamierzał dokonać świadomej egzekucji Dooku – nie zwyczajnie zabić go w walce. Chciał patrzeć, jak jego źrenice rozszerzają się z przerażenia w przeczuciu bliskiej śmierci.

Powinien przygotować się na kolejny ruch Dooku, jednak nie był gotów. Człowiek, który jeszcze przed chwilą kulił się ze strachu, teraz schwycił nadgarstek Vosa opuszczającego miecz na jego głowę. Wystarczyło krótkie szarpnięcie i role się odwróciły – teraz to Quinlan leżał rozciągnięty na ziemi, hrabia zaś klęczał na jego plecach, podsycając Mocą swoją siłę fizyczną. Vos nie mógł się ruszać. Dooku wykręcił Quinlanowi rękę, w której ten trzymał wciąż zapalony miecz świetlny, ściskając z nieludzką siłą płat skóry między kciukiem a palcem wskazującym. Vos próbował zmusić dłoń do współpracy, jednak na próżno – miecz upadł na ziemię i zielona poświata zniknęła.

Zdruzgotany Vos przyglądał się, jak rękojeść toczy się do skraju tarasu między trawkami i zatrzymuje się tam na chwilę, aby nagle zniknąć mu z oczu.

Miecz świetlny Ventress wypadł jej z dłoni, gdy wraz Grievousem koziółkowała w dół. Uderzyła mocno w parapet na niższym poziomie, z głową wywieszoną za jego krawędź. Grievous wylądował na niej z impetem, mrużąc złote oczy,

w których płonęła żądza krwi. Zawarczał gardłowo, stawiając stopę na jej gardle. Chwycił ją czworgiem rąk i cisnął w dół. Opadła gwałtownie na ścianę przy jednym z eleganckich okien i zsunęła się bezwładnie na parapet.

Jakaś cząstka umysłu nieprzytomnie rejestrowała, że dostaje tęgie lanie. Wcześniejsze uderzenie w czaszkę powinno było ją zabić, jednak zamiast tego pozbawiło ją tylko na jakiś czas przytomności i przyprawiło o koszmarny ból głowy. Mieniło jej się w oczach, a gdy wstała, zawroty głowy niemal ścięły ją z nóg.

Nie miała jednak czasu do stracenia. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła przyskakującego do niej właśnie Grievousa, wydającego z siebie odgłos, który miał być triumfalnym śmiechem, odtoczyła się na prawo. Była ranna, dezorientowana i straciła swój miecz świetlny. Nie miała innego wyjścia, jak się poddać lub walczyć – a ona nie zamierzała się poddawać.

Warknęła i rzuciła się na niego, wymierzając mu gołą stopą kopniaka, dość silnego, by większy i cięższy od niej cyborg zatoczył się w tył. Wydał z siebie pomruk zaskoczenia.

Obok niej przemknęły blasterowe strzały i odskoczyła, kryjąc się za metalowym wspornikiem. Słyszając szcęk kroków maszerujących droidów bojowych, rozejrzała się. Nie pozwoli się tu schwytać w pułapkę. Przyzywając Moc, by poniosła ją dalej i szybciej, przykucnęła, a potem wyskoczyła w górę, zachowując ostrożnie równowagę. Kątem oka złowiła jakiś ruch...

Miecz świetlny Vosa.

Sięgnęła ku niemu Mocą i pochwyciła go w wyciągniętą dłoń. Posłusznie poszybował do jej palców, wciąż ciepły od dotyku Vosa. Wolała nie myśleć o tym, co się teraz z nim dzieje. Jeśli nie udało mu się wyeliminować zagrożenia, Dooku i Grievous będą ich ścigać.

Zeskoczyła na niższy poziom i zaczęła systematycznie rozprawiać się z droidami bojowymi, jednym po drugim. Odbiła w stronę pierwszego strzały z jego blastera, chlasnęła drugim mieczem, a trzeciego zepchnęła kopniakiem z parapetu. Odwróciła się do Grievousa z twarzą skąpaną w zielonym blasku.

Cyborg sięgnął po jeden z własnych mieczy... i wydał z siebie sfrustrowane warknięcie, gdy przekonał się, że ich nie ma.

– Zatrzymajcie ją, a ja pomogę hrabiemu! – wycharczał.

– Rozkaz! – odpowiedziały mu chóralnie droidy, wszystkie dziesięć.

– Nie mam na to czasu – mruknęła pod nosem Ventress i zaatakowała.

To był koniec – i Vos wiedział, że zawiódł na całej linii.

Słyszał szcęk kroków co najmniej sześciu droidów bojowych otaczających go półokręgiem. Dooku odzyskał swój miecz świetlny i stał właśnie nad Vosem, trzymając broń w dłoni.

– Śmiało – wycedził Quinlan przez zaciśnięte zęby. – Zakończ to!

Jednak Dooku pokręcił tylko głową.

– O, nie, mistrzu Vose – zacmokał. – Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. I mam wobec ciebie inne plany.

Wyciągnął przed siebie rękę i z jego palców strzeliły błękitne błyskawice, otaczając siecią ciało Vosa. Bólu nie dało się porównać z niczym, czego Jedi doświadczył dotąd w życiu. Jednocześnie palił i mroził jego tkanki. Każdy mięsień tężał i drętwiał, jego członkami wstrząsały nieopanowane dreszcze, a serce próbowało wyrwać się z piersi. Usłyszał czyjś krzyk, dobiegający jakby z wielkiej odległości – i dobrą chwilę zajęło mu rozpoznanie w nim własnego głosu.

Po sekundzie – a może upłynęło tysiąc lat? – katusze dobiegły końca. Leżał bez czucia na zimnej kamiennej posadzce i nie mógł nic zrobić, gdy metalowe ręce zacisnęły się na jego ramionach i zaczęły go wlec po ziemi.

– Quinlan! Nie!

A więc Ventress wciąż żyła! Ostatkiem sił Vos wyciągnął szyję, by ją zobaczyć.

Próbował ją zawołać po imieniu, jednak spomiędzy jego warg wydobył się tylko suchy szept. Obok niego przemknęły kolejne droidy, strzelając do niej. Siłą woli zmuszając się do zachowania przytomności, Quinlan próbował nie spuścić jej z oczu.

Była tu – i walczyła. Jeszcze. Jednak droidów było zbyt wiele, nawet dla Asajj Ventress. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Quinlan Vos, był widok kobiety, którą kochał, odwracającej się na pięcie i uciekającej – porzucającej go na pastwę hrabiego Dooku. Dopiero wówczas zauważył, że naszyjnik na jej długiej, smukłej szyi ma kształt węża.

Ventress kuliła się w ściekach. Nad głową słyszała charakterystyczne głosy droidów bojowych.

– Nic – zameldował jeden z nich. – Ani śladu intruza.

– Dostaliśmy rozkaz jej szukać – stwierdził drugi. – Przejdź na pozycję

sześćdziesiąt sześć przez dziewięćdziesiąt jeden.

– Rozkaz.

Kiedy odgłosy umilkły, Asajj odetchnęła nieco spokojniej. Była cała obolała. Musiała opatrzyć rany i odpocząć – jednak przez chwilę zwlekała, trwając w bezruchu. Przyglądała się trzymanemu w dłoni mieczowi świetlnemu Vosa. Zobaczyła go znów w jego rękach, przypominając sobie chwilę, w której wręczył go jej na Dathomirze.

„Zaopiekuj się nim przez... bo będę go chciał odzyskać” – poprosił wówczas.

„Spokojna głowa. Będzie na ciebie czekał. Obiecuję” – zapewniła go.

Zachowała go wtedy dla niego – i teraz zamierzała zrobić to samo.

Ból był nie do zniesienia, jednak nie ten fizyczny. Przez jedną szaloną chwilę Ventress przemknęło przez myśl, by skontaktować się z Obi-Wanem. Vos powiedział jej, że byli dobrymi przyjaciółmi – i że to właśnie Kenobi podsunął Radzie pomysł zaangażowania jej w tę misję. Wiedziała nawet, w którym barze się spotykali. Jedi mógłby...

Mógłby ją wyśmiać. Nawet Obi-Wan Kenobi nie uwierzyłby, że tego nie zaplanowała.

Kto jeszcze? Asajj nie zdoła dokonać tego sama. Teraz była jednak zbyt wyczerpana, by myśleć jasno. Musiała znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. A wówczas...

– Quinlanie – wyszeptała z mocą. – Nie poddam się. Nie pozwolę im cię skrzywdzić. Przysięgam na krew moich sióstr.

Rozdział dwudziesty drugi

Nie było szans, by Vos zdołał mierzyć w celi upływ czasu. Mogło minąć kilka dni, ale równie dobrze i miesiąc. Światła nie gasły ani na chwilę. Posiłki – kiedy już je dostawał – podawano o nieregularnych porach. Droidy monitorowały cykle jego snu, aby budzić go brutalnie w samym środku fazy REM.

Tortury nie były Vosowi obce. W przeszłości, dzięki biegłości we władaniu Mocą, mógł się skupiać i odsuwać od siebie ból. Jak dotąd jednak ci, którzy chcieli, by cierpiał, nie znali Mocy – i szukali konkretnych informacji.

Z Dooku sprawy miały się inaczej.

Hrabia zjawiał się, kiedy mu się żywnie podobało. W milczeniu obserwował, jak Kiffar zwisa w okowach, podczas gdy droid torturujący robi dobry użytek ze swojego okrutnego oprogramowania. Innym razem wchodził do celi i bez ostrzeżenia raził go błyskawicami Mocy, tak że były mistrz Jedi zmieniał się w zwijającą się i krzyczącą z bólu kupkę nieszczęścia.

Za każdym razem Vos próbował skłonić go do mówienia, żeby dowiedzieć się, czego właściwie chce hrabia. Wiedział o jego skłonności do chełpienia się i liczył na to, że wymsknie mu się coś przydatnego, jakaś wskazówka co do planu tego miejsca czy komentarz dotyczący manewrów wojsk – jednak na próżno. Był tylko zwierzęciem, torturowanym bez żadnej wyraźnej przyczyny dla kaprysu Dooku. I wiedział też, że mimo swojego szkolenia w korzystaniu z jasnej i ciemnej strony Mocy, jeśli potrwa to odpowiednio długo... właśnie tym się stanie.

Tak więc kiedy przez buczenie sprzętu torturującego – rażącego jego ciało w nieregularnych odstępach czasu – słyszał kroki, tracił nadzieję, jednak nie zamierzał się poddawać.

Po raz dziesiąty – czy może tysięczny? – podniósł głowę i drgnął, gdy przeszył go kolejny bolesny impuls, jednak stłumił cisnący mu się na usta okrzyk bólu. Dooku uśmiechał się, jak zawsze – całkiem jak łagodny dziadek obserwujący bawiącego się wnuka.

Po raz tysięczny – a może dziesiąty? – Vos spytał głosem zachrypniętym od krzyku:

- Dlaczego po prostu nie skończysz tego i mnie nie zabijesz?
- Powiedz mi – poprosił hrabia, zamiast odpowiedzieć – co chciałeś osiągnąć,

sprzymierzając się z Asajj Ventress?

Całe to milczenie... żeby spytać teraz właśnie o to? Vos był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał o bólu. Droid monitorujący jego stan zareagował czymś w rodzaju mechanicznego odpowiednika zdziwienia i zwiększył poziom natężenia impulsów. Tym razem Quinlan nie zdołał stłumić okrzyku bólu.

– Sądzę, że to... oczywiście – wykrztusił przez zaciśnięte zęby. – Z-zostałem wysłany, by cię zabić.

Dooku pogładził z namysłem brodę.

– To desperacki krok ze strony Rady Jedi. Nie polegają już bez reszty na umiejętnościach swoich nieocenionych rycerzy Jedi? Czy pod moją nieobecność zakon stał się taki słaby?

Vos zawiązał się i zagryzł zęby. Patrząc hrabiemu prosto w oczy, zdołał parsknąć śmiechem.

– Rozejrzyj się tylko, Dooku. Republika wygrywa tę wojnę. Na wszystkich frontach.

– Cieszę się, że tak sądzisz, jednak zmieniasz temat. – Starszy mężczyzna pokiwał karcąco palcem. – Nie pytałem cię o wojnę. Mówiłem o Ventress.

Vos natychmiast wzmógł czujność. Gdy został schwytany, cierpiał tak bardzo, że nie był do końca pewien, co się wydarzyło. Czy Asajj go porzuciła z rozmysłem? Czy może była zmuszona salwować się ucieczką? Wspomnienia tamtej nocy były tak zamglone...

– Ventress nie zna czegoś takiego jak litość – ciągnął tymczasem Dooku. – Nie pomoże ci, dopóki jakoś na tym nie skorzysta.

– Zdecydowanie cię nienawidzi – zauważył Vos.

– Oczywiście – zgodził się hrabia. – Jednak nigdy nie pracuje z nikim, kogo nie może kontrolować.

Quinlan poczuł przyprawiające o mdłości ukłucie strachu. Pomyślał o wcześniejszych zamachach Ventress na życie Dooku. Wówczas działała ze swoimi siostrami lub w towarzystwie stworzonego i ukształtowanego przez nią – i to dosłownie – idealnego w jej mniemaniu zabójcy.

Czy jego też w podobny sposób stworzyła i kształtowała według własnej woli?

„Bądź ostrożny, Quinlanie – ostrzegł go Kenobi. – Ventress to biegła manipulatrix. Nie zawaha się przed wykorzystaniem twojego zaufania przeciwko tobie, jeśli przysłuży się to jej egoistycznym celom”.

– Cóż – bąknął, starając się brzmieć jak ktoś pewny siebie – może nie znasz jej tak dobrze jak ja.

Dooku podniósł brew, nagle żywo zainteresowany.

– Nie – przyznał. – Możliwe, że nie. Widzę jednak, że ty ją poznałeś, i to bardzo dokładnie, jak mniemam?

Nie odpowiedział.

Hrabia podszedł bliżej.

– Wyczuwam w tobie wiele strachu, Vos.

Quinlan postanowił to wykorzystać. Opanuje strach, zmieni go w gniew, ten z kolei przekuje w nienawiść – a ona uczyni go silnym.

– Mylisz się – parsknął z wysiłkiem. – Nie boję się ciebie.

– Nie, chyba nie – potwierdził Dooku. – Ale mimo to się boisz.

Vos spróbował przekierować swoje myśli w inną stronę, skupić się na nienawiści, którą czuł wobec człowieka stojącego przed nim – tak zadowolonego z siebie, pewnego swojej władzy. Był jednak zmęczony i słaby, ból zaś wciąż zmuszał go do skupiania się na strachu zamiast na sile.

– Twoje myśli cię zdradzają – stwierdził Dooku i zrozpaczony Vos wiedział, że hrabia ma rację. – Ventress cię uczyła. No, no... to wiele wyjaśnia.

– Mylisz się. Nie ma nic, czego mogłaby mnie nauczyć!

Dooku pokręcił głową niemal ze smutkiem i westchnął.

– Z okłamywania mnie nic ci nie przyjdzie. Sam powiedziałaś, że miałeś dobrego nauczyciela. Zapomniałeś już?

Quinlan z całej siły próbował zachować kamienną twarz, choć uświadomienie sobie, że rzeczywiście zapomniał, zabolowało go. Czego jeszcze nie pamiętał?

– Opuściłem szeregi Jedi, bo stałem się kimś więcej – podjął Dooku. – Teraz jednak widzę, że ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Na dźwięk jego słów Vos aż się zjeżył.

– Nic cię ze mną nie łączy – warknął. – Jesteś zdrajcą!

– A ty? Kim jesteś? – Gładki zazwyczaj głos Dooku smagnał go jak bicz. – Dorastałeś w Świątyni Jedi, jednak teraz jesteś przesiąknięty ciemną stroną! Wkrótce przestaniesz zaprzeczać wielu prawdom. I zrozumiesz, że jestem nie zdrajcą, ale wizjonerem! Strach prowadzi do gniewu. Gniew – do nienawiści, nienawiść zaś – do cierpienia. – Skinął głową droidowi torturującemu i tym razem Quinlan szarpnął się, opleciony niebieską siatką wyładowań. – Jednak tym, czego

Jedi cię nie nauczyli..., a co ja zrozumiałem, to wiedza, jak przetrwać. Jak wznieść się poza cierpienie i osiągnąć władzę absolutną! – Hrabia ponownie kiwnął głową i ból ustał. Twarz Quinlana zrosił pot. Serce waliło mu jak młotem, a ciało drżało, targane wspomnieniem doznanych mąk. – Nie martw się, mój uczniu. Zakończę szkolenie, które rozpoczęła Ventress. – Machnął ręką na droida i Vos zamarł w oczekiwaniu kolejnej fali bólu, która przesyje jego ciało. Dooku odwrócił się na pięcie.

Krzyki Jedi ścigały go daleko w głąb korytarza.

Akar-Deshu dołączył do Obi-Wana Kenobiego idącego w stronę Sali Rady Jedi. Szli przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie Kenobi westchnął.

– Desh – zagadnął cicho – wiesz, że nie mogę mówić o mistrzu Vosie ani jego misji.

– Wiem, mistrzu Kenobi – odparł równie cicho Mahranin. – Nie musisz nic mówić, żebym domyślał się, że coś poszło nie tak.

Kenobi rzucił drobnemu Jedi poirytowane spojrzenie.

– Czasami żałuję, że niektórzy Jedi są tak wrażliwi na Moc. I... tak, doskonale wiem, jak to brzmi.

– Mówiłem to już i powtórzę raz jeszcze – stwierdził Desh. – Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić...

– Jesteś zbyt przywiązany do Vosa, Desh – wszedł mu w słowo Kenobi.

– Ty także – zwrócił mu uwagę Mahranin. – Mistrzu. Musisz przyznać, że Vos potrafi zaleźć za skórę.

– Jak wiór albo drzazga – mruknął Kenobi. Położył Deshowi dłoń na ramieniu i obdarzył go smutnym uśmiechem, gdy docierali do Sali Rady.

Yoda, Windu, Ki-Adi-Mundi, Saesee Tiin i Plo Koon już na nich czekali. Gdy Kenobi wszedł i skłonił się mistrzowi Yodzie, oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się na niego.

W spojrzeniu Yody lśniła nadzieja, jednak na widok Obi-Wana niemal natychmiast spuścił wzrok, a spiczaste uszy mu oklapły.

– Żadnych wieści od mistrza Vosa? – odgadł ponuro.

– Żadnych – potwierdził Kenobi. – Żadnych wieści od niego ani o nim. Jakby zapadł się pod ziemię. Tak jak uzgodniliśmy, zjawiam się w umówionym miejscu o umówionym czasie.

– Być może Ventress odkryła jego tożsamość – podsunął Plo Koon. – I zabiła go, karząc za zdradę.

– Wątpię – zaprotestował Kenobi. – Gdyby tak się stało, Ventress dopilnowałaby, by wieści o jej niezadowoleniu z decyzji Rady dotarły do naszych uszu. – Nie rozwodził się nad sposobami, w jaki mogłaby tego dokonać.

– Asajj Ventress to znana Sithanka – zauważył Ki-Adi-Mundi.

– Była Sithanka – poprawił go Kenobi, nie pierwszy raz dziwiąc się, jak to się stało, że przyszło mu bronić honoru Ventress.

– A czy w ogóle można być „byłym Sithem”? – parsknął Windu. – Możliwe, że zwiodła mistrza Vosa i zwabiła go na ścieżkę mroku. Może mamy teraz zbuntowanego Jedi?

– To możliwe – zgodził się Kenobi – pod warunkiem, że któryś z was naprawdę podejrzewa Quinlana Vosa o tak słabą wolę, by był zdolny porzucić wszystko, co znał i co było mu bliskie. Ten człowiek wychował się w Świątyni.

– Wielce nęcący zakazany owoc jest – wtrącił Yoda.

– Dopóki nie będziemy mieli pewności... powinniśmy się powstrzymać od spekulacji – zaapelował Kenobi.

– Nie wiemy nawet, czy wciąż żyje! – zaproponował Mace.

– To może być część planu.

– Owszem, może – przyznał Windu. – Albo może też już nie żyć. Sęk w tym, że nie wiemy. A powinniśmy, mistrzu Kenobi. Powinniśmy.

Ventress stała przez chwilę w wejściu do kantyny w Mos Eisley, pozwalając, by jej oczy przywykły do panującego w niej półmroku po oślepiającym blasku tatooińskich słońc. Gdyby miała wybór, nie zdecydowałaby się na tak desperacki krok, jednak w obecnej sytuacji do głowy nie przychodziło jej żadne inne rozwiązanie.

Miała wrażenie, że od chwili, gdy znalazła się tu pierwszy raz, minęły eony. Wówczas także była skołowana i zagubiona, przytłoczona poczuciem straty – po tym, jak Grievous wymordował cały jej klan. Jednak wtedy nie wiedziała, co robić, była bezradna. Teraz zaś Asajj Ventress miała silne poczucie celu.

Rozglądała się pośród klientów, dopóki jej wzrok nie spoczął na znajomym zielonkawym gadzim pysku postaci w jaskrawożółtym skafandrze lotniczym. Znajomo wyglądała także zuchwała młoda kobieta o ognistorudych kucykach

i lawendowej skórce. A także... zgadza się... On też tu był.

Ventress przygotowała się i ruszyła w ich stronę. Gdy Bossk ją zauważył, jego skwaszone oblicze skrzywiło się jeszcze bardziej, choć Ventress nie przypuszczała, że to w ogóle możliwe. Trandoshanin pochylił się i powiedział coś do kogoś siedzącego w głębi boksu, kogo nie widziała. Chwilę później wysliznęły się stamtąd dwie atrakcyjne Twi'lekanki, obrzucając Ventress czujnymi spojrzeniami.

– Hej! – rozległ się głos, który Asajj знаła, młody i buńczuczny. – Nie płacę za wszystkich!

Bossk skrzyżował łapy na piersi i łypnął na nią spode łba. Asajj wytrzymała jego spojrzenie, nie miała nastroju do przekomarzanek. Po sekundzie czy dwóch podniósł ręce w geście kapitulacji i cofnął się, pozwalając jej zająć miejsce naprzeciwko Boby Fetta.

Na jej widok chłopak otworzył szerzej oczy i się skrzywił.

– Bezimienna – warknął. – Masz spory tupet, żeby tu przychodzić.

Zignorowała jego uwagę. Pochyliła się do niego i powiedziała cicho, prosto:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Widok zdumienia na twarzy Boby Fetta był bezcenny. Gdy nieco ochłonął, przyłożył teatralnym gestem dłoni do ucha.

– Słucham?

Zdławiła w sobie chęć przyłożenia mu.

– Słyszałeś, co powiedziałam.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Obawiam się, że nie. Powtórz.

Z jakiejś nieznaney przyczyny opuściło ją całe rozdrażnienie. Czuła teraz tylko wyczerpanie i bezsilność, które musiała stłumić – tu i teraz, zanim zupełnie ją przytłoczą. Powtórzyła więc tym samym spokojnym tonem:

– Potrzebna mi twoja pomoc.

Parsknął z niedowierzaniem, kręcąc głową.

– Po tym, co mi zrobiłaś na Quarzite?

Tak jak podejrzewała, Fett rzeczywiście nie znosił zbyt dobrze obelg, duszenia Mocą, pętania, kneblowania i zamykania w skrzyni. Nawet mimo sowitej zapłaty, którą im zostawiła.

Wstał, żeby wyjść, wyraźnie zde gustowany, jednak Ventress była szybsza: jej ręka wystrzeliła nad blatem i pchnęła go z powrotem na miejsce.

– Siadaj – warknęła, dźgając go palcem w pierś.

– Dlaczego niby miałbym cię słuchać?

– Bo potrzebuję twojej pomocy.

Latts Razzi i Bossk, kręcący się w pobliżu boksu, wymienili spojrzenia. Theelinka pokręciła z niedowierzaniem głową.

– A poza tym – dodała Ventress, zwracając się i do nich – zapłacę. Chcę wynająć ciebie i twój syndykat.

To przyciągnęło uwagę wszystkich, nawet Boby, który, wciąż podejrzliwy, oznajmił:

– To cię będzie kosztować. O ile w ogóle uznam, że warto sobie zawracać tobą głowę.

– Mam pieniądze.

Ściągnął ciemne brwi.

– Kredyty nie wyrównają naszych rachunków. – Upił łyk drinka i wytarł usta rękawem.

– Nawet sto tysięcy kredytów? – spytała.

Oczy Latts zrobiły się wielkie jak spodki, a Bossk kłapnął w osłupieniu szczęką. Boba jednak spojrzał jej tylko spokojnie w oczy.

– Nie. Nawet dwieście tysięcy kredytów.

Ventress nie doceniła, jak głęboko zraniła jego dumę. Zanosiło się na to, że ta pomyłka będzie ją naprawdę słono kosztować.

– Dwieście pięćdziesiąt.

Tu go miała. Boba rozdziawiał usta przez pełne trzy sekundy, nim je zamknął. Latts i Bossk wymienili spojrzenia, a potem jak na komendę pewnym krokiem podeszli do stolika.

– Bierzemy tę robotę – oznajmił Bossk.

– Bez dwóch zdań – potwierdziła stanowczo Latts.

Boba przyglądał im się przez chwilę w milczeniu.

– Ale... Przecież nawet nie wiecie, co to za fucha!

Latts wzruszyła ramionami.

– Za dwieście pięćdziesiąt tysięcy kredytów? Szczerze? Wszystko mi jedno.

Boba zerknął na Ventress, potem na swoich łowców nagród, i podniósł bezradnie ręce w górę.

– W porządku! – Opadł z nadąsaną miną na oparcie kanapy. – Ale syndykat

otrzymuje swoją działkę. Dobrej zabawy, ekipo. – Pociągnął długi łyk ze swojej szklanki. Wyglądał na nieskończenie poirytowanego.

– Nic z tego – odparła bez ogródek Asajj. – Chcę cały zespół. – Zaczęła odliczać na palcach: – Bossk. Latts. Highsinger. Embo. I Boba Fett.

Boba zmrużył oczy i przyglądał jej się w milczeniu przez długą chwilę, aż wreszcie opadł znów na oparcie i spytał:

– Co to za robota?

Ventress skrzętnie zaplanowała sobie wcześniej, co powiedzieć:

– Misja ratunkowa. Jeden człowiek, na Serenno. Wchodzimy, wychodzimy, dostajecie kasę.

Boba rozważał przez moment jej słowa.

– Znasz plan miejsca, które mamy infiltrować? Ochrona? Słabe punkty?

– Jak własną kieszeń – odparła gładko.

Fett postawił nagle z hukiem szklankę na stole i nachylił się ku niej.

– To nie może być takie proste. Są jakieś kruczki, które ukrywasz. Wiem to.

Ventress także coś wiedziała, a mianowicie jak pogrywać z Fettem.

– Nieprzewidziane okoliczności mogą się pojawić zawsze. Wie o tym każdy wytrawny łowca nagród. – Wypowiedziała te słowa z odpowiednim naciskiem, na co Boba Fett wyraźnie się zjeżył. Chwycił swój hełm, ewidentnie mając dość tej rozmowy.

– Płacisz z góry albo nici ze współpracy. I przelewasz kredyty jeszcze dziś.

Skłoniła głowę. Spodziewała się tego żądania – podobnie jak tego, że będzie musiała podnieść pierwotną stawkę. Suma stanowiła niemal całość oszczędności, które odłożyła, parając się fachem łowczyni nagród. Gdyby jednak im się udało... Gdyby zdołali wyciągnąć Vosa z tej piekielnej nory, w której Dooku bez wątpienia go torturował... Asajj Ventress nie obchodziłoby, czy zarobiłaby choćby jednego kredytu do końca życia.

Latts i Bossk wyglądali, wypisz wymaluj, jak dzieci, które właśnie dostały wspaniały prezent.

– Taakk! – wysyczał radośnie Trandoshanin, Theelinka zaś, uśmiechnięta od ucha do ucha, uderzyła go na znak poparcia w napierśnik.

Boba wciąż wyglądał, jakby zgryzł coś paskudnego.

– Dajcie znać Highsingerowi i Embowi. W ciągu godziny ustalimy szczegółowy plan. – Kiwnęli głowami i już ich nie było. Fett patrzył, jak odchodzą, a potem

spojrzał znów na Ventress. – Tak *pro forma*... – Gdy podniosła na niego wzrok, zobaczyła, że celuje do niej z blastera. Trzymał lufę zaledwie trzy centymetry od jej twarzy. Tego się nie spodziewała. – Wiem, że prędzej czy później nas zdradzisz. Może oni nie zdają sobie z tego sprawy, ale ja – tak.

Wytrzymała spokojnie jego spojrzenie, maskując zaskoczenie.

– A poza tym, dla twojej wiadomości – ciągnął jakby nigdy nic – nie jestem już tym naiwnym dzieciakiem, którego zostawiłaś na Quarzite. Jeśli znów spróbujesz mnie oszukać... zapłacisz za to. – Obrócił blaster wokół palca i schował go do kabury, założył na głowę hełm i ruszył w ślad za Boskiem i Latts.

Rozdział dwudziesty trzeci

Minęło trochę czasu, wypełnionego kolejnymi torturami, krzykami i koszmarными snami w tych nielicznych chwilach, kiedy Vos odpływał na dość długo, by je mieć. Śnił o mroku i krwi, o strachu i niebezpieczeństwach – znanych co samo w sobie było dość przerażające, a także nieznanym – co było jeszcze gorsze.

Jednak najgorsze były te, w których pojawiała się Ventress. Czasem torturowała go, z bezlitosnym uśmiechem porażając błyskawicami Mocy, upajając się jego bólem. Informowała go, że wszystko, co powiedziała – wszystko, przez co razem przeszli – było kłamstwem, i napawała się tym, że napełniało go to cierpieniem znacznie większym od bólu fizycznego.

Były jednak sny, których Vos bał się jeszcze bardziej – tych, w których trzymał ją w ramionach. W których mówiła mu, że go kocha – a on wiedział, że to prawda.

Miał przytępienie zmysły. Nie czuł już głodu – nie czuł nic poza bólem wywoływanym przez różne metody, które droid stosował, by podrażnić jego nerwy lub okaleczyć jego ciało, aby potem je uzdrowić. Vos trwał w zawieszeniu między odrętwieniem, niemrawością i bolesną udręką. Jadł tylko dlatego, że jakaś część jego umysłu wciąż żywiła przekonanie, że należy podtrzymywać ten nieskończenie wąty płomycek sił, które wciąż się w nim tliły. On, Dooku i droid ćwiczyli ten układ dość długo, by mięśnie Quinlana zaczęły słabnąć – poza tymi, które bezustannie krzyczały z bólu, zmuszane do trwania w sadystycznie nienaturalnych konfiguracjach.

Tym razem sny były tak przerażające, że kiedy droid wybudził Vosa, Jedi powitał stan przytomności niemal z ulgą. Był zaskoczony, gdy jego oprawca dezaktywował pole, które utrzymywało go w powietrzu, podwieszono na ramionach. Niezdolny w porę się podeprzeć, upadł bezwładnie na ziemię. Zesztywniałe od długotrwałego bezruchu ramiona zaczęły go palić żywym ogniem. Z najwyższym trudem stłumił cisnący mu się na usta okrzyk bólu. Czuł się jak wówczas, gdy jad węża sparaliżował go na Dathomirze – co sprawiło, że jego myśli powędrowały nieuchronnie ku Ventress.

– Wstawaj – polecił mu droid.

Gdy nie posłuchał rozkazu, robot wysłał sygnał, który wezwał do aresztu dwa droidy bojowe. Jego oprawca wyłączył pole siłowe i mechaniczni żołnierze

postąpili ku niemu. Wykręcili mu ramiona na plecy i zakuli w kajdanki, a potem wzięli pod ręce. Gdy wywlekali go z celi, ból w kończynach zwiększył się tysiąckrotnie i jeszcze raz pochłonęła go ciemność.

Vos oprzytomniał, kiedy jego ciało uderzyło z impetem o ziemię. Leżał tak przez chwilę w bezruchu, dopóki do jego nozdrzy nie zaczęły docierać zapachy: woń pieczystego, orzeźwiający aromat świeżych owoców, słodki bukiet wonnych ciast – prawdziwego jedzenia, nie tej pozbawionej smaku papki, którą go karmiono. Do ust napłynęła mu ślina i po raz pierwszy, odkąd zaczęły się jego katusze, zaburczało mu w brzuchu. Powoli, z bolesnym sykiem, podźwignął się na kolana i rozejrzał dookoła.

Pomieszczenie, w którym się znalazł – przestronne i urządzone z przepychem – było ozdobione dziełami sztuki z najróżniejszych światów. Dywan pod jego kolanami był gruby i miękki. Skądś dobiegały dźwięki muzyki, przy jednej ze ścian stała bogato rzeźbiona szafka. Wszystko to zauważył przelotnie, nim jego spojrzenie nie spoczęło na rozciągającym się tuż przed jego oczami widoku: odpychającym i urzekającym jednocześnie. Niemal tuż pod jego nosem stał stół pełen wykwintnych dań, przy którym spokojnie zmieściłoby się szesnaście osób.

U jego szczytu zasiadał zaś hrabia Dooku, nalewający sobie właśnie do wysokiego kieliszka musujące wino.

Podchwyciwszy spojrzenie Vosa, wzniosł kieliszek w toaście.

– Witaj – powiedział i upił łyk trunku.

To była chyba najgorsza z zadanych mu dotychczas tortur, jednak Quinlan zagryzł zęby i zmusił się, by zachować spokój. Jeśli Dooku liczył na to, że będzie zebrał o ochłapy z jego stołu, grubo się mylił.

Przełknął ślinę i przemówił:

– No, no. Spójrz tylko na te luksusy. – Jego głos wprost ociekał pogardą. – Sługi... uczyty... pałac... Nic dziwnego, że z taką łatwością przyszło ci odwrócić się od zakonu.

Dooku odkroił kawałek grubego, lekko wysmażonego steku i podniósł go do ust. Talerz zrosiły krople gęstego sosu. Hrabia przeżuł mięso ze smakiem, otarł usta serwetką i odparł:

– Owszem. Korzystam z licznych przywilejów. Jednak podobnie jak ty, Vos, zostałem jako dziecko zabrany od rodziny i wychowywałem się w Świątyni na Jedi. Dopiero później odkryłem swoje prawdziwe pochodzenie i dziedzictwo –

władzę i rodowód, zbyt onieśmielające, by Rada zdołała je zaakceptować.

Na drugim końcu stołu ustawiono nakrycie otoczone półmiskami zastawionymi jadłem, tuż obok ustawiono kieliszek z winem. Vos mógł usiąść i posilić się w towarzystwie hrabiego w każdej chwili, gdyby tylko zechciał. Rozważył w myśli, co było w tej sytuacji lepszym wyjściem – odmówienie Dooku satysfakcji z towarzyszenia mu podczas posiłku czy przekąszenie czegoś, dzięki czemu podreperowałyby uszczuplone siły.

– Rodowód – prychnął. – Jak u zwierzęcia. Mógłbyś tak wiele dokonać... pomóc tak wielu... A zamiast tego korzystasz z tego dziedzictwa, by szerzyć w galaktyce zło. – Zapach świeżo upieczonego chleba leżącego tuż przed nim sprawił, że niemal się złamał.

Dooku wstał, odłożył na stół serwetkę i sięgnął po kieliszek, a potem podszedł do drzwi prowadzących na balkon i rozsunął sute, spływające miękko ku ziemi zasłony. Pierwszy raz od czasu zatrzymania Vos miał okazję doznać poczucia upływu czasu, zorientować się w porze doby. Na zewnątrz, na świecie, na którym przebywał, panowała noc – na niebie lśniły spokojnym światłem gwiazdy, kusząc wolnością, którą mu tak okrutnie odebrano.

– Zło? – parsknął Dooku. – Cóż za dziecinne podejście. Niezbyt ci z nim do twarzy, Vos. Od tego zaczniemy naszą dzisiejszą lekcję. – Odwrócił się do niego i zmierzył go spojrzeniem, trzymając w dłoni kryształowy kieliszek. – Nie ma dobra ani zła. Są jedynie ci, którzy dzierżą władzę... i ci jej pozbawieni.

Quinlan prychnął kpiąco. Postanowił, że zrezygnuje z jedzenia. Bał się, że gdyby zaczął jeść, nie mógłby przestać – a nie chciał, by Dooku widział, jaki jest wygłodniały.

– Twój mistrz, Tholme, rozumiał to. – Hrabia cisnął w niego werbalnym granatem jakby od niechcienia i przez chwilę Vosowi pociemniało przed oczami, wściekłość niemal wyparła mu dech z piersi.

– Jak śmiesz wymawiać jego imię?! – warknął. – Zamordowałeś go!

Dooku przez chwilę sprawiał wrażenie przekonująco zaskoczonego, aby za moment niemal posmutnieć.

– Och... a więc tak to przedstawiła. Cóż, zważywszy na wasze, hm... stosunki, zastanawiałem się, czy znasz prawdę. To właśnie Ventress zabiła twojego mistrza. Nie ja.

– Kłamiesz! – wykrzyknął Vos, próbując wstać, jednak droidy nie pozwoliły mu

na to.

– O, nie, drogi Quinlanie. Nie muszę kłamać. – Dooku pokręcił głową. Wrócił do stołu i machnął ręką. Chwilę później do środka wtoczył się droid techniczny. Hrabia podszedł do niego i aktywował kilka kontrolerek. – Jedną z licznych korzyści dysponowania armią droidów jest możliwość studiowania nagrań z pola walki. Wygrana czy przegrana, holonagrania są zawsze... pouczające.

Jeszcze jeden gest i Dooku wyprostował się, droid zaś zaświergotał i posłusznie zaczął odtwarzać sceny z pola walki na planecie, której Vos nie rozpoznawał. Widział jednak setki postaci ścierających się z niezliczonymi zastępami droidów bojowych – wyglądały na klony uczestniczące w większym konflikcie. Poczł, jak w gardle ściska go strach przed tym, co zobaczy.

– Powiększ – zaordynował Dooku i hologram skupił się na wybranej garstce walczących.

Jednym z nich był mistrz Tholme. Wbrew sobie, Vos zaczerpnął głośno tchu, niemal się przy tym zachłystując. Był zaskoczony, jak bardzo bolało oglądanie własnego mistrza. Szpakowate włosy Tholme'a były ściągnięte w kucyk. Mistrz Jedi stał pewnie, zawijając mieczem o zielonym – jak klinga Vosa – ostrzu, tkającym świetlistą zasłonę, wydawał rozkazy i rozprawiał się z armią droidów.

Nagle w polu widzenia Quinlana pojawiły się dwa szkarłatne rozbłyski, a za nimi mignęła łysa głowa o bladej niczym odległe gwiazdy twarzy, należąca do odzianej w skórzany strój kobiety, wprawnie wymachującej bliźniaczymi mieczami świetlnymi.

Asajj Ventress.

Między Jedi i uczennicą Sitha wywiązała się gwałtowna walka. Miecze Ventress miały unikatowe, zakrzywione rękojeści, więc ich właścicielka była zmuszona walczyć nimi nieco inaczej, niż gdyby dzierżyła zwykłe, o prostych uchwytach. Vos, zmartwiała z przerażenia, jednak niezdolny odwrócić wzroku od straszliwych scen rozgrywających się na jego oczach, wstrzymał oddech. I wówczas – zbyt szybko, by zarejestrował, co się w ogóle wydarzyło, Ventress zdobyła przewagę nad przeciwnikiem.

Miecz świetlny wyfrunął Tholme'owi z rąk, Asajj zaś wycelowała w niego końcówki obu swoich kling. Tholme wznosił ręce nad głowę i klęknął przed nią, kapitulując, wówczas jednak Ventress zaatakowała.

Jedno z jej ostrzy przeszło mu pierś, godząc w serce, drugie rozplątało mu

wnętrznosci. Umilowany mistrz Vosa padł bez czucia na ziemię.

– Zatrzymaj – poprosił hrabia. Jego głos wydawał się dobiegać z daleka. Vos czuł w skroniach łomot tętna. Wpatrywał się w obraz swojego martwego mistrza, przed którym trwała w bezruchu Asajj Ventress, z ustami rozciągniętymi triumfalnym, okrutnym uśmiechem.

– Ventress była całkiem niezłą uczennicą – poinformował go Dooku. – Gdy jednak jej potęga wzrosła, zaczęła pałać nienasyconą żądzą krwi. Stała się bardziej brutalna i nieprzewidywalna.

Quinlan wpatrywał się w niemym osłupieniu w obraz przed swoimi oczami, omiatając spojrzeniem twarz, którą pieścił, usta, które całował.

– Zabiła mistrza Tholme'a, wbrew moim rozkazom – ciągnął tymczasem Dooku. – Wygraliśmy tę bitwę. Nie było potrzeby skazywać na śmierć byłych... przyjaciół. – W głos hrabiego wkradły się osobliwie łagodne nuty. Brzmiał zupełnie jak ojciec pocieszający zdruzgotanego syna.

– Dla... dlaczego jednak to zrobiła? – wykrztusił Vos dziwnie stłumionym głosem. – Dlaczego to przede mną zataiła?

– Ventress jest żądna władzy, potęgi, mój drogi. To właśnie tego skrycie pożąda i jest skłonna zrobić wszystko, okłamać każdego, byle tylko zdobyć to, czego pragnie.

Skołowany, Vos potrząsnął głową i jego ciało przeszyła błyskawica bólu.

– Nie. O, nie. Nie mnie...

Dooku zbliżył się do niego, wpatrując się w niego natarczywie.

– Ciebie szczególnie. Wiem to. Sądziłeś, że ją znasz, zupełnie jak ja. Wydawało ci się, że ją obchodzisz, jednak wikłała cię tylko w pajęczynę kłamstw. Kłamstw, z których mogę cię oswobodzić, podobnie jak uwolniłem się od nich sam!

Vos nie odpowiedział. Wpatrywał się bez słowa w droida, który ujawnił mu straszliwą prawdę.

Czyżby...?

Zamrugął nieprzytomnie. W samym hrabi i nagraniu było coś... Co takiego? I wówczas do niego dotarło. Wpatrywał się w starszego mężczyznę, nagle dziwnie trzeźwy i skupiony, a gdy przemówił, w jego głosie brzmiała niezachwiana pewność.

– Sfałszowałeś to nagranie – warknął. – Usunąłeś siebie i podstawileś w to miejsce Ventress. To nic trudnego. Próbowaliście już wcześniej oszukać Jedi w ten

sam sposób.

Dooku posłał mu smutne spojrzenie.

– Jesteś zdesperowany, Vos. Rozumiem, dlaczego szukasz wymówek. Trudno ci się pogodzić z tym, że rzeczywistość, którą znałeś, okazała się fałszywa. Ciężko jest odwrócić się od tego wszystkiego, porzucić to. Jednak musisz to uczynić, Vos. Zrób to. Odrzuć ten kłamliwy świat. Dołącz do mnie!

– Nigdy się do ciebie nie przyłączę!

Dooku odwrócił się i zaczął spacerować po komnacie w tę i z powrotem, popatrując po drodze na Vosa, jakby podejmował jakąś decyzję.

– Chyba muszę ci jednak pokazać zawartość szafki – stwierdził wreszcie. – Szczerze powiedziawszy, wolałbym ci tego oszczędzić, gdybym miał wybór. Pamiętaj, że próbowałem.

– Szafka – powtórzył Vos. – Co to ma być? Jakaś nowa wymyślna tortura?

– To zależy od ciebie, Quinlanie. Twój los znajdzie się w twoich rękach. I to dosłownie.

– Chyba wolę wrócić do celi. Nad te twoje nedorzeczne gierki przedkładam proste dręczenie. Nie złamiesz mnie, Dooku.

– Wiesz, tak właśnie myślę – zgodził się hrabia, zaskakując go. – Jednak to i tak nastąpi. I dokonasz tego z własnej woli. – Podeszedł do ściany i zatrzymał się przed szafką. Vos zamarł, nie wiedząc, jakich okropieństw może się spodziewać tym razem. – W środku znajdziesz swój dowód – poinformował go hrabia.

– Wydaje ci się, że skoro twój mały holopokaz nie zdołał mnie przekonać, to zrobi to coś innego? – parsknął Vos.

– Owszem – potwierdził Dooku z niezachwianym przekonaniem i Quinlana przeszedł zimny dreszcz.

Dooku wydawał się tak pewny siebie... Vos poczuł, jak zaczyna się pocić. Co, u licha, mogła zawierać tak niewinnie wyglądająca szafka?

Spojrząwszy na Vosa ostatni raz, niemal z żalem, Dooku otworzył podwójne drzwiczki mebla.

Wewnątrz z wielką dbałością umieszczono na wyściółce z niebieskiego aksamitu co najmniej dwadzieścia mieczy świetlnych. Część przestrzeni pozostawała wolna – Dooku przygotował miejsce, planując najwyraźniej rozbudować swoją kolekcję.

Quinlan przełknął głośno ślinę, czując nieuchronną falę mdłości, niezdolny oderwać wzroku od makabrycznego widoku.

– Za każdym razem, kiedy Grievous lub Ventress zabijali Jedi, przynosili mi z pola bitwy te drobne pamiątki – powiedział Dooku spokojnie. – Całkiem ładnie się prezentują, nie sądzisz?

„Pamiętam tę bitwę”.

„Byłaś tam?”.

„Nie. Dooku chwalił się nią przede mną. To właśnie on zabił twojego mistrza. Zachował nawet miecz świetlny Tholme’a jako trofeum”.

Krew zatętniła Vosowi dziko w skroniach. Rękojeści mieczy wykonano z metalu, drewna, a nawet kosztownych kamieni – każda była wyjątkowa jak Jedi, który ją stworzył. Z cichym westchnieniem Quinlan zamknął oczy i odwrócił głowę.

– Zmusz go do patrzenia – rozkazał ostrym tonem Dooku. Droid bojowy wpił metalowe palce w czaszkę Vosa i szarpnięciem obrócił mu głowę.

– Jestem wierny starej maksymie „Znaj swojego wroga” – oznajmił hrabia. – Spędziłem sporo czasu, zgłębiając informacje o mistrzach Jedi. Poznałem ich silne i słabe strony, a także unikatowe zdolności. Wiem na przykład, że ty, Quinlanie Vosie, masz rzadki talent psychometrii.

I nagle, z przerażającą pewnością, Vos wiedział już, co zamierza Dooku.

– Rozkujcie go – polecił droidom hrabia. Vos trwał w bezruchu, zmartwiał z przerażenia, podczas gdy roboty wypełniały rozkaz swojego pana. Poruszał nadgarstkami, ignorując mrowienie powracającego krążenia, i wstał, zataczając się niezdarnie.

– Jestem pewien, że zechcesz poznać prawdę w sposób, którego nie można podważyć – stwierdził Dooku, po czym, gdy do głowy przyszła mu pewna myśl, dodał: – Aczkolwiek... wyobrażam sobie, że to może być bardziej niż nieprzyjemne. Czy to prawda, że oprócz dostrzegania i słyszenia wspomnień związanych z obiektem, którego dotykasz, doświadczasz także tego, co czuł jego właściciel? Hm? – Z uśmiechem wyciągnął w jego stronę miecz świetlny Tholme’a.

Przez długą chwilę Vos po prostu przyglądał mu się w milczeniu, a potem, z nieskładnym okrzykiem na ustach, rzucił się na Dooku. Ten najwyraźniej się tego nie spodziewał i Vos zdołał zacisnąć dłoń na szyi starszego mężczyzny, korzystając z Mocy, by zwiększyć napór, jednak był, niestety, znacznie od niego słabszy. Dooku bez trudu oswobodził się z jego uścisku i poraził go błyskawicami Mocy.

Podczas gdy Quinlan wił się na podłodze, hrabia wstał i nakazał droidom:

– Zabrać go z powrotem do celi. Ale nie skuwajcie go. I weźcie ze sobą to – dodał, podając jednemu ze swoich mechanicznych sług miecz Tholme’a.

Droidy chwyciły Vosa pod ramiona i zaczęły wlec go do wyjścia. Dysząc ciężko, Quinlan podniósł głowę.

– Możesz mnie zmusić, bym go dotknął – wycharczał – ale nie zmusisz mnie, bym go odczytał!

– Wiem – powiedział spokojnie Dooku. – Ale zrobisz to, Vos. W końcu to zrobisz.

Rozdział dwudziesty czwarty

Gdy „Slave I” zszedł do lądowania w kosmoporcie Serenno, Ventress ogarnął niepokój podszyty nostalgią. Dwie jej ostatnie wizyty na tej planecie skończyły się nieudanymi próbami zabójstwa. Teraz Dooku nie obchodził jej już nic a nic. Nienawiść i palącą żądzą zemsty zastąpiła potrzeba znacznie ważniejsza. Zabawne, jak szybko zmieniały się priorytety – i to w sposób niemożliwy do przewidzenia.

Jej buty szczęknęły o metalowy trap, gdy wraz z Latts, Boskiem, Highsingerem i Bobą zeszli na płytę lądowiska. Embo wysiadł z własnego, przypominającego spodek statku „Gilotyna”, towarzyszyła mu oswojona anooba imieniem Marrok, która opuściła pokład osobnym wyjściem. Ventress pracowała wcześniej ze wszystkimi z wyjątkiem Emba. Był Kyuzo, szybkim i zwinnym, korzystającym podczas pracy z jednego z najniezwyklejszych narzędzi, na jakie się natknęła, pełniącego potrójną funkcję akcesorium, tarczy i broni. C-21 zwany Highsingerem był, z tego, co wiedziała, bardzo niezwykłym, unikatowym droidem.

Iglice fortecy Dooku lśniły w oddali w promieniach porannego słońca – piękne, eleganckie, smukłe. Sama twierdza wydawała się zarówno zbyt zjawiskowa, żeby być więzieniem, w którym jeńców poddawano niewyobrażalnym torturom, jak i zbyt piękna, by zamieszkiwała w niej tak podła kreatura jak Dooku.

„Idziemy po ciebie, Vos” – pomyślała Asajj i wskazała łowcom budowlę. Choć sprawiała wrażenie ucieleśnienia spokoju, z trudem panowała nad myślami i emocjami.

– Oto i pałac.

– I jesteś pewna, że tego całego hrabiego Dooku tam nie będzie? – dopytywała Latts.

Ventress spojrzała na młodszą koleżankę po fachu z pogardą i skłamała bez zająknięcia:

– Toczy wojnę. Ma do roboty ważniejsze rzeczy i musi odwiedzać ważniejsze miejsca.

Fett wpatrywał się w iglice, przygryzając wargę.

– Nie podoba mi się to. Co w ogóle twój kumpel zrobił Dooku, że hrabia go uwięził?

Wiedziała, że to pytanie padnie – prędzej czy później – i była przygotowana powiedzieć prawdę:

– Szczerze? Próbował go zabić.

Latts aż gwizdnęła. Wszyscy łowcy popatrywali jeden na drugiego z podniesionymi brwiami. Najwyraźniej ganili się teraz w duchu za to, że nie spytali o to wcześniej.

– Nie-do-wia-ry – wyskandował Fett. – A więc to właśnie dlatego zgodziłaś się zapłacić z góry!

Ventress wsparła rękę na biodrach.

– Słuchajcie, plan jest prosty. Wy odwracacie uwagę. To wszystko. Ja wezmę na siebie trudniejszą część i włamię się do więzienia. Ściągnijcie tylko na siebie uwagę straży. Zdołacie to zrobić?

Boba sprawiał wrażenie urażonego.

– Żaden problem – zapewnił ją Bossk. – To w większości najprawdopodobniej tylko droidy.

– *Dlaaa beerrkkkk!* – obruszył się Highsinger i Bossk skłonił łuskowaty łeb.

– Wybacz, stary. Bez urazy.

– *Hurrkkk!* – Highsinger najwyraźniej nie do końca dał się udobruchać.

– Spróbujcie upozorować to na kradzież statku – zasugerowała Ventress. – Nie chcemy się zdradzić, że to misja ratunkowa.

Latts parsknęła śmiechem.

– Dlaczego poprzestawać tylko na pozorowaniu? Ukradnijmy coś!

– O, to, to. Bonusik! – zgodził się z nią Bossk.

Na widok miny Ventress Fett roześmiał się w głos.

– Nie zapominaj, że sama poprosiłaś nas o pomoc.

– Chyba zaczynam tego żałować – wymamrotała, gdy skierowali kroki w stronę pałacu.

Ventress widziała dość, by wiedzieć, jak działa Dooku. Pamiętała doskonale, gdzie i w jakich porach do pałacu dostarczano zaopatrzenie. Na uboczu, z dala od imponującego głównego wejścia, znajdował się punkt dostawczy, w którym uporczywą roślinność wykarczowano, tworząc lądowisko dla promów. Powinni bez trudu zdołać zaskoczyć droidy zajmujące się rozładunkiem towarów – pobliskie drzewa zapewniały świetną osłonę. Wszystko było tak proste i wydawało się tak oczywiste, że przez chwilę Ventress zastanawiała się, czy podobnego ataku

nie próbowano już wcześniej. Szybko przypomniała sobie jednak, że nikt przy zdrowych zmysłach nie starałby się dostać do chronionego przez armię droidów bojowych pałacu Dooku – tylnym wejściem czy od frontu.

Zerknęła na chronometr.

– Możemy zacząć w każdej chwili – poinformowała swoich towarzyszy.

– Ile będzie promów? – spytała Latts.

Asajj wzruszyła szczupłymi ramionami.

– To zależy od wielkości dostawy. Jest tam miejsce dla pięciu statków.

– Świetnie – mruknęła pod nosem Razzi.

– Cisza! – huknął Fett.

Czekali. W ciągu pięciu minut usłyszeli odgłosy nadlatujących statków. Ventress nasłuchiwała czujnie – z pewnością było ich więcej niż jeden. Może trzy? Mogli trafić gorzej, jednak w tej sytuacji zespół Fetta bez dwóch zdań będzie miał utrudnione zadanie.

Zaczekali na sygnał Boby. Młody łowca nagród opierał się o pień drzewa, z twarzą skrytą za wizjerem hełmu. Pierwszy prom wylądował, po nim zaś usiadły dwa następne. Boba powoli podniósł rękę, a kiedy trap pierwszego statku opadł i ze środka wymaszerowały dwa droidy bojowe, niosąc wielką skrzynię, Fett dał im sygnał do rozpoczęcia akcji.

Ostrożnie, cichcem, każdy z łowców zajął swoją pozycję. Ventress nigdy nie czuła się bardziej żywa. Była idealnie spokojna, opanowana, maksymalnie skupiona. Maszynkę do zabijania, w którą potrafiła się zmienić w razie potrzeby, podsycala teraz wściekłość na Dooku, a także inne, cieplejsze uczucie, które bała się nazwać po imieniu.

Wyciągnie stamtąd Vosa. Nie dopuszczała do siebie innej myśli.

W jej polu widzenia pojawił się nagle obiekt w kształcie dysku, trafiając jednego z droidów bojowych w czerep. Robot zatoczył się i upadł na ziemię z pogruchotaną głową.

– Hej! – zaprotestował jego partner, odwracając się, żeby zobaczyć, kto wysłał dziwny pocisk. Chwilę później dysk skrócił go o głowę i wrócił idealnym łukiem do właściciela.

Embo wyciągnął rękę i złapał swój płaski kapelusz o szerokim rondzie.

– *Nesta nesta balotelli* – oznajmił, wyraźnie zadowolony.

Latts Razzi zajęła miejsce w pobliżu drugiego statku. Gdy wynurzyły się z niego

droidy, machnęła swoim chwytnym boa. W jej wprawnych rękach śmiertelnie groźny szal owinął się wokół skrzeczącego droida niczym wąż, od którego wzięła swoją nazwę. Serią ruchów przypominających bardziej taniec niż walkę Latts przyciągnęła robota do siebie i złożyła go u stóp Highsingera. Mechaniczny łowca nagród z wyraźnym zadowoleniem zmiażdżył go metalowymi stopami.

Powietrze przecięły wielobarwne strzały. Fett zdjął kolejną dwójkę droidów, podczas gdy Bossk wdrapał się na jeden z promów i wystrzelił z samopowtarzalnego blastera, śmiejąc się radośnie. Najpierw wziął na cel roboty, a potem prom, który wybuchł z miłym dla ucha hukiem, wypełniając przestrzeń płomieniami i smugami czarnego dymu.

Tak jak Ventress się spodziewała, ta widowiskowa eksplozja nie mogła umknąć uwadze droidów – już wkrótce co najmniej dziesięć robotów pojawiło się w przejściu prowadzącym na niższe poziomy pałacu.

– Czysto! – zawołała do Fetta. – Wchodzę!

– My zatrzymamy droidy! – odkrzyknął Boba. – Ale masz tylko piętnaście minut, jasne?

– Będę się streszczać – obiecała mu Ventress i pognała do otwartych drzwi.

– Kwadrans! – krzyknął za nią Fett.

Szybko, po cichu, Ventress pokonywała pogrążone w półmroku korytarze. Tutaj, głęboko w samym sercu pilnie strzeżonego pałacu, hrabia Dooku trzymał swoich więźniów. Asajj pamiętała aż za dobrze, gdzie mieszczą się cele i co się w nich dzieje. Był czas, kiedy osobiście brała udział w tak zwanych przesłuchaniach, stanowiących zwyczajny pretekst do zadawania bólu. Nikt nigdy stąd nie wyszedł – niezależnie od tego, czy dostarczył użytecznych informacji, czy nie. Mogła tylko mieć nadzieję, że Vos wciąż żyje.

Gdy jej uszu dobiegł metaliczny szczepek stóp uderzających o posadzkę, wyskoczyła w górę. Przyczaiła się w mroku, znajdując oparcie dla rąk i stóp – i czekała. Korytarzem przebiegło sześć uzbrojonych droidów, bez wątplenia zaalarmowanych wydarzeniami na zewnątrz.

Asajj skoczyła na ramiona jednego z nich, wyrwała mu głowę i cisnęła nią w jego towarzyszy, aby za chwilę zwinnym przerzutem zmienić pozycję, kopiąc po drodze obunóż i wspomagając się Mocą. Droidy uderzyły w ściany i upadły na ziemię niczym marionetki, którym ktoś popodcinał sznurki.

Ventress aktywowała swój... nie, należący do Vosa miecz i odwróciła się do pozostałej trójki. Jeden z droidów zaczął do niej strzelać, jednak bez trudu odbiła salwy, jakby oganiała się od irytujących insektów. Jednym płynnym ruchem skoczyła, cięła – i już za chwilę trzy głowy potoczyły się po posadzce.

Asajj przypadła do ziemi, przez chwilę nasłuchiwała, a potem zerwała się znów do truchtu.

Skrećiwszy w lewo na przecięciu korytarzy, pobiegła przed siebie. Na końcu znajdowały się wielkie metalowe wrota obramowane kontrolkami. Wejście do kompleksu mieszczącego cele. Ventress zatrzymała się przed nim na ułamek sekundy, żeby się uspokoić, a następnie wcisnęła jeden z przycisków.

Drzwi rozsunęły się w chwili, gdy zza rogu wyszły dwa droidy bojowe.

– Hej! – zawołał jeden z nich. – Nie wolno ci...

Wystrzeliła do niego z łuku, a potem posłała za pierwszym drugi strzał. Droidy nie zdążyły nawet otworzyć ognia.

Ruszyła przed siebie. Na spotkanie wyszły jej dwa kolejne blaszaki, tym razem uzbrojone w pałki. Ventress nawet nie zwolniła kroku, biegnąc prosto na nie, gdy zaczęły się szykować do ataku. W ostatniej chwili zmieniła kierunek, wbiegając na ścianę, po czym saltem wybiła się w powietrze, wyszarpując jednemu z droidów broń. Przez moment balansowała na jego metalowym ciecie, oceniając ich pozycję, a potem opadła na ziemię, obracając się w powietrzu, trzymając broń oburącz.

Ten wciąż uzbrojony zaatakował, jednak jednym szybkim ruchem wytrąciła mu pałkę, uderzając swoją najpierw jego, następnie jego kompana. Elementy droidów posypały się ze szczękiem na ziemię, a Ventress odrzuciła broń i weszła między cele.

Wszystkie były puste. Najwyraźniej Dooku skończył z więźniami, których pamiętała, i nie zastąpił ich kolejnymi. Poza Vosem. Biegła korytarzem, popatrując na lewo i prawo, zaglądając do każdej celi. Skrećiła za róg...

Kłęczał, odwrócony do niej plecami, przygarbiony, a jego ciałem wstrząsały dreszcze, jakby lkał.

– Vos! – wykrzyknęła łamiącym się głosem i uderzyła otwartą dłonią w panel kontrolny, dezaktywując pole siłowe.

Zamarł, ale nie odwrócił się w jej stronę. Poczwała w gardle dziwne dławienie. Powoli podeszła do niego, wyciągając rękę, żeby dotknąć jego ramienia.

– To ja, Vos – powiedziała cicho. – Wróciłam po cie...

Wciąż odwrócony do niej plecami, podniósł dłoń i zwinął ją w pięść. Ciało Ventress poszybowało w powietrze, poderwane za szyję niewidzialnymi palcami. Krew uderzyła jej do głowy, gdy bezradnie sięgnęła do gardła i wykrztusiła z trudem:

– Quinlanie... Nie...

– Jesteś... – wycedził Quinlan Vos – oszustką... i morderczynią.

Rozdział dwudziesty piąty

Ventress obawiała się o swoje życie, ale teraz przeszła ją fala nowego strachu. Vos znał prawdę – Dooku mu powiedział. Poprzysięgła sobie, że wyjawi mu ją, gdy będzie po wszystkim, jednak Vos musiał usłyszeć prawdę z ust hrabiego...

– Quinlanie – wychrypiała. Zaczynało jej ciemnieć w oczach. – Wysłuchaj... mnie...

– Zamknij. Się. – Vos wstał, wciąż zwrócony do niej plecami. Każdy mięsień w jego ciele był naprężony, spięty. – Nie mam już zamiaru słuchać twoich kłamstw!

– Ostrzegałam... cię! – Jeszcze chwila i zemdleje. O ile wcześniej Vos nie zmiażdży jej tchawicy. Ventress z trudem wymawiała słowa, póki jeszcze mogła: – Musisz... czerpać z mroku... ale nie możesz pozwolić, by cię... pochłonął.

– Tak jak ciebie, gdy zabiłaś mojego mistrza? – Vos odrzucił ją ze straszliwą siłą z dala od siebie. Uderzyła w kamienną posadzkę i osunęła się na nią, kaszłąc i z trudem zaczerpując tchu. Najszybciej, jak zdołała, zerwała się na równe nogi... i poczuła, jak serce zamiera jej w piersi.

Oczy Quinlana nie były już ciepłe i brązowe. Jego źrenice miały barwę obwiedzioną czerwienią żółci.

– Ufałem ci. – Głos drżał mu od wściekłości. – Wierzyłem ci. A wszystko, co mi powiedziałaś, co mi obiecałaś, w co w swojej naiwności wierzyłem, że dla ciebie znaczę, co mieliśmy razem osiągnąć... to wszystko były kłamstwa!

– Nie! – Jej okrzyk brzmiał jak szloch. – Ja...

Wyciągnął do niej rękę. Trzymał w niej miecz świetlny. Ventress rozpoznała broń. Strach i rozpacz wezbrały jej w gardle, gdy dotarło do niej, co to oznacza – zarówno dla niej, jak i dla niego. Vos wiedział już – bez cienia wątpliwości – że Asajj Ventress zamordowała jego mistrza, z zimną krwią. Jednak to nie Dooku mu o tym powiedział. W swoim wyrafinowanym okrucieństwie hrabia dopilnował, żeby Vos sam się o tym dowiedział.

Quinlan wyjaśnił jej kiedyś, w jaki sposób działają jego psychometryczne talenty. Czerpał informacje w formie obrazów, dźwięków i uczuć. Zakon nie pochwalał wykorzystywania przez Jedi tych zdolności do odczytywania treści z broni, ponieważ w ten sposób wyczuwali oni emocje towarzyszące jej

właścicielowi – a te mogły ich narazić na działanie ciemnej strony.

– Och, Quinlanie... – jęknęła łamiącym się, współczującym głosem.

– Nie waż się mnie już okłamywać, Asajj Ventress – warknęła.

Podniosła znów wzrok na jego żółte oczy Sitha i tym razem zauważyła na jego policzkach ślady łez. Odruchowo postąpiła do niego, wyciągając dłoń...

Miecz świetlny Tholme'a z sykiem obudził się do życia i Vos zaatakował.

Ledwie zdążyła aktywować swoją broń i zasłonić się klingą, w ostatniej chwili powstrzymując go od ścięcia jej głowy. Poruszając się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej – nawet podczas szkolenia na Dathomirze – Vos odwinął się i odtrącił jej ostrze. Zasypywał ją gradem ciosów, obnażywszy zęby w drapieżnym grymasie, zmuszając ją do wycofywania się w głąb korytarza.

Vos był mistrzem Jedi i chociaż Asajj pokonywała wcześniej takich jak on, nie było to łatwe. Teraz jego zdolności były podsycane ciemną stroną, która chciwie karmiła się jego bólem i gniewem. Miała wrażenie, że zadaje cios za ciosem zupełnie bez wysiłku – w ogóle się nie męczył.

Musiała do niego jakoś dotrzeć. Był pijany swoją nową mocą, nieskrępowany – inaczej niż ona – napędzany żądzą zadania zabójczego ciosu. Podczas gdy ona starała się go rozbroić lub unieszkodliwić, on chciał ją zwyczajnie zabić.

– Wykorzystałaś mnie! – krzyknął rozdzierająco. Lewa, prawa, lewa. Zadawał cios za ciosem, a ona parowała każdy z nich, czując w dłoni mrowienie od wibracji ścierających się ze sobą kling. Ostrza skwierczały, dwa zielone miecze krzeszały iskry.

– Sam do mnie przyszedłeś! – przypomniała mu. – Poprosiłeś mnie o pomoc! Rada...

Wydał z siebie rozwścieczony ryk, skoczył i pchnął mocno lewą dłonią, odrzucając ją w tył, ciskając wprost na twarde kamienny mur.

– Wszyscy mnie ostrzegali, że zależy ci tylko na sobie. I tak było. Zupełnie cię nie obchodziłem, nic a nic!

W uszach jej dzwoniło, ale jakimś cudem zdołała wstać. Przyskoczyła do Vosa, lądując za jego plecami i wymierzając mu kopniaka pod kolano. Nie spodziewał się tego i zatoczył się w przód. Wówczas złapała go za rękę, w której trzymał miecz, i szarpnęła, próbując go zmusić, by go wypuścił z palców.

– Gdyby to była prawda – powiedziała błagalnie – gdyby mi na tobie nie zależało... Co bym tu robiła? Dlaczego miałabym ryzykować własnym życiem,

żeby cię ratować?

Przez chwilę po jego twarzy przemknął cień wątpliwości. Wstrzymał atak, jednak za moment rysy mu stwardniały.

– Bo byłem ci potrzebny. Nienawidzisz Dooku, a gdy się napatoczyłem, postanowiłaś mnie wykorzystać. Nie zdołasz dokonać tego sama, jednak z moją pomocą mogłabyś zabić swojego znienawidzonego mistrza. Nigdy nie byłem dla ciebie niczym więcej niż instrumentem, narzędziem do osiągnięcia własnych celów.

– Gorycz w jego głosie raniła ją niczym sztylet. Oczy piekły ją od wstrzymywanych łez i w tym momencie nienawidziła ciemnej strony za to, co – w połączeniu z torturami Dooku – uczyniła z tym mężczyzną.

– Vos... Byłeś dla mnie wszystkim! Przemawiają przez ciebie ból i ciemna strona! Nie jesteś sobą!

Rzucił się na nią ze zwierzęcym rykiem, odrzucając ją za siebie niczym szmacianą lalkę. Uwolnił ramię z jej uścisku i zawinał mieczem – końcówka ostrza drasnęła jej tułów, gdy próbowała się przetoczyć na bok. Krzyknęła z bólu.

– Tym właśnie jestem! I tym chcę być! To ty dałaś mi tę czarę, Ventress, i namówiłaś mnie, bym z niej pił!

To była prawda. To ona zmusiła go do tego wówczas, w jaskini. To ona przekonała go, by zabił z zimną krwią Śpiącego. I wyglądało na to, że przyswoił tę lekcję aż za dobrze.

– Ale możesz nad tym panować, Vos! – jęknęła. – Jesteś silny, silniejszy od niej! Nie pozwól jej wygrać. Zostawmy to wszystko: Dooku, Jedi... Wszystko! Możemy razem uciec, tak jak planowaliśmy. Tylko ty i ja!

– Uciec z kimś, kto mnie okłamał? – Słowa brzmiały szyderczo, ale przynajmniej Vos przestał walczyć, nie atakował jej. Trzymając miecz świetlny w pogotowiu, spytał: – Dlaczego to zrobiłaś?

Udręka w jego głosie sprawiła, że zatliła się w niej iskra nadziei, wypalonej niemal do cna. W tej chwili było w nim więcej bólu niż wściekłości – a ból mógł jej słuchać.

Powoli opuściła broń. Była gotowa bronić się w razie potrzeby, jednak Vos nie zareagował. Oblizła wargi, wzięła głęboki oddech i przemówiła:

– Tak, okłamałam cię. Ale zrobiłam to dlatego, że się bałam.

Zmrużył oczy.

– Ty się niczego nie boisz, Asajj Ventress.

Pokręciła głową.

– Mylisz się. Byłam przerażona.

– Czym? – parsknął.

– Bałam się, że cię stracę. – Pozwoliła, by jej słowa wisały przez chwilę w powietrzu między nimi, a gdy zyskała pewność, że Vos jej słucha, podjęła: – Kłamałam od tak dawna, że stało się to dla mnie drugą naturą. Nauczyliśmy się ufać sobie nawzajem, ale to, co czułam... Tak bardzo się bałam, Quinlanie. Bałam się powiedzieć ci o Tholmie, bo sądziłam, że mnie za to znienawidzisz. Dopiero co nauczyłam się ufać i znów o kogoś troszczyć, i... nie mogłam znieść myśli, że gdybyś naprawdę mnie poznał, dowiedział się, co robiłam... znienawidziłbyś mnie – dokończyła łamiącym się głosem. Z ciała Vosa uszło wcześniejsze napięcie. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

– Powinnaś była mi zaufać – powiedział łagodnie.

Kiwnęła głową.

– Masz rację. Powinnam była. A nawet gdybyś mnie zostawił, postąpiłabym słusznie. Jednak... tak bardzo się bałam. Myliłam się. Tak bardzo, bardzo mi przykro...

Oczy znów zapiekły ją od łez, ale tym razem ich nie powstrzymywała. Pozwoliła, by spłynęły jej po policzkach. Nie płakała ani razu od czasu rzezi jej sióstr – a nawet wówczas opłakiwała je w samotności. Nigdy wcześniej nie rozmawiała w ten sposób z nikim, nawet z jej ukochanym mistrzem Jedi. Stała tam, z sercem otwartym szeroko, obnażywszy przed nim swoją duszę. Z pewnością widział ją, nawet przez mrok mącający mu umysł. Na pewno zrozumie, co to oznacza. Quinlan Vos znał ją tak, jak nie znał jej nikt inny. Dostrzeże to – i zrozumie.

Żółta barwa powoli odpływała z jego tęczęwek, gdy zamrugał i szepnął:

– Asajj?

– Przyniosłam ci twój miecz świetlny – powiedziała. – Jest twój. Zaopiekowałam się nim, tak jak wtedy, na Dathomirze. Nie pozwól Dooku wykorzystać Tholme'a, by nas rozdzielił. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu, zmienić przeszłości, ale... Chcę tylko przyszłości... z tobą.

Nie powinna była tego mówić. Vos spojrzął na trzymaną w dłoni klingę i jego przystojną twarz wykrzywił grymas nienawiści. Obrzydliwa żółć znów nabiegła mu do oczu. Podniósł na nią wzrok.

– To – wycedził – najgorsze ze wszystkich twoich kłamstw!

Zdruzgotana, przetoczyła się na bok, kiedy na nią skoczył, podnosząc ostrze w porę, żeby sparować serię zadanych z furią ciosów, wycofując się jednocześnie pod ich naporem w kąt. Wołała raz za razem jego imię, jednak był teraz głuchy na wszelkie prośby. Uświadomiła sobie, że nie spocznie, póki jej nie zabije – i przez jedną krótką chwilę chciała, żeby to zrobił. To byłoby łatwiejsze niż życie bez niego – ze świadomością, że to ona go do tego wszystkiego nieświadomie przywiodła.

„Nie” – postanowiła z mocą. Nie podda się. Nie pozwoli, by Dooku i ciemna strona zagarnęły go dla siebie.

Podsycany gniewem atak Vosa zmuszał ją do wycofywania się w stronę wyjścia – i Ventress pozwoliła na to. Wiedziała teraz, że posunęła się za daleko, próbując go udobruchać, jednak gdyby zdołała przenieść walkę na otwarty teren, być może udałoby się jej sprowadzić go do Fetta i reszty. Pomoc choćby jednego łowcy nagród mogła przecież wystarczyć do obezwładnienia Vosa i zabrania go na jeden ze statków.

Chociaż wycofywała się świadomie, dobrowolnie, furiacki atak Vosa wymuszał na niej pełne skupienie. Miała wrażenie, że z każdą chwilą Quinlan staje się silniejszy, potężniejszy, podczas gdy ona desperacko chwytала się wszystkich wybiegów, byle tylko utrzymać się przy życiu.

Quinlan oddychał lekko, swobodnie, bez litości atakując kobietę, na której – jak Ventress wiedziała w głębi serca – dawniej tak bardzo mu zależało. Gdy skręcili za kolejny róg, potknęła się o szczątki droidów bojowych, z którymi rozprawiła się tak niedawno. Vos wyrzucił przed siebie dłoń, a gdy metalowe części wzbily się w powietrze, z gniewnym pomrukiem cisnął je w stronę Asajj.

Przecięła mieczem metalowy korpus w pół, Mocą odbijając kończyny i uchylając się przed dwiema odciętymi głowami. Odskoczyła, a gdy wylądowała, niemal natychmiast była zmuszona podnieść klingę, by obronić się przed mieczem należącym niegdyś do mistrza Tholme'a. Użyła Mocy, by odepchnąć tkającą świetlistą zasłonę broń i władającego nią Vosa nieco dalej, a potem rozpoczęła odwrót.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, nim półmrok korytarza zaczął się rozjaśniać. Gdy uświadomiła sobie, że są już blisko wyjścia, wezbrała w niej fala nadziei, usypiając nieco jej czujność. Nagle znalazła się w powietrzu i szybowała

przez drzwi.

Przeleciała kilka metrów, dopóki nie uderzyła z impetem niezgrabnie w ziemię – i minęło parę przerażających chwil, podczas których próbowała bezskutecznie wstać, nim ktoś nie podźwignął jej z ziemi gwałtownym szarpnięciem.

– Gdzie twój kumpel? – spytał Fett.

Ventress odwróciła się w stronę drzwi. Stał w nich Quinlan Vos z wykrzywioną okrutnym grymasem twarzą, oświetloną blaskiem klingi jego nieżyjącego mistrza. Zza jego pleców nadciągały zastępy droidów bojowych.

– Tam – wyznała łamiącym się głosem, wskazując na Vosa.

– To twój przyjaciel?

Nagle Vos odwrócił gwałtownie głowę w bok. Gdy Asajj podążyła za jego wzrokiem, jej oczom ukazał się nieoczekiwany widok: hrabia Dooku leżał na ziemi, spętany czymś w rodzaju pajęczyny, podczas gdy Bossk celował z blastera w jego głowę.

Vos rzucił Ventress ostatnie, przepełnione nienawiścią spojrzenie, a potem odwrócił się i zaczął biec w stronę hrabiego Dooku. Droidy ruszyły posłusznie za nim, strzelając do łowców nagród.

– Szybko! – krzyknął Fett, wskazując jeden z promów. Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Bossk puścił się biegiem w stronę statku, oglądając się po drodze na Dooku i kierując pod jego adresem sfrustrowany syk, jednak posłusznie wbiegł po trapie za Embem, Highsingerem i Latts. Kyuzo dał znak Bobie i Ventress, nakazując im się pospieszyć.

– Szybko, Bezimienna! – krzyknął Fett.

– J-ja... Nie mogę lecieć – wykrztusiła, wpatrzona w Vosa, który uwalniał właśnie Dooku z sieci i pomagał mu wstać. Widocznie wyczuł na sobie jej spojrzenie, bo podniósł na nią wzrok i powiedział coś do hrabiego. Stali ramie w ramie, niczym zespół... Jak mistrz i uczeń. Widok był tak druzgocący, że Ventress ledwie zauważyła sześć biegnących w ich stronę droidów bojowych.

Vos uśmiechnął się do niej kpiąco.

– Musimy lecieć! – krzyknął Boba. Złapał Ventress za rękę i zaczął biec, ciągnąc ją za sobą. Wspólnie wspięli się po trapie, który zaczął się podnosić w chwili, gdy postawili na nim stopy. Kiedy zamknął się za nimi, prom błyskawicznie wzbił się w powietrze.

Ventress przypadła natychmiast do iluminatora, licząc na to, że dostrzeże coś...

jakiś sygnał, który potwierdzi, że Vos tylko udaje – że to wszystko jakaś gra... Jednak zobaczyła tylko dwóch byłych mistrzów Jedi – niegdyś tak różniących się od siebie, lecz teraz połączonych więzią mroku, wpatrujących się beznamiętnie w odlatujący statek.

Odwrociła wzrok, niezdolna dłużej patrzeć. Jej spojrzenie spoczęło na Bobie, który zdjął właśnie hełm i przesuwał dłonią po spoconej twarzy.

– Powinieneś być mnie zostawić – powiedziała cicho.

Pokiwał głową.

– Tak, powinienem być. Ale ja nie jestem tobą.

Nie miał pojęcia, jak bardzo zabolą ją te słowa.

Minęła godzina i czterdzieści siedem minut od wyznaczonej pory spotkania. Obi-Wan nie sądził, że Quinlan Vos się zjawi, jednak kulturował tradycję wyczekiwania w barze w swoim przebraniu łowcy nagród, żywiąc iluzoryczną nadzieję, że tym razem Vos przybędzie. Za każdym razem opuszczał progi knajpy samotnie – i za każdym razem płomyček nadziei tlił się w nim coraz słabiej. Tym razem zastanawiał się nad wcześniejszym wyjściem, ale nie pozwolił mu na to wrodzony upór. Zamierzał zostawić przyjacielowi pełne dwie godziny, jak zawsze, nim da za wygraną i wróci do Świątyni.

Mechaniczna kelnerka zjawiała się przy stoliku i postawiła przed nim kolejną butelkę, a potem mrugnęła do niego metalową powieką.

– Często pan do nas zagląda – zaświergotała.

Uśmiechnął się do niej półgębkiem, a gdy się oddaliła, nasunął głębiej na czoło poszarpany kaptur w bliżej nieokreślonym kolorze. Gdy na stół padł cień, podniósł wzrok z uśmiechem ulgi, ale na widok stojącej przy stole osoby słowa uwięzły mu w gardle.

Patrzył na Asajj Ventress – jednak nie była to ta sama Ventress, z którą tyle razy krzyżował ostrza mieczy.

Miała teraz króciutkie jasnoblond włosy i wyglądała, jakby postarzała się o co najmniej dziesięć lat. Lodowato błękitne oczy miała przekrwione i podkrążone. I zmieniła się nie tylko fizycznie – emanowała obojętnością i rezygnacją, które nie do końca maskowały głęboki ból.

Kenobi poczuł ukłucie niepokoju, jednak nie bał się o to, co może zrobić – nagle zdjął go lęk przed tym, co powie.

Przez długą chwilę Ventress milczała jednak, ze wzrokiem wbitym w blat, aż

wreszcie wzięła głęboki, spazmatyczny oddech i spojrzała mu w oczy. Gdy się odezwała, rozpoznał głos – tak samo niski, zachrypnięty, jakim go zapamiętał, lecz tym razem nie ociekał jadem wściekłości czy okrutnym rozbawieniem. To był głos kogoś zagubionego... i opuszczonego.

– On nie wróci. Należy teraz do Dooku.

Kenobi otworzył szerzej oczy. „Nie – pomyślał, zdjęty grozą. – Tylko nie on. Nie pełen życia, niepokorny Quinlan. Nie...”.

Bez słowa sięgnął po drugą szklanke, o którą zawsze prosił obsługę w nadziei, że Vos się zjawi, żeby się z nim napić. Napełnił ją i przesunął po stole. Ventress przyglądała jej się przez chwilę, potem spojrzała na niego i wreszcie nieskończenie wolno opadła na krzesło, jakby nawet ten prosty ruch sprawiał jej niewypowiedziany ból.

Powoli upiła łyk.

Siedzieli tak razem bardzo długo.

Rozdział dwudziesty szósty

Asajj Ventress przez całe swoje życie żyła chwilą. Była kobietą, która nie miała cierpliwości na żale i gdybanie. Parła pewnie, z determinacją, w jednym kierunku – naprzód.

Aż do teraz. Obecnie jej sny wypełniały wizje Quinlana Vosa – Quinlana o złotych oczach, udręczonego Quinlana patrzącego na nią błagalnie, podczas gdy ona przyglądała się, jak... pozwalała na to, by wlekły go dwa droidy bojowe Dooku. Czy mogła wówczas zaatakować i go uwolnić? Czy mogłaby działać szybciej, powiedzieć coś, żeby do niego dotrzeć? Żal, dotąd zupełnie obcy Ventress, teraz towarzyszył jej bezustannie, niczym własny cień.

Chociaż wcześniej nigdy nie piła, żeby się upić, z zaskoczeniem odkryła, że alkohol pomagał. Straciła wszystkie swoje kredyty i resztki reputacji, jaką miała w oczach Fetta i jego syndykatu, podczas misji ratunkowej, która zakończyła się pełnym fiaskiem. Brała różne zlecenia, przekuwając poczucie winy i ból w działanie ukierunkowane na łapanie pechowców, za których akurat płacono. Większość zarobionych pieniędzy wydawała na alkohol. Czasami, jeśli wypić wystarczająco dużo, spała snem pozbawionym sennych majaków. Czasami.

Straciła już rachubę dni składających się w tygodnie i miesiące. Początkowo przeżyła szok, kiedy pijąc czwartą kolejną czegóż mocnego i zielonego, dostrzegła na holoeckranie w jakiejś spelunie twarz najpierw hrabiego Dooku, a potem Quinlana. Żaden z widzów nie wiedział, kim był, jednak mówili o nim *per* „nowa anonimowa prawa ręka hrabiego Dooku”. Ventress zdołała jakoś wytoczyć się z baru, tylko z najwyższym trudem powstrzymując się od chęci zdemolowania sprzętu holoprojekcyjnego mieczem świetlnym.

Mieczem Quinlana.

Od tamtej pory unikała barów z holowyświetlaczami, jednak nie była w stanie całkiem uciec przed wojną. Wkrótce „tajemniczy człowiek Dooku” został „nowym admirałem Dooku”, ochrzczonego fantazyjnym przydomkiem „admiral Enigma”, plotkowano zaś o nim wszędzie, gdzie zajrzała. Mgliście zdawała sobie sprawę z tego, że były mistrz Jedi wygrał dla swojego nowego zwierzchnika przynajmniej jedną bitwę, jednak nie znała szczegółów – wyszła, nim zdołała poznać liczbę ofiar.

Czasami, w okresach wypełnionych szczególnie intensywnym pićciem, miewała ataki paranoi. Była przekonana, że Vos wysyła za nią swoich ludzi, aby dokończyli jego dzieło i zabili zbrodniarkę, która tak podstępnie go oszukała. Zaczynała wówczas tropić cienie – i więcej niż raz nieumyślnie przeraziła do szpiku kości bezbronny przechodnia.

Dziś nie piła jednak na umór – to znaczy, jeszcze nie – mimo to wciąż nie mogła się oprzeć przekonaniu, że ktoś ją śledzi. Ze ściągniętymi brwiami zajrzała do kieliszka, cisnęła na bar kilka kredytów i rozejrzała się dookoła z pozorną swobodą. Nikt w pobliżu nie wyróżniał się jakoś specjalnie... Ale z kolei, jeśli był tak dobry, żeby nie rzucać się w oczy, nie dostrzegłaby go przecież na pierwszy rzut oka. Wstała, pilnując, by zataczać się w sposób sugerujący, że wypła ciut za dużo – lecz nie zachowując się przesadnie teatralnie – i opuściła bar, zachowując wzmożoną czujność.

Tutaj, na poziomie tysiąc trzysta trzynastym, noce i dnie były jednakowo ciemne, jednak na ulicach zawsze ktoś się kręcił. Większość istot żywych omijała ją szerokim łukiem. Gdy chwiejnym krokiem szła alejką za barem, obchodząc sterty odpadków i chrapiących meneli, wyteżyła słuch. Nie słyszała nic niezwykłego, ale nie mogła wyzbyć się uczucia, że coś jest nie tak. Skręciła za róg, przywarła całym ciałem do ściany budynku i czekała.

Kilka sekund później z cieni wynurzyła się jakaś sylwetka. Sięgnęła ku niej Mocą, uniosła w powietrze i cisnęła mocno na ziemię. Chwilę później klęczała na piersi swojego prześladowcy, przygniatając go kolanem, z mieczem świetlnym zatrzymanym kilka centymetrów od wielkich, zaskoczonych oczu i porośniętego sierścią pyska Mahranina. Nie stawiał oporu.

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie powinnam cię zabić – warknęła.

– Mamu wspólnego przyjaciela – odparł.

– Ja nie mam przyjaciół. – Opuściła skwierczące, zielone ostrze niżej, przypalając mu futro na szyi.

Ani drgnął.

– Mam u pasa broń. Weź ją.

Sięgnęła wolną ręką we wskazane miejsce, wciąż trzymając miecz nad jego gardłem. Jej palce natrafiły na chłodny metal cylindrycznego przedmiotu. Gdy spojrzała na miecz świetlny, otworzyła szerzej oczy.

Powoli usiadła i cofnęła klingę od jego szyi, jednak nie zgasła jej.

– Mów – burknęła, nie wypuszczając jego miecza z dłoni.

– Nie uprzedzili mnie, że jesteś tak szybka – powiedział Mahranin. W jego głosie pobrzmiwała ulga. Usiadł powoli i ostrożnie, na wypadek gdyby zmieniła zdanie.

– Mogę być jeszcze szybsza. Czego chcą ode mnie Jedi? – warknęła, dodając gorzko: – ...tym razem?

– Nazywam się Desh i Jedi nie wiedzą, że tu jestem. Jestem... Quinlan Vos był... jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Z zaskoczeniem spostrzegła, jak duży ból sprawia jej nadal dźwięk jego imienia.

– Jedi nie wolno mieć najlepszych przyjaciół – zaprotestowała.

– A kto twierdzi, że Vos był typowym Jedi?

– Masz rację. Mów dalej.

W jego oczach lśnił smutek.

– Wiemy, co się wydarzyło. O Dooku... i o... o tobie.

– A co dokładnie Jedi wydaje się, że o mnie wiedzą?

– Mistrz Kenobi mówił, że z tobą rozmawiał. Że przyszłaś do niego i opowiedziałaś mu, co się stało z Vosem. – Nie zadał pytania, które z pewnością go nurtowało. – Niektórzy z nas chcieli wyruszyć mu na ratunek, jednak nie dostaliśmy pozwolenia. Jeszcze nie.

Teraz już rozumiała.

– I pomyślałaś, że z moją pomocą mogłoby wam się udać?

Wyszczrzył zęby w czymś na kształt potulnego uśmiechu i poskrobał się za spiczastym uchem.

– Ee... noo... tak – bąknął. – Pomyślałem, że jeśli z tobą porozmawiam, mógłbym... cóż... – Utkwił w niej spojrzenie wielkich, złotych oczu. – Namówić cię, żebyś wróciła ze mną do Świątyni.

– Czy to Kenobi cię przysłał?

– Tak jak wspomniałem, Jedi nie wiedzą, że tu jestem. Ale idę o zakład, że mistrz Kenobi by się z tego ucieszył. Czasem lepiej jest prosić o wybaczenie niż pozwolenie.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka?

– Nie możesz mieć takiej pewności. A ja nie zdołam cię zmusić, żebyś ze mną poszła. Jeśli jednak odrzucisz tę propozycję... Vos nie będzie miał szans.

Ventress przyjrzała się krytycznie małemu Jedi. Desh rzeczywiście sprawiał wrażenie kogoś, z kim mógłby się zbratać Vos. Trudno jej było to nazwać po

imieniu, ale wyobrażała sobie, jak razem pakują się w tarapaty. Gdy spróbowała wysondować go Mocą, wyczuła w nim tylko prawdziwą troskę.

Wróciła myślą do życia, jakie pędziła przez ostatnie kilka miesięcy, i poczuła w żołądku nieprzyjemny ciężar. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że Jedi rzeczywiście są skłonni pomóc...

Wstała.

– Na co czekasz? Ruszajmy.

Ventress, Desh, Obi-Wan Kenobi i wyraźnie nieszczęśliwy Anakin Skywalker weszli do Sali Rady Jedi w samą porę, by usłyszeć złe wieści. Członkowie Rady oglądali właśnie holorelację z potwornej bitwy. Myśliwce i krążowniki Republiki i separatystów ścierały się w zaciętej walce. Kenobi przyglądał się, jak w polu widzenia pojawia się dreadnot, biorąc na cel krążownik. Republikański statek pękł na pół pod zmasowanym ostrzałem, pochłonięty przez chmurę ognia podsycaną okrętowym zapasem tlenu.

Yoda zerknął na Ventress z lekkim zaskoczeniem i wcisnął przycisk, zatrzymując nagranie. Inni zareagowali żywiej: Mace Windu zerwał się z fotela, sięgając odruchowo po miecz, podobnie jak Ki-Adi-Mundi, Shaak Ti i Plo Koon.

– Asajj Ventress – warknął Windu – jak miło z twojej strony, że oszczędziłaś nam konieczności aresztowania ciebie i przyszłaś do nas sama.

Gdy Ventress rzuciła Kenobiemu rozwścieczone, urażone spojrzenie, Obi-Wan podniósł dłoń.

– Nie, mistrzu Windu – powiedział spokojnie. – Ventress przybywa tu w dobrej wierze i z własnej woli, aby zaproponować nam pomoc. Dałem jej moje słowo, że w murach Świątyni nie stanie jej się krzywda, i zamierzam tej obietnicy dotrzymać.

Oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się na Yodę. Starożytny mistrz Jedi przyjrzał się Ventress spokojnie, mierząc ją wzrokiem. Asajj wyprostowała się i ani drgnęła pod jego taksującym spojrzeniem. Kenobi przypomniał sobie, że gdy ta dwójka spotkała się ostatni raz, Ventress próbowała za pomocą kłamstw i podstępów zabić Yodę, jednak stojący na czele Rady mistrz sprawiał wrażenie spokojnego i pogodnego. Wreszcie kiwnął głową.

– Asajj Ventress – powitał ją. – Kłamcy z mistrza Kenobiego nie zrobimy. Wdzięczni za pomoc jesteśmy. Pytań do ciebie kilka mamy.

– Słucham – odparła, krzyżując ramiona na piersi.

– Zwracaj się do mistrza Yody z szacunkiem – warknął Windu.

– Będę mówiła prawdę tak, jak będę chciała.

– O ile to rzeczywiście będzie prawda – zauważył Plo Koon.

– Proszę was, mistrzowie – wtrącił Kenobi. – Przejdźmy po prostu do rzeczy, dobrze?

– Dobrze – zgodził się Windu. – Ty i Vos byliście blisko, czy mam rację?

– Można tak powiedzieć – odparła z kamienną twarzą Ventress. – Tworzyliśmy zgrany zespół.

– A więc łączyły was tylko interesy? – indagował Kenobi.

Przewróciła oczami

– Po prostu wyrzucić to z siebie, Kenobi.

Obi-Wan wziął głęboki oddech.

– Dobrze. Czy byliście... kochankami?

Spodziewała się tego pytania, jednak nie zdołała ukryć emocji: jej ostre rysy wykrzywił grymas bólu, a ciało przeszło krótki spazm.

– Tak – potwierdziła cicho. Zgromadzeni wymienili czujne spojrzenia.

Kenobi domyślał się tego już wcześniej. Poczuli ukłucie żalu – współczuli stojącej przed nimi kobiecie. Był czas, gdy sama myśl o tym wydałaby mu się niedorzeczna, ale teraz wiedział, że mówi prawdę.

– Czy przekazywałaś mistrzowi Vosowi wiedzę Sithów? – zapytał Plo Koon.

Asajj przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, zaciskając wargi. Kenobi miał nadzieję, że zaprzeczy, jednak przygotowywał się na najgorsze.

– Nie... Nie do końca.

– Co to ma znaczyć? – wypalił Anakin, jednak umilkł, uciszony gestem Kenobiego.

– Kontynuuj, proszę – poprosił łagodnie Yoda.

Ventress podjęła wątek, patrząc mu prosto w oczy.

– Czasem ogień trzeba zwalczać ogniem. Vos nie był gotowy stawić czoła Dooku. Odpowiednio okiełznana, ciemna strona dałaby mu przewagę, dzięki której zdołalibyśmy wypełnić tę misję. Znałam ryzyko wiążące się z nawet najmniejszym potknięciem...

– Próboweś go nauczyć... „okiełznać” ciemną stronę? – spytał z niedowierzaniem Kenobi. – Świadoma niebezpieczeństwa, na jakie go narażasz?

Ventress zmierzyła go spokojnym, chłodnym wzrokiem.

– To było ważne ryzyko.

– Jednak przesadziłaś, prawda? – domyślił się Mace. – Pozwoliłaś mu dotrzeć zbyt daleko.

Zacisnęła szczęki, a kiedy znów się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała lodowata furia.

– Próbowałam go chronić w jedyny sposób, jaki znałam!

– Prowadząc go za rękę wprost do piekła?

Zacisnęła pięści, z widocznym wysiłkiem powstrzymując się od rzucenia się na Windu. Obi-Wan widział też wyraźnie, że mistrz Jedi nie miałby nic przeciwko pretekstowi do jej zaatakowania. Gdy Ventress znów się odezwała, oddech miała szybki, urywany.

– Chciałabym przypomnieć wam wszystkim, że to wy powierzyliście mu tę misję. To wy go do mnie przysłaliście. Wszyscy zgromadzeni w tym pomieszczeniu znali mnie i wiedzieli, kim jestem, od samego początku, Windu. Nie próbujcie się oszukiwać, nie tylko ja ponoszę winę za to, co się stało.

To była brutalna prawda, niemniej jednak prawda, i Rada doskonale o tym wiedziała. Zapadła niezręczna cisza.

– Czy zależy ci na nim wciąż? – spytał cicho Yoda.

Ventress przyjrzała mu się, jakby wietrzyła spisek, ale wiedziała aż za dobrze, że nie powinna próbować kłamstw w obecności tylu mistrzów Jedi. Nie patrząc żadnemu z nich w oczy, przyznała:

– Tak.

– Dość, by wrócić znów na ścieżkę Sithów? – spytał Kenobi, uprzedzając Windu.

Ventress nie odpowiedziała od razu. Po długim milczeniu podniosła wzrok i spojrzała na Yodę.

– Nie.

Mały mistrz Jedi pokiwał głową.

– Czy dalsze pytania Rada ma? – Nikt się nie odezwał. – Rycerze Jedi Desh i Skywalker, na zewnątrz z Ventress zaczekajcie – poprosił Yoda. – Porozmawiać z Radą sam na sam muszę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ventress zachowała czujność, jednak wyszła z Deshem i Anakinem na korytarz. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Yoda powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

– Skłonna do współpracy była.

– O tyle, o ile może być ktoś jej pokroju – zastrzegł Kenobi.

– Prawdę przed nami wyznała. Kocha Vosa wciąż i do niego nas doprowadzi.

– A gdy go znajdziemy? Co wówczas? – zatroskał się Ki-Adi-Mundi. – Widzieliśmy już na własne oczy, do czego jest zdolny admirał Enigma. Jeśli nie uda nam się go zatrzymać albo jeżeli nam ucieknie, damy galaktyce kolejnego lorda Sithów.

– Jeśli zdołamy do niego dotrzeć, nawrócimy go – stwierdził z mocą Obi-Wan.

– Nie zdołasz wszystkich ocalić, mistrzu Kenobi – zauważył Plo Koon, nie bez życzliwości.

Yoda pokiwał głową.

– Ocalić sami się muszą.

– Zdaję sobie z tego sprawę, mistrzu Yodo – zgodził się Kenobi. – Jednak z twoim przyzwoleniem na misję ratunkową wezmę odpowiedzialność za Vosa na siebie. To ja czuwałem nad przebiegiem pierwotnej misji. I ja dopilnuję jej wypełnienia.

– Nawet gdybyśmy zdołali go odbić, skąd możemy mieć pewność, że można mu zaufać? Został wprowadzony w arkana ciemnej strony przez tę kobietę, a teraz jest pupilkiem Dooku – wskazał Mace. – Te korzenie sięgają głęboko.

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Windu, ale sądzę, że Ventress ma rację. W dużej mierze to my odpowiadamy za to, co spotkało Vosa. Dorastał w Świątyni, więc nie możemy szukać wymówek dla tego, że nie został odpowiednio przygotowany na stawienie czoła podobnym zagrożeniom.

– Które „zagrożenie” masz na myśli, mistrzu Kenobi? – spytał z przekąsem Mace. – Dooku czy Ventress?

– Oba – odparł Obi-Wan. – Ventress jest winna, owszem, podobnie jak Dooku. Jednak to mistrzowie... to my jesteśmy za to odpowiedzialni. Jesteśmy Vosowi winni szansę dokonania powtórnie wyboru. Wyboru, z naszą pomocą, mądrego.

– W takim razie jestem zdania, że Ventress nie powinna brać udziału w tej misji – stwierdził Mace.

Yoda pokręcił w zadumie głową.

– Kluczem do całej sprawy ona jest – oświadczył. – Potrzebna nam będzie. Mistrzu Kenobi, pozwolenie nasze masz na wyruszenie na ratunek Quinlanowi Vosowi. Jednak sam na tę misję nie wyruszysz. Jedi Skywalker i Ventress towarzyszyć ci będą.

– Nie rozumiem, mistrzu Yodo – wtrącił Windu. Jego głos zdradzał poirytowanie. – Z całym szacunkiem dla twojej przenikliwości, sądzę jednak, że musimy się liczyć z konsekwencjami porażki, jeśli się nam nie powiedzie.

– Wierz mi – zapewnił go Kenobi – jestem ich bardziej niż świadom.

W fotelu Yody zaczęło migać niewielkie światełko wbudowanego w niego systemu komunikacyjnego.

– Wiadomość mamy – mruknął mały mistrz Jedi i wcisnął przycisk.

Na środku pokoju pojawił się hologram admirała Wullfa Yularena.

– Mistrzu Yodo – zaczął rzeczowym, dystyngowanym głosem – otrzymaliśmy od wywiadu informacje na temat hrabiego Dooku i admirała Enigmy.

– Sprowadźcie Ventress! – polecił Yoda.

Zgodnie z jego życzeniem Kenobi wezwał do sali Asajj, Anakina i Desha. Ventress zaczęła protestować i spróbowała wyszarpnąć ramię z jego uścisku, jednak uciszył ją gestem.

– Kontynuuj, admirałe – poprosił Yularena Yoda.

– Nasze źródła donoszą, że Enigma przebywa na pokładzie krążownika typu Providence – podjął admirał. – Właśnie badamy pogłoski dotyczące rzekomego spodziewanego ataku okrętu na Taris.

– Ventress – zagadnął z uśmiechem Kenobi, zwracając się do Asajj. – Co powiesz na małą wycieczkę?

Asajj powiodła wzrokiem od Yularena do Yody, a potem spojrzała na Kenobiego.

– Chyba sobie żartujesz.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że wciąż jest dla niego nadzieja.

– Nie wiem – wyznała bez ogródek. Kenobi sprawiał wrażenie zaskoczonego, a Mace Windu zmarszczył czoło i pochylił się naprzód. – Nie było was tam. Nie widzieliście jego twarzy. Nie wiecie, jak trudno jest wrócić z...

– Tobie się to udało – przerwał jej cicho Kenobi.

Milczała, wpatrując się w niego przenikliwym wzrokiem. Czuł, jak wstrząsnęła nią świadomość, że wie, czego dokonała.

– Z trudem – odparła, a w jej głosie nie było już zapalczowości.

– A jednak – nie dawał za wygraną – wiesz, co się z tym wiąże. Możliwe, że jest jeszcze dla niego nadzieja, jednak musimy go powstrzymać, nim zawędruje tą ścieżką za daleko. Niewykluczone, że już jest dla niego za późno.

Ventress rozejrzała się po przyglądających się jej mistrzach, na chwilę zatrzymując wzrok na twarzy każdego z nich. Dostrzegłszy otwartą dezaprobatę Windu, podniosła hardo podbródek.

– Zrobię to... Skąd mam jednak mieć pewność, że po wszystkim mnie nie aresztujecie?

– Cóż... – bąknął Kenobi.

– Ułaskawienie proponuje Rada ci. – Oczy wszystkich zwróciły się ku maleńkiemu mistrzowi Jedi. Uśmiechał się łagodnie, a oczy lśniły mu życzliwie. – Czyste konto Asajj Ventress powinna mieć, jeśli pomoże nam.

Anakin zaszurał nogami.

– To... niezbyt dobry pomysł, mistrzu Yodo – bąknął.

– Niewielka to cena za odzyskanie mistrza Jedi i przywrócenie go światłu.

Ventress wyglądała, jakby nie wierzyła własnym uszom. Szczerze powiedziawszy, Kenobi także nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Po namyśle stwierdził jednak, że to uczciwe rozwiązanie.

– Czy zgadzasz się? – spytał ją Yoda.

Ventress kiwnęła głową.

– Zgadzam. Jednak będziecie mi musieli zaufać.

Anakin oczywiście nie ufał Ventress w najmniejszym stopniu. Kenobi radził sobie nieco lepiej – wierzył, że Ventress nie zrobi nic, co mogłoby ich wszystkich zabić... i wierzył w to, co, jej zdaniem, czuła do Vosa. Oczywiście miało się dopiero okazać, czy Vos odwzajemnia jej uczucia, a jeśli tak, należało coś z tym zrobić. To jednak mogło poczekać do chwili, kiedy sprowadzą mistrza Jedi bezpiecznie do Świątyni.

Anakin wiercił się niespokojnie i Kenobi nie mógł go za to winić. Skywalker w najdzikszych snach nie spodziewał się zapewne, że z własnej woli znajdzie się

w miejscu, w którym obecnie przebywali – w sterowni „Banshee”.

– Jesteś pewna, że system maskujący statku jest sprawny? – spytał z niepokojem Anakin. – Nie chciałbym wyskoczyć z nadprzestrzeni wprost między krążowniki separatystów.

Ventress uśmiechnęła się pod nosem.

– Bardziej być nie mogę. Odrobinę wiary, Skywalker.

– Wiary? – parsknął Anakin. – W ciebie?

– Jestem w tej chwili waszą jedyną szansą, lepiej więc we mnie uwierz. Trzymajcie kciuki, chłopcy. – Wcisnęła przycisk i wyskoczyli z nadprzestrzeni – wprost w sam środek strumienia statków separatystów. Otaczało ich wszystko: od myśliwców, przez fregaty, aż po wielki okręt Dooku.

– A niech mnie – bąknął Anakin.

– Całkiem... nieźle – zawtórował mu Kenobi, jednak nie brzmiało to przekonująco nawet w jego uszach. Wymienili z Anakinem niespokojne spojrzenia, a Ventress przeciągnęła się po kociemu w swoim fotelu. – Cóż, wygląda na to, że nikt nas nie zauważył. Co wy na to?

Anakin znów się skrzywił – a na widok jego miny Asajj uśmiechnęła się tylko szerzej.

– Byłoby miło, gdybyśmy mieli jakiś plan – zauważył Kenobi.

Ventress spoważniała i przestała się drażnić ze Skywalkerem.

– Sądziłam, że plan polega na wyciągnięciu Vosa z tego statku? – Wskazała na wielki krążownik typu Providence, lecącego na czele floty. Zwolniła i pozwoliła, by „Banshee” została nieco w tyle, ostrożnie schodząc z kursu innych statków, na szczęście nieświadomych ich obecności. Obi-Wan widział hangar okrętu – otwarty, jednak bez wątpienia chroniony polem cząsteczkowym, uniemożliwiającym lądowanie i startowanie bez pozwolenia.

– A jak niby masz zamiar to zrobić? – spytał Anakin.

– Współpracowałam kiedyś z separatystami, zapomniałeś już? Mają całe mnóstwo kanałów i kodów przypisanych do różnych sektorów i nazwy okrętu prowadzącego operację. Zważywszy na okoliczności, powinno to być... – Dotknęła kontrolek.

– ...pozwolenie na start – dobiegło z głośnika.

Obi-Wan i Anakin spojrzeli po sobie. Kenobi był pod wrażeniem.

– Kod?

– A-igrek-ef-cztery-siedem-pięć-sześć-dwa.

– Pozwolenie przyznane – oświadczył głos. I gdy jeden z myśliwców opuścił hangar, żeby dołączyć do grupy, Ventress wprowadziła gładko „Banshee” do środka. Posadziła statek dość łagodnie, by towarzyszące temu odgłosy zagłuszył start myśliwca. Wylot z hangaru zamigotał lekko, kiedy przywrócono pole, a światła wewnątrz przygasły, świadcząc o tym, że nie jest on już w centrum zainteresowania kontroli lotów. Ventress przeskanowała szybko okolicę w poszukiwaniu droidów i form życia.

– Droga wolna – oznajmiła i opuściła trap.

– No dobrze – zgodził się niechętnie Anakin – może i nie była to tak do końca... fuszerka. Teraz musimy tylko ustalić, gdzie może być Vos.

– Cóż – stwierdził Kenobi, podnosząc dłoń i niedbale dezaktywując Mocą kamery ochrony – skoro jest rzekomo admirałem, powinien być na mostku.

– A co z Dooku? – spytała Ventress.

Anakinowi stężały rysy.

– Ja się nim zajmę. Może upieczemy dziś dwie pieczenie na jednym ogniu: zabijemy Dooku i odzyskamy Vosa.

– Niech Moc będzie z nami – mruknął Kenobi i wyruszyli na łowy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ventress żałowała, że nie mogą po prostu przemknąć przez statek, niszcząc wszystko, co stanie im na drodze. Jednak choć była zapalczywa, miała też zmysł praktyczny. Dostali się na pokład okrętu ukradkiem, więc ukradkiem musieli też dotrzeć na mostek.

Do tej pory tylko raz zdarzyło jej się wykonywać podobną misję w towarzystwie osób wrażliwych na Moc – gdy wraz z Karis i Naa’leth próbowały zabić Dooku. Musiała przyznać, że zarówno Skywalker, jak i Kenobi byli silniejsi Mocą od jej sióstr. Wspólnie tworzyli potężny zespół. Szkoda, że ich trójka nie mogła sprzymierzyć się z Vosem, by stawić czoło Dooku. Ten nędzny nikczemnik nie miałby z nimi szans.

Vos... Ventress ogarnęła znów fala wątpliwości. Nie mogła całkowicie uniknąć widoku jego twarzy w HoloNecie. Poza tym pamiętała złość jego oczu w więzieniu Dooku. Była też jednak ta krótka chwila – chwila, w której przyznała się do swoich kłamstw i otworzyła się przed nim, zdana na jego osąd – gdy zawahał się, a ona dostrzegła w nim prawdziwego, dawnego Vosa. Rozumiał, jak było jej ciężko – nawet jeśli tylko przelotnie. Czy mogła znów do niego dotrzeć? A może Dooku podporządkował go sobie tak gruntownie, że nie zostało w nim już nic z człowieka, którego kiedyś...

Cóż, jeśli był stracony dla galaktyki, zrobi, co trzeba – i to bez wahania. Tego właśnie chciałby prawdziwy Vos, Jedi. Ventress przypomniała sobie, jak trudno było mu się zmusić do zabicia prostej, nieinteligentnej istoty żywej. Tamten mężczyzna byłby przerażony do szpiku kości na myśl o tym, że Dooku zmusi go do pozbawienia życia tysięcy niewinnych stworzeń.

Miała wrażenie, że ich wędrówka przez pokłady okrętu dłuży się w nieskończoność – przy konieczności ukrywania się przed patrolami droidów i dezaktywowania kamer, nim ktoś ich namierzy.

Zatrzymali się na końcu przejścia.

– Przed nami znajduje się korytarz – poinformowała Ventress. – Jeśli nim pójdziemy, dotrzemy do grodzi prowadzącej na mostek.

– Jesteś tego pewna? – spytał ją Kenobi.

– Spędziłam na pokładzie tego statku całkiem sporo czasu – zapewniła go. –

Mostek ma trzy poziomy. Fotel kapitana znajduje się na najwyższym i jest zwrócony do przodu. Mają tam osiem konsol komputerowych, każda obsługiwana przez droida. Być może na mostku znajdują się też inne droidy.

– W takim razie, powiedzmy, dwanaście – mruknął Anakin. – To żaden problem.

– Gdzie będzie Vos?

– W fotelu kapitana – powiedziała. – Możemy albo się wspiąć po drabince... – Wskazała wąskie szczeble na ścianie. – Albo jechać windą. Drabinka jest bezpieczniejsza. Będziemy mogli namierzyć droidy w korytarzu, zanim one nas dostrzegą. Jeśli pojedziemy windą, będziemy pozbawieni przewagi wynikającej z zaskoczenia.

– Racja – zgodził się Kenobi. – Pójdę przodem. Anakinie, ty ubezpieczaj tyły.

Ventress stłumiła ukłucie irytacji – nawet teraz jej nie ufali.

Kenobi zszedł po drabince szybko i cicho, kilka razy zatrzymując się po drodze, żeby nasłuchiwać i badać okolicę Mocą. Gdy zeskoczył na dół, Ventress i Anakin ruszyli za nim.

Asajj wskazała odległy koniec korytarza.

– To drzwi prowadzące na mostek. Są wyposażone w czujnik ruchu i otwierają się automatycznie. Powinniśmy...

Za ich plecami rozległo się ciche brzęknięcie i drzwi windy otworzyły się. Gdy obrócili się na pięcie, ich oczom ukazał się samotny, sprawiający wrażenie zbitego z tropu droid bojowy, któremu dobrą chwilę zabrało przeanalizowanie sytuacji, nim rzucił do komunikatora:

– Alarm! Intruzi na pokładzie!

– Nie tak szybko! – Obi-Wan rąbnął go w metalowy czerep i robot zatoczył się w tył. Wówczas Kenobi zamknął za nim drzwi windy, zapalił miecz świetlny i przysmażył panel kontrolny. – Chodźmy!

Cała trójka puściła się pędem w głąb korytarza i wpadła jak burza przez drzwi prowadzące na mostek.

Postać zasiadająca w fotelu kapitańskim wstała. Trzymała w dłoni zgaszony miecz świetlny. Na ich widok ściągnęła brwi w grymasie niezadowolenia i warknęła ociekającym nienawiścią głosem:

– Jedi!

– Dooku! – zawołał zaskoczony Kenobi. – Co prawda to nie ciebie szukaliśmy,

jednak skoro już tu jesteś...

W przeciwieństwie do niego, Skywalker nie marnował czasu na słowne gierki. Przyskoczył natychmiast do hrabiego i już za chwilę dwie klingi: czerwona i błękitna, krzeszały o siebie snopy iskier. Droidy rozpoczęły ostrzał i Kenobi bez namysłu zabrał się do odbijania promieni energii, starając się kierować rykoszety ku robotom.

Ventress nie zwracała uwagi ani na Dooku, ani na droidy bojowe. Zamiast tego zeskoczyła na trzeci, najniższy poziom. Przypadłszy do podłogi, wyrzuciła przed siebie ręce i każdą złapała Mocą po jednym droidzie, aby cisnąć je za siebie. Poszybowały w stronę walczących. Dooku obejrzał się na nie i zeskoczył na drugi poziom, a Anakin tuż za nim.

Dwa droidy podeszły tymczasem z dwóch stron niebezpiecznie blisko do Kenobiego, ostrzeliwując go z mechaniczną determinacją. Mistrz Jedi wybił się i przywarł na moment do sufitu, podczas gdy droidy uświadomiły sobie – zbyt późno – że strzelają teraz do siebie nawzajem.

– Nie ma go tu! – krzyknęła przez ramię Ventress do Obi-Wana. Pozbawiła płynnym cięciem głowy droida i Mocą cisnęła kolejnego na gródź. Zostało sześć.

– Wracaj tu i osłaniaj mnie! – zawołał Kenobi, torując sobie drogę do jednej z konsol na pierwszym poziomie. Asajj dała susa i opadła między Kenobim (który przeszukiwał bazy danych statku, próbując znaleźć Vosa) a droidami, które wzięły go na cel. Zaryzykowała spojrzenie na Dooku, walczącego na niższym poziomie z Anakinem. Ścierali się w bliskim zwarciu i nieustannie przemieszczali. Ventress z przelotnym rozbawieniem uświadomiła sobie, że pierwszy raz w życiu kibicuje Skywalkerowi.

Dooku wyciągnął przed siebie dłonie i posłał w przestrzeń między nim a Anakinem błyskawice Mocy. Skywalker podniósł miecz świetlny i przyjął je na klingę, mrużąc oczy w blasku błękitnych wyładowań i iskier. Nie przestając podsycać elektrycznej sieci jedną ręką, Dooku machnął drugą w bok i pozbawiony członków korpus droida uniósł się w powietrze, po czym poszybował w stronę Anakina. Gdy Jedi zeskoczył na trzeci poziom, hrabia podążył za nim.

Widząc, że ich pan chwilowo zniknął, zajęty po drugiej stronie mostka, pozostałe droidy ze zdwojoną zaciekłością ponowiły ostrzał Ventress i Kenobiego. W ich stronę poszybował grad energetycznych promieni. Asajj spokojnie, jakby od niechcienia odbiła część z nich, zmieniając trajektorię innych Mocą. Trzy kolejne

droidy padły na ziemię, wstrząsane drgawkami w ulewie iskier.

– Mam go! – krzyknął Kenobi, starając się przekrzyczeć odgłosy walki. – Nie ma go na mostku, Ventress, bo jest w celi! Wciąż jest więźniem! Czy wiesz, co to oznacza? Nie ma żadnego „admirala Enigmy”! Dooku wykorzystuje Vosa, żeby podkopać morale Jedi!

Ventress zalała falą ulgi i radości tak silna, że niemal ścięła ją z nóg. Przepelniona nową energią, wyrzuciła przed siebie dłoń, schwyciła Mocą protestującego słabo droida i cisnęła nim o pokład.

– Idźcie! – zawołał do nich Anakin, wykonując unik, gdy ostrze miecza Dooku przemknęło tuż nad czubkiem jego głowy, a potem podnosząc własną broń do kontrataku. – Ja się nim zajmę!

– Bezczelny szczeniak! – warknął hrabia, parując cios.

Ventress i Kenobi nie marnowali czasu. Rozprawili się z trzema pozostałymi droidami, posyłając we wszystkie strony mechaniczne szczątki, fragmenty kończyn, czerepów i elementy korpusów. Gdy dotarli do drzwi i wybiegli na korytarz, Ventress poświęciła chwilę, żeby przesyć panel kontrolny mieczem.

– Anakin wciąż tam jest – zaprotestował Kenobi.

– Podobnie jak Dooku – odparła. – A w ten sposób hrabia nie zdoła wezwać kolejnych droidów, żeby zyskać przewagę.

– Racja – skapitulował Kenobi. – Więzienie jest...

– Na poziomie tuż pod nami – dokończyła za niego Ventress. – Chodźmy!

Nagi do pasa Vos zwiślał bezwładnie w lśniących kajdanach. Był zwrócony tyłem do Kenobiego i na widok jego ciała Obi-Wana zdjęło głębokie współczucie. Wyglądało na to, że Dooku postanowił porzucić wymyślne metody zadawania cierpienia na rzecz bardziej przyziemnych. Plecy Vosa znaczyła sieć szram – zarówno starych blizn, jak i świeżych ran, niektóre były pokryte strupami, inne wciąż krwawiły. Jego niegdyś muskularne, szczupłe ciało było wychudzone i blade, jakby Jedi od miesięcy nie oglądał słońca. Sprawiał wrażenie nieprzytomnego.

– Vos! – zawołał Kenobi, przypadając do niego. Jedną ręką przytrzymał zmasakrowany korpus Quinlana, drugą ciął mieczem świetlnym przez okowy. Vos wydał z siebie pełen bólu skowyt, gdy jego ramiona opadły z nienaturalnej pozycji, w której musiały pozostawać od dawna. Obi-Wan opuścił go delikatnie na

podłogę.

– Obi-Wan? To naprawdę ty? – wychrypiał z trudem Vos.

– Tak, to ja, stary druhu.

– Czy Ventress...? – Quinlan rozejrzał się, nieprzytomnie. Na widok tej, której szukał, jego twarz rozświetlił blask. – Asajj! – Krzywiąc się z bólu towarzyszącemu ruchowi, wyciągnął do niej dłoń... jednak Ventress cofnęła się, chowając głowę w ramiona. Jej reakcja przypominała Obi-Wanowi zachowanie spłoszonego zwierzęcia. Vos najwyraźniej też to zauważył. – Śniłem o tobie. Tak bardzo się cieszę, że tu jesteś. Tak bardzo...

– Dasz radę iść? – spytał go rzeczowo Kenobi.

– Tak. Chyba tak... – Z pomocą przyjaciela niezdarnie wstał. Nie spuszczał wzroku z Ventress, jednak na widok jej miny jego uśmiech znikł bez śladu. – Asajj? – Podeszedł do niej, ale cofnęła się o krok, mrużąc oczy. – Tak bardzo mi przykro z powodu tamtego ataku... Musiałem.

Parsknęła kpiąco.

– Wybacz, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Znasz Dooku. – Wydawało się, że nawet mówienie sprawia mu potworny ból. – Nagrywa wszystko. W mojej celi były kamery. Musiałem go przekonać, że przeciągnął mnie na swoją stronę. Ale... Nie zdołałem długo ciągnąć tej farsy. – Ponownie sięgnął ku niej. – Domyślił się, że to wszystko tylko gra, i wtrącił mnie z powrotem do lochu. Przychodzi tu i opowiada mi, czego dokonałem jako jego „admiral”. – Ventress... Ja...

– Przestań! – warknęła. – Kenobi, spóźniliśmy się!

– Co takiego?

– Widziałam wówczas jego oczy, a teraz czuję przepelniającą go furję. Nie może się doczekać, aż skręci nam karki. – Ventress włączyła swój miecz i wyciągnęła przed siebie w oburęcznym chwycie, gotując się do ataku. Zielony blask odbił się we łzach lśniących w jej oczach.

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę, Ventress... – Kenobi sięgnął ku niej za pośrednictwem Mocy, próbując ją uspokoić.

– Asajj, jak możesz tak mówić?! To przecież ja! – Vos położył sobie dłoń na piersi poznaczonej krwawymi szramami. – Wciąż jestem twoim Quinlanem. Nie zmieniłem się, przysięgam na wszystko. Jestem dawnym sobą.

– Takim samym, jak wówczas, kiedy próbowałeś skrócić mnie o głowę mieczem

swojego mistrza?

– Zaraz, co takiego? – Kenobi spojrzał pytająco na przyjaciela, który posłał mu błagalne spojrzenie. Obi-Wan spróbował wyczuć go Mocą, znaleźć w nim to, o czym mówiła Ventress. Jasne, Quinlan był wycieńczony, dezorientowany i obolały – zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie – jednak jedyny mrok, jaki wyczuwał w nim Obi-Wan, był mrokiem rozpacz.

– Nie wyczuwam nic złego, Ventress – poinformował ją spokojnie. – Możliwe, że osąd mącą ci twoje uczucia do niego.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Dzięki nim wyczuwam prawdę! To sztuczka! Jak możesz tego nie widzieć? On aż ziejie nienawiścią! – Ventress spojrzała znów na Vosa, przestępując z nogi na nogę. – Moja więź z ciemną stroną była w najlepszym stopniu słaba, a mimo to tylko z najwyższym trudem zdołałam się wyrwać z jej uścisku. – Przełknęła głośno ślinę. – Vos... Ona... opanowała go.

Moc przeszła fala szoku, gdy Quinlan spojrzał na nią, osłupiały.

– Ventress...

– Zamilcz! – wrzasnęła. – Nie mogę już słuchać twoich kłamstw. Ja... – W jej oczach znów załśniły łzy, a gdy przemówiła ponownie, spomiędzy jej warg wydarł się zbolący szept:

– Wybacz mi. To jedyny sposób, by cię uwolnić. – Z tymi słowy opuściła ostrze miecza świetlnego.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Obi-Wan przyskoczył do niej, przyjmując cios jej ostrza na własną klingę. Odepchnął ją, wykrzykując jej imię, ale było zbyt późno, by przemówić jej do rozsądku. Skoczyła nad nim, lądując tuż przed Vosem, który upadł na kolana i wypchnął ręce przed siebie, żeby odrzucić ją Mocą w tył. Był jednak zbyt osłabiony – tak słaby, że nawet w próbie ocalenia własnego życia odsunął ją zaledwie na kilka kroków. To jednak wystarczyło, by Kenobi zdołał wymierzyć z wysokości kopniak w jej biodro. Zatoczyła się, lecz nie upadła – skręciła ciało w półobrocie i wylądowała na ziemi tuż przed Obi-Wanem.

– Dlaczego tego nie czujesz? – jęknęła. Ból w jej głosie był tak prawdziwy, że Kenobiego przeszły błyskawica litości.

– Ventress, pomyśl przez chwilę! To miejsce jest przesiąknięte energią ciemnej strony! A Vos cierpi!

Nie zatrzymała się jednak ani na chwilę. Była niczym anioł zemsty, bez reszty skupiony na zniszczeniu tego, czym w jej mniemaniu stał się Vos – i przez ulotną sekundę Kenobi zastanawiał się, czy kiedykolwiek jego ofiary postrzegały go w taki sam sposób. Szybko przywołał się do porządku, skupiony bez reszty na próbie powstrzymania Ventress przed zabiciem człowieka, któremu przybyła na pomoc.

– Z drogi! – krzyknął do Vosa. Quinlan posłuchał, wycofując się i przywierając plecami do ściany.

– Nie rozumiesz! – wykrzyknęła Ventress. – Nie było cię tam! – Zawirowała, zamiast Vosa biorąc teraz na cel Obi-Wana. Jej zielone ostrze tańczyło, tkając w powietrzu świetliste wzory tak szybko, że Kenobi tylko z najwyższym trudem odpierał atak.

– Wiesz – bąknął, wsuwając ostrze pod jej klingę i skrętem nadgarstka starając się pozbawić ją równowagi – miałem wrażenie, że łatwiej mi się z tobą walczyło, kiedy próbowałem cię zabić.

Vos opadł tymczasem ciężko na ścianę, zdyszany, z pierśią lśniąca od potu i krwi. Ze swojego miejsca widział, co się dzieje na korytarzu.

– Mamy towarzystwo! – zawołał i już za chwilę Kenobi usłyszał szcęk metalowych stóp.

Tymczasem Ventress zwinnie uchyliła się przed ciosem Kenobiego i skupiła znów na Vosie. W tym momencie Obi-Wan był już nie tylko mocno zaniepokojony jej zaślepieniem i niewytłumaczalną nieufnością wobec Vosa, ale także porządnie zmęczony.

– Ventress, na wszystko, co dobre w tej galaktyce, czy nie moglibyśmy zająć się tym później? – Sięgnął ku niej poprzez Moc, podniósł ją i opuścił na posadzkę korytarza, kilka metrów dalej w kierunku, z którego przyszli. – Uciekaj! – krzyknął.

Podczas ich wcześniejszych spotkań Kenobi niejednokrotnie drażnił się z nią, przypominając jej, jak świetnie wychodzi jej uciekanie – jednak tym razem przez jeden przerażający moment obawiał się, że Ventress postanowi poświęcić ich oboje, byle tylko dopilnować unicestwienia Vosa. Na szczęście w porę zadziałał u niej instynkt przetrwania – z gardłowym pomrukiem frustracji puściła się biegiem w głąb korytarza.

Droidy szybko się zbliżały. Oddawane przez nie strzały odbijały się od gładkich metalowych ścian i rozświetlały korytarz czerwoną poświatą. Kenobi przyciągnął do siebie bezbronny Vosa i podtrzymując go ramieniem, obrócił się, żeby odbijać ogień wroga.

Nagle Ventress zatrzymała się w pół kroku – tak gwałtownie, że Vos i Kenobi niemal na nią wpadli. Ułamek sekundy później tuż przed nimi opadł duży, okrągły fragment sufitu, a w ślad za nim pojawił się Anakin Skywalker. W dłoni trzymał zapalony miecz świetlny. Krawędź metalowego krążka, na którym stał, zarzyła się na pomarańczowo.

– Witaj, Vos – powiedział. – Miło znów cię widzieć.

– Ciebie także, Anakinie – odparł Quinlan, z konsternacją zaglądając w dziurę, którą Skywalker wyciął w suficie. Ścigani strugami blasterowego ognia, we czwórkę ruszyli przed siebie, kierując się do hangaru, jedynej drogi ucieczki.

Przez otwór w suficie na korytarz wysypało się jeszcze więcej droidów – niektóre z nich wylądowały na swoich kolegach, ścigających uciekinierów z celi Vosa. Płatanina metalowych kończyn i korpusów rozbrzmiała oburzonymi „Hej, uważaj!” i „Uch!”, jednak już za chwilę blaszaki przegrupowały się i podjęły pościg oraz ostrzał.

Jedi i Ventress dotarli tymczasem do hangaru i wbiegli pospiesznie po trapie „Banshee”. Vos resztką sił opadł na jeden z foteli w ładowni, zeszywniałymi

palcami próbując zapiąć uprząż. Kenobi pomógł mu się zabezpieczyć, tymczasem Ventress zajęła się uruchomieniem systemów statku.

– No, dalej! – wymamrotała pod nosem i zaklęła: – Szlag. Zmienili kod osłon! Muszę ustalić nowy!

– A teraz zamykają wrota – zauważył ponuro Anakin. Gdy Kenobi oderwał spojrzenie od Vosa, spostrzegł, że Skywalker ma rację.

– Zdołasz nas stąd wyprowadzić? – spytał ją.

– Możliwe – bąknęła – ale wrota zamykają się szybko, a już za chwilę będzie tu jeszcze więcej droidów.

Vos podniósł wzrok.

– Wiem, skąd są sterowane oba systemy – powiedział i zanim Kenobi zdążył go powstrzymać, wypiął się z fotela i ruszył do kontrolki opuszczających trap.

– Nie! – krzyknęła Ventress, zrywając się zza sterów i wpadając do ładowni, gotowa go zatrzymać, jednak Kenobi chwycił ją za ramię. Zaskoczona, spróbowała mu się wyrwać, ale Quinlan zdążył już w tym czasie zeskoczyć na pokład krążownika i zniknąć jej z pola widzenia.

– Pozwoliłeś mu uciec! – wycodziła. – Nie rozumiesz? On już nie wróci!

Zwinęła dłoń w pięść i zamachnęła się do ciosu, jednak Anakin w porę zablokował jej rękę.

– Uspokój się, Ventress – warknął. – Nie możemy być niczego pewni.

– Ale ja jestem pewna! – Dźgnęła go w pierś palcem tak mocno, że Kenobi pomyślał, że zostanie mu siniak. – Wiem, że on jest już stracony! I wiem, że nie da się go nawrócić.

– Hm... Ventress? – Anakin wskazał na iluminator, a gdy odwróciła się, żeby spojrzeć w tę stronę, zobaczyła, że wrota hangaru przestały opadać. Za chwilę zaczęły się mozolnie podnosić.

– Sprawdź kontrolki! – polecił jej Kenobi. – Czy pole jest wyłączone?

Siedziała już w swoim fotelu.

– Droga wolna – potwierdziła, zbita z tropu.

– A oto i Vos – dodał triumfalnie Kenobi, przynaglając przyjaciela gestem. Gdy odwróciła się w ich stronę, na jej twarzy walczyły ze sobą sprzeczne emocje. Tymczasem hangar zahuczał od blasterowych strzałów – napastników było tylu, że wydawało się niemożliwe, by Vos zdołał wyjść z tego cało.

– Szybko! Teraz! – krzyknął, szykując się do skoku na trap. Uderzył w niego

niezdarnie, krzyżąc z bólu, i ostatkiem sił wdrapał się po nim, gdy trap zaczął się podnosić. Ventress nie zaryzykowała kolejnego spojrzenia na Vosa – była zbyt zajęta wyciąganiem ich stąd w jednym kawałku. Opuścili hangar w tym samym momencie, w którym trap został uszczelniony, odprowadzani bębnieniem strzałów z blasterów o rufę.

– Świetna robota, Vos! – pochwalił Quinlana Anakin. – Dobrze jest mieć cię znowu pośród nas.

Vos zaciskał powieki, zgrzytając z bólu zębami. Wysięk sprawił, że niektóre z ran otworzyły się i zaczęły znów krwawić.

– Przypnijcie się! – zawołała do nich ze sterowni Ventress. – To jeszcze nie koniec!

Ostrzegła ich w samą porę. Dooku wysłał za nimi myśliwce. Kenobi przyglądał się im ponuro, rozpoznając sylwetki tri-fighterów, nazwanych tak od trzech płatów uzbrojonych w lekkie działka laserowe. Otaczały żyroskopową sferę, w której zasiadał droid. Ich rdzenie wyposażono w potężne działko laserowe. Pozbawione żywych pilotów tri-fightery były nie tylko sterowane przez zintegrowany mechaniczny mózg, ale także wystrzeliwały torpedy rezonansowe zawierające niewielkie droidy sabotażowe, które przywierały do pokładów wrogich statków, zabierając się natychmiast do ich systematycznego rozmontowywania. Wszystko zależało teraz od umiejętności Ventress.

– Jak szybko zdołasz zabrać nas w nadprzestrzeń? – spytał z napięciem w głosie Anakin.

– Nie dość szybko – rozczarowała go. – Skywalker, chciałabym, żebyś zajął się potrójnym blasterem. Kenobi, do jednego z działek laserowych.

– A co ze mną? – spytał Vos.

– Ty zostajesz.

– Ventress, to bez sensu! Znam ten statek jak własną...

Żołądek Kenobiego fiknął koziołka, gdy Ventress zanurkowała, przemykając nad jednym z tri-fighterów, a potem zawinęła do góry pętlą, wychodząc z niej niebezpiecznie blisko kolejnego.

– Ventress, co ty wyprawiasz? – jęknął Anakin, wpadając do sterowni. – Próbujesz nas zabić?

– Próbuję... czegoś wręcz przeciwnego – wycedziła. Przechyliła statek ostro w lewo, aby za chwilę znów go poderwać. Kenobi doskonale rozumiał jej taktykę

– starała się lecieć nieobliczalnie, bo tylko w ten sposób można było poradzić sobie z droidami pilotami. Spodziewały się, że ich przeciwnik będzie postępował logicznie. Tymczasem obecna taktyka Asajj, polegająca na szarżowaniu prosto na nie...

– Niech cię szlag, Ventress, pozwól mi pomóc! – krzyknął Vos.

Jasne było, że Ventress nie chce, by Vos dotykał czegokolwiek na pokładzie jej statku, jednak Kenobi miał inny pomysł.

– Vos! – zawołał, ostrzeliwując z działka laserowego jeden z wrogich myśliwców. – Rozglądaj się za droidami sabotażowymi! Jeśli zobaczysz, że nadlatują, użyj Mocy, żeby odesłać je z powrotem do ich statków!

– Hej! – wykrzyknął Anakin, kiedy Asajj odwróciła statek do góry nogami i kontynuowała lot w tej pozycji.

– Gotowi? – krzyknęła i w tej samej chwili, w której jeden z droidów zaczął ich zasypywać wiązkami laserowego ognia, Kenobi z ulgą powitał widok gwiazd rozmazujących się za iluminatorami w świetlne smugi: znaleźli się w nadprzestrzeni.

Wszyscy opadli na oparcia foteli.

– A teraz – zaproponował rażno Kenobi, rozpinając uprzęż Vosa i rozglądając się w poszukiwaniu pakietu medycznego – opatrzmy twoje rany.

– Nic mi nie jest – mruknął Quinlan.

– No nie wiem – skwitował Skywalker – a poza tym idę o zakład, że Ventress nie chciałaby, żebyś poplamił jej kanapę.

Zamarł na dźwięk jej nazwiska, a Kenobi łypnął gniewnie na swojego byłego ucznia. Zbyt późno Anakin zorientował się, że popełnił gafę. Mruknął bezgłośnie: „Ups! Przepraszam!”.

Rany Vosa zostały przemyte i opatrzone w niezręcznej ciszy. „Jest ich tak wiele!” – pomyślał smętnie Kenobi, a kiedy Anakin skończył, podszedł do Quinlana.

– Mam zapasowy płaszcz – powiedział, podając mu ubranie. – Weź go.

Vos przyjął go z wdzięcznością, ale potrząsnął głową, gdy Obi-Wan spróbował pomóc mu go założyć. Zbladł lekko, kiedy szorstki materiał otarł się o pokancerowany tors, jednak nie poskarżył się ani słowem. Na chwilę pograżył się w myślach, aż wreszcie wstał i zszedł powoli po drabince do sterowni, zaciskając z bólu szczęki. Kenobi i Anakin patrzyli w ślad za nim, a potem

wymienili zaniepokojone spojrzenia. Siedzieli dość blisko sterowni, by dobrze słyszeć wymianę zdań. Była to ostatnia rzecz, jakiej życzyłby sobie Kenobi.

– Ventress... – zaczął cicho Vos. – Ani przez chwilę nie chciałem... – urwał. Obi-Wan sądził, że na tym się skończy, jednak Quinlan podjął: – Byłem pewien, że zrozumiesz, co robię. Wiesz, jaki jest Dooku. Czy naprawdę sądziłaś, że choć na chwilę spuści mnie z oka? Ani przez sekundę nie chciałem cię skrzywdzić. Musiałem udawać. Powinniśmy...

– Nie ma już „nas”. – Głos Ventress ociekał jadem i Kenobi wyraźnie słyszał w nim cierpienie, które nadawało mu gorzki ton. – Quinlan Vos, którego znałam, nie żyje.

Obi-Wan czuł, jak jej słowa ranią Quinlana, który jęknął:

– Proszę...

Jednak Ventress przerwała mu ostro:

– Trzymaj się z dala ode mnie. Inaczej cię zabiję!

Teraz nawet Anakin się skrzywił. Chwilę później Vos nie bez wysiłku wrócił do ładowni i opadł na swój fotel. Wyglądał, jakby na jego pokiereszowane ramiona opadł ciężar całego bólu galaktyki.

Trójka Jedi siedziała tak przez jakiś czas w niezręcznej ciszy. Anakin i Kenobi nie mogli udawać, że nie słyszeli całej rozmowy, i chociaż Vos był bez wątpienia załamany słowami Ventress, to, koniec końców, Jedi nie mogli sobie pozwolić na przywiązanie. Kenobi liczył na to, że pewnego dnia, być może już wkrótce, Vos będzie wdzięczny Ventress za zakończenie tego, co nie miałoby racji bytu. Mimo to wciąż nie mógł znaleźć słów pocieszenia. Był zaskoczony, gdy padły one z ust Anakina:

– Zmieni zdanie – powiedział łagodnie Skywalker. – My wiemy, że to naprawdę ty do nas wróciłeś.

– Zgadza się – poparł go Kenobi. – Wkrótce to do niej dotrze.

Quinlan podniósł na nich ciemne, udręczone oczy, a potem ukrył twarz w dłoniach.

To była długa podróż do domu.

Rozdział trzydziesty

Desh stał pod Salą Rady Jedi, szczerząc radośnie białe, ostre kły w szerokim uśmiechu.

– Spóźniłeś się – zauważył. – Jak zwykle. – Ventress przyglądała się, jak oczy Vosa rozświetlają ciepłe ogniki, gdy podawał przyjacielowi dłoń. Desh podszedł do niego z zamiarem poklepania go po ramieniu, jednak na widok ran i bandaży zamarł i dodał ze smętną miną: – Ale odpowiednie powitanie przełożymy chyba na później.

– Nie mam nic przeciwko – zapewnił go Vos i obdarzył znużonym uśmiechem.

„Jak to możliwe, że nikt z nich tego nie czuje?” – zachodziła w głowę Ventress. Oczy Vosa były takie jak dawniej, jednak ciemna strona spowijała jego duszę tak, jak płaszcz otulał ciało. Serce łamało jej się za każdym razem, gdy na nowo sprawdzała, czy aby się nie myli, i otwierała się na Moc. Nie okłamała go. Vos – jej Vos – był martwy. Zamordowany przez Dooku... i – nie mogła oszukiwać samej siebie – przez nią. Sądziła, że uczyni go silniejszym, kłamiąc na temat Tholme’a, ale zamiast tego włożyła tylko Dooku do rąk perfekcyjną broń.

Wiedziała także, że Quinlan nie był gotowy na próbę ze Śpiącym. Posunęła się zbyt daleko, nacisnęła za mocno, za szybko. Potrzebował więcej czasu – na szlifowanie władania zarówno ciemną, jak i jasną stroną, na lepsze poznanie punktu harmonii między nimi, tak aby zdołał uczynić to, co trzeba, i nadal pozostał sobą.

Może byłoby lepiej, gdyby zginęli oboje, walcząc ramię w ramię z hrabią, nigdy nie dowiadując się, jakie tortury szykuje dla nich los?

– Ventress? – zagadnął ją Skywalker. Otrząsnęła się z ponurych myśli i ruszyła za nim do Sali Rady. Jej uwadze nie umknęły ani czujne spojrzenia, którymi obrzucili ją mistrzowie, ani fakt, że każdy z obecnych, z wyjątkiem Vosa i Yody, miał przy sobie miecz świetlny.

– Mistrzu Quinlanie Vosie – przemówił Yoda ciepłym, życzliwym głosem. – Cieszymy się, ponownie wśród nas cię widząc.

– Dziękuję, mistrzu Yodo – odparł Vos. – Dobrze jest wrócić.

– Trudne chwile przeszedłeś – zauważył Yoda. – Jednak silny pozostałeś.

– Większość Jedi złamałaby się pod... kuratelą Dooku – stwierdził Mace Windu.

– Mistrz Kenobi i Jedi Skywalker zapewnili nas jednak, że w twoim wypadku tak się nie stało.

Ventress przygryzła wargę – niemal do krwi. Próbowwała ich ostrzec. Jeśli teraz znów wyrazi swoje obawy, nie uwierzą jej. Mogła tylko liczyć na to, że w pewnym momencie Vos się zdradzi. To nie był jej interes ratować Jedi przed ich własną ślepotą.

– Asajj Ventress – zwrócił się do niej Yoda. Podniosła na niego wzrok, wytrzymując spokojnie jego spojrzenie. – Zwróciłaś nam to, co utraciliśmy. Wdzięczni ci jesteśmy.

– W dowód naszego uznania i wdzięczności za pomoc w uratowaniu mistrza Quinlana Vosa – dodał sztywno Windu – Rada postanowiła dotrzymać obietnicy przyznania ci oficjalnego ułaskawienia za wszystkie twoje dawne czyny. Od tego momentu możesz się uważać za kobietę nieobciążoną zbrodniami.

Ventress czuła na sobie wzrok Vosa, nie odwzajemniła jednak spojrzenia. Na dźwięk słów Windu wstrząsnął ją nagły dreszcz – z wielu powodów.

– Dziękuję za waszą... hojność – wykrztusiła głucho. Jej głos brzmiał dziwnie nienaturalnie zarówno w jej uszach, jak i dla zgromadzonych, sądząc po ich minach. Nie obchodziło jej to jednak. W tej chwili chciała tylko stąd wyjść. Znaleźć się daleko – byle dalej od tego potwora o twarzy jej kochanka.

– Niech Moc będzie z tobą – pożegnał ją ciepło Yoda.

Skłoniła się niedbale, odwróciła na pięcie i skierowała w stronę wyjścia – z dala od Jedi, z dala od Vosa.

Gdy mijała czekającego na zewnątrz Desha, mały Jedi zagadnął ją:

– Hej! Wszystko w porządku?

Przystanąła.

– Ze mną? Nie – rzuciła. – A tym bardziej z nim.

Desh patrzył w ślad za nią, zbity z tropu, gdy maszerowała korytarzem, z całej siły powstrzymując się od chęci puszczenia się biegiem. Nie była już przestępczynią, nie musiała uciekać. Skrzywiła się, słysząc za plecami kroki. Źle zrobiła, odzywając się do Mahranina.

– Desh... – warknęła, jednak gdy się odwróciła, słowa uwięzły jej w gardle. To był Vos.

– Proszę – bąknął – wysłuchaj mnie.

Odwróciła się szybko, podejmując przerwany marsz.

– Nie mam ochoty. Nic z tego.

– To zajmie tylko chwilę. – Wyprzedził ją, zastępując jej drogę. Czuła promieniujący od niego ból wywołany ruchem, jednak nie emanował już tym dławiącym mrokiem, co wcześniej. Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Nie było w nich śladu ani tej obrzydliwej żółci, ani krwistej czerwieni – tylko ciepłe, brązowe głębie, w których kiedyś się zatraciła.

Gdy wbrew własnej woli kiwnęła głową, wskazał podbródkiem jedną z pobliskich nisz. Ruszyła do niej za nim. Kiedy tam dotarli, wpatrywał się w nią bez słowa przez długą chwilę, najwyraźniej niezdolny znaleźć słów – teraz, gdy zgodziła się go wysłuchać.

– Tak? – warknęła.

– Tak bardzo mi przykro...

Przewróciła oczami

– Tylko znowu nie zaczynaj. – Spróbowała go wyminąć, ale ją zatrzymał, chwytając za ramię.

– Hej! – zawołał cicho.

Wezbrał w niej lodowaty gniew. Odwróciła się do niego gwałtownie.

– Łapy precz! – wycodziła.

Posłuchał natychmiast, podnosząc ręce w obronnym geście.

– Proszę – bąknął. – B-błagam... Wysłuchaj mnie tylko.

Nie próbowała już go wyminąć, ale i nie patrzyła na niego. Wziął głęboki oddech. Czuła, jak się miota, szukając właściwych słów. To było dla niego bardzo ważne – nie wiedziała jednak, czy dlatego, że jest mu naprawdę przykro, czy może nadal próbuje z nią pogrywać. Na tę myśl jej serce wezbrało bólem.

– Podjąłem złą decyzję – wyznał. – Powinienem być wykorzystać okazję i uciec, gdy po mnie przysłaś. Ale sądziłem, że jeśli zostanę... zdołam wypełnić misję. Nigdy, ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że naprawdę uwierzysz, że uległem Dooku. Gdybym wiedział, że cię przez to utracę, nie ryzykowałbym, to nie było tego warte. Nic nie byłoby tego warte. Mogę tylko mieć nadzieję, że znajdę jakiś sposób, byś mi wybaczyła... tak jak ja wybaczyłem tobie, że mnie okłamałaś.

Cóż, mówił prawdę – czyż nie? Okłamała go – egoistycznie, zimno, z wyrachowaniem. Wiedziała w głębi serca, że mogła sobie wmawiać, co jej się żywnie podoba – że zrobiła to dla dobra misji... jednak to także było kłamstwem.

– Asajj... Wszystko, co przeżyliśmy... Było prawdziwe. Nadal jest. Moje uczucia do ciebie nie zmieniły się ani na jotę.

Serce mimowolnie drgnęło jej w piersi i zaryzykowała ukradkowe spojrzenie na jego twarz. To była prawda. Czowała to w Mocy. Czyżby się myliła?

Jednak wówczas jej wzrok padł na brązowy płaszcz, którym Obi-Wan Kenobi otulił jego poranione ramiona. Widziała, jak Rada Jedi przyjmuje go z powrotem, z otwartymi ramionami. W ich obecności nawet się nie zająknął o swoich uczuciach do niej. Tak więc, koniec końców, nawet jeśli były prawdziwe... nic nie znaczyły.

Wyciągnęła dłoń i pogładziła szorstki, brązowy materiał.

– Ale to nie przystoi Jedi, prawda? Dokonałeś wyboru.

Gdy odchodziła, czuła na sobie jego wzrok. W oczach wezbrały jej łzy, jednak nie oglądała się za siebie.

Anakin zdołał opuścić Świątynię i zjawić się w apartamentach Padmé o godzinie, którą z grubsza można by nazwać przyzwoitą. Powrót Vosa wprowadził wszystkich w dobry humor, a Skywalker cieszył się z ułaskawienia Asajj. Wszedł do salonu, w którym Padmé przygotowywała właśnie lekką kolację, i porwał swoją drobną żonę w ramiona, żeby wycisnąć na jej ustach długiego, namiętneho całusa.

– Anakin! – zawołała, a oczy zalśniły jej radośnie, gdy ostrożnie postawił ją na ziemi. Uśmiechnął się do niej szeroko. Jego imię w jej ustach zawsze brzmiało jak najśłodsza muzyka.

– A spodziewałaś się kogoś innego? – zażartował.

Pchnęła go żartobliwie w pierś.

– Spodziewałam się mojego męża, jednak nie tak wcześnie! Dobrze, że jesteś.

Nalał im po kieliszku wina, a gdy usiedli na kanapie, podzielił się z nią nowinami na temat Vosa, pozwalając sobie nieco ubarwić część dotyczącą misji Quinlana, polegającej na zabiciu Dooku. Był pewien, że jako senator jego żona nie pochwaliby decyzji Rady, więc postanowił zmienić „zabójstwo” na „schwytnie”. Kanclerz Palpatine nie został poinformowany o krokach podjętych przez Jedi – misja była od początku do końca inicjatywą zakonu. Anakin nie był całkowicie pewien, czy to słuszna decyzja. Miał wrażenie, że to nie w porządku ze strony Jedi utrzymywać wszystko w tajemnicy przed kanclerzem, jednak podobnie jak w wielu innych sprawach, nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Padmé

spotkała Vosa kilkakrotnie, ale nie znała go tak dobrze, jak innych znajomych Jedi, więc z zainteresowaniem wysłuchiwała szczegółów – w skupieniu, chłonąc każde słowo z szeroko otwartymi brązowymi oczami. Gdy skończył, westchnęła smutno.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– Ciężka sprawa – odpowiedział, kręcąc głową. – Byłem przeciwny pomysłowi angażowania w to wszystko Ventress, jednak nikt nie pytał mnie o zdanie.

– Ale powiedziałaś, że ani ty, ani Obi-Wan nie wyczuliście w nim mroku. Jak sądzisz, dlaczego Ventress go czuła?

– To oczywiste, że go uwiodła – prychnął. – Ona... taka już jest.

– Skąd wiesz? – Padmé próbowała zachować kamienną twarz, jednak nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Anakin uwielbiał u niej tę psotną minę. Tak rzadko gościła na jej poważnej twarzy... Wsunął jej za ucho niesforny pukiel brązowych włosów.

– Takie chodzą słuchy – powiedział, po czym dodał, nie mogąc się powstrzymać: – Szkoda, że nie widziałaś, jak flirtowała z Obi-Wanem, kiedy walczyli na miecze. – Z jakiegoś powodu jego dobry humor zniknął nagle bez śladu. – Jeżeli Vos przeszedł na ciemną stronę... Jestem pewien, że to z jej winy. Sama przyznała, że chciała uczynić go silniejszym, jednak to zadanie ją przerosło. Vos nie powinien był się z nią w ogóle zadawać.

– Mówiłeś, że wyglądała na naprawdę wytrąconą z równowagi...

– Bo tak było. Pierwszy raz widziałem u niej jakieś emocje inne niż radość płynąca z chęci pozbawiania kogoś części ciała. Ale to bez znaczenia. Jedi nie powinni... eee... – urwał, uświadomiwszy sobie, że brzmi jak hipokryta. Padmé przyglądała mu się z krzywym uśmieszkiem, jednak jej oczy lśniły ciepłym blaskiem. – My jesteśmy inni – dokończył. – My się kochamy.

Pogładziła go drobną dłonią po policzku.

– Zgadza się – przytaknęła. – Może oni również?

– Ventress nie jest zdolna do czegoś tak bezinteresownego jak miłość – parsknął.

– A Vos z pewnością nie zainteresowałaby się morderczynią jej pokroju. Poza tym to ona przeciągnęła go na ciemną stronę.

Padmé wzruszyła ramionami.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzają – stwierdziła. – A może, jeśli ona go kocha, zdoła go wybawić?

Anakin nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Rozdział trzydziesty pierwszy

– Dziś dla Quinlana ważny dzień – zagadnął Desh, doganiając Obi-Wana Kenobiego i Anakina Skywalkera.

– W rzeczy samej – potwierdził Kenobi. – Jednak nie martwię się o niego jakoś specjalnie. Vos świetnie sobie radził podczas drobnych zadań, które przydzielala mu Rada. Jestem pewien, że mistrzowie uznają, że jest gotów podjąć się ważniejszych.

Desh kiwnął głową, choć nie wyglądał na w pełni przekonanego.

– Czy coś cię trapi, Jedi Akarze? – spytał go Kenobi.

Mahranin zawahał się, ale w końcu wyznał:

– Kiedy Ventress wychodziła... Wydawała się przekonana, że z mistrzem Vosem jest coś nie tak. Ja zaś odnoszę wrażenie, że Quinlan mnie unika.

Obi-Wan westchnął.

– Jakoś mnie nie dziwi, że Vos unika osób, z którymi był szczególnie blisko, zwłaszcza teraz, gdy uświadomił sobie, jak niebezpieczne mogą być zbyt silne więzi. Jestem pewien, że to nie z twojej winy. Co się zaś tyczy Ventress... ona i Vos byli... eee... zaangażowani. Sądzę, że jest rozczarowana, że wybrał Jedi, a nie ją. Upierała się, że Dooku przeciągnął go na swoją stronę, jednak nikt – ani ja, ani Anakin, ani żaden z członków Rady – nie dostrzegł ani nie wyczuł w nim nic, co mogłoby sugerować, że Ventress ma rację. Jej osąd mąciły uczucia, to wszystko.

– Albo po prostu kłamała – wtrącił Anakin. – To znaczy, hej! Mówimy o Asajj Ventress!

– Wolałbym nie osądzać jej zbyt pochopnie – zastrzegł Obi-Wan.

– Jak zawsze ostrożny – podsumował Desh, lecz wydawał się już nieco spokojniejszy. – Cóż, brakuje mi wznoszonych z Vosem toastów i wspomnienia dawnych czasów, jednak to mała cena za odzyskanie go całego i zdrowego.

– Anakinie, możecie poczekać z Deshem na zewnątrz, jeśli zechcecie – powiedział Obi-Wan. – Sądzę, że tym razem posiedzenie Rady nie potrwa zbyt długo.

Chociaż Kenobi delikatnie zganił Desha za jego sympatię do Vosa, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że on sam także nie jest bez winy. Trudno było nie

lubić Quinlana, nawet wówczas, gdy miało się go ochotę udusić. Powtórzył sobie w duchu, że to samo zrobiłby dla każdego innego Jedi.

– Mistrzu Kenobi – przywitał go Yoda. – Miły obowiązek do wypełnienia mamy. O mistrzu Vosie opowiedzieć nam zechciej, proszę.

– Z przyjemnością, mistrzu Yodo – odparł Obi-Wan. – Wysłałem ci wszystkie raporty 2-1B na temat stanu fizycznego Vosa. Zostaną mu blizny, jednak w ciągu ostatniego miesiąca rany się wygoiły.

– A poza tym? – spytał Plo Koon. – Nie był pierwszą ofiarą Dooku. Były mistrz Jedi zna nasze słabości lepiej niż jakikolwiek inny wróg.

– W twoich słowach jest wiele racji – zgodził się Kenobi. – Vos odniósł także... rany w sensie duchowym. To właśnie dlatego spędziłem w jego towarzystwie tyle czasu i zostałem wyznaczony do śledzenia postępów tej misji. Wątpię jednak, czy którykolwiek z nas mógłby powiedzieć coś innego, gdybyśmy to my trafili do więzienia Dooku. Nie zauważyłem nic, co kazałoby mi sądzić, że Quinlan Vos nie zdołał się oprzeć pokusie ciemnej strony, o ile rzeczywiście wstąpił na jej ścieżkę.

– W tej kwestii opieramy się na zapewnieniach Asajj Ventress – zauważył Mace Windu. – To ona twierdzi, że do tego doszło.

Kenobi wahał się przez chwilę. Vos nigdy nie rozmawiał z nim o Ventress, chyba że Obi-Wan sam go o nią zapytał. Ciężko było mu wysuwać wątpliwości, podczas gdy nikt nie wiedział tego, co on, jednak miał też wrażenie, że tylko absolutna szczerłość może przywrócić Vosowi jego dawną reputację. Powiedział więc Windu to samo, co Deshowi zaledwie parę minut wcześniej – że przypuszcza, że mistrza Jedi i była uczennicę Sitha coś łączyło, choć jasne jest, że ponad nią Quinlan przedłożył zakon, a ona mylnie uznała jego odtrącenie za oddanie się mrokowi.

Gdy mówił, większość mistrzów mu przytakiwała, jednak Windu nasrożył czoło.

– Asajj Ventress nie jest dobrym obiektem do lokowania uczuć – stwierdził. – Czy możemy mieć pewność, że nie wydała go po prostu Dooku?

– Vos temu przeczy – zapewnił go Kenobi. – Podczas ich wspólnego ataku na hrabiego byli zmuszeni walczyć zarówno z nim, jak i z Grievousem, a także z droidami. Koniec końców, wróg przytłoczył ich po prostu liczebnie. Chciałbym przypomnieć Radzie, że Ventress zorganizowała nawet misję ratunkową, jednak nie udało jej się odbić Vosa.

– Bo nie chciał z nią pójść – skwitował Mace.

– Mistrz Vos kilkakrotnie wyjaśniał, co się wydarzyło – odparł Kenobi. – Niczego nie ukrywa. Potknął się, owszem, ale nie upadł.

– Wyboru dokonał i mądrze wybrał – orzekł Yoda. – Chociaż niełatwy wybór to był. Cieszy mnie to, co słyszę.

Inni powtórzyli słowa Yody – wszyscy z wyjątkiem Windu, który stwierdził:

– Wolałbym dać mu kolejny miesiąc, tak dla pewności.

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Windu – zaprotestował Obi-Wan – ale Vos znalazł się w bardzo niezwykłym położeniu. Przez jakiś czas udawało mu się wmawiać Dooku, że jest po jego stronie, że jest godzien jego zaufania. Dowiedział się tak wiele... I przekazał nam całą zdobytą wiedzę. Dzięki niemu możemy wykorzystać ją podczas opracowywania strategii.

– Zgoda, mimo to Vos nie jest w tej chwili potrzebny w terenie.

– Jeśli jednak tam się znajdzie, zdoła zareagować natychmiast dzięki informacjom, których my nie posiadamy – zauważyła Shaak Ti. – Osobiście jestem zdania, że można mu powierzyć trudną misję.

Windu nie wyglądał na przekonanego, jednak skłonił głowę.

– Poddam się woli Rady. Poślijcie po niego.

Kilka chwil później przed Radą Jedi stanął mistrz Quinlan Vos. Kenobi przypomniał sobie, jak kiffarski Jedi wyglądał zaledwie parę tygodni temu: wychudzony, blady, poraniony, zdruzgotany. Teraz jego cera odzyskała zdrowy kolor, on sam zaś poruszał się bez bólu. Wyglądał jak ten sam mistrz Jedi, którym był dawniej. „Być może – zadumał się Kenobi – wszystkie te przejścia w jakiś osobliwy sposób okazały się konieczne do stłumienia momentami aż nadto żywiołowego temperamentu Vosa?”

– Dobrze sprawiłeś się, mistrzu Vosie – pochwalił Quinlana Yoda.

– Dziękuję, mistrzu Yodo – odparł Vos, kłaniając się w pas. – Chciałbym, byście wszyscy wiedzieli, że rozumiem, dlaczego z wahaniem podchodziliście do kwestii przywrócenia mnie do misji w terenie. Postąpiłbym tak samo wobec każdego, kto spędziłby długie miesiące pod czułą opieką hrabiego Dooku.

– Zadowoleni jesteście – powtórzył Yoda. – I zadanie dla ciebie mamy.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Vos.

Mace Windu wcisnął przycisk w swoim fotelu i na środku komnaty pojawił się hologram przedstawiający asteroidę.

– Otrzymaliśmy informację na temat lokalizacji bazy zaopatrzeniowej

separatystów.

Vos spróbował nie okazać rozczarowania – z marnym skutkiem.

– Oczywiście. Jak Rada sobie życzy...

– To nie jest błahostka, mistrzu Vos – zastrzegł Ki-Adi-Mundi. – Baza jest duża i ukryta we wnętrzu tej asteroidy. Nasz wywiad twierdzi, że są w niej magazynowane leki, broń, części do naprawy statków i żywność. Zdobylibyśmy kluczowe zaopatrzenie dla najbardziej potrzebujących światów, o ile zdołalibyśmy ją zająć.

– I odebrać je separatystom – dopowiedział Mace. – Czy Dooku wspominał ci coś na jej temat, Vos?

Quinlan zamyślił się na chwilę.

– Pewnego razu napomknął coś o jakiejś bazie zaopatrzeniowej, jednak sądziłem, że mówi o planecie. Może Tooli?

– Jesteśmy przekonani, że znajduje się właśnie tu – zapewnił go Windu.

– A ja jestem pewien, że istnieje więcej niż jedna taka baza – stwierdził Vos.

– Mistrzu Kenobi, mistrzu Vosie – podsumował Windu – zostaliście wyznaczeni do wypełnienia tej misji. Weźcie ze sobą dwóch innych Jedi i tyle klonów, ile uznacie za konieczne do transportu zaopatrzenia. Wygląda na to, że nie powinniście napotkać zbyt dużego oporu. Sądzę, że Dooku liczył na to, że baza pozostanie nieodkryta dzięki jej lokalizacji, jednak powinniście też być przygotowani na walkę, na wypadek gdyby placówka została wyposażona w tajne systemy obronne.

– Rozumiem – potwierdził Kenobi. – Za pozwoleniem Rady, chciałbym zabrać na misję Jedi Skywalkera i Jedi Akar-Deshu.

– Oczywiście – zgodził się Windu, po czym zwrócił się do ich obu, Kenobiego i Vosa, jednak Obi-Wan zauważył, że zatrzymał wzrok na Quinlanie: – Panowie, to zaopatrzenie mogłoby nam pomóc ocalić tysiące istnień. To nie jest okazja do wykazania się bohaterstwem, ale misja o dużym znaczeniu. Niech Moc będzie z wami.

– Już rozumiem, dlaczego Dooku sądził, że nikt nie odkryje tej bazy – mruknął Anakin. – Wygląda po prostu jak wielgachny kawał skały.

– Owszem, tym w zasadzie są asteroidy – zgodził się Desh. Wraz z Anakinem, Kenobim i Vosem kierowali się, siedząc za sterami swoich myśliwców przechwytyjących Eta-2 Actis, ku asteroidzie. Zawartość pewnych substancji w jej

składzie uniemożliwiła czujnikom wykrycie, czy coś – lub ktoś – kryje się w jej wnętrzu, konieczne było więc dokonanie inspekcji wizualnej.

– W porządku. Wszyscy gotowi na pierwszą rundę? – spytał Kenobi.

– Do dzieła! – zawołał Vos, najwyraźniej nie posiadając się z radości, że może wreszcie – jak wspomniał Kenobiemu – „wyrwać się z klatki”.

– Jestem bardziej niż gotów – potwierdził Desh.

I właśnie w tym momencie z wnętrza asteroidy wyroiło się pół tuzina myśliwców.

– Hm, spójrzcie na to – mruknął Anakin. – Chyba trafiliśmy pod właściwy adres.

– Przewyższają nas liczebnie prawie dwa do jednego – oszacował z grubszą Desh. – To będzie łatwizna.

Anakin nie próżnował: zawinął nad jednym z myśliwców, trafiając go podczas przelotu. Uszkodzony statek zaczął opadać spiralnie w dół, a potem eksplodował. Kenobi pruł przed siebie zakosami, z dwiema wrogimi maszynami na ogonie.

– Mam je – poinformował go Vos, puszczając się za nimi w pogoń. Obi-Wan poderwał swój statek, wprowadzając go w pętlę i strzelając w pozycji do góry nogami. Salwa trafiła prosto do celu, podczas gdy Vos rozprawił się z drugim napastnikiem.

– Trzy z głowy, trzy do zdjęcia! – zawołał Anakin. – Patrzcie na to!

– Anakinie... – zaczął Kenobi, ale szybko dał sobie spokój. – Po co w ogóle strzępię sobie język? – mruknął do siebie.

Anakin przemknął nad dwoma z myśliwców, strzelając do każdego, a potem przeleciał pod trzecim, zasypując go ogniem z działek. Niczym anooby, które wypatrzyły jakraba, trzy maszyny rzuciły się za nim w pościg. Kenobi, Vos i Desh wycofali się na pozycje nieco z tyłu i zdjeli wszystkie wrogie jednostki, jedną po drugiej.

– Nawet nie zdążyłem się rozkręcić – poskarżył się Anakin.

– Ciesz się, że było ich tylko sześć, a nie tuzin więcej – uciął jego lamenty Quinlan.

– Mistrzu Vosie? Rozczarowujesz mnie – oświadczył Skywalker. – Jesteś równie nudny, co mistrz Kenobi.

– Hola, hola, bez przesady! – zaprotestował Obi-Wan, uśmiechając się jednak pod nosem. – Sądzę, że jesteśmy bezpieczni. Ustawmy się w szyku i przelećmy nad tą skałą, powoli i ostrożnie.

Ku jego lekkiemu zaskoczeniu, posłuchali go bez szemrania. Wkrótce w jednej z zacienionych niecek dostrzegł wejście do bazy. Było dość duże, by zmieścić się w nim średniej wielkości transportowiec, więc jednoosobowe myśliwce przechwytyjące nie miały najmniejszego problemu z wleceniem do środka. Tunel, w którym się znaleźli, był długi i kręty, jednak za jednym z zakrętów rozszerzał się, tworząc rozległą jaskinię. Nagle pomieszczenie rozblęzło gwałtownym blaskiem. Kenobi domyślił się, że musieli przelecieć przez pole ochronne, co nasuwało logiczny wniosek, że wewnątrz działały systemy podtrzymywania życia. Światło oświetlało liczne skrzynie wypełnione towarami, odbijając się od lśniących metalicznych krzywizn części zamiennych do statków.

Anakin aż gwizdnął.

– No, no... Wygląda na to, że informacje wywiadu mistrza Windu były prawdziwe. Jeden zero dla niego, mistrzu Vos.

– Z radością godzę się z porażką – odparł Quinlan. – Spójrzcie tylko na to!

– Będziemy musieli wezwać posiłki do transportu, jednak sądzę, że to problem z rodzaju tych mile widzianych – skwitował Kenobi.

Sprowadzili statki na sporych rozmiarów platformę lądowniczą, zdolną spokojnie pomieścić trzy transportowce, które przyleciały tu wraz z nimi – a w razie potrzeby parę więcej – po czym czwórka Jedi wyskoczyła zza sterów swoich maszyn i poświęciła chwilę, by rozejrzeć się po wnętrzu.

– Te zapasy pomogą całemu mnóstwu istot – ucieszył się Vos.

– A do tego – dodał Desh – sprawią, że Dooku zazgrzyta zębami, kiedy rozejdą się wieści, że położyliśmy na nich łapy.

– Dostyc poklepywania się po plecach – uciął pogaduszki Kenobi. – Bierzmy się do roboty.

Rozdział trzydziesty drugi

Desh wrócił do lekkiego krążownika Jedi, by poinformować klony, że mogą wprowadzić transportowce do środka. Kenobi, Vos i Anakin rozejrzeli się dookoła, a potem popatrzyli po sobie.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – mruknął Skywalker.

Kenobi pogładził brodę.

– To dość... przytłaczający widok. Na szczęście katalogowanie ani rozprowadzanie tych dóbr to nie nasza broszka. Musimy tylko dopilnować, żeby klony załadowały wszystko na pokłady statków.

– Jeśli to nie problem – wtrącił Vos – zostawiłbym to zadanie wam dwóm. Chciałbym się tu nieco rozejrzeć. Mam dziwne przeczucie, że jest tu coś cenniejszego niż żywność, kilka blasterów i części zamiennych.

– Coś, co Dooku chciał tu ukryć? – domyślił się Skywalker.

– Jakbyś zgadł.

– A ty z pewnością rozpoznasz coś takiego, jeśli to zobaczysz. – Kenobi kiwnął z uznaniem głową. – W takim razie pozostaje mi tylko życzyć ci udanych łowów.

– Zrobię mały rekonesans i zaraz wracam – obiecał Vos. – Dam wam znać, jak głęboko ciągnie się ta jaskinia.

– Przyznaj się, chcesz po prostu, żebyśmy odwalili za ciebie brudną robotę? – zażartował Skywalker.

– Jesteś dziś wyjątkowo błyskotliwy, Anakinie. – Vos wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kenobi przyglądał się, jak Quinlan zatrzymuje się na chwilę i rozgląda, a potem przeciska między spiętrzonymi skrzyniami i sprzętem, kierując się w głąb jaskini.

– Co teraz? – spytał Anakin.

– Będziemy nosić skrzynie.

– Bałem się, że to powiesz.

Zabrali się do pracy. Vos zameldował się jakiś czas później, informując ich, że przeszukał jakiś kilometr jaskini i nie zanosilo się na to, by choćby zbliżył się do jej granic. Wkrótce wrócił Desh, prowadząc trzy transportowce. Z pierwszego wysiadł komandor Cody, dowodzący oddziałami klonów podległych Kenobiemu.

– Obawiam się, że to nie będzie tak ekscytujące jak walka, komandorze –

uprzedził go Obi-Wan.

– Może i tak, sir, ale sądzę, że podołamy i mniej ekscytującym zadaniom, jeśli tylko dzięki nim zdołamy ocalić więcej istot – skwitował Cody. – Dalej, chłopcy. Bierzmy się do pracy. Jak głęboko ciągnie się ta jaskinia, sir?

– Mistrz Vos twierdzi, że jeszcze co najmniej tysiąc metrów.

Rex, kapitan służący pod rozkazami Skywalkera, gwizdnął pod nosem.

– W takim razie to zadanie w sam raz dla nas.

– Pomożemy wam z większymi ciężarami – zaproponował Kenobi i wskazał na stojące w pobliżu działo pokładowe, a potem zamknął oczy i skupił się, szukając sygnatury broni w Mocy. Gdy ją znalazł, wyobraził sobie, jak działo podnosi się w powietrze, jakby zupełnie nic nie ważyło. Wyciągnął przed siebie ręce i zwrócił dłonie wewnętrzną stroną do góry. Kiedy otworzył oczy, działo wisiało w powietrzu. Uśmiechając się pod nosem, machnął prawą ręką, wprowadzając broń do ładowni transportowca.

– Hm, sir? – rzucił Cody. – Mam wrażenie, że możemy zrobić sobie fajrant i pozwolić, żeby Jedi wszystkim się za nas zajęli.

– Nie sądzę – skwitował Desh. – Wiele rąk czyni pracę lżejszą.

– Ale ręce Jedi czynią ją lekką jak piórko! – zażartował kolejny z klonów, Jesse, wywołując salwy gromkiego śmiechu pośród reszty żołnierzy, którzy szybko zabrali się do pracy, pomagając Cody'emu nosić skrzynie na pokład.

Komunikator Obi-Wana zapikał.

– Vos? Jak tam? Znalazłeś coś przy...

– Kenobi! – wszedł mu w słowo Quinlan. W jego głosie słyhać było wyczuwalne napięcie. – Każ ludziom wracać na statki i zabierajcie się stąd jak najszybciej. Wy też! Natychmiast!

– Co się dzieje? – Kenobi był spokojny, ale czujny.

– Bomby! – zameldował Vos. – Zaminowali jaskinię!

– Vos? – wtrącił Desh. – Jak dużo jest tych ładunków? Czy jest jakaś szansa, żebyśmy zdołali je rozbroić?

– Zaprzeczam – padła odpowiedź. – Namierzyłem co najmniej sześć. Wszystkie mają zegary ustawione na eksplozję za trzy minuty. Uciekajcie! Szybko!

– Jak to możliwe? – jęknął Anakin. – Przecież nie wiedzieli, że przylecimy!

– Najwyraźniej droidy uzbroiły je tuż przed atakiem – domyślił się Kenobi. – Może uznały, że rozprawią się z zagrożeniem, a potem rozbroją je po powrocie?

– A gdyby nie wróciły – odgadł ponuro Desh – ładunki dopilnują, żeby zaopatrzenie nie wpadło w ręce wroga.

– O to będziemy się martwić później! – zawołał Vos. – Teraz musicie się zabierać z tej cholernej asteroidy!

Na znak Kenobiego Cody zaczął pokrzykiwać na swoich ludzi, którzy popędzili do transportowców i zaczęli pospiesznie wracać na pokład. Pierwszy ze statków, zaparkowany najbliżej wylotu, podniósł trap i wystartował, kierując się ku wylotowi tunelu i bezpiecznej przestrzeni kosmicznej.

– W porządku. Jeden... nie, dwa transportowce już odleciały – poinformował Kenobi Vosa, pod adresem Desha i Anakina dodał zaś: – Do myśliwców.

– Ale... – zaczął protestować Desh.

– To rozkaz, Jedi Akarze! – wszedł mu ostro w słowo Obi-Wan. – Ty także, Anakinie. Szybko!

Dwójka Jedi posłusznie zaczęła biec w stronę myśliwców, oglądając się z niepokojem przez ramię na Obi-Wana. Ostatni z transportowców wystartował i zniknął w tunelu prowadzącym na zewnątrz.

– Ty też, Kenobi – rzucił twardo Vos.

– Znikam stąd... – zapewnił go Obi-Wan – ...jak tylko tu dotrzesz.

– Niech cię szlag, Kenobi! Masz tylko minutę!

– W takim razie chyba powinienes się pospieszyć?

– Obi-Wanie...

– Przestań gadać i zacznij przebierać nogami! – Kenobi wskoczył do kokpitu swojego myśliwca, przygotował systemy do błyskawicznego startu i czekał. Sekundy mijały. Pięćdziesiąt... czterdzieści... trzydzieści pięć...

Znad sterty skrzyń opatrzonych symbolami amunicji wyprysnęła sylwetka Quinlana Vosa. Na jej widok Kenobiego zalała fala obezwładniającej ulgi. Pod dotykiem jego palców kontrolki poderwały myśliwiec w górę. Gdy się obejrzał, zobaczył, że maszyna Vosa startuje tuż za nim.

...dwadzieścia dwie...

Z maksymalną prędkością pokonywali ostre zakręty tunelu. Kenobi zestroił się z Mocą, wyczuwając za jej pośrednictwem krzywizny ścian i drogę przed nimi, a potem idealnie dostosował do nich ruch swojego statku. Vos wystrzelił z tunelu tuż za nim, wyprzedzany przez niego zaledwie o długość interceptora. Nie zwolnili – lecieli nadal z pełną prędkością, starając się maksymalnie zwiększyć dystans

dzielący ich od asteroidy, nim...

Kenobi zmrużył oczy, gdy z tunelu wystrzeliła żółtopomarańczowa chmura, pogrążając w powodzi ostrych cieni wnętrze jego kokpitu. Kiedy odzyskał wzrok, dotarło do niego, że asteroida wciąż jest nietknięta – jedynie przesłonięta przez chmurę czarnego dymu wypływającą z jej ujścia. I chociaż cieszył się, że nikt nie zginął wskutek katastrofy, widok sprawił, że serce ścisnęło mu się z bólu. Całe to zaopatrzenie... żywność, broń, sprzęt medyczny – wszystko poszło z dymem. I to dosłownie. A może...?

– Jedi Akarze? – rzucił do komunikatora. – Chciałbym, żebyś zostawił tu jeden z transportowców i nadzorował akcję załadunku szczątków, które uda się odzyskać. Ponieważ eksplozja nie zniszczyła doszczętnie asteroidy, całkiem możliwe, że w jaskini jest jeszcze sporo zapasów, które mogą się do czegoś nadawać.

– Tak jest, mistrzu Kenobi – potwierdził przyjęcie rozkazu Desh, chociaż Obi-Wan słyszał w głosie Mahranina nutę rezygnacji. – Miejmy nadzieję, że zostało tam coś przydatnego.

– Właśnie – zgodził się Kenobi. – Vos? Anakinie? Wracajmy na Coruscant.

Ventress siedziała w barze w pantorańskiej dzielnicy portowej, kołysząc w dłoni na wpół opróżnioną szklankę. Od chwili, gdy tu weszła – do tego samego baru, w którym rozpoczęła się jej współpraca z Vosem – wiedziała, że to zły pomysł. Teraz mogła tylko mieć do siebie pretensje za poddanie się temu głupiemu impulsowi. Z jakiegoś niejasnego powodu uznała, że ponowne zajrzenie tu pozbawi tamto wydarzenie władzy nad nią i sprawi, że to miejsce stanie się po prostu kolejnym zwykłym barem. Jak bardzo się myliła... Teraz jednak było za późno – a skoro już tu trafiła, uznała, że może przynajmniej spróbować utopić swój ból w gęstym, gorzkim trunku, później zaś odespać... gdzie bądź.

Wychyliła do końca zawartość szklanki i poprosiła barmana gestem o dolewkę. Nagle zeszywniała. Z pewnością nie z powodu zwykłego wspomnienia czuła się, jakby...

– Ventress?

Zacisnęła wargi.

– A więc teraz mnie śledzisz?

Usiadł naprzeciwko niej. Wyglądał na bardziej przygnębionego niż

kiedykolwiek wcześniej – i nie było mu z tym do twarzy.

– Chyba przyszedłem tu z tego samego powodu, co ty.

Roześmiała się bez krzty radości.

– Próbujesz usunąć mnie ze wspomnień?

– Nie. – Mówił cicho, a w jego głosie nie było słycać tej desperacji i błagalnego tonu, którym przemawiał do niej wcześniej. Czekał, jakby spodziewał się, że znów odprawi go z kwitkiem, jednak była już tym wszystkim zbyt zmęczona, by ponownie próbować z nim walczyć. Vos przywołał gestem barmana.

– To samo, co ona.

– Nie posmakuje ci – ostrzegła go.

Gdy barman postawił przed nim szklankę i butelkę, Vos nalał sobie, wychylił... i natychmiast się rozkaszał.

– Cóż, jedno trzeba ci przyznać – wycharczał przez łyżę – znowu masz rację. – Kaszel zmienił się w zduszony śmiech i przez chwilę Ventress znów widziała w nim Vosa, którego znała – i na którym tak jej zależało.

– Zawsze mam rację – stwierdziła. Dlaczego uśmiechała się do swojej szklanki?

– Nie zawsze – zaprotestował.

Zamarła, nagle uświadamiając sobie, że nie wyczuwa już u niego piętna ciemnej strony. Dlaczego?

„Nie mogę mu ufać – powtórzyła sobie w myśli. – Nie mogę ufać temu...”.

– Nie zawsze – potwierdziła. – Ale miałam rację co do ciebie. Prawda? – Spojrzała mu prosto w oczy, sondując jego uczucia poprzez Moc. Wciąż był w nim mrok, jednak... inny. Bardziej... ludzki. Wyczuwała to, czego mogłaby się spodziewać u każdego, kto był torturowany – emocjonalnie i fizycznie.

Czego mogłaby się spodziewać po każdym, kto miał złamane serce.

Vos nie odpowiedział od razu. Zmarszczył czoło i wbił wzrok w pustą szklankę, obracając ją w palcach, a gdy w końcu się odezwał, nie patrzył na Ventress:

– Tak. Miałaś.

Odsunęła krzesło i wstała.

– W takim razie nic tu po mnie.

Spojrzał na nią.

– Skoro tak mówisz.

– Czujesz się już lepiej, jak sądzę?

– Nie. – Mówił prawdę, czuła to. – Kiedy po mnie wróciłaś... To było tuż po

tym, jak odczytałem miecz świetlny Tholme'a – wyznał.

– Tuż po tym, jak doświadczyłeś jego śmierci z moich rąk – powiedziała bez ogródek.

Kiwnął głową.

– Nie byłem sobą. Głodowałem, byłem bity, pozbawiony snu, naszprycowany substancjami, które... Asajj, byłaś moją kotwicą. Myśli o tobie trzymały mnie przy zdrowych zmysłach. Kiedy jednak poczułem, jak Tholme... – Nie był w stanie dokończyć. – Po tym wszystkim byłem pewien, że wszystko, co nas łączyło, było kłamstwem. Dlatego, owszem, dopuściłem do siebie ciemną stronę. I właśnie to widziałaś wówczas w moich oczach.

Zapatrzył się znów w szklanę. Ventress powoli opadła na swoje krzesło. Czekala.

– Przez chwilę, przyznaję, rzeczywiście pomagałem Dooku. Ale w pewnym momencie zacząłem rozumieć, jak musiałaś się czuć jako jego uczennica po tych wszystkich lekcjach, których ci udzielił. Próbował uczyć mnie tego samego. Jednak ty postanowiłaś, że nie będziesz jak on. A ja... nie byłem już na ciebie zły.

– Tak po prostu? – parsknęła. – Zobaczyłeś... nie, poczułeś, jak patroszę człowieka, który mi się poddał... Jedi, który był twoim ukochanym mistrzem, i nagle wszystko wróciło do normy?

Pokręcił głową.

– Nie, nie nagle. Ale... tak się stało. To pomogło mi wytrwać w postanowieniu, że już nigdy nie poddam się ciemności. Chciałem tego, co mieliśmy. Pragnąłem tego, co miało nam być dane. Razem. Czekala nas przyszłość...

– Czas przeszły ma tu kluczowe znaczenie – stwierdziła cierpko. Czuła znów palący gniew i ból.

– Wciąż możemy ją mieć.

Teraz to ona pokręciła głową. Napełniła swoją szklanę i wypila duszkiem, pozwalając, by alkohol podsycał płomień trawiących ją emocji.

– To niemożliwe. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Wybaczyłem ci. To, że zabiłaś Tholme'a... i że mnie okłamałaś. I ty także pewnego dnia mi wybaczysz, Asajj Ventress. – Zawahał się, a potem wziął głęboki oddech. – Właśnie to robi się dla tych... których się kocha.

Nie kłamał. Ventress czuła to poprzez Moc. Quinlan Vos ją kochał – prawdziwie, głęboko. Przytłoczyła ją lawina bólu i radości. Przez chwilę była tak wstrząśnięta,

że nie była w stanie wykrztusić słowa. Dlaczego mówił jej to teraz, kiedy...

– Miłość... – wybełkotała – nie jest już częścią twojego świata. Wróciłeś do Jedi, a oni nigdy ci na nią nie pozwolą.

Vos pochylił się w jej stronę i cała żarliwość... nadzieja powróciły z pełną mocą.

– Owszem, wróciłem do nich, kiedy odwróciłaś się ode mnie. Próbowałem znów być Jedi – naprawdę. Jednak... nie jestem już jednym z nich. Nie należę do nich, Asajj. Należę do ciebie.

– Czy chcesz powiedzieć, że zamierzasz opuścić zakon?

Musiła to usłyszeć, powiedziane jasno i dobitnie, jeśli miała w to uwierzyć. Czym innym było słuchanie jego zapewnień, gdy byli sami na Dathomirze – gdybań i obietnic. Dawne życie Vosa zostało wówczas daleko w tyle i łatwo było im udawać, że zniknęło. Jednak gdy do niego wrócił, Ventress widziała, że został przyjęty z ulgą i czułością.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tak. Zamierzam. Jest jeszcze kilka rzeczy, które mogę zrobić, by pomóc im zniszczyć Dooku. Sądzę, że jestem im winien choć tyle. Jednak kiedy to się skończy... będę twój. Jeśli zechcesz mnie przyjąć.

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła do niego rękę. Vos ujął ją w swoje dłonie, ucałował i przycisnął do serca.

Rozdział trzydziesty trzeci

– Mistrzu Vos – przemówił Yoda. – Za twoje dokonania wdzięczni jesteśmy. Wiele istnień ocaliłeś.

– Dziękuję, mistrzu Yodo – odparł Quinlan – ale zrobiłem to, co zrobiłby na moim miejscu każdy Jedi. To Jedi Akar zasługuje na podziękowania, bo to on musi teraz uporządkować ten cały bałagan!

Pośród zgromadzonych rozległy się pomruki rozbawienia. Kenobi zauważył, że wcześniejsze napięcie znikło bez śladu – uleciała ledwie wyczuwalna aura nieufności, która wypełniała Salę Rady za każdym razem, gdy zjawiał się tu Quinlan Vos.

– Rada żywi przekonanie, że znów jesteś gotów walczyć z separatystami – dodał Windu. – Aczkolwiek nie to będzie głównym celem twojej następnej misji. Wywiad donosi, że hrabia Dooku założył stację nasłuchową na planecie Vanqor.

Twarz Kenobiego wykrzywił kwaśny grymas. On i Anakin zostali kiedyś porzuceni na Vanqorze podczas pościgu za Dooku. Skywalker miał też pecha utknąć tam powtórnie wraz z Windu, uwięziony pod wrakiem rozbitego statku. Oba incydenty odbyły się z udziałem wielkich, czwororękich drapieżników zwanych gundarkami, i Kenobi nie miał więc wcale ochoty tam wracać. Oczywiście zwróciły się ku hologramowi niebieskoszarego, skalistego świata.

– Vanqor – mruknął pod nosem Obi-Wan. – Urocze miejsce. Cudowna fauna. Czy Dooku kiedykolwiek wspominał ci coś na temat tej stacji, Vos?

Quinlan zmarszczył czoło i zamyślił się na chwilę.

– Hrabia nie lubi dzielić się swoimi sekretami – wyznał w końcu. – Nigdy w pełni mi nie zaufał. Pamiętam jednak, że napomknął kiedyś coś o placówce nasłuchowej w tym sektorze. Jeśli jesteście pewni informacji dostarczonych przez wywiad, stawiałbym na to, że to właśnie o niej mówił Dooku.

– W takim razie, mistrzu Vos, mistrzu Kenobi, waszym zadaniem będzie jej zlikwidowanie – oznajmił Windu. – W zależności od tego, jak ważne jest to miejsce, możecie się spotkać z dość dużym komitetem powitalnym. Miejcie to na względzie, planując tę misję.

Gdy Vos i Kenobi opuścili salę, dołączył do nich Anakin.

– Dlaczego zawsze zakładasz, że przydzielono cię do tej samej misji, co nas? –

zagadnął go Vos.

– Bo zawsze tak jest – odparł Skywalker.

– Niestety, nie mam na to kontrargumentu – westchnął Vos.

– A teraz, gdy już rozstrzygnęliśmy tę kwestię – podjął Anakin – co mamy robić?

– Zniszczyć placówkę nasłuchową – wyjaśnił Vos. – Prawdopodobnie napotkamy opór.

Skywalker zerknął na Kenobiego, zbity z tropu.

– Nasze placówki nasłuchowe nie są zbyt silnie chronione – przypomniał mu. – Polegamy na flocie, która zjawia się w chwili, kiedy przestają otrzymywać sygnały, że wszystko gra.

– Właśnie dlatego musimy ryzykować – skwitował Vos. – W naszym przypadku najlepiej sprawdza się obsadzenie stacji kilkoma osobami i oddelegowywanie znacznie liczniejszych zastępów do jej obrony w razie realnego zagrożenia. Dooku ma więcej niż dość droidów bojowych, żeby zapewniać takim miejscom właściwą obronę przez cały czas.

– Będą tylko droidy? – upewnił się Kenobi.

– Z pewnością możemy się spodziewać kilku osób pełniących obowiązki nadzorcze i podejmujących strategiczne decyzje, jednak stacji będą niemal na pewno bronić droidy. Powinniśmy się przygotować na porządną bijatykę. Coś, czego mi brakowało.

– Wygląda na to, że doszedłeś już do siebie, Vos – ocenił Anakin. – Cieszę się.

– Ja także, Anakinie – zapewnił go Quinlan. – Ja także.

Kiedy Venator „Vigilance” wyskoczył z nadprzestrzeni i otworzył hangar, Kenobi, Vos i Anakin czekali już za sterami swoich maszyn. Natychmiast opuścili jego pokład w eskorcie dwóch tuzinów ciężko uzbrojonych myśliwców ARC-170, szykując się do walki. W pobliżu nie było jednak nawet jednego statku, który spróbowałby stawić im opór. Gdy schodzili ku powierzchni planety Vanqor i ich celowi, nikt nie starał się mieszać im szyków.

– Trochę tu cicho – rzucił do komunikatora Anakin. – No, wiecie, w sensie spokoju typowego dla przestrzeni kosmicznej. Nic się nie dzieje. Zupełnie.

– Racja – zgodził się Kenobi. Gdzie się podziewali obrońcy, o których ostrzegał ich Vos? Zastępy droidów Dooku powinny ich zaatakować niezwłocznie, jak tylko

się zjawia.

– Sądźcie, że to może być pułapka? – spytał Skywalker. – Że czekają, aż wejdziemy w atmosferę, i przypuszczą atak naziemny?

– Jeśli tak, to wybrali bardzo kiepską taktykę – stwierdził Kenobi. – Ale tak czy inaczej, coś tu jest nie tak. – Regulując kontrolki, powiększył na ekranie widok planety. – Mimo to informacje wywiadu Windu były prawdziwe, a przynajmniej te dotyczące stacji nasłuchowej. – Otworzył kanał łączności z krążownikiem Jedi. – Admirale Block? Schodzimy na planetę. Jesteśmy przygotowani do odparcia ataku naziemnego.

– Przyjąłem, generale Kenobi – potwierdził admirał. – Czy mamy wysłać drugą falę wsparcia?

– Tak, dajcie ich tu – poprosił Kenobi. – Lepiej dmuchać na zimne. – Zmienił kanał łączności i przemówił do swojego zespołu: – Jak na mój gust, zdecydowanie tu za spokojnie. To rzeczywiście może być pułapka. Schodzimy przygotowani na ostrzał.

– Brzmi prawdopodobnie – ocenił Skywalker. Jak zwykle, nie mógł się doczekać, by rzucić się w wir walki. Obi-Wan pomyślał przelotnie, że sama Moc musiała go chronić, w innym wypadku impulsywność i zapalczywość Anakina zabiłaby go już do tej pory z tysiąc razy.

– Pamiętajcie – przestrzegł ich – nie możemy sobie pozwolić na podejmowanie pochopnych decyzji. Trzymajcie kurs. Mówię szczególnie do ciebie, Anakinie. Żadnych szalonych akrobacji.

W odpowiedzi statek Skywalkera opadł gwałtownie i zawinął pętlę.

– Mistrzu Kenobi? Coś przerywa! Chyba mój komunikator szwanku...

– Anakinie!

– Jedni mówią, że jestem lekkomyślny, inni, że mam tupet. To subiektywna ocena. – Komunikator Skywalkera z pewnością miał się świetnie.

– Wcale nie.

Vos parsknął śmiechem.

– Nigdy się nie zmienicie.

Kenobi skierował dziób swojego myśliwca w dół – zdecydowanie łagodniej niż jego były uczeń – i powierzchnia planety popędziła im na spotkanie. Obi-Wan zerknął na odczyty instrumentów pokładowych, a potem zdał się na własne zmysły – i Moc.

Placówki nasłuchowe były ważnymi miejscami. Republika trzymała w pogotowiu flotę, gotową ich bronić w każdej chwili, zgodnie zaś z informacjami Vosa, Dooku zapewniał swojej ochronę lokalną. Wyglądała podobnie do stacji Republiki – prosta baza z dużą wieżą uzbrojoną w antenę. W przeciwieństwie jednak do republikańskiej, wyposażonej w niewielką platformę lądowniczą, teren wokół instalacji separatystów dostosowano do potrzeb kilku statków. Vos miał rację – powinno jej strzec kilka dziesiątek myśliwców. A mimo to sprawiała wrażenie, jakby...

– Jest porzucona – ocenił Vos. – Ani jednego statku.

– Owszem, tak wygląda – zgodził się z nim Kenobi. – Ale mimo to powinniśmy być ostrożni. Spróbujmy nalotu i przekonajmy się, czy zdołamy wypłoszyć ze środka jakieś jakraby.

Trójka Jedi ustawiła statki w szyku. Anakin nawet współpracował, zajmując miejsce po lewej od Kenobiego i pozwalając mu poprowadzić formację. Klony podążyły za nimi posłusznie w swoich ARC-170. Obi-Wan, Vos i Anakin wystrzelili jednocześnie z działek swoich statków i w atmosferę planety wzbiła się kula ognia otulona całunem czarnego dymu. Wielka antena rozpadła się na tysiąc części, które posypały się na ziemię. Klony lecące w ślad za Jedi przypuściły drugi atak. Powietrze przecięły niebieskie laserowe smugi, pod których zmasowanym naporem wieża skruszyła się i osunęła na powierzchnię skalistego świata. Rój maszyn poderwał lot i zawinął, gotując się do drugiej rundy.

– Do wszystkich: wstrzymać ogień – zarządził Kenobi. – Oceńmy reakcję... – Przelecieli nad instalacją, jednak nigdzie nie zauważyli śladu aktywności: żadnych statków, pojazdów, ludzi ani nawet droidów. Nic.

– Skanery nie stwierdziły form życia – zameldował Anakin i dodał: – To znaczy, niczego większego od prawdziwych jakrabów. Ej, zauważyliście? Tym razem nie ma gundarków! – ucieszył się.

– Mistrzu Kenobi? – wtrącił Vos. – Chciałbym wylądować i sprawdzić, czy nie znajdziemy w dole czegoś ciekawego.

– My... hm, właśnie zrównaliśmy wszystko z ziemią – zwrócił mu z przekąsem uwagę Anakin. – Nie zostało tam nic, co mogłoby się do czegoś przydać.

– Tobie nie – zripostował Vos. – Ale może ja zdołam uzyskać jakieś odpowiedzi.

Kilka chwil później wylądowali wraz z klonami.

– Komandorze Cody? Podziel swoją eskadrę na zespoły i dokonajcie zwiadu –

poleciał Kenobi. – To miejsce wygląda na opustoszałe, ale pozory mogą mylić.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu Cody i krzyknął przez ramię: – Słyszeliście generała! – a potem zaczął wydawać polecenia.

– Cóż – mruknął Obi-Wan. – Tak jak wspomniał Anakin, z samej wieży właściwie nic nie zostało. Przekonajmy się, czy zdołamy znaleźć jakieś w miarę nietknięte koszary.

Trójka Jedi ruszyła przed siebie, bez trudu omijając wielkie sterty gruzów, blokujące im drogę do centrum operacyjnego stacji i kwater personelu. Gdy stąpali ostrożnie pośród rumowiska, Anakin stwierdził:

– Chociaż zawsze z ulgą witam brak ciał, trochę mi tu brakuje szczątków droidów.

Vos podniósł z ziemi kawałek potrzaskanej konsoli i przymknął oczy. Gdy otworzył je parę sekund później, sprawiał wrażenie poirytowanego.

– To bez sensu – parsknął. – Jest zbyt zniszczona i dotykało jej za dużo osób. Potrzebujemy czegoś bardziej... osobistego i w miarę możliwości nietkniętego.

– Kwatery mieszkalne znajdowały się zapewne pod ziemią – podsunął Kenobi, a potem stuknął w karwasz i aktywował swój komunikator: – Komandorze? Czy twoi ludzie namierzyli może inne wejście?

– Tak jest, sir. – Cody podał im współrzędne.

Wejście do kompleksu znajdowało się kilka metrów od samej wieży, sprytnie ukryte pośród gładów, których było dookoła pod dostatkim. Pobieżny skan ujawnił, że pod względem strukturalnym tunele pozostały nienaruszone. Jedi włączyli swoje miecze świetlne – na wypadek gdyby wewnątrz spotkali jednak jakieś droidy – i oświetlali sobie drogę niebiesko-zieloną poświatą. Co jakiś czas mijali umieszczone w ścianach korytarza drzwi – za każdym razem przecinali się przez nie, aby sprawdzić ukryte za nimi pomieszczenia.

– Magazyny – ocenił Kenobi. Większość pokojów była nieumeblowana, z wyjątkiem przypadkowych sprzętów i pustych skrzyń. – To miejsce mogło być porzucone wiele lat temu.

– Nie. – Vos pochylił się i podniósł z ziemi zakrzywiony metalowy element. – To część zapasowa do B3. Cokolwiek się tu wydarzyło, jest nowa.

Jakiś czas później korytarz zaczął się pięć w górę i dotarli do zaryglowanych metalowych drzwi. Gdy Kenobi przeciął się przez nie, znaleźli się w pomieszczeniu, w którym stało sześć łóżek – i niewiele poza tym.

– Hm – mruknął Anakin – to chyba najlepsze, na co tu natrafimy. Czy zdołasz odczytać coś z łożka, Vos?

– Mam coś lepszego – zapewnił go Quinlan i z uśmiechem wskazał im grzebień.
– Nic specjalnego, ale powinno wystarczyć. – Otoczył przedmiot palcami, przymknął na chwilę oczy... i zaraz je otworzył.

– Już? – zdziwił się Anakin.

– Już – potwierdził Vos. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego. – Zmyli się stąd jakieś dwa tygodnie temu. Dooku nie chciał ryzykować, że was tu przyprowadzę, i wydał rozkaz ewakuacji placówki.

– Jak przypuszczam, właściciel grzebienia nie raczył ci zdradzić, dokąd zamierzali się przenieść?

Quinlan pokręcił głową.

– Sądzę, że wszystkie użyteczne informacje poszły w proch razem z wieżą. W koszarach nikt raczej nie dyskutuje o ważnych rozkazach. Mogę spróbować innych rzeczy, jeśli chcecie...

Kenobi poklepał go po plecach.

– Nie martw się, Vos. Widocznie musiało tak być.

Kiffarski Jedi pokręcił głową, naburmuszony.

– Cóż, to chyba oznacza, że większość informacji, które zdobyłem podczas mo... u Dooku jest teraz bezużyteczna.

– Hej, wróciłeś do nas! – zaprotestował Anakin. – To ważniejsze niż cokolwiek innego.

Kenobi potarł z namysłem podbródek.

– Zastanawiam się... – zaczął – czy w tym wszystkim nie chodzi o coś więcej.

– Co masz na myśli? – spytał Vos.

– Hm, to jasne, wydaje się logiczne, że Dooku zmienia swoje plany. Wszystko, czego się dowiedziałaś, moglibyśmy wykorzystać przeciwko niemu. Czy to jednak nie dziwne, że podobna rzecz wydarzyła się dwa razy z rzędu? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mamy gdzieś przeciek...

Vos ściągnął brwi.

– Wtyczkę? Sądysz, że ktoś od nas przekazuje separatystom informacje?

– Nie wykluczałbym takiej możliwości – zgodził się Anakin. – Niestety, takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Cokolwiek się jednak stało, omówimy to w Świątyni. Mistrz Yoda będzie wiedział, co robić.

– To z pewnością niepokojąca myśl – zgodził się Kenobi. – Musimy liczyć na to, że to po prostu zbieg okoliczności. Czy udało ci się wyczytać z grzebienia coś jeszcze? – spytał Vosa.

– Cóż – bąknął Quinlan – jego właściciel miał w zwyczaju przeżyć się przed lustrem, gdy nikt nie patrzył.

Rozdział trzydziesty czwarty

Kenobi poprosił o prywatne spotkanie z dwiema osobami, którym ufał bez reszty – Yodą i Mace'em Windu. Zapoznał ich ze szczegółami przebiegu dwu ostatnich misji i przedstawił swoje obawy.

– Nie ma w tym wszystkim nic, co jednoznacznie wskazywałoby na przeciek – zastrzegł. – To może być zbieg okoliczności lub przewidywalny skutek tego, że Vos odmówił Dooku współpracy.

– Wszystkie poszlaki zbadać musimy – skostatował Yoda. – Dobrze zrobiłeś, informując nas o tym, Obi-Wanie.

– Nie podoba mi się to wszystko – orzekł Windu. – Mam dziwne przeczucie, że to coś więcej niż tylko przypadek. – Skrzywił się. – Według mnie, istnieje prawdopodobieństwo, że Vos nie zrehabilitował się w pełni. Ostrzegałem Radę, że być może zbyt szybko przywracamy go znów do czynnej służby.

– Vos? – Kenobi nie posiadał się ze zdumienia. – Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Windu, ale sądzę, że wysnuwasz zbyt pochopne wnioski. Nie zauważyłem i nie wyczułem nic, co sugerowałoby, że tak jest, a znam go bardzo dobrze od lat.

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Kenobi – odciął się Windu – ale to właśnie dlatego, że znasz go tak dobrze od lat, twój osąd może być zmałony: przez przyjaźń.

– Widziałem na własne oczy, co zrobił mu Dooku. – Choć Kenobi nieco się zmitygował, nie dawał za wygraną. – Czy sądzisz, że nie dostrzegłbym powodów do obaw?

– Przyjrzyjmy się faktom. Nic podobnego nie wydarzyło się od dawna, od czasu jego pierwszej misji przeciwko separatystom, aż tu nagle znaczna ilość cennych towarów wybucha.

– Separatyści mają w zwyczaju postępować w ten sposób – przypomniał mu Kenobi.

– Życie Vos wam ocalił, ostrzegając was – dodał Yoda. – Uciec na czas sam nieomal nie zdołał.

Kenobi podziękował mu skinieniem głowy.

– To wszystko prawda – przyznał im rację Windu. – Jednak prawdą jest również, że to właśnie Vos znalazł bomby. Bardzo sprytne. Dziś zaś

zaatakowaliśmy placówkę nasłuchową separatystów tylko po to, by przekonać się, że została porzucona. A tym, kto powiedział nam, dlaczego wydano rozkaz jej ewakuacji, był nie kto inny, a... Quinlan Vos we własnej osobie.

– Daj spokój, Mace – zaprotestował Kenobi. – To lekka przesada... i dramatyzowanie, nie sądzisz? Jeżeli Vos rzeczywiście jest zdrajcą, dlaczego nie prowadzi nas w pułapki? Mógłby za jednym zamachem zniszczyć tysiące „wrogów”.

– W tak oczywisty sposób sprytny zdrajca nie postąpiłby – stwierdził z namysłem Yoda. – Zbyt wiele uwagi ściągnąłby na siebie.

Kenobi zwrócił się w jego stronę, wyraźnie przygnębiony.

– I ty również, mistrzu Yodo? Potrzebujemy dowodów! Nie możemy nazywać człowieka zdrajcą tylko dlatego, że nie podoba nam się to, co widzimy!

– Prawdę mistrz Kenobi mówi – zgodził się Yoda. – Dowód znaleźć musimy.

– Żałuję, że nie przyjrzeliliśmy się lepiej szczątkom zburzonej placówki – westchnął Kenobi.

– Dlaczego? – zainteresował się Windu. – Jeśli Vos rzeczywiście jest zdrajcą, upewniłby się, że wszystko, co znajdziecie, potwierdzi podejrzenia, które u was zaszczeplił.

– Wrócić w to miejsce musimy – orzekł Yoda. – Jednak wzrok na innym już skupiamy.

– Asteroida – potwierdził Kenobi. – Sprawdzaliśmy ją z Deshem, jednak jak dotąd nie odkryliśmy nic niezwykłego. – Z pewną obawą aktywował swój holokomunikator i chwilę później w powietrzu pojawił się niewielki obraz Desha.

– Mistrzu Kenobi. – Mahranin skłonił się lekko i dodał z nadzieją w głosie: – Czy kontaktujesz się ze mną, żeby zmienić mi przydział?

– Potrzebujemy cię dokładnie tam, gdzie jesteś, Desh – rozwiął jego wątpliwości Obi-Wan. – Jestem z mistrzami Yodą i Windu w Sali Rady. To, co za chwilę powiem, jest poufne i chciałbym, żebyś zachował to dla siebie.

– Oczywiście – zapewnił go Desh, strzygąc z niepokojem uszami.

– Możliwe... jakkolwiek tylko możliwe, że mamy przeciek.

– Wtyczka? Ale chyba nie pośród Jedi? – Desh położył uszy po sobie.

– Pośród Jedi – potwierdził z ciężkim sercem Kenobi, dodając zaraz: – Równie dobrze to może być jednak ktoś inny, mający dostęp do ściśle tajnych informacji. Obecnie gromadzimy dowody. Czy podczas przeszukiwania szczątków na

asteroidzie natknąłeś się na coś niezwykłego?

Widząc wahanie Desha, Kenobiego ogarnął jeszcze większy niepokój.

– Cóż – teraz, gdy o tym wspomniłeś... Owszem, trafiliśmy na coś. Wówczas nie przywiązaliśmy do tego większej wagi, ale...

Kenobi zerknął ponuro na towarzyszących mu mistrzów i spytał:

– Co mianowicie?

– Pośród szczątków znaleźliśmy parę... przedmiotów pochodzenia republikańskiego. Powszechnie wiadomo, że separatysty korzystają ze wszystkiego, co wpadnie im w ręce, tylko że... Cóż, możemy z dość dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że ładunki użyte do wysadzenia magazynu nie były wyprodukowane przez Konfederację. A to oznacza, że zdobyli skądś nasze.

Kenobi poczuł, jak z twarzy odpływa mu cała krew.

– I nie uznałeś za stosowne o tym zameldować? – warknął Windu. Yoda podniósł jednak dłoń, prosząc o spokój.

– Wybacz, mistrzu Windu – powiedział Desh. – Chciałem tylko powiedzieć, że... podczas wojny takie rzeczy się zdarzają. My także to robimy. Blaster to blaster, a bomba to bomba. To wszystko. Jedno od drugiego zbytnio się nie różni.

„Chyba że jest inaczej” – dodał ponuro w myśli Kenobi, na głos zaś powiedział:

– Dziękuję ci, Desh. Będziemy w kontakcie.

– A więc – zagaił Windu, gdy połączenie zostało przerwane – teraz już wiemy. To Vos podłożył te bomby!

– Nic jeszcze nie wiemy – ostudził jego zapędy Kenobi. – Jeśli mamy nazwać człowieka zdrajcą i zniszczyć jego życie, musimy polegać na namacalnych dowodach.

– Rację mistrz Kenobi ma – potwierdził smętnie Yoda. – Śledztwo innego rodzaju sam przeprowadzę. Jeśli jednak nasze domysły potwierdzą się... bolesne zadanie nas czeka.

Kiedy dwa dni później Obi-Wan otrzymał wezwanie do prywatnych kwater Yody, zacisnął zęby i postanowił nie poddawać się ani nadziei, ani rozpacz. Powtórzył sobie w myśli Kodeks Jedi:

„Nie ma emocji – jest spokój.

Nie ma ignorancji – jest wiedza.

Nie ma pasji – jest równowaga.

Nie ma chaosu – jest harmonia.

Nie ma śmierci – jest Moc”.

Pomogło. Gdy stanął pod drzwiami Yody i wszedł do środka, trzymał uczucia na wodzy. Yoda, jak zawsze, siedział przy fontannie ze śpiewających kamieni. Kiedy Obi-Wan usiadł obok starego mistrza Jedi, jego nozdrza podrażnił znajomy zapach rozgrzanych olejków.

– Wezwałeś mnie, mistrzu Yodo – powiedział cicho. – Czy to dotyczy Quinlana? Czy są jakieś... wieści?

Yoda nie medytował – wpatrywał się po prostu w zamyślanie w łagodny nurt fontanny. Teraz odwrócił się do Kenobiego, jednak nie odezwał się ani słowem. Nie musiał nic mówić. Odpowiedź lśniła w jego mądrych, ciepłych oczach – teraz przepełnionych troską i głębokim żalem.

– O, nie... – wyrwało się Obi-Wanowi.

Yoda łagodnie nakrył jego rękę swoją małą, zieloną dłonią.

– Vosa widziałem dziś. W uznaniu jego niezwykłych dokonań podziękowałem mu. Dłoni jego dotknąłem, przez którą Moc płynie. Bywa, że dostrzec mogę to, co ukryte. Moc była ze mną tego dnia. Prawdę mi wyjawiała. Pochłonięty przez ciemną stronę Quinlan Vos został, choć dobrze to maskuje. – Yoda zamilkł na chwilę, jakby nie był pewny własnych słów. – Obawiam się, że stracony dla nas jest.

Kenobi opuścił nisko głowę, załamany.

– A więc miała rację – wyszeptał, myśląc o Ventress, o jej bólu i żalu, o determinacji, z jaką chciała „uwolnić” Vosa. Jakże ślepi byli wszyscy, oprócz niej. Asajj Ventress, ta, która przez tak długi czas igrała z ciemną stroną, była jedyną osobą, która rozpoznała ją, gdy skaziła ona tego, którego, jak był teraz przekonany Kenobi, naprawdę kochała. – Miała rację, od samego początku.

– Zmącić zmysły przywiązanie może, jednak zdrada oczy otwiera – podjął Yoda głosem tak łagodnym, tak pełnym zrozumienia... – Otworzyła je nam teraz. I działać musimy.

Kilka chwil później zwołano potajemnie spotkanie kryzysowe. Yoda, Mace Windu, Obi-Wan Kenobi, Plo Koon i Ki-Adi-Mundi – wszyscy członkowie Rady, którzy przebywali obecnie na terenie Świątyni – zgromadzili się w Sali Rady. Kenobi był zbyt zdenerwowany, żeby siedzieć, stał więc, przyglądając się przez panoramiczne okna ruchowi powietrznemu Coruscant. Chociaż zdawał sobie

sprawę, że może sprawiać wrażenie rozkojarzonego, przysłuchiwał się dyskusji z wyteżoną uwagą.

Yoda powtórzył zebranyam wszystko, czego się dowiedzieli. Wyjaśnił, jak długo Vos pozostawał pod kontrolą Dooku. Że Ventress upierała się, że przeszedł na ciemną stronę. Że republikańskie bomby – dość małe, by można je było ukryć w sutych fałdach szaty Jedi, i „odkryte” przez Vosa – zniszczyły zapasy ukryte w asteroidzie. Że placówka nasłuchowa o kluczowym znaczeniu została porzucona, tym zaś, kto dostarczył informacji o przyczynie takiego stanu rzeczy, był ponownie Vos, jedyna osoba, która jednocześnie mogła te rewelacje zweryfikować.

– W jego sercu mrok wyczułem – oznajmił smutno Yoda. – Głęboki, skrywany, potężny. Historię przedmiotów Moc pozwala Vosowi czytać. Historię duszy jednak przede mną odkrywa. Dowodu tego sąd uznać nie mógłby, jednak kłamstwa żaden Jedi mi nie zarzuci. – Argument był tak niepodważalny, że nikt nawet nie fatygował się z potwierdzeniem. Koniec końców fakty przytoczone przez Yodę malowały ponury obraz. – Spotkanie to zwołałem, abyśmy decyzje co do działań dalszych podjęli.

– Jeżeli przez cały ten czas kontaktował się z Dooku – zaczął z wahaniem Ki-Adi-Mundi – musimy założyć, że hrabia wie wszystko to, co Vos. A to, niestety, oznacza, że wie bardzo dużo.

Kenobi przymknął na chwilę oczy. „Nie ma emocji...”.

– To jak dotąd największe nadużycie zaufania Jedi od czasów zdrady samego hrabiego Dooku – zauważył Mace. – Nawet dezercja generała Krella nie była tak brzemienna w skutki. Vos to nie jest zwykły Jedi, to mistrz posiadający unikatowe zdolności. A poza tym podczas wojny współpracował z Dooku. To będzie miało ogromne konsekwencje.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jak poważna jest sytuacja, mistrzu Windu – zapewnił go Obi-Wan, może nieco zbyt ostro.

– Czyżby, mistrzu Kenobi? Ty także? Moim zdaniem, powinniśmy poważnie rozważyć możliwość wymierzenia kary śmierci.

– Co takiego?! – Kenobi odwrócił się do niego, zmartwiały ze zgrozy.

Ki-Adi-Mundi pokiwał głową.

– Jestem za – potwierdził posepnie. – Wiele istot zapłaci życiem za to, czego dopuścił się Quinlan Vos. Jednak również zakon ucierpiał – w chwili, kiedy nie

możemy pozwolić sobie na solidarność i wiarę w siebie nawzajem. Uderzyła w nas burza, tak samo gwałtowna jak ta wywołana zdradą Barrissy Offee. Żaden z nas nigdy by nie pomyślał, że pozornie idealny padawan może się zmienić w terrorystę separatystów. Teraz jednak, kiedy do tego doszło, należy położyć temu kres. W najsurowszy ze sposobów.

– Śmierć?! – wykrztusił wstrząśnięty Kenobi, przenosząc wzrok z jednego mistrza na drugiego, ale w twarzy każdego dostrzegał tylko niezłomną determinację i bezlitosny chłód. – Chyba nie mówicie poważnie?

– Czyżby? – spytał zimno Mace.

Kenobi zwrócił się w stronę Yody. Na pokrytym siateczką zmarszczek obliczu mistrza Jedi nie widział tego zacięcia, które dostrzegał u innych, jednak nawet Yoda nie wykluczał tej przerażającej możliwości. Patrzył na Kenobiego przez długą chwilę, nim przemówił z ociąganiem:

– Każdą możliwość rozważyć musimy.

– Ale... Ale to czyste szaleństwo! – zaprotestował Kenobi. – Nie jesteśmy Sithami, nie dopuszczamy do siebie takich skrajności! A niewiele rzeczy jest bardziej skrajnych od śmierci. Nie hołdujemy zasadzie „oko za oko”. Nic, czego dopuścił się Vos, nie pociągnęło za sobą śmierci istot żywych.

– Nic, o czym byśmy wiedzieli – poprawił go Windu. – Nadal nie wiemy, czy nie był w równej mierze co Dooku odpowiedzialny za wyczyny „admirala Enigmy”. Nie mówiąc już o tym, że może to kosztować życia niewinnych w dalszym planie. Gdy Dooku zorientuje się, że przejrzelśmy Vosa, przestanie się hamować. Wykorzysta całą wiedzę, którą przekazał mu ten zdrajca. Doświadczymy więcej zasadzek i zniszczenia, niż byśmy chcieli, Kenobi. A wszystko to będzie zasługą Quinlana Vosa!

– Czy naprawdę nie rozumiesz? – jęknął Obi-Wan. – On jest taką samą ofiarą jak wszyscy inni! Wiesz, co zrobił mu Dooku. Ten człowiek był torturowany, siłą przeciągnięty na ciemną stronę! Nie można go w pełni obarczać za to, co zrobił.

– Inni przeciwstawiali się wpływowi hrabiego – zwrócił mu uwagę Mace. – I udało im się to. Na przykład Ventress, żeby daleko nie szukać.

– Jakie inne wyjście sugerujesz? – spytał Plo Koon.

Kenobi nie wiedział. Był tak wstrząśnięty kierunkiem, w którym potoczyła się ta dyskusja, że trudno mu było zebrać myśli. Wziął głęboki oddech.

– Moglibyśmy go skazać na wygnanie. Wysłać go na Zewnętrzne Rubieże. Albo

nawet dalej. – Nim jednak skończył mówić, dotarło do niego, że takie rozwiązanie byłoby żałośnie nieskuteczne.

– Z całym należnym szacunkiem, mistrzu Kenobi – podjął Ki-Adi-Mundi, nie bez życzliwości w głosie – ale mamy do czynienia ze świetnie wyszkolonym mistrzem Jedi, który przeszedł na ciemną stronę. Z powodu jego czynów, jakkolwiek niebezpośrednio, tysiące ludzi zginą, by zaspokoić pragnienie jego żądnej krwi sithańskiego mistrza. Powrót z tak mrocznych otchłani jest trudny nawet dla najsilniejszego Jedi. Vos jest zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu swobodnie włóczyć się po galaktyce.

– W takim razie areszt – spróbował zdesperowany Kenobi.

– Mistrz Vos przeszedł na ciemną stronę – przypomniał mu Mace, jakby próbował wytłumaczyć coś niezbyt rozcarniętemu młodzikowi. – Będzie próbował zbiec. A Dooku postara się go odbić. Jak sądzisz, jak długo zdołamy go więzić?

„Myśl, Kenobi, myśl!”.

– A co, gdyby dać mu szansę, by zwrócił się przeciwko Dooku?

– Co masz na myśli? – spytał podejrzliwie Windu.

Kenobi rozwinął swoją myśl:

– Wysłaliśmy go, by zabił Dooku. Być może, gdyby znów zobaczył hrabiego... i miał okazję go zabić, oparłby się ciemnej stronie? Mógłby odkupić swoje winy. Zrehabilitować się. Czy to nie na tym nam właśnie zależy? A może robimy to tylko dla sportu?

– To nieprawda i doskonale o tym wiesz, mistrzu Kenobi – obruszył się Plo Koon.

– Owszem – wyznał ze skruchą Obi-Wan. – Przepraszam. Jednak mówimy tu o życiu. Życiu Vosa.

Trzech mistrzów, którzy opowiedzieli się za karą śmierci, wymieniło spojrzenia. Yoda utkwiał wzrok w Kenobim i Obi-Wan widział w nim wyraźnie aprobatę.

– Kontynuuj – poprosił Mace.

– Vos na razie nie ma pojęcia o tym, że wiemy o jego przejściu na ciemną stronę. Więc zastawimy coś w rodzaju pułapki, żeby poddać próbie jego lojalność. Wyślemy go, by zabił Dooku. Jeśli się z nim sprzymierzy, dowiemy się o tym.

– Nie rozumiem, w jaki sposób zwracanie Vosa hrabiemu Dooku miałyby się nam przysłużyć – parsknął Mace.

– Nadinterpretujesz moją myśl – zwrócił mu uwagę Obi-Wan. – Podążymy za

nim i będziemy śledzić każdy jego krok.

Windu rozważył jego słowa.

– Chcesz się trzymać blisko niego.

– Właśnie tak.

– A gdy Vos odmówi zabicia Dooku, będziesz musiał interweniować. Czy zdajesz sobie sprawę, z czym to się wiąże, mistrzu Kenobi?

Obi-Wan wziął głęboki oddech.

– Sądzę, że tak, mistrzu Windu.

– Uczucia zakłócać twojego osądu nie mogą – przypomniał mu Yoda. – Zrobić, co należy, będziesz musiał.

– I zrobię to – obiecał. – Dziękuję, mistrzu Yodo. Ten test pomoże nam przejrzeć prawdziwe zamiary Vosa... I poznać jego prawdziwą naturę.

Yoda pokiwał głową.

– Odśloni przed nami Quinlan Vos swoje prawdziwe oblicze. I o własnym losie sam zdecyduje.

Rozdział trzydziesty piąty

Na miejsce spotkań wybrali jeden z popularniejszych napowietrznych parków dryfujących nad powierzchnią Coruscant. Mierzący niewiele ponad dwa tysiące kilometrów kwadratowych, składał się z łąk, lasów, a nawet sztucznego pasma górskiego i kilku jezior. Z różnych światów sprowadzono tu liczne łagodne dzikie stworzenia, w jeziorach zaś roiło się od ryb. Kiedy Vos pierwszy raz zaproponował tę lokalizację, Ventress czuła się tu początkowo dziwnie odsłonięta. Była dzieckiem mrocznych przestrzeni kosmicznych, córką półmroku kokpitów statków, alejek i barów z kameralnymi boksami. Nawet na ojczystej Dathomirze, nieobfitującej raczej w istoty żywe, Siostry Nocy nad otwarte przestrzenie przedkładały przytulne ściany sztucznie oświetlonych jaskiń.

Spotykali się niemal codziennie – tak często, jak często Vosowi udało się wymknąć ze Świątyni.

„Pomyśl o tym – powiedział pewnego razu, gdy spacerowali pośród strzelistych drzew, trzymając się za ręce. – Właśnie tak mogłoby wyglądać nasze nowe życie: bez konieczności ukrywania tego, kim jesteśmy i co czujemy. – Skinął uprzejmie głową parze Nautolan, którzy ich minęli, także ręka w rękę. – Tutaj możemy być sobą”.

Ventress pomyślała wówczas, że ta idea jest zupełnie jak otaczający ich park – piękną, ale wciąż tylko mrzonką, wyimaginowaną ucieczką. Jednak w miarę upływu czasu zaczynała przywykać do tego, że stał on się jej nową rzeczywistością. Dotarło do niej, że naprawdę mogliby być właśnie tym: parą kochanków, niczym więcej – i z pewnością niczym mniej.

Tego dnia Vos się spóźnił. Początkowo nie przejęła się tym zbyt – niemal zawsze się spóźnił, a ona nie miała nic przeciwko czekaniu na niego na ławeczce nad jeziorem, z twarzą wystawioną do słońca. Jednak czas mijał, a wraz z jego upływem zaczynał ją ogarniać niepokój. Czyżby Jedi odkryli ich plan ucieczki...?

Wtem wyczuła za plecami znajomą obecność – ciepłą, silną, życzliwą. Położywszy jej dłonie na ramionach, zaczął rozmasowywać kciukami napięte węzły mięśni. Uśmiechnęła się do niego, odchylając głowę na plecy. Złożył pocałunek na jej czole, a potem przeskoczył przez oparcie ławki, żeby usiąść obok.

Jej uśmiech znikł bez śladu na widok jego zatroskanej miny.

– Co się stało?

– Nie uwierzysz – westchnął.

– To się okaże.

Vos otoczył ją ramieniem, a ona wtuliła się w niego.

– Jedi – zaczął – wyznaczyli mi nową misję. Czy może raczej oddelegowali mnie do starej.

Zamarła i odsunęła się od niego, patrząc mu z napięciem w oczy.

– Żartujesz sobie? Chcą, żebyś zabił Dooku? Znowu?! Vos, ostatnim razem ledwie uszedłeś z życiem!

– Wiem. Ale teraz jestem silniejszy.

– Masz pewność, że jesteś gotów stawić mu znów czoło?

Pokiwał głową, śmiertelnie poważny.

– Jestem gotów. Wiem dokładnie, jakich sztuczek spróbuje, i jestem na to przygotowany. – Podniósł palcem jej podbródek i pocałował ją czule, napawając się przez chwilę słodyczą jej ust, nim oderwał od nich wargi, by się do niej uśmiechnąć. – Nie musisz się o mnie martwić.

Pogładziła złoty tatuaż biegnący przez jego policzki i grzbiet nosa, powiodła palcami po krzywiznie jego silnej szczęki. W głowie rozdzwoniły jej się syreny alarmowe. Nie podobał jej się ten pomysł.

– Porzuć zakon – powiedziała cicho, nagłaco. – Ucieknijmy stąd. Teraz.

Roześmiał się łagodnie. Jego oddech zmierzwił jej włosy.

– Moja kusicielka – wymruczał jej w ucho, opadł na oparcie ławki i westchnął: – Nie mogę.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Ujął jej prawą dłoń w swoją lewą, wplatając w nią palce. Syreny alarmowe w jej głowie wyły teraz głośniejsz, uporczywie i przenikliwie, serce zabiło jej żywiej. Czyżby zmienił zdanie na temat opuszczenia zakonu?

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy do chwili, kiedy powierzyli mi to zadanie, jednak... Asajj, ty i ja nie uwolniliśmy się od Dooku. Nie do końca. I tak się nie stanie. Nigdy, dopóki on będzie żył.

– Nie wierzę w to – powiedziała z mocą. – Nie obchodzi mnie, czy on żyje, czy nie. Nie obchodzi mnie, czy za to wszystko zapłaci. Już nie. Nie potrzebuję tego. Jedi go dopadną albo i nie. Komuś w końcu się to uda, prędzej czy później, jednak to nie musimy być ja ani ty. Quinlanie... Jediną rzeczą, na jakiej mi teraz zależy,

jest bycie z tobą.

– I właśnie dlatego muszę to zrobić – nie ustępował Vos. – Jak znajdziemy spokój, którego szukamy? Jak mielibyśmy żyć własnym życiem z jego cieniem kładącym się na nas nieustannie?

– Proszę... – wymówienie tego prostego słowa przyszło jej z ogromnym trudem i Vos o tym wiedział. Po jego twarzy przemknęło zaskoczenie. Zamknął na moment oczy.

– Asajj – powiedział po chwili. – Muszę to zrobić. To jedyny sposób, bym zaznał spokoju. Spotkaliśmy się, bo powierzono mi to zadanie. Teraz mam drugą szansę usunąć zagrożenie, jakim Dooku jest dla wszystkich. A dzięki temu będziemy mogli być razem.

Razem... Ventress przypomniała sobie, jak Vos pierwszy raz władował się z buciorami – i to dosłownie – w jej życie, gdy ścigała Moregiego na Pantorze. Jak nalegał, by zgodziła się pracować razem z nim, dopóki mu nie uległa. Razem. Uwielbiał to słowo – wymawiając je, zawsze się uśmiechał, tak jak teraz.

– W takim razie zróbmy to – postanowiła. – Idę razem z tobą.

– Nie – stwierdził kategorycznie. – Nic z tego. Nie chcę ryzykować, że cię stracę. Nie teraz.

– A jednak oczekujesz ode mnie, że będę tu siedziała ot tak, wyłamując palce i modląc się, żebyś wrócił w jednym kawałku? Nie ma mowy!

Zmarszczył czoło i zaczął oponować, ale stłumiła jego protesty, zarzucając mu ramiona na szyję i wyciskając na jego wargach namiętny całus. Czowała, jak napięcie opuszcza jego ciało. Zatraciła się w tym pocałunku, wkładając w niego wszystko, co czuła, ale czego nie śmiała wyrazić słowami – jeszcze nie. Uwolnił się z jej objęć, zbyt szybko. Oboje drżeli.

Przycisnął czoło do jej czoła.

– Powinienem był wiedzieć, że nie ma sensu cię zniechęcać – wyszeptał z uśmiechem.

Roześmiała się serdecznie.

– Zgadza się. Powinieneś.

– Razem?

– Razem.

Ostatnio Ventress pozwoliła sobie na nieśmiałą nadzieję, że już nigdy więcej nie

będzie musiała oglądać Świątyni Jedi, więc nie była specjalnie zadowolona, podążając za Vosem nie tylko do samego budynku, ale wprost do centrum dowodzenia Jedi. Quinlan wyjaśnił jej, że takie pomieszczenie znajduje się w każdej z iglic Świątyni i zajmuje cały jej poziom. Stała u jego boku, gdy w milczeniu wjeżdżali turbowindą, przestępując z nogi na nogę. Nawet mimo otrzymanego ułaskawienia świadomość tego, co planują, sprawiała, że czuła się nieswojo. Gdy pancerna gródź odsunęła się i weszli do środka, spostrzegła, że sala jest w rzeczy samej tak imponująca, jak opisał ją Vos: ściany pokrywały wyświetlacze taktyczne, a na samym środku znajdował się wielki holostół, otoczony przez kilku mistrzów Jedi. Na ich twarzach dostrzegła mieszane emocje: u Yody było to łagodne, życzliwe zaskoczenie, u Kenobiego była to konsternacja, u reszty zaś – otwarta wrogość i oburzenie.

Po wydarzeniach ostatnich tygodni, od czasu ich ponownego pojednania, trudno jej było udawać obojętność wobec Vosa, jednak on nie miał z tym problemu – być może dlatego, że i tak był zmuszony na co dzień ukrywać ich związek przed Jedi.

– Co ona tu robi? – warknął na jej widok Mace Windu. – To pomieszczenie z dostępem dla ściśle określonego grona, mistrzu Vosie!

– Mistrzu Windu – odparł spokojnie Quinlan – Rada poprosiła mnie o przygotowanie się do zadania zabicia hrabiego Dooku. Uznałem Asajj Ventress za osobę, której pomoc może się okazać nieoceniona dla sukcesu tej misji, i chciałem przypomnieć Radzie, że jej członkowie sami polecili mi nakłonić ją do współpracy przy pierwszej próbie zamachu – mówił spokojnie pewnym, donośnym głosem.

– Tak właśnie było – potwierdził Ki-Adi-Mundi z lekkim rozżaleniem. – Nie mówiąc już o tym, że Ventress uzyskała z naszych rąk pełną amnestię.

– Powinieneś był to najpierw skonsultować z Radą – pieklił się Windu.

– Z całym szacunkiem, ale nauczyłem się czegoś od młodego Skywalkera – stwierdził prostolinijnie Vos. – Czasem łatwiej jest prosić o wybaczenie niż pozwolenie.

– Ventress – mruknął Windu, piorunując ją wzrokiem. – Pozwól mi spytać: czy Vos sprowadził cię tu tylko jako narzędzie ułatwiające wypełnienie tej misji? Czy może poprosił, żebyś się do niego przyłączyła?

Nim jednak zdążyła odpowiedzieć, Quinlan stwierdził gładko:

– Ventress i ja byliśmy ostatnim razem bardzo blisko osiągnięcia naszego celu. Wiele się nauczyliśmy na popełnionych wówczas błędach. Bardzo dobrze nam się pracowało w zespole i jestem pewien, że tak będzie i tym razem.

– Ale... – zaczął protestować Ki-Adi-Mundi.

– Czy muszę znów przypominać Radzie o jej własnych decyzjach? – nie dał mu skończyć Vos. – Ułaskawiliście ją, zapomnieliście już?

Asajj była przez chwilę pewna, że wyproszą ją z centrum dowodzenia, jednak nagle odezwał się mistrz Yoda:

– Ułaskawiliśmy ją, zaiste – przyznał. – Ufać jej musimy.

Nie bez zaskoczenia, Ventress poczuła pod jego wzrokiem falę... czyżby wstydu? Bardzo jej się to nie spodobało. Im prędzej ona i Vos znajdą się z dala od tego wszystkiego, tym lepiej.

– W takim razie postanowione – stwierdził Kenobi, nim ktokolwiek zdołał zaoponować. – Oto najświeższe informacje, jakie mamy, na temat posunięć separatystów. – Wcisnął przycisk z boku holostołu i w powietrzu nad blatem rozbłysło kilka różnych planet.

Ventress obeszła powoli stół, przypatrując się holograficznym światom, szybko analizując i wykluczając różne możliwości. Nie uszło jej uwagi pytające spojrzenie, jakie rzucił Vosowi Kenobi, ani pokrzepiające skinięcie głowy tego pierwszego. Zatrzymała się przed jedną z przejrzystych, błękitnawych sfer.

– Tutaj – powiedziała. – Christophsis. – Dotknęła hologramu i powiększyła obszar średniej wielkości miasta: nie za dużego, ale i niezbyt małego. – Grievous będzie tutaj.

– Mówisz o tej walce? – zdziwił się Windu. – Ale to takie... nieistotne!

Ventress uśmiechnęła się do niego chłodno.

– Nie dla Dooku. Ma do spłacenia własne długi. A przełożony Grievousa będzie... – Powiększyła obszar jeszcze bardziej, a potem podniosła dłoń wyżej. Widok zmienił się: teraz przed ich oczami rozciągała się nie panorama miasta, ale niebo nad nim. Asajj przesuwiała obraz jeszcze i jeszcze wyżej, dopóki nie wskazała szczupłym palcem widniejącego na niebie drednota separatystów. – ... tutaj – wymruczała.

– Jesteś pewna? – spytał z powątpiewaniem Kenobi.

Zmrużyła oczy.

– Dlaczego – prychnęła – miałabym was okłamywać po tym wszystkim, co

zrobił mi Dooku?

– Rację Ventress ma, hm? – stwierdził Yoda, po czym oznajmił Vosowi: – Koło pełne zatoczysz, kiedy zadanie to wypełnisz. Niech Moc będzie z wami.

Vos skłonił głowę i odwrócił się z zamiarem wyjścia. Idąc za nim, Ventress wymamrotała pod nosem:

– Jasne. Jasne.

– Świetnie sobie poradziłaś – pochwalił ją Vos, gdy zbliżali się do „Banshee” dokującej pośród statków Jedi. Ventress pomyślała, że idealnie odzwierciedla to jej aktualną pozycję.

– Ty też byłeś całkiem niezły – zauważyła. – Nic dziwnego, że dobrą chwilę mi zabrało rozgryzienie cię. Jesteś dobry w te klocki.

– Jesteśmy w tym dobrzy. My – poprawił ją i uśmiechnął się do niej szeroko.

Odwzajemniła uśmiech. I przez moment, przez krótką chwilę, poczuła się jak dawniej. Nagle jednak zeszywniała.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

Zatrzymała się i rozejrzała po platformie, dziwnie spłoszona.

– Jesteś pewien, że to solowa misja? Wydawali się nieco... nerwowi. Zastanawiam się, czy nikt nas nie śledzi.

– Szczerze powiedziawszy – mruknął – na to właśnie liczę.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– W jaką gierkę pogrywasz tym razem, Vos?

– To żadna gierka, daję słowo – zapewnił ją. – To znaczy... może nieco hazardu. Ale to ryzyko, które muszę podjąć.

– Nie podoba mi się to – ostrzegła go.

– Wiem. I obiecuję ci, że już wkrótce wszystko ci wyjaśnię.

– Wiesz, był taki jeden przystojny palant, który powiedział mi kiedyś, że współpraca wymaga zaufania.

W jego brązowych oczach załśniła uraza. Położył jej dłonie na ramionach.

– Hej! – powiedział cicho. – Czasem trzeba na chwilę dochować tajemnicy. To jednak wcale nie znaczy, że nie możesz mi ufać.

– Nie przede mną, Quinlanie – zganiła go. – Nie powinieneś mieć tajemnic przede mną.

– Mógłbym teraz powiedzieć coś naprawdę okrutnego na temat mistrza

Tholme'a, ale nie zrobię tego. A ty mogłabyś mi się odgryźć czymś równie bolesnym. Albo... – dodał, podnosząc jej podbródek – zaufać mi. A przynajmniej wierzyć w to, co do ciebie czuję.

Wciąż czuła się nieswojo, jednak pokiwała tylko głową. Tego jednego mogła być pewna. I musiało jej to na razie wystarczyć.

– Chodź – przynagliła go. – Musimy zabić hrabiego.

Rozdział trzydziesty szósty

„Banshee” wyskoczyła z nadprzestrzeni w pobliżu Christophsis.

– A niech mnie – bąknął Vos, spoglądając na majaczącą w oddali flotę okrętów.

– A ja nawet nie wiem, co to za wendeta. A ty?

– Też nie wiem – odparła obojętnie Ventress. – I nie obchodzi mnie to. – Sięgnęła do kontrolki statku. – No, no... – mruknęła pod nosem. – Zjawianie się na polu walki podczas przygotowań do bitwy popłaca. Wrota są otwarte, a pola chroniące wszystkie hangary nieaktywne, żeby statki mogły lądować i startować według potrzeb.

– Asajj... – powiedział cicho Vos.

Zamarła na dźwięk tonu jego głosu. Podniosła na niego wzrok i syknęła ostrzegawczo:

– Ani mi się waż.

– Nie ma szans, byśmy zdołali ukryć ten statek w hangarze – podjął mimo to. – A poza tym... to moja walka. Sama powiedziałaś, że nie zależy ci na śmierci Dooku. Jednak mnie zależy. Chcę to zrobić dla siebie, a także dlatego, że wiem, ile dobrego przysporzy to galaktyce.

– Więc żadasz ode mnie, żebym po prostu grzecznie czekała, a po wszystkim podjechała, żeby cię odebrać? – parsknęła.

Przyklęknął obok jej fotela.

– Chcę, żebyś była bezpieczna – wyznał, ujmując jej dłoń. – I żebyś na mnie zaczekała. Bo wrócę do ciebie, kiedy będzie po wszystkim. Obiecuję.

Spojrzała na niego badawczo, a potem pochyliła się, złapała go za poły szaty, przyciągnęła do siebie i pocałowała mocno. Odwzajemnił pocałunek ochoczo, niemal desperacko, obejmując jedną ręką tył jej głowy, a drugą otaczając jej ramiona. Po dłuższej chwili wypuściła go z objęć.

– Lepiej, żeby tak było – mruknęła. – Bo inaczej przyjdę po ciebie. Masz to jak w banku.

– Umowa stoi – zgodził się z uśmiechem i wstał.

Patrzyła w ślad za nim, jak idzie na rufę i zajmuje pozycję u szczytu trapu, po czym skupiła się z powrotem na kontrolkach. Z najwyższą ostrożnością sprowadziła zamaskowaną „Banshee” na poziom potężnego dreadnota Dooku,

powoli i w skupieniu lecąc tuż pod wrota otwartego hangaru. Vos miał rację: jedna osoba miała szansę przekraść się niezauważenie, ale jej statek – nie.

– Otwieram drzwi! – zawołała i wprowadziła słowa w czyn.

– Jeszcze, jeszcze trochę... – instruował ją Vos. – Odrobinę bliżej...

Ventress skupiła się maksymalnie, korzystając z więzi z Mocą, by wyczuć otoczenie i sprowadzić statek dość nisko, by Vos mógł bezpiecznie skoczyć do środka, jednak nie na tyle, by naruszyć granice hangaru. Przymknęła oczy, gdy jej palce tańczyły przez chwilę nad pulpitem, a potem je otworzyła. Dotarli do celu.

Odwróciła się do Vosa.

– Teraz! – krzyknęła.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się do niej szeroko – i skoczył.

Prom był, ma się rozumieć, pomysłem Anakina.

Zabrali na pokład „Vigilance” zarekwirowany wahadłowiec separatystów, obsadzony dwoma droidami bojowymi, które Skywalker przeprogramował tak, by wypełniały posłusznie ich rozkazy. Ukryci za „pilotami” Kenobi i Anakin z trudem mieścili się w ciasnej przestrzeni.

– Anakinie! – mruknął Obi-Wan, manipulując kontrolkami zdalnego pulpitu. – Ten plan, podobnie jak wszystkie inne twoje pomysły, to czyste szaleństwo.

– Nie bądź takim pesymistą, przynajmniej raz. Zrób to dla mnie – rzucił Skywalker do zmodyfikowanego komunikatora. Gdy jego głos dobiegł z metalowych „ust” droida, posłał przyjacielowi triumfalne spojrzenie.

– Lecisz za szybko! – zganił go Kenobi. – Zorientują się, że coś jest nie tak! – W przeciwieństwie do Skywalkera, nie korzystał ze sztucznego wokodera.

Droid kontrolowany przez Anakina trzepnął Obi-Wana w ramię – zbyt mocno jak na gust brodatego mistrza Jedi.

– Hej! Rozchmurz się trochę, co? No dobra. Z tego, co widzę, wynika, że Ventress i Vos się rozdzielili. Quinlan jest teraz we wnętrzu krążownika. Więc to najprawdopodobniej tam jest Dooku.

– I, jak się domyślam, zamierzasz po prostu radośnie wparadować za nim do środka?

– Rozkaz, rozkaz! – Anakin wyszczerzył się do niego bezczelnie.

Przeprogramowane droidy okazały się użyteczne nawet podczas manewru, który – jak to ujął Obi-Wan – pozwolił im „wparadować” do środka. Pieszko,

trzymając się kawałek za blaszakami, Anakin i Obi-Wan kierowali ich w głąb korytarzy, „widząc” otoczenie ich fotoreceptorami. W pewnym momencie Kenobi stwierdził:

– Musimy się dowiedzieć, gdzie jest Dooku. Stawiam na mostek.

– Momencik – odmruknął Skywalker i poprowadził swojego droida korytarzem ku grupce jego pobratymców uzbrojonych w blastery.

– Anakinie...

– Cii! – syknął młodszy Jedi. Pomajstrował przy kontrolkach i jego robot wskazał mechaniczną dłońią na własną szyję. – Mój wokoder się zepsuł – oświadczył kolegom.

– Rany, brzmisz strasznie – skomentował jeden z blaszaków. – Lepiej go napraw.

– Rozkaz – potwierdził zdalnie manipulowany robot. – Mam informacje dla hrabiego Dooku. Gdzie go znajdzie?

– Jest na mostku, ale lada chwila wybiera się do pomieszczenia obserwacyjnego. Nim jednak się z nim spotkasz, radziłbym ci naprawić wokoder – poradził mu blaszany ziomek.

– Rozkaz, rozkaz – potwierdził droid Anakina i ruszył przed siebie.

Kenobi tymczasem odwrócił się do przyjaciela i spojrzał na niego z niechętnym podziwem.

– Dobra robota, Anakinie.

– Rozkaz, ro...

– Nie – wszedł mu w słowo Obi-Wan. – Ruszajmy na pokład obserwacyjny, zanim dotrze tam Dooku.

Wykorzystywali jeszcze przez jakiś czas swoje droidy jako zwiadowców, dopóki nie „zaparkowali” ich na uboczu, z dala od wścibskich oczu. Zdawali sobie sprawę z tego, że prędzej czy później ktoś je odkryje, jednak liczyli na to, że do tego czasu załatwią swoje sprawy i będą w drodze powrotnej na Coruscant – korzystając z tego czy innego środka transportu. Nawet mimo tego, że wybrali okreśną drogę, zjawili się u celu przed właścicielem okrętu ale tylko nieznacznie. Rozejrzeli się dookoła z posępnymi minami.

– Dlaczego Dooku musi być takim... minimalistą? – mruknął Anakin. W pobliżu było tylko jedno miejsce, które mogliby wykorzystać jako kryjówkę, na dodatek boleśnie banalne: wielkie biurko o półokrągłym blacie, ustawione na uboczu.

– Zaśmieczone pomieszczenie to zaśmiecony umysł – mruknął machinalnie Obi-Wan. – Cóż, przynajmniej oszczędził nam konieczności dokonywania wyboru. Jeśli się postaramy, zmieścimy się pod nim obaj. Lepiej się jednak pospieszmy...

Kenobi miał rację w obu kwestiach. Gdy wraz z Anakinem zdołali się schować pod biurkiem, przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności mieli dobry widok na drzwi. A te już za chwilę się rozsunęły.

Do środka wmaszerował hrabia Dooku. Był sam i przez chwilę Kenobi obawiał się, że przywódca separatystów ich wyczuł: zatrzymał się, marszcząc czoło i omiatając pokój czujnym wzrokiem. Zanurkowali bezszelestnie za mebel, zaciskając palce na rękojeściach mieczy. Dooku podjął marsz w stronę biurka, gdy drzwi otworzyły się ponownie.

Stał w nich Quinlan Vos, eskortowany przez grupę droidów bojowych, jednak nie wyglądał wcale jak beztroski Jedi, którego Obi-Wan znał od lat. Sprawiał wrażenie zimnego, aroganckiego... złego do szpiku kości. Skulony obok Kenobiego Skywalker wydał z siebie ciche, gniewne warknięcie i zaczął wstawać, ale Obi-Wan w porę położył mu dłoń na ramieniu i wymówił bezgłośnie: „Zaczekaj!”.

– Przyprawiliśmy go, jak pan kazał, sir – zameldował jeden z droidów.

– Vos – przywitał Quinlana Dooku. – A więc udało ci się?

– Jestem tu, czyż nie? – odparł Vos głosem równie lodowatym jak wyraz jego twarzy.

Dooku zachichotał, lustrując Kiffara od stóp do głów.

– Wydajesz się... nieskrępowany, rzekłbym. Wyczuwam w tobie wielką siłę.

– To prawda – przyznał Quinlan. – Jestem teraz spokojniejszy. Bardziej skupiony. Silniejszy niż wcześniej. – W mgnieniu oka sięgnął po swój miecz i aktywował go. Zielony blask klingi zmienił jego uśmiech w upiorny grymas. – Dość silny, by cię zabić.

Anakin znów spróbował wstać, tym razem z wyrazem ulgi na twarzy, jednak Kenobi ponownie go powstrzymał.

– Zaczekajmy i przekonajmy się, jak się rozwinie sytuacja – szepnął. – Musimy zyskać pewność!

Dooku zapalił już własny miecz. Jedi i Sith mierzyli się przez chwilę w milczeniu wzrokiem. Wreszcie Dooku westchnął.

– Czy naprawdę musimy znów przez to przechodzić? Tym razem dopilnuję, żeby skutecznie odgonić tę uprzykrzoną muchę! – Nieruchomy jak skała hrabia

w mgnieniu oka przypuścił atak... Jednak Vos był szybszy. Przeskoczył nad Dooku – w samą porę, by uniknąć smugi szkarłatnej energii, która pozbawiłaby go nóg, gdyby zareagował ułamek sekundy później. Hrabia zawirował, kiedy Vos opuścił ostrze swojego miecza, i przyjął cios na swoją klingę. Quinlan skrzył ciało, wyprowadzając z półobrotu kopniak, mający zmusić przeciwnika do opuszczenia broni. Dooku poszedł za ciosem: przetoczył się na bok, jednocześnie unieruchamiając ciało Vosa Mocą i ciskając je przez całą długość pomieszczenia, a potem rozrzucił szeroko ramiona, wysnuwając z palców błyskawice Mocy... Jednak w miejscu, na które je nakierował, Vosa już nie było – Jedi wyciągał dłoń w stronę Dooku i miecz hrabiego posłusznie poszybował prosto w jego palce. Vos uśmiechnął się z okrutną satysfakcją. Dooku nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaniepokojony, gdyż zamiast się zżymać, poczęstował Jedi kolejną porcją błękitnych wyładowań. Kiedy Quinlan skrzyżował przed sobą w ochronnym geście obie klingi, szkarłatną i zieloną, hrabia strzepnął nadgarstkiem. Vos przekoziółkował w tył, a miecz Dooku poszybował z powrotem do swojego prawowitego właściciela – i walka rozgorzała na nowo.

Ukryci za biurkiem Anakin i Obi-Wan obserwowali w napięciu rozwój wydarzeń, czujni i gotowi interweniować w odpowiedniej chwili. Anakin sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wkroczą do akcji, ale Vos radził sobie bez zarzutu. Wyskakiwał w powietrze, nurkował i przetaczał się na bok. Może i Dooku miał do perfekcji opanowany zestaw precyzyjnych ruchów i ciosów, jednak nieprzewidywalność Quinlana – prawdopodobnie zadziwiająca nawet jego samego – dawała mu przewagę nad przeciwnikiem.

Tak jak teraz. Vos okrążał hrabiego niemal tanecznym krokiem, zmuszając go do wirowania, zadawania ciosów i blokowania sztychów z każdej strony. I nagle wydawało się, że jest już po wszystkim. Dooku sprawiał wrażenie wyczerpanego – może i tylko odrobinę – lecz w jednej chwili Kenobi widział, jak hrabia walczy, a w następnej sekundzie obserwował, jak jego miecz szybuje znów przez pokój, a jego właściciel leży, rozpląszczony, na podłodze.

Vos uśmiechnął się do pokonanego Sitha, trzymając miecz zaledwie centymetr od jego gardła.

Mimo to Kenobi czekał. „Dlaczego Vos tego nie skończy, tu i teraz?” – zachodził w głowę.

Dooku odezwał się wreszcie z ociąganiem:

– Jak sądzisz? Co osiągniesz, zabijając mnie? – warknął. – Satisfakcję?
Szacunek?

Vos pochylił się nad nim, patrząc mu prosto w oczy.

– Nowego mistrza – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Co on wyprawia? – syknął Anakin.

Dooku także wydawał się zaskoczony.

– To niemożliwe! – warknął.

Vos tymczasem złapał Dooku za siwą czuprynę i uderzył jego głową o podłogę.

– Czyżby? – spytał. – Po wszystkich twoich zdradach? Potknięciach? Naprawdę sądzisz, że twój pan tak lekkomyślnie by mnie odtrącił?

– Sidious zabije cię, gdy tylko cię ujrzy! Wydaje ci się, że wzięłby na ucznia byle kogo? Miernego Jedi?

– Miernego? A kto ma miecz świetlny? – Vos ponownie wyrzwał głową hrabiego o metalową podłogę, tym razem zaciskając palce na gardle starszego mężczyzny. Ścisnął mocniej...

– Potrzebujesz... wprowadzenia... – wychrypiął Dooku.

– Obi-Wanie – szepnął Anakin nagłaco. Kenobi podniósł jednak dłoń. Chciał się dowiedzieć więcej, nim interweniują. Może nawet uda im się poznać tożsamość drugiego lorda Sithów?

– Łzesz! – warknął Vos, jednak Kenobi czuł, że rozluźnił nieco chwyt, tak by Dooku mógł mówić swobodniej.

– Czyżby? A więc w porządku. Idź. Znajdź go. Zobaczymy, co się wydarzy. Albo... dołącz do mnie ponownie. Wspólnie pokonamy Sidiousa!

– Nie będę twoim uczniem! – Vos zaczął znów dusić hrabiego.

– Nie! Nie! – wycharczał Dooku. – Stwórzmy zespół. Jak równy z równym...!

– Sithowie tak nie robią!

– A czy ty i ja jesteśmy zwykłymi Sithami?

Vos wciąż sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

– Wiesz, gdzie on jest? Tylko nie waz się mnie okłamywać!

– Oczywiście, że wiem! – stęknął hrabia. – Tylko mi ufa.

Minęła minuta – długa, pełna napięcia. Kenobi desperacko liczył na to, że Vos nie podejmie tego ostatniego, brzemiennego w skutki kroku, który przypieczeruje jego los. „Nie pozwól mu na to, stary druhu...” – modlił się w duchu.

Na próżno. Vos rozluźnił chwyt na gardle hrabiego.

– W takim razie znajdziemy...

Jak na komendę, Anakin i Obi-Wan wyprysnęli ze swojej kryjówki. Dooku skoczył na równe nogi z gniewnym sykiem:

– Jedi!

Obi-Wan był zbyt zdruzgotany, by wykrztusić choć słowo. Rzucił się na Dooku, kopniakiem ścinając go z nóg, a potem wyrzutem ramienia przywołując do siebie miecz hrabiego z kąta pokoju, w który odtoczyła się broń. Zapalił ją, zatrzymując koniec klingi o włos od piersi przywódcy separatystów.

Anakin tymczasem wziął na cel Vosa, uderzając z główki i wyrywając z uścisku palców przeciwnika jego miecz. Stał nad nim, a gdy przemówił, jego twarz wykrzywił grymas bólu i gniewu.

– Nie posiadam się z radości, mogąc ci zakomunikować, że ten wasz parszywy, niewypowiedziane obmierzły sojusz nie dojdzie, niestety, do skutku.

– Hrabio Dooku, Quinlanie Vosie – dodał Kenobi, zaskoczony silnym, spokojnym brzmieniem własnego głosu – jesteście obaj aresztowani pod zarzutem zdrady.

– Obi-Wan...! – jęknął wyraźnie wstrząśnięty widokiem przyjaciela Vos.

– Dostałeś szansę – warknął Kenobi. – I to niejedną. Koniec tej farsy.

Rozdział trzydziesty siódmy

Mrok panujący w sali narad „Vigilance” pasował do ponurych wieści, które z niej przekazywano. Jedyne blaski pochodziły z niewielkich, wielobarwnych ekranów czarnych konsol i błękitnawej poświaty rzucanej przez hologramową postać mistrza Kenobiego. Obok Mahranina Desha stał osłupiały chagriański rycerz Jedi Kav Bayons, z na wpół rozdziawionymi ustami. Nawet komandor Cody wyglądał na wstrząśniętego.

– T-to... Musiała zajść jakaś pomyłka! – wykrztusił Desh.

– Bardzo chciałbym, żeby tak było – odparł ponuro Kenobi. Wyglądał... staro, a Desh nigdy wcześniej nie widział go bardziej posępnym. – Jedyne dobre wiadomości jest taka, że hrabia Dooku trafił do aresztu – oznajmił Obi-Wan. – Generał Skywalker i ja spotkamy się z wami niebawem. Razem z więźniami. – Wahał się przez chwilę, szukając słów. – Bayonsie, Deshu... Musicie wiedzieć, że moje pierwotne rozkazy od Rady mówiły o... egzekucji. Całkiem możliwe, że będzie to konieczne. I że to właśnie my będziemy musieli je wypełnić.

– Ale... Egzekucja?! Obu? Czy to się dzieje naprawdę?

– Obu – potwierdził z ciężkim sercem Kenobi. – Po moim przybyciu niezwłocznie skontaktuję się z Radą i będę liczył na to, że jej członkowie rozważą ponownie swoją decyzję. Chciałbym, żebyście byli świadomi powagi sytuacji. Spotkajmy się w hangarze. Zabierzcie ze sobą dość ludzi, by zapewnić więźniom odpowiednią eskortę do aresztu.

– Tak jest, mistrzu Kenobi – wymamrotał nieprzytomnie Desh. Gdy hologram Kenobiego zamigotał i zniknął, stał jeszcze przez chwilę w bezruchu, oszołomiony.

Cody spojrzał na niego z mieszaniną żalu, współczucia i determinacji. Na niebieskawej twarzy Bayonsa malowała się troska. Wysoki, młodszy od Desha, wyróżnił się chwalebnie na polu walki, jednak Mahranin podejrzewał, że to była jego pierwsza styczność z mroczną potęgą ciemnej strony. Prawda była jednak taka, że Desh także zetknął się z nią pierwszy raz – i odczuł to boleśniej, niż mógłby przypuszczać w najśmielszych snach.

– Desh... Tak bardzo mi przykro... – bąknął Bayons. – Wiem, że ty i mistrz Vos przyjaźniliście się...

– T-tak, znam Quinlana... dość długo. Nie mogę w to uwierzyć...

– Zdrada kogoś, kogo się zna i komu się ufa, to zawsze szok – powiedział współczująco Cody. – My, klony, przeżyliśmy kilka podobnych sytuacji w ciągu ostatnich paru lat – wyznał. – Jeden z naszych, Slick, zwrócił się przeciwko nam. Współpracował z wrogiem. Twierdził, że kocha swoich braci, a jednak przekazywał informacje Ventress i sabotował nasze linie zaopatrzeniowe... Dopuścił się czynów, wskutek których zginęło mnóstwo naszych braci. Śmieszny sposób na okazywanie braterskiej miłości, gdyby ktoś chciał znać moje zdanie. – Pokręcił głową. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, jeśli to powiem, sir, ale... wolałbym, żeby moich braci zwiódła ciemna strona Mocy, niż gdyby okazali się zwykłymi zdrajcami.

– Nie ma potrzeby prosić o wybaczenie – westchnął Desh. – Jednak tak czy inaczej, to prawdziwa tragedia. – Wyprężył wąską pierś i spróbował się opanować. Mieli zadanie do wypełnienia. – Komandorze? Jak wielu ludzi możemy sprowadzić do hangaru?

Cody roześmiał się, ale bez radości.

– Jeśli w grę wchodzi hrabia Dooku i Quinlan Vos? Dwie setki powinny wystarczyć.

Żołnierzy było znacznie mniej niż obiecane dwie setki, ale kilkadziesiąt klonów, wybranych osobiście przez Cody'ego i zgromadzonych w przestronnym hangarze „Vigilance”, czekało czujnie na przybycie niesławnych więźniów. Mimo ostrzeżeń Desh nie był jednak przygotowany na widok swojego starego przyjaciela, prowadzonego na pokład promu Jedi w kajdankach ogłuszających u boku podłego hrabiego Dooku. Generał Skywalker sprawiał wrażenie, jakby świerzbiły go ręce, by na miejscu skrócić Vosa o głowę, mistrz Kenobi emanował zaś ponurym gniewem, choć jego aurę w Mocy przesycił nieskończony ból.

Desh także sięgnął po Moc i spróbował się uspokoić. Uświadomił sobie, że teraz sam też to czuje: widział w oczach Vosa obojętność i chłód. Dostrzegął w jego wykrzywionych w okrutnym grymasie ustach tę samą bezlitosną wściekłość, co u Dooku. Bez wątpienia wyczuwszy na sobie jego taksujące spojrzenie, Quinlan zerknął na niego. W jego wzroku nie było śladu żalu ani skruchy – nic poza lodowatą nienawiścią, tak brzydko deformującą znajome rysy. Desh przełknął nerwowo ślinę. To była chyba najtrudniejsza powinność, z jaką przyszło mu się kiedykolwiek zmierzyć.

– Sir! – zameldował Cody. – Wysłałem dwa tuziny moich najlepszych ludzi w charakterze eskorty i ustawiłem patrole klonów co kilka metrów na trasie między punktem przejścia a aresztem.

Skywalker ponaglał Vosa, pchając go w stronę Desha, gdy Kenobi stwierdził:

– Dobra robota, komandorze. – Mistrz Jedi niechętnie przekazał Dooku pieczy Bayonsa, nie kryjąc przy tym niesmaku. Desh zauważył przelotnie, że Kenobi nie jest w stanie zmusić się, by choćby przelotnie spojrzeć na Vosa. – Ta dwójka ma brzydki zwyczaj wymykania się strażom – bąknął tylko.

– Nie pod moją pieczę, sir!

– Przekażmy wieści Radzie, Anakinie – westchnął Kenobi.

Rzuciwszy ostatnie, nienawistne spojrzenie Dooku i Vosowi, Skywalker odwrócił się do nich plecami i podążył za Kenobim... pozostawiając Desha twarzą w twarz z Vosem. Mahranin mimowolnie obnażył kły w cichym warknięciu. Bez słowa skinął głową klonom. Czwórka żołnierzy – w tym i Cody – ruszyła prosto do Dooku, aby unieruchomić więźniów i poprowadzić ich wprost do aresztu.

– Desh? Popędzasz błąd – odezwał się Vos.

– Wystarczy mi ten, którego sam się dopuściłeś – odwarknął Mahranin. Sierść na jego grzbiecie stanęła dęba, wydał nozdrza, starając się uspokoić. – I za który pewnie wkrótce zapłacisz życiem. – Wiedział, że nie powinien być w ogóle się odzywać. Powinien pozostać spokojny, mając w pamięci Kodeks Jedi. Nie angażować się. Jednak zwyczajnie nie był w stanie. – Coś ty sobie, do cholery, myślał, Vos?! – warknął łamiącym się głosem. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Miał swoje powody – wtrącił gładko Dooku.

– Lepiej się zamknij! – szczeknął Bayons.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Czwórka klonów skuła więźniów, upewniając się, że się nie wymkną. Przed nimi maszerował tuzin żołnierzy. Jedi zabezpieczali tyły, wyprzedzając resztę klonów. Desh z lekkim zaskoczeniem spostrzegł, że ani Vos, ani Dooku nie stawiają oporu.

Nagle, niespodziewanie, Quinlan zatrzymał się i zwrócił twarzą do niego.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? – warknął.

Mahranin nie był w stanie przejrzeć enigmatycznego wyrazu malującego się na twarzy Vosa.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegł klon, flankujący go z prawej strony, szarpiąc krępującymi Vosa kajdanami.

– Sir? – dodał Cody. – Proszę go nie słuchać.

Desh podniósł dłoń.

– Nie. Chwileczkę – poprosił. – Spokojnie, komandorze. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. – Postąpił ku Vosowi, krzyżując ramiona na piersi i kładąc uszy po sobie. – Słucham.

– Jedi... nie rozumieją – wycedził Vos głosem ociekającym pogardą. – Nie jesteście w stanie w pełni pojąć potęgi ciemnej strony! Za bardzo się obawiacie jej ujarznienia! Nie jesteście gotowi do odpowiednich poświęceń! Jesteś słaby, Desh... Słaby... I żałosny. A mi jest... – Miecz Desha pofrunął do rąk Vosa. – ... przykro – dokończył Quinlan, wspomagany Mocą pchnięciem ciskając przyjaciela na zastępy klonów maszerujące za jego plecami. Żołnierze rozprysnęli się na boki niczym bilardowe kule.

Desh zerwał się na równe nogi – w samą porę, by dostrzec, jak Vos uwalnia Dooku z więzów. Hrabia nie próżnował, ale gestem przyzwał miecz Bayonsa. W mgnieniu oka Dooku uwolnił się od eskortujących go klonów, cisnął Cody'ego w głąb korytarza, wprost na gródź, oswobodził Vosa, po czym poraził cały prowadzący ich pochód, łącznie z Bayonsem, błyskawicami Mocy. Chagrianin i czwórka towarzyszących mu klonów upadła na pokład, wijąc się z bólu, tymczasem uzbrojony w miecz Desha Vos zaatakował go. Ich spojrzenia się spotkały. Desh warknął i rzucił się na dawnego przyjaciela, jednak nim zdążył schwycić go Mocą, były mistrz Jedi przeskoczył nad głowami Mahranina i klonów, po czym popędził w głąb korytarza, ku hangarowi – a Dooku za nim.

Mahrański Jedi obejrzał się przez ramię. Prawie wszystkie klony leżały na podłodze pokodem, nienaturalne pozycje ich ciał nie pozostawiały złudzeń co do tego, że już nigdy nie wstaną. Cody wydawał się ranny, jednak żył, Bayons zaś był nieco oszołomiony, ale szybko potrząsnął głową i dołączył do Desha w pościgu.

Kilku pozostałych przy życiu żołnierzy strzelało do zbiegów. Vos zawirował tymczasem w półobrocie, odbijając strzały i krzyknął do Dooku:

– Pozbądź się ich!

– Z przyjemnością – wymruczał hrabia. Zatrzymał się, wyrzucił ręce przed siebie i wzniosł wysoko zaciśnięte pięści. Poderwane Mocą w powietrze klony upuściły blastery, a ich ręce powędrowały do gardeł uwięzionych w niewidzialnym uścisku. Desh usłyszał paskudne chrupnięcie i ciała wszystkich żołnierzy zwisły bezwładnie, zawieszane między sufitem a podłogą. Wówczas

hrabia cisnął je ze wstrętnym uśmiechem wprost na Bayonsa i Desha. Jedi uskoczyli przed nimi zwinnie, nie przerywając pościgu.

Gdy Desh wezwał Moc i wspomógł się nią, by skoczyć na człowieka, którego uważał niegdyś za przyjaciela, w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: powstrzymać Vosa. Zyskał teraz pewność, że jedynym sposobem, by tego dokonać, było go zabić.

Zabić... i zginąć wraz z nim.

Skoczył, strzepując prawym nadgarstkiem i rozcapierzając palce. Spod jego dłoni wystrzelił sześciocentymetrowy fragment kości ociekający czarnym jadem. Wysłunięcie żądła automatycznie wstrzykiwało do jego krwioobiegu toksynę. Proces nie był bolesny... jeszcze nie. Gdy już, już miał dosięgnąć Quinlana i zakończyć to, co zaczął, uczeń Sitha – bo tym właśnie był teraz Vos, Desh nie miał co do tego wątpliwości – wypchnął przed siebie dłoń, obracając ją w powietrzu... i ku jego przerażeniu, ciskając wprost na Bayonsa.

Desh desperacko próbował w locie skrócić ciało w bok, odsunąć żądło, by nie ugodzić nim chagriańskiego Jedi, jednak było już za późno. Śmiercionośna igła wbiła się w niebieską twarz, po której spłynęła strużka krwi. Okolica ułcutia zaczęła natychmiast puchnąć. Bayons wpatrywał się w Desha okrągłymi ze strachu oczami. Zatoczył się i wsparł o ścianę.

W żyłach Desha krążyły coraz większe ilości jadu. Leżał w miejscu, w którym upadł, wstrząsany drgawkami bólu. Jego krew zmieniła się w płynny ogień, paląc jego ciało żywcem z każdym uderzeniem serca. Stłumił cisnący mu się na usta jęk bólu, piana wystąpiła mu na usta. Przed oczami latały mu ciemne plamy – wiedział, że za chwilę oślepie, jednak na razie widział stojącą nad nim postać – jak za mgłą, ale jednak.

Vos wiedział o gorzkim darze Mahran. I wiedział też, że choć śmierć jest nieuchronna, agonia może trwać nawet do dziesięciu minut, wypełnionych nieopisanymi mękami.

Kiedy więc podniósł miecz przyjaciela i opuścił go, by skrócić jego cierpienie, Desh nie wiedział, czy uczynił to z okrucieństwa, czy z litości.

Kenobi wziął głęboki oddech. Nie było sensu dłużej tego przeciągać. Wcisnął jedną z kontrolki holostofu w sali narad i w powietrzu przed nim pojawił się hologram Rady Jedi. Zerknął najpierw na Yodę, który odwzajemnił spojrzenie, wyraźnie

przygnębiony.

– Zawiódł Vos. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak, mistrzu Yodo – odparł Kenobi. – Nawet we własnych uszach jego głos brzmiał nieskończenie ponuro. – Aresztowaliśmy zarówno jego, jak i Dooku. – Pokrótce zdał Radzie relację z ostatnich wydarzeń.

– Naprawdę mi przykro, że sprawy przybrały taki obrót, mistrzu Kenobi – powiedział Windu. – Jednak... Sądzę, że wszyscy zgodzicie się ze mną, że to rozwiązuje nam problem. Quinlan Vos sam podpisał na siebie wyrok śmierci.

Twarze wszystkich członków Rady zdradzały niepokój, nawet Windu. Kenobi nie miał wątpliwości, że Mace chciałby tym razem się mylić.

Yoda pokiwał smutno głową.

– Podpisał go, zaprawdę.

– My... Możemy zająć się tą sprawą tutaj, jeśli sobie tego życzyacie – zaproponował Kenobi, dziwiąc się, jak beznamiętnie brzmiała w jego ustach sugestia dokonania egzekucji.

Yoda pokręcił jednak głową.

– Obu schwytania nie spodziewaliśmy się. Do Świątyni ich sprowadźcie. Jeśli informacje od nich uzyskamy, wiele istnień ocalonych zostanie. Potem jednak... śmierć ich czeka.

– Tak jest, mistrzu Yodo. – Kenobi wcisnął przycisk i hologram zniknął.

Obi-Wan wsparł się oburącz o stół i trwał tak przez chwilę, z pochyloną głową, w milczeniu.

– Hej – zagadnął go łagodnie Anakin. – To nie twoja wina.

Kenobi parsknął bezradosnym śmiechem.

– Czyżby? To właśnie ja wysunąłem jego kandydaturę do tej misji.

– Nie mogłeś prze...

– Generale Kenobi! Generale Skywalker! – z głośnika komunikatora Kenobiego dobiegł zaaferowany głos Cody'ego. – Uciekli! Wygląda na to, że moi ludzie nie żyją. Zabili też Desha i Bayonsa. Są teraz w korytarzu i kierują się do hangaru.

– Czy możesz ich ścigać? – spytał Kenobi. Zarówno on, jak i Anakin zapalili już swoje miecze i biegli w stronę drzwi.

– Przykro mi, sir, ale nie. Mam strzaskaną nogę.

– Poskładamy cię do kupy, Cody, spokojna głowa – zapewnił go Anakin, dodając pod nosem: – Ci podstępni, obślizgli...

– Nie gadaj – wszedł mu w słowo Kenobi – tylko biegnij.

– Ventress?

Asajj przymknęła z ulgą oczy.

– Vos? Już po wszystkim?

– Wysłałam ci nasze współrzędne. – W jego głosie słychać było napięcie.

– Współrzędne? Nasze? – zdziwiła się. – Kto jest z tobą?

– Później ci wyjaśnię.

– Wyjaśnisz mi teraz.

– Teraz naprawdę nie jest na to dobra pora – mówił coraz głośniej, dziwnie rozkojarzony.

W jej umyśle znów zapaliły się ostrzegawcze lampki i rozwyły się alarmowe syreny.

– W porządku. Już lecę. Ale wiedz, że nie podoba mi się to wszystko.

Gdy wpisała współrzędne w komputer, otworzyła szerzej oczy. Vos był na pokładzie krążownika Jedi? Przez chwilę się wahała. Coś najwyraźniej poszło bardzo, ale to bardzo nie tak. Jednak w Vosie nie było mroku. Jedi musieli to wiedzieć. Może zdołałyby się skontaktować z Kenobim...?

Nim zdążyła poważniej rozważyć tę możliwość, odsunęła ją od siebie. Nie. Lepiej ratować Vosa i natychmiast stąd zniknąć. Niech Jedi myślą sobie, co chcą. Ich zdanie już się nie liczyło.

Podprowadziła swój statek pod hangar, tak jak poprzednio. Gdy otworzyła wąż „Banshee”, usłyszała dwa głuchoe huknięcia, kiedy Vos i jego nieznany towarzysz wskoczyli do środka. Wcisnęła kontrolki, zamykając śluzę, i przyspieszyła, wpisując losowe współrzędne, by zmylić pościg, a potem rozpięła uprzęż i wyszła Vosowi na spotkanie.

– Widzę, że wciąż jesteś w je... – urwała w pół słowa. Dooku! Stojący w ładowni i wpatrujący się w nią hrabia wydawał się niemal równie wstrząśnięty, co ona. Nie próbując nawet ukryć przepelniającej ją wściekłości, zwróciła się gwałtownie do Vosa. – Coś ty zrobił?

– To wcale nie tak, jak... – zaczął, jednak nie dała mu dojść do słowa.

– Nie tak, jak myślę? Jak to możliwe? Dooku? Cały i zdrowy? Wciąż żywy?

– Opracowałeś plan ucieczki, polegając na niej?! – wykrzyknął niemal w tej samej chwili Dooku, obnażając zęby w grymasie wściekłości. – Najbardziej

beznadziejnej zabójczyni wszech czasów?

Vos zacisnął szczęki i pchnął go w pierś.

– Zważaj na słowa!

– Nie ufam jej!

– Cóż, a ja owszem. Dzięki mnie zaś ty jesteś wolny. Zawarliśmy umowę. Czyż nie?

Arystokratyczne rysy Dooku wykrzywił grymas pogardy, jednak kiwnął głową, zrezygnowany.

– Świetnie. A teraz się przypnij.

– Vos – wycedziła Ventress, tylko z najwyższym trudem kielznając gniew. – Musimy porozmawiać. Teraz. – Oстрыm ruchem głowy wskazała sterownię. Vos kiwnął głową i szybko wspiął się po drabince. – Co to ma, do cholery, znaczyć? – warknęła cicho, oglądając się na ładownię.

– Wszystko ci wyjaśnię. Przysięgam.

– Owszem, zrobisz to – potwierdziła z lodowatym spokojem. – Teraz.

– Teraz mamy na ogonie krążownik Jedi. Zaszujmy się najpierw w jakimś bezpiecznym miejscu, a wówczas wszystko ci opowiem.

– Co rozumiesz przez „bezpieczne miejsce”?

– Christophsis. Spotkamy się tam z krążownikiem separatystów, który na nas czeka.

Obejrzał się na ładownię, mrużąc oczy. Ventress przyglądała mu się przez chwilę sceptycznie, szukając w jego twarzy odpowiedzi.

Mówił prawdę. Uciekali, a Dooku należało nieustannie pilnować.

– W porządku – skapitulowała. – Uprzedzam cię jednak, że nie wiem, czy cokolwiek, co powiesz, przekona mnie, że zabieranie go ze sobą nie jest fatalną pomyłką. Z rodzaju tych, które mogą nas zabić.

Rozdział trzydziesty ósmy

Skywalker i Kenobi stali na mostku „Vigilance”, szybko mknącego przez przestrzeń kosmiczną.

– Obi-Wanie? – zagadnął przyjaciela Anakin, przyglądając się, jak „Banshee” kieruje się wprost na drednota separatystów. – Nie możemy pozwolić, by znów się nam wymknęli. Musimy otworzyć do nich ogień.

– I ryzykować zabicie wszystkich na pokładzie? – Kenobi pokręcił głową. – Nie. Musimy sprowadzić ich do Świątyni żywcem. Mają zbyt wiele informacji, które mogą nam się przydać. „Owszem – pomyślał z goryczą – zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby utrzymać ich przy życiu... tylko po to, by na końcu i tak ich zabić”.

– Tylko ich draśniemy – upierał się Anakin. – Obiecuję. Uszkodzimy ich statek, tak by musieli wylądować. To znacznie lepsze rozwiązanie niż pozwolić im, by uciekli.

Kenobi pogładził z namysłem brodę. Statek Ventress szybko zbliżał się do drednota.

– W porządku – ustąpił.

Anakin zwrócił się do Threepwooda, klona obsługującego stanowisko uzbrojenia.

– Strzelać bez rozkazu. Unieruchomić ich!

– Tak jest, sir!

Niemal dotarli do czekającego na nich drednota. Ventress dotkliwie zdawała sobie sprawę z obecności siedzącego im na ogonie krążownika Jedi. Z trudem dzieliła uwagę między próbę wprowadzenia „Banshee” jak najszybciej do hangaru okrętu separatystów a wykonywaniem agresywnych uników, byle nie dać się trafić. Sięgnęła po Moc...

– Trzymajcie się! – krzyknęła

Przechyliła statek mocno na lewą burtę – jednak nie dość szybko, by uniknąć ataku Jedi. „Banshee” zakołysała się gwałtownie, a sterownię zaczęły szybko wypełniać kłęby dymu, gdy kontrolki oszalały. Asajj gorączkowo starała się wlecieć do otwartego hangaru, ale „Banshee” nie chciała jej słuchać niczym

znarowiony rankor. Zdała sobie sprawę, że nie zdoła dotrzeć do drednota... choć może udałoby jej się wylądować na Christophsis? Nie miała żadnych wątpliwości, że się rozbija – pytanie brzmiało, jak twarde będzie to lądowanie.

– Trzymajcie się! – powtórzyła. – Przypnijcie się i przygotujcie, bo będzie trzęsło. Spróbuję nas posadzić!

Przecieli atmosferę. Nieustępliwa kryształowa powierzchnia pędziła im szybko na spotkanie, z każdą chwilą coraz bliżej. Ventress nie dawała za wygraną, próbując zapanować nad kontrolkami, desperacko starając się spowolnić ich lot, podnieść dziób i...

Dała sobie spokój z pulpitem sterowniczym, zamiast tego zanurzyła się we własny strach i gniew, przyzywając Moc. Nie zginie w głupiej katastrofie statku. Wciąż musi poznać odpowiedzi na wiele pytań. Sięgnęła na zewnątrz i całą swoją siłą woli zmusiła statek, by zwolnił... zwolnił jeszcze bardziej, dopóki nie...

Uderzyli w powierzchnię.

Obi-Wan podleciał promem Jedi na miejsce katastrofy i zatrzymał się nad nim w powietrzu. On i Anakin milczeli. Nie mieli problemu z namierzeniem statku Ventress – zostawił za sobą szlak drobnych błękitnozielonych kryształów, ryjąc w powierzchni planety bruzdę podczas zdecydowanie niekontrolowanego podejścia do lądowania.

– Powiedziałaś, że tylko go draśniesz – wypomniał przyjacielowi Obi-Wan.

– Proszę o wybaczenie, sir – bąknął Threepwood. – Zawinęli w ostatniej chwili.

– Miejmy nadzieję, że przeżyli – mruknął Kenobi. – Przygotujcie się do przyjęcia na pokład rannych.

Sprowadzając prom na płaski plac w pobliżu wraku, Obi-Wan nie robił sobie jednak zbyt wielkich nadziei. Kraksa była naprawdę paskudna. Klon miał rację – Ventress rzeczywiście szarpnęła statkiem w ostatniej chwili, być może posiłkując się Mocą. To, co miało być zaledwie draśnięciem, okazało się bezpośrednim trafieniem w rufę, które poważnie uszkodziło silniki „Banshee”. Christophsis nie była planetą z rodzaju tych, na których lądowanie awaryjne byłoby łagodne – a statek Asajj uderzył w nią z porządnym impetem. Szczątki leżały wszędzie, jak okiem sięgnąć.

Dwójka Jedi z zapalonymi mieczami świetlnymi, w eskorcie Threepwooda, Trackera i Boila w milczeniu okrążyła wrak. Anakin dał reszcie znać, by trzymali

się z tyłu, a sam podszedł do włazu i wyciął w nim mieczem otwór. Gdy wyszarpnął okrągły kawałek metalu z dziury i położył go na ziemi, z wnętrza buchnął dym. Skywalker zajrzał do środka, a kiedy odwrócił się do Kenobiego, twarz wykrzywił mu gniewny grymas.

– Nie ma ich tu!

– Sir? – zawołał Tracker. – Widzę ślady krwi! Chyba wydostali się przez przedni iluminator sterowni.

Kenobi rozejrzał się dookoła. Rzeczywiście, wszędzie była krew – i to całkiem sporo.

– Cóż – westchnął – a więc ktoś został ranny. W takim razie nie mogli uciec daleko. Zaczniemy przeszukiwać las.

Ventress pomyślała gorzko, że gniew to bardzo przydatne uczucie. Obecnie świetnie sprawdzał się na przykład w roli bodźca, dzięki któremu trzymała się na nogach, a nawet poruszała się względnie szybko – mimo że lewe kolano i ramię miała naszpikowane szczątkami pulpitu sterowniczego, który roztrzaskał się, gdy uderzyli w ziemię. Kierowali się do wieży, w której – jak zapewnił ich Dooku – znajdują statki, czekające, by zabrać ich do celu ich podróży. Jakikolwiek był. Wszyscy coś przed nią taili.

Vos był nieco poobijany, jednak poza tym wyszedł z katastrofy bez szwanku, Dooku zaś ucierpiał najbardziej z całej trójki. Był źle przypięty, kiedy oberwali od krążownika Jedi, i słono za to zapłacił. Kiedy przedzierali się przez strzeliste krystaliczne formacje, stanowiące miejscowy las, wspierał się ciężko na Vosie, zarzuciwszy mu ramię na szyję.

Jak na zawołanie usłyszała właśnie jego arystokratyczny głos, teraz pełen bólu:

– Muszę... chwilę odsapnąć.

– Ventress, stój! – poprosił Vos i opuścił hrabiego na ziemię, opierając go o wysoki, błękitnozielony obelisk. Dooku skrzywił się i złapał za zębra.

Asajj zacisnęła szczęki.

– Jakżeby inaczej – wycedziła – zginiemy przez tego, kogo mieliśmy zabić. – Kręcąc głową, dokuśtykała do Vosa i pchnęła go mocno w pierś. – Obiecałeś mi, że to się skończy!

Na dźwięk jej słów Dooku zachichotał, ale zaraz skrzywił się z bólu.

– Skończy? Moja droga Ventress, wręcz przeciwnie: to dopiero początek!

Po jej kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz.

– Vos? – zagadnęła ostrożnie. – O czym on bredzi? Czego mi nie mówisz?

Quinlan wskazał hrabiego głową, a potem ujął ją za łokieć i spróbował wyprowadzić poza zasięg słuchu Dooku. Wyszarpnęła rękę z jego uścisku, ale poszła za nim posłusznie.

– Szykuję dla nas coś lepszego – powiedział cicho. – Musisz mi tym razem zaufać, dobrze? – Jego oczy lśniły błagalnie.

– Tu nie chodzi o ciebie – warknęła. – Ten plan miał dotyczyć nas. Razem. Zapomniałeś już?

– Tu chodzi o nas, przysięgam!

– W ciągu ostatniej godziny złożyłeś całe mnóstwo obietnic – przypomniała mu oziębło. Gdyby chodziło o kogoś innego, w tym momencie odwróciłaby się na pięcie i po prostu odeszła. Dokąd jednak miała pójść? Pomogła w ucieczce Vosowi... który przywłókł ze sobą hrabiego Dooku we własnej osobie. Coś jej mówiło, że Jedi nie wybaczą jej drugi raz. A poza tym... wciąż odbierała przez Moc uczucia, jakie żywił wobec niej Vos. Jakikolwiek miał „plan”, naprawdę robił to, co uważał dla nich obojga za najlepsze. Musiała mu zaufać, przynajmniej chwilowo. Tym razem, gdy ostrożnie dotknął jej twarzy, pomny tego, jak mu się wcześniej wyszarpnęła, westchnęła i wtuliła policzek w jego dłoń.

– Jeśli już skończyliście się migdalić – dobiegł ich szorstki głos hrabiego – powinniśmy się zbierać.

Ventress odwróciła się do niego, nie próbując nawet ukryć odrazy.

– To ty chciałeś, żebyśmy się zatrzymali – wytknęła mu. W tym samym momencie zamigotało światełko na jej komunikatorze. Spojrzała na nie zaskoczona i sięgnęła, by odrzucić połączenie, jednak Vos zaprotestował:

– Nie. Odbierz.

Kiwnęła głową, odeszła kilka kroków, oparła się o skalny występ i odebrała. W powietrzu pojawił się hologram Obi-Wana Kenobiego, który natychmiast podniósł ręce w błagalnym geście.

– Ventress? Nie rozłączaj się, proszę – powiedział. – Wysłuchaj mnie.

– Nie mam na to czasu, Kenobi – syknęła.

– Będę się streszczał. Mistrz Yoda wyczuł, że Vos przeszedł jednak na ciemną stronę. Sprzymierzył się z hrabią Dooku. Musisz go przekonać, żeby się poddał, inaczej będziemy musieli go zabić.

Asajj zaczerpnęła gwałtownie tchu. Zabić? Najpierw Dooku, teraz Vos... Nigdy by się tego nie spodziewała po Jedi. Chwilę później dotarło do niej całe znaczenie słów Obi-Wana.

Nie. To niemożliwe. Wcześniej wyczuła emanujący od Vosa mrok, ale teraz zniknął. Quinlan wrócił z tej ścieżki, tak jak ona... Nieważne jednak, jak mocno wierzyła w to, że ją kocha – nalegał, by zabrali ze sobą Dooku, z pewnością więc coś przed nią taił. Obejrzała się na towarzyszących jej mężczyzn. Obserwowali ją, lecz nie mogli słyszeć rozmowy.

– Mylisz się, Kenobi – powiedziała szeptem. – On wypełni tę misję. Musisz dać nam nieco czasu! – Rozłączyła się i wzięła głęboki oddech.

Vos podszedł do niej.

– Co powiedział? – spytał cicho, nie chcąc, by Dooku go usłyszał.

– Obi-Wan powiedział mi, że przeszedłeś na ciemną stronę – wyznała bez ogródek. – Twierdzi, że jeśli się nie poddasz, będą zmuszeni nas zabić.

Na dźwięk słowa „zabić” Vos otworzył szeroko oczy, jednak zaraz pokręcił stanowczo głową.

– Poddać się? Teraz? Nic z tego. Nie w chwili, gdy jesteśmy tak blisko...

– Blisko czego?

Rysy mu złagodniały. Ujął jej kredowobiałą twarz w swoje ciemne dłonie.

– Blisko końca. Blisko całkowitej, pełnej wolności. – Pochylił się ku niej i pocałował ją delikatnie. Odwzajemniła pocałunek niemal desperacko, z całego serca pragnąc, by się nie mylił.

– Miłość ją zaślepiła – stwierdził współczująco Anakin.

Kenobi nie zaprzeczył. Powiedział tylko:

– Musimy ich znaleźć.

Jego komunikator znów zapiszczał. Odebrał szybko, modląc się w duchu, by była to Ventress, urządzenie wyemitowało jednak hologram Mace'a Windu.

– Jaki jest status misji, mistrzu Kenobi?

– Ścigaliśmy statek i zmusiliśmy ich, by wylądowali awaryjnie. Wygląda na to, że wszyscy przeżyli. Niestety, udało im się zbiec. W tej chwili ich śledzimy. Sądymy, że przynajmniej jedna osoba jest ranna. – Wahał się przez chwilę, jednak dodał w końcu: – Skontaktowaliśmy się z Ventress, ale nie była zbyt rozmowna. Nie wierzy, że Vos przeszedł na ciemną stronę. Twierdzi, że jest bliski wypełnienia

misji... – Skrzywił się, słysząc powątpiewanie we własnym głosie.

Jednak w głosie Mace'a nie było śladu niepewności, gdy odpowiedział:

– Skoro był blisko, powinien był już ją wypełnić. Musimy działać. Teraz. Próba schwytania ich żywcem rzeczywiście nie miała sensu. Znajdź zbiegów i zabij ich.

Jakiś cichy głos w głowie Obi-Wana Kenobiego zaszeptał: „To nie w porządku!”.

– Wszystkich? – spytał z niedowierzaniem.

– Wszystkich, którzy staną ci na drodze – odparł Mace.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Ventress, Vos i Dooku parli naprzód. Na pierwszy rzut oka wieża, do której maszerowali, wydawała się nie różnić niczym od wielkich, zjawiskowo pięknych kryształowych formacji, które wznosiły się nad powierzchnią planety. Gdy jednak znaleźli się bliżej, Asajj dostrzegła, że owszem, jest to kolejny kryształ, lecz poza tym, że wyjątkowo wielki, to wydrążony wewnątrz. Lśnił w blasku słońca, ale część rozbłysków stanowiły światła odbite od okien i metalowych powierzchni broni. Naturalny twór został zmieniony w kryjówkę spiskowców, miejsce zadawania śmierci i tortur, i Ventress zalała falą zimnej nienawiści na myśl o tym, że w tak brutalny sposób pogwałcono coś pięknego i niewinnego. Byli dość blisko, więc szli teraz w cieniu wieży, zanim ich jednak dostrzeżono, Dooku zażądał postoj.

– Co tym razem? – warknęła.

– Nie mogę wyglądać na słabego – oznajmił hrabia. – Większość z tych, których spotkamy, będą stanowiły droidy, jednak pośród nich znajdzie się kilka istot żywych. Vos? Pomóż mi...

Skrzyżowała ramiona na piersi i przyglądała się Dooku bez słowa. W głębi duszy skrycie liczyła na to, że po drodze się wykrwawi. Wówczas wraz z Vosem mogliby wrócić do Jedi, oświadczając im, że misja została wypełniona. A potem, mając to za sobą, mogliby uciec – tak jak planowali. Niestety, Dooku wykazał się charakterystyczną dla niego wolą przetrwania i najwyraźniej nie zamierzał umierać. Zmełała w ustach uszczypliwy komentarz, który miała ochotę rzucić na widok Vosa pomagającego hrabiemu pozbyć się co bardziej zakrwawionych fragmentów odzienia i ułożyć pelerynę w taki sposób, żeby materiał zasłaniał rany.

„Lepiej, żeby twój plan się sprawdził, na czymkolwiek polega” – poradziła w myśli Vosowi.

– Teraz lepiej – ocenił Dooku.

– A „dziękuję”? – Nie mogła się powstrzymać.

Hrabia rzucił jej pogardliwe spojrzenie, wyprostował się i ruszył przed siebie. Jedno musiała mu przyznać: nie dawał nic po sobie poznać. W rzeczy samej, był mistrzem podstęp.

U stóp wieży zgromadziły się setki droidów, część była ukryta za sześciokątnymi skalnymi formacjami. Asajj czuła się nieswojo z tyłoma wycelowanymi w nią blasterami.

– Wstrzymać ogień! – zawołał Dooku, wychodząc z kryształowego lasu na otwartą przestrzeń i podnosząc władczo ręce. – To ja, wasz pan.

– Hrabia Dooku! – Przy akompaniamencie szczęku i grzechotu droidy opuściły blastery.

– O, tak jest znacznie lepiej. A teraz prowadźcie mnie do centrum dowodzenia.

– A oni? – Jeden z droidów wskazał towarzyszy hrabiego.

Ventress zamarła. Wobec takiej liczby droidów nie mieli szans, jednak nie podda się bez walki. Jeżeli Dooku zamierzał ich teraz zdradzić, to była idealna chwila, byli przecież zdani na jego łaskę...

– Są ze mną – powiedział jednak hrabia i Ventress rozluźniła się, ale tylko odrobinę.

– Rozkaz. Tędy proszę, sir.

Przebywanie w sercu twierdzy separatystów przyprawiało Ventress o gęsią skórkę. Musiała nieustannie tłumić w sobie chęć przecinania w pół każdego droida, którego spotykali. Kiedy to wszystko – cokolwiek to było – się skończy, padnie z wyczerpania. Jednak wówczas ona i Vos wreszcie uciekną – razem, byle dalej od tego wszystkiego: Jedi, separatystów, Dooku... Wszystkiego. A to było z pewnością warte każdego wysiłku.

Podążyli za Dooku do windy, którą wjechali na jedno z wyższych pięter i z której wysiedli w dużej sali. Jej ściany okazały się od sufitu do podłogi przeszklone – najprawdopodobniej szyby były przejrzyste tylko od wewnątrz – dzięki czemu mieli stąd niemal nieograniczony widok na okolicę. Nawet bez sztucznego wspomaganie sprzętem widzieli wszystko jak okiem sięgnąć w promieniu wielu kilometrów, brzęczenie i szum licznych wyświetlaczy i konsol wypowiedziały zaś Ventress, że separatyści kontrolują stąd niemal wszystko, co się dzieje na Christophsis. Unikatowa struktura powierzchni planety zapewniała Dooku idealny kamuflaż dla jego bazy.

Pokój rozbrzmiewał monotonnym trajkotaniem droidów, które jednak ucichły wszystkie na widok Dooku. Vos i Ventress trzymali się nieco w tyle. Gdy Asajj zerknęła na Quinlana, spostrzegła, że nie spuszcza wzroku z hrabiego.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie opadły go wątpliwości. Liczyła na to, że tak.

– Sir! – zaszcebiotał jeden z blaszaków. – Darth Sidious próbuje się z panem skontaktować. Twierdzi, że to pilne.

– Och, czyżby? – parsknął Dooku. – Ciekawe, czego chce. Połączcie mnie z nim, natychmiast. – Obejrzał się na Ventress i Vosa. – Wy dwoje zaczekajcie tu. – Z tymi słowami odwrócił się i zniknął za drzwiami na prawo od windy. Vos bez namysłu wśliznął się za nim, nie oglądając się na Ventress. Wściekła na obu, ruszyła za nimi, nim jeszcze drzwi się zamknęły. W pomieszczeniu panował mrok, rozświetlony jedynie przez blask bijący od ustawionego na środku holostolu.

Dooku obejrzał się na nich, wyraźnie rozdrażniony.

– Kazałem wam czekać na zewnątrz!

– Nic z tego – odparł Vos. – O ile dobrze pamiętam, wspominałeś coś o przedstawieniu mnie. – Cofnął się do cienia w pobliżu drzwi, dając Ventress gestem znak, żeby podeszła do holostolu z drugiej strony. Wcisnęła się w kąt, zasłaniając ramieniem bladą twarz, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu Sidious postanowił się odwrócić, a drugą rękę kładąc na rękojeści miecza.

Hrabia chciał zaprotestować, jednak w tej samej chwili w powietrzu pojawił się hologram. Dooku padł na kolana i skłonił głowę. Ventress widziała już wcześniej Dartha Sidiousa, ale nigdy nie oglądała jego twarzy – tak zapewne odbędzie się to i tym razem. Miał na sobie te same ciężkie, ciemne szaty co zwykle, a jego oblicze skrywał głęboko nasunięty kaptur – nawet teraz, gdy miał rozmawiać tylko z hrabią.

– Darcie Tyranusie – przemówił mistrz hrabiego Dooku. Mimo że był obecny w pomieszczeniu tylko w formie hologramu, sam dźwięk jego chrapliwego, szeleszczącego niczym starożytne pergaminy głosu sprawił, że Ventress przeszedł zimny dreszcz. Ten człowiek był przesiąknięty do cna ciemną stroną Mocy, skąpany w niej w sposób, do jakiego – z całą pewnością – Vosowi, a nawet Dooku, było bardziej niż daleko. Zaciśnęła mocniej palce na rękojeści miecza.

– Mój panie – odpowiedział Dooku. W jego głosie pobrzmiwało coś, czego Ventress nie słyszała u niego nigdy wcześniej: służalczość.

– Wygląda na to, że zniknąłeś na dłuższą chwilę.

– Wybacz, mój panie. Zostałem na krótko zatrzymany przez siły Republiki, jednak udało mi się wymknąć.

Zakapturzona postać odwróciła głowę.

– Kto jest z tobą? Kto kryje się w cieniach?

Vos postąpił naprzód.

– To... to mój nowy... zabójca – odpowiedział Dooku, lekko speszony.

– Zabójca? – Szeleszczący głos ścichł do niskiego tembru, kipiącego od dezaprobaty i nagany. – Znasz moje zdanie na temat pomocy, której masz w zwyczaju notorycznie szukać.

– Nie sprawi kłopotów – zapewnił szybko swojego mistrza Dooku.

– Jestem pewien, że nie. – Głos Dartha Sidiousa brzmiał jak groźny pomruk.

Dooku szybko zmienił temat:

– Panie? Tu, na Christophsis, jesteśmy zbyt odsłonięci. Musimy znaleźć bezpieczne schronienie. Może mógłbyś wysłać po nas statek?

Po dłuższym milczeniu Sidious odparł:

– Być może.

Hologram zniknął. Ventress wypuściła powoli powietrze.

– Twój „zabójca”? – warknął Vos.

Dooku, znów wyniosły i pogardliwy, odparł:

– A co niby miałem powiedzieć? „Twój rywal”?

Nim jednak Vos zdążył coś odpowiedzieć, rozległ się ogłuszający huk i wieża zatrzęsała się w posadach.

– Co to było? – krzyknął Dooku, z trudem utrzymując równowagę i rzucając się w stronę wyjścia.

Gdy otworzył drzwi, ich oczom ukazał się zupełny chaos. Okna okalające pokój w trzech czwartych zostały wysadzone, podobnie jak część konsol. Podłogę zaścielał dywan surrealistycznie pięknych kryształów. Tu i ówdzie ze szczątków wzbijały się w górę języki ognia, a pomieszczenie szybko wypełniał gryzący dym. Droidy tymczasem ostrzeliwały bez większego skutku prom Jedi przelatujący powtórnie w pobliżu.

– Padnij! – krzyknął Vos.

Dooku i Ventress posłuchali, bez namysłu przypadając do podłogi. Asajj podparła się na łokciu, drugą ręką osłaniając twarz przed szczątkami. Wieża ponownie zadrżała w posadach i przechyliła się gwałtownie na bok.

– Gdzie są schody? – spytał Vos, potrząsając hrabią.

– Tędy! – Dooku zerwał się na równe nogi i wypadł przez drzwi po drugiej

stronie windy. Choć dość szerokie, wyrżnięte w kryształ, lśniące schody były kręte i Ventress wiedziała, że zbieganie po nich zajmie im zbyt dużo czasu. Zagryzając zęby, żeby przetrzymać ból w zranionej nodze, skoczyła wspomaganym Mocą susem i wylądowała na półpiętrze. Stłumiła okrzyk bólu, nie bez satysfakcji słysząc, że Dooku nie zdołał powstrzymać swojego. Raz po raz we trójkę skakali, wciąż niżej i niżej, na sam dół. Ventress mogła tylko mieć nadzieję, że dotrą tam, nim Jedi zwał im na głowy całą wieżę.

„To nie w porządku”.

Uparty głosik nie dawał Obi-Wanowi spokoju. Nieustannie odbijał się echem w jego głowie – cichy, ale stanowczy. „Co takiego jest nie w porządku? – zastanawiał się. – Zabicie całej trójki, nawet Ventress, która starała się im pomóc? Zgładzenie Vosa bez uczciwego procesu? Wysłanie Vosa, żeby zabił Dooku?”.

Wysoko w górze prom i ARC-170, które Kenobi wezwał jako wsparcie, kołowały, ponawiając naloty, podczas gdy dziesiątki żołnierzy dołączyły do niego i Anakina w ataku naziemnym.

– Ognia! – krzyknął Skywalker i klony posłusznie zasypały granatami droidy zgromadzone u stóp wieży.

Ostrzał rozgromił większość zastępów droidów bojowych, a działa wyrwały wielką dziurę w powierzchni kryształowego molocha. W irracjonalnie piękne, błękitne niebo, usiane tu i ówdzie obłoczkami, buchały kłęby dymu i strzelały pomarańczowe jęzory płomieni.

– Potrzebujemy większej siły ognia! – zawołał Anakin. – Przyślijcie maszyny kroczące!

„To nie w porządku”.

Nagle Obi-Wan nie był w stanie dłużej znieść natarczywego upominania.

– Anakinie! – krzyknął. – Musimy się wycofać! Jeśli będziemy kontynuowali ostrzał, nie przeżyją!

Skywalker spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Słyszałeś, co powiedział mistrz Windu: zabić każdego, kto stanie nam na drodze!

– Wiem, co powiedział – jęknął zniecierpliwiony Kenobi – ale sądzę, że jeśli wciąż mamy szansę, powinniśmy spróbować wziąć ich żywcem. Powtarzam: odwrót!

Anakin ściągnął z troską jasne brwi.

– Nie zamierzam łamać rozkazów mistrza Windu. A już szczególnie nie wtedy, gdy dotyczą Dooku, zdrajcy i...

Jego dalsze słowa utonęły w ryku towarzyszącym salwie oddawanej przez maszyny kroczące, ostrzeliwujące wieżę. Nad gromki huk wybił się głośny trzask, zagłuszający nawet kanonadę dział. Jakby złamana na pół przez jakiegoś niewidzialnego olbrzyma, budowla pękła na dwie części. Górna, stanowiąca jakieś dwie trzecie iglicy, zaczęła opadać – powoli, ale nieubłaganie. Wojska Republiki ponowiły atak, tym razem biorąc na cel odsłonięte wnętrze. Ze środka buchnęły z nową siłą dym, ogień i obłoki kryształowego miału.

– Musimy ich znaleźć! – krzyknął Kenobi, kaszląc od pyłu, drapiącego w gardle niczym tatooiński piach. – Nadal są wewnątrz!

Rozdział czterdziesty

Ventress ogarnął mrok. Czuła, jak przygniata ją jakiś wielki ciężar, a powieki miała sklezione czymś lepkiem. Spróbowała się poruszyć i je wytrzeć, jednak natychmiast przeszła ją błyskawica obezwładniającego bólu i ponownie straciła przytomność. Ostatnim, co zarejestrowała, było opadanie w dół, w połowie skoku. W uszach załomotał jej huk, jakiego nie słyszała nigdy wcześniej, i nagle...

Wieża. Pękła.

Vos... Czy nic mu...

– Ventress!

Mimo potwornego bólu poczuła obezwładniającą ulgę. Wciąż żył. Może pogruchotana wieża pogrzebała na zawsze i Dooku?

– Ventress!

Spróbowała odkrzyknąć, ale ledwie mogła oddychać.

– Vos... – wyszeptała.

– Musimy się stąd wynosić. – Głos Dooku był chrapliwy, jednak władczy, jak zawsze. – Wpadną tu lada chwila. Zostaw ją!

Ventress nie widziała reakcji Vosa, ale słyszała gniewne, gardłowe warknięcie i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nawet w sytuacji, w której mógł zakładać, że nie żyje lub że nie zdoła jej pomóc... nawet ryzykując własnym życiem, Vos nie zamierzał jej porzucić.

– Ventress! – Był teraz bliżej, więc spróbowała ponownie. Z jej ust wydobył się jęk – słaby, ale to wystarczyło. Gdzieś z góry dobiegł zgrzyt i z trudem rozkleiła powieki, wyrywając sobie przy tym kępki rzęs. Zobaczyła jasną plamę lśniąca od wirujących kryształowych drobinek, a potem ukochaną twarz. Był ranny w głowę – strumyczek szkarłatnej krwi żywo kontrastował z jego ciemną cerą i jaskrawożółtym tatuażem. Nie wiedziała, jak poważne są jej obrażenia, z jego miny wywnioskowała jednak, że było niewesoło. Klęknął obok niej.

– Zarzuć mi ręce na szyję – poinstruował ją. Spróbowała to zrobić, ale wyglądało na to, że ma złamaną rękę, druga zaś wydawała się ciężka... taka ciężka... Gdy stęknęła z frustracji, zaczął ją uspokajać: – Już dobrze, jestem przy tobie. Jestem tu. Dasz radę. Zabierzemy cię stąd w bezpieczne miejsce.

Kiedy otoczył ją ramieniem, stłumiła okrzyk bólu. Dooku łypał na nich gniewnie

– bez wątpienia żałował, że wcześniej nie pozbył się ich obojga, robiąc dobry użytek ze swojego miecza. On także został ranny podczas ataku na wieżę – kryształowy odłamek, który rozciął mu pierś, musiał być ostry jak brzytwa. Rana pod koszulą krwawiła obficie.

W pobliżu rozległ się nowy dźwięk – paskudnie znajomy tupot licznych ciężkich stóp.

– Jedi i klony – warknął Dooku.

Vos rzucił hrabiemu jego miecz świetlny.

– Przyda ci się – powiedział, wsuwając drugie ramię pod kolana Ventress. – To będzie bolało – ostrzegł ją. – Przepraszam.

Tym razem nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu, który wzmógł się jeszcze, kiedy Vos zaczął biec, wynosząc ją z ruin i kierując się za Dooku ku dużemu kryształowemu głazowi – zamaskowanej przybudówce. W sercu Ventress zapaliło się światełko nadziei, że zyskają dość czasu, by zdołał do nich dotrzeć statek Sidiousa.

O ile Sidious, kimkolwiek był, rzeczywiście wyśle po nich statek.

I o ile nie zginą wcześniej od ran.

O ile...

Droidy pomaszerowały karnie w ślad za nimi – niektóre zatrzymywały się po drodze, by ostrzelać zbliżające się klony. Ventress widziała kątem oka przecinające powietrze niebieskie i czerwone promienie ognia blasterów, a co jakiś czas zielony błysk mieczy świetlnych Jedi. Wszystko zlewało się w jedną świetlistą plamę. W końcu zamknęła oczy.

Kiedy Vos rzucił się na prawo, jej ciało zalała fala świeżego bólu. Otworzyła gwałtownie oczy – w samą porę, by zobaczyć mijającą ją o włos niebieską energetyczną smugę... Potem byli już wewnątrz kryształowego budynku. Powietrze przeszył kolejny strzał – tym razem celny. Dooku był już na progu, gdy nagle zgiął się wpół i upadł. Vos pospiesznie położył Ventress na ziemi – tak ostrożnie, jak zdołał – i zawlókł bezwładne ciało hrabiego do środka, trzymanym w drugiej ręce mieczem świetlnym odbijając następne strzały. Drzwi zamknęły się za nim, jednak Asajj wciąż słyszała dudniący o nie huk blasterowej kanonady. Na zewnątrz droidy robiły co w ich mocy, by ich bronić. W przeciwieństwie do wieży budynek, w którym się znaleźli, nie był tworem naturalnym, a jedynie budowlą o ścianach wzmocnionych kryształem – od wewnątrz wyglądał jak pieczołowicie

zaprojektowane pancerne więzienie. Albo schron.

Roześmiała się słabo, popatrując na Dooku.

– Trochę to zajęło – mruknęła – ale w końcu ktoś go załatwił.

Vos klęczał przy nim, przyciskając mu palec do szyi.

– Nie, wciąż żyje – rozwiął jej nadzieje – jest tylko nieprzytomny.

Przymknęła oczy i skrzywiła się kwaśno.

– Szlag.

Vos obejrzał ranę postrzałową, po czym przewrócił ciało hrabiego na plecy.

– W tej chwili nic nie poradzimy na oparzelinę, ale rana z katastrofy zaczęła znów krwawić. – Ostrożnie podniósł Ventress i ułożył obok nieprzytomnego hrabiego, a potem przyłożył jej zdrową dłoń do skaleczenia Dooku. – Uciskaj – polecił, jednak natychmiast zabrała rękę, nie przejmując się, że gwałtowny ruch spowodował nowy napływ bólu. – Nie! – warknęła. – Niech się wykrwawi! To właśnie tego chcemy. Tego potrzebujemy. Musi umrzeć!

Vos pokręcił głową.

– Nie. Potrzebuję go żywego. Uciskaj, proszę. – Zesznurował usta. – To miejsce to prawdziwy bunkier. Jedynym słabym punktem są drzwi. Zamierzam pomóc droidom i zapewnić nam trochę czasu, dopóki nie zjawi się statek.

– Ale...

Uciszył jej protesty namiętym pocałunkiem i wybiegł z budynku. W równej mierze zaniepokojona, co zła, Ventress patrzyła w ślad za nim, a potem wsłuchiwała się w buczenie klingi jego miecza, kiedy dołączył do walki.

– Dlaczego tak desperacko... staracie się mnie ocalić? – Głos Dooku był słaby, jednak, jak zawsze, jego brzmienie ją rozwścieczyło.

Odwróciła się do swojego byłego mistrza.

– A więc ocknęliśmy się? Jeśli chodzi o ścisłość, to ja raczej wolałabym patrzeć, jak gnijesz.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wątpię, by nastąpiło to w bliskiej przyszłości. Vos jest Mrocznym Lordem, podobnie jak ja. Wie aż za dobrze, że nie powinien zwracać się przeciwko swoim.

Zamarła.

– Mrocznym Lordem? – Czyżby Obi-Wan miał rację?

– O, tak – potwierdził Dooku, jakby nigdy nic. – Zaprzedał duszę ciemnej stronie. Wspólnie pokonamy lorda Sidiouse, raz na zawsze, i wspólnie będziemy

rządzić galaktyką – oznajmił, a za chwilę dodał: – Przy odrobinie szczęścia do tej pory pozbędzie się ciebie.

Zmrużyła oczy i zwiększyła raptownie nacisk na jego ranę. Jęk bólu sprawił jej ogromną satysfakcję.

– Słyszałam to już wcześniej. Czy nie mieliśmy kiedyś podobnych planów?

Przez zaciśnięte zęby Dooku wycedził:

– Nie, nie. Jesteś w błędzie. Ty nie nadawałaś się nigdy do niczego poza brudną robotą. Vos jest inny. Zrodził się dla mroku. A ty... – Uśmiechnął się okrutnie. – Ty tylko z nim... flirtujesz.

Poczuła, jak do jej serca zakradają się wątpliwości, i zerknęła znów na drzwi. Vos powiedział, że potrzebuje Dooku żywego. Że ma „większe plany”. Co tak naprawdę miał na myśli?

Dooku ciągnął tymczasem:

– Gdyby Vos chciał mnie zabić, po co by mnie chronił? Dlaczego zwleka tak długo? Miał tyle okazji...

Ventress znów zmrużyła oczy w szparki. Tak właśnie postępował Dooku. W ten sposób manipulował ludźmi. Zaszczepiał w żyznej glebie ziarno zwątpienia, a z jego korzeni wyrastał mrok. Obnażając zęby, warknęła i poderwała się resztką sił, kładąc na jego ranę maksymalny nacisk.

– Nie masz pojęcia, co planuje!

Dooku znów się skrzywił, ale zdołał wykrztusić:

– Ty najwyraźniej też nie.

Prawdziwość tych słów zraniła ją do głębi.

– Wydaje mi się, że trafili Dooku – stwierdził Anakin, obserwując pole walki przez elektrolornetkę. – I nie widzę Ventress. Jednak Vos i droidy bronią się zaciekle.

Podał urządzenie Obi-Wanowi, który z ciężkim sercem musiał się z nim zgodzić.

– To się nie sprawdzi – westchnął. – Zniszczyliśmy kryształową powłokę maskującą, jednak pod nią kryje się prawdziwy schron. Prawdopodobnie został zaprojektowany właśnie w tym celu.

Anakin wydał z siebie smętny jęk.

– Idę o zakład, że Dooku wezwał już odsiecz i załatwił sobie transport. Jeśli zdołają odpierać nasz atak dość długo, wkrótce może się okazać, że wróg przewyższa nas pod względem liczebnym. Musi być jakiś inny sposób!

Kenobi skubał w zamyśleniu brodę. Wszystko wskazywało na to, że bunkier ma tylko jeden słaby punkt: drzwi. Czy jednak zmyślnie zaprojektowane budowle nie powinny mieć więcej niż jednego wejścia?

– Zawieszenie broni – powiedział.

Anakin gapił się na niego, jakby jego przyjaciel właśnie zaproponował, żeby zaprosili Dooku na przyjęcie. Z herbatką. I kwiatami.

– Zawieszenie... broni?

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Skywalker pokręcił głową.

– Nie. Nie, nie, nie. Nie będziemy z nimi negocjować. Czas na dyskusje dawno minął. Vos dostał ostatnią szansę. Więcej nie dostanie.

Kenobi podniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Nie mówiłem nic o negocjowaniu.

Anakin podejrzliwie zmrużył niebieskie oczy i nieco się rozluźnił.

– Co w takim razie proponujesz?

– Ogłosisz zawieszenie broni, a wówczas my przenikniemy na ich tyły i spróbujemy dostać się do środka w inny sposób.

– Przenikniemy na tyły. – Anakin nie wydawał się przekonany.

– Cały czas dziś po mnie powtarzasz.

– Bo zastanawiam się, czy przypadkiem nie oszalałeś. Mistrzu, ten budynek to forteca!

– A na co komu forteca tylko z jednym wejściem? – spytał Kenobi.

Usta Skywalkera rozciągnęły się powoli w szerokim uśmiechu.

– Pułapka – podsumował.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Vos wrócił blady, ale w jego oczach lśniła determinacja. Krew zasychała mu powoli na twarzy.

– Chyba przestali. Na razie.

Ventress wciąż cierpiała, jednak udawało jej się w pewnym stopniu kontrolować ból. Teraz zmusiła się, by wstać i pokuśtykać do Vosa. Zaniepokojony, ruszył jej na spotkanie.

– Ventress, powinnaś...

– Chodź ze mną – weszła mu w słowo.

Posłuchał i podtrzymując ją, podążył za nią do sąsiedniego pomieszczenia. Pod jego ścianami ustawiono liczne skrzynie z zapasami, jednak Ventress nie zwracała na nie uwagi. Odwróciła się twarzą do Vosa.

– Czy to prawda?

– Co takiego? – Sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Że sprzymierzyłeś się z Dooku. Że poprzysiągłeś... zaprzysięgłeś się ciemnej stronie. – Chociaż próbowała mówić cicho, bezwiednie podniosła głos.

Przymknął oczy i podniósł dłoń.

– Ventress, to nie pora na to...

– Och, to cholernie dobra pora na to – zapewniła go. – I jedyna słuszna. Za kilka minut wszyscy możemy nie żyć. A po wszystkim, co zrobiliśmy... po wszystkim, przez co razem przeszliśmy, wszystkim, kim, jak sądziłam, dla siebie jesteśmy, powiesz mi teraz prawdę. Jesteś mi winien choć tyle.

Odwrócił wzrok, a jej serce przeszła błyskawica lodowatego bólu.

– Zrobiłem to dla nas – powiedział wreszcie.

Na chwilę odjęło jej mowę.

– Dla nas?! – wykrztusiła. Pokiwał głową, na co ona pokręciła swoją, wstrząśnięta. – Vos... wiesz, kim on jest. Wiesz, jaki jest. Zniszczy cię przy pierwszej nadarzającej się okazji!

– Poradzę sobie z nim. Wiem, co robię. Asajj, powiedziałem, że robię to dla nas, i tak jest. – Wziął ją za zdrową dłoń. – Wyjawiaś mi, że twoje życie wypełniały ból i poczucie straty. Że nigdy nie czułaś się bezpieczna. Nigdy nie miałaś domu. Zaslugujesz na to wszystko, a ja zdobędę to dla nas. Nasze wspólne życie, kiedy...

– Jakie to będzie wspólne życie, Quinlanie? – weszła mu w słowo łamiącym się głosem. – Takie jak to, w którym byliśmy niewolnikami naszej nienawiści? Naszego gniewu? Tym właśnie uczyniła mnie ciemna strona. Oto, do czego jest zdolna. Jest nienasycona. Dostajesz wciąż więcej i więcej, jednak nigdy nie jesteś szczęśliwy. To pułapka, która wabi cię przynętą tego, czego pragniesz najbardziej. Takim życiem... nie warto żyć. – Ścisnęła błagalnie jego dłoń. – Zostawiłam to już za sobą. Ty także możesz. Masz wybór.

Wtem załapała ją fala niezwykłego ciepła: czuła się jak skąpana w miękkim blasku, który zabrał ból, obmył ją ze strachu i z gniewu, zostawiając tylko doskonałą jasność. Uświadomiła sobie, że to Moc – jednak nigdy nie odczuwała jej w ten sposób. Moc dawała jej podarunek.

Czas zwolnił bieg, gdy spłynęła na nią nagła, spokojna pewność. W ułamku sekundy zobaczyła wszystkie możliwe scenariusze, którymi była brzemienna ta chwila – wszystkie zwroty akcji, konsekwencje i pokłosa odbijające się echem w dalekiej przyszłości. Jedna ścieżka prowadziła do śmierci i życia, do nowych możliwości. Przywróconej harmonii. Strachu i klęski, egzystencji, której nie można by nazwać życiem, a jedynie wegetacją w skorupie ciała pozbawionego do cna radości – to także mogła być przyszłość. Widziała oczyma duszy krwawą zemstę, która tylko podsycalał głód, pragnienie kolejnej.

Powiedziała Vosowi, że może wybrać, którą ścieżką chce kroczyć – i Moc ujawniła Ventress wynik jej wyborów, płynących z tej chwili, tej sekundy, tego momentu, w którym zaczerpywała tchu.

Ventress wybrała.

Vos widział, jak Asajj otwiera szeroko oczy. Jej ciało stężało, wyglądała, jakby patrzyła na coś niewidocznego dla jego oczu. Przeszył go strach, zbierający się w dole jego brzucha, i potrząsnął nią delikatnie.

– Asajj?

– Nie – wyszeptała, wciąż błędząc wzrokiem gdzieś daleko, przerażająco blada.
– Nie!

Odepchnęła go od siebie gwałtownie, wspomagając się Mocą – tak energicznie, że przeleciał przez cały pokój i uderzył w ścianę. W tej samej chwili usłyszał okrutnie znajomy dźwięk: skwierczenie i syk błyskawic Mocy.

W pobliżu stał Dooku, z zębami obnażonymi w triumfalnym grymasie, rażąc

Ventress wyładowaniami silniejszymi niż wszystko, co Vos dotąd widział. Tańczyły po niej, pochłaniając ją żarłocznie niczym żywe, wygłodniałe istoty. Jej ciało zadrżało, a twarz zmieniła się w maskę agonálního bólu. Z uszu, oczu i nosa trysnęły jej strumyczki krwi.

– Asajj! – wrzasnął, susem wkraczając między nią a Dooku. Włączył swój miecz świetlny i odbił błyskawice Mocy, kierując je z powrotem w stronę hrabiego. Oczy przywódcy separatystów rozbliły przerażeniem na ułamek sekundy, zanim własna broń zwróciła się przeciwko niemu – nieposłuszna, jak wszystkie narzędzia ciemnej strony. Siła wyładowań odrzuciła go daleko w tył, na ziemię, krzyczącego i drżącego, a potem dyszącego w bezruchu, gdy ostatnie iskry przepęły po jego ciele.

Ventress leżała bez ruchu na podłodze, z jej skóry i ubrania unosiły się smużki dymu.

– Nie... – jęknął Vos. Oddychała, ale puls miała nierówny, urywany, i była tak strasznie, okropnie nieruchoma! – Asajj... Nie, nie, nie!

Poczuł przyływ wściekłości – tak intensywnej i surowej, jak śmiercionośna energia, która nieomal ją zabiła. Nagle wszystko wokół oblała czerwień. Odrzucił głowę na plecy i dał jej upust w zwierzęcym ryku, rzucając się na próbującego złapać oddech hrabiego, wstrząsanego drgawkami na kamiennej posadzce.

Doskoczył do niego w trzech krokach i zatrzymał buczącą klingę o włos od jego szyi.

– Zrób... to – wycharczał Dooku. Chociaż wydawało się to niemożliwe, uśmiechał się. – Te błyskawice... Nie były przeznaczone... dla niej. Tylko dla ciebie. Ona po prostu... weszła mi w drogę. Dalej. Zemścij się!

Serce waliło Vosowi jak młotem, napełniając wszystkie zakamarki jego ciała bezgranicznym bólem, żądaniemi, pragnieniami. Jego wzrok powędrował ku Ventress, leżącej na podłodze bez ruchu. Widział teraz jak przez mgłę. Dobrą chwilę zajęło mu zorientowanie się, że po policzkach płyną mu łzy – rzeka bólu. Mroczna, podsycana wściekłością fala gniewu wycofała się niczym odpływ, zostawiając w jego sercu tylko prawdę łez. Hrabia wciąż się uśmiechał, nadal oczekując ostatecznego kroku, który przypieczętowałby nieodwołalnie sojusz Vosa z ciemną stroną.

– Nie jestem taki jak ty – wykrztusił Quinlan przez zaciśnięte gardło. – Nie karmię się zemstą. – Prawda była cicha. Nie potrzebowała krzyku ani żądań. Po

prostu była. – Jestem Jedi. – Wyłączył swój miecz świetlny. Ventress wciąż żyła. Jego pierś, gdy do niej dopadł, przeszła strzała nadziei: pięknej, okrutnej i dręczącej.

– Vos. – Nie odwrócił się na dźwięk głosu Kenobiego. Jakimś cudem nie był zaskoczony, że Obi-Wan znalazł się tu, w tej chwili. – Zabierzemy go stąd.

Pokiwał tylko machinalnie głową. Wciąż groziła mu śmierć. Z pewnością zostanie postawiony przed Radą, w kajdanach. Jednak to nie miało już znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, na co patrzył. W tej chwili czuł się nagi i bezbronny. Zmysły miał wyostrzone do granic i był niemal boleśnie świadom wszystkiego, co go otaczało: zapachu krwi i przysmażonego ciała, monotonnego śpiewu łez na jego ostrych kościach policzkowych i ich słonego smaku, a także metalicznego smaku krwi i strachu, wypełniającego mu usta. Na policzkach Ventress, na jej porcelanowo bladej skórze widział teraz ciemne wzory układające się na kształt błyskawic – energia wyładowań ciemnej strony odcisnęła na niej swoje piętno.

Oddech Asajj stał się chrapliwy, urywany. Chciał ją utulić w ramionach, utrzymać ją przy życiu samą siłą woli, jednak bał się ją tknąć w obawie, że przysporzy jej więcej bólu. Otworzyła swoje piękne, lodowato błękitne oczy i uśmiechnęła się do niego. Spróbował odwzajemnić uśmiech – i poległ sromotnie.

– Witaj, przystojniaku – wymamrotała.

Roześmiał się przez łzy.

– Witaj, ślicznotko.

– Dam radę. Wiesz o tym.

Wiedział. Zawsze dawała radę. Była w końcu Asajj Ventress. Za jej przyzwoleniem podniósł ją najdelikatniej, jak umiał, w ramionach. Ruch sprawił, że rozkaszała się spazmatycznie.

– Ja... – Z ust pociekła jej krew, plamiąc mu koszulę.

Stłumił dławiący go szloch.

– Nic nie mów – poprosił.

Spojrzała na niego tym swoim spojrzeniem i serce ścisnęło mu się z żalu.

– Nie mów mi... co mam robić... palancie.

Z zaskoczeniem zorientował się, że się uśmiecha.

– Nigdy bym nie śmiał – zapewnił ją.

– Taką mam nadzieję. – Jej drobnym ciałem wstrząsnął nowy atak kaszlu i przez straszliwą, długą jak wieczność sekundę Vos bał się, że ją straci. Jednak

kaszel ustał, a Asajj podjęła:

– Jestem dumna z tego, co... co zrobiłeś. Wybrałeś miłość do mnie, przedkładając ją nad nienawiść do niego. – Jej splamione krwawą pianą usta rozciągnął blady uśmiech. – To najlepszy wybór, jakiego dokonałeś.

Zaszlochał bez wstydu, tuląc ją do siebie, gładząc jej bladą twarz. Chciał zapamiętać jej rysy, każdy jej detal, wypalić je w swojej pamięci... dopóki nie uświadomił sobie, że już to zrobił.

– Zgadza się – potwierdził i przełknął z trudem ślinę. – Asajj... Miałaś rację. J-ja... przeszedłem na ciemną stronę. I byłem tam cały ten czas. Po prostu... ja po prostu... nie wiedziałem o tym!

– Okłamywałeś sam siebie – wyszeptwała. – To właśnie dlatego... nie wiedziałam.

– Kocham cię i nie przestałem cię kochać ani przez chwilę. – Teraz, w tej chwili, musiał być pewien, że...

– Wiem – powiedziała. – Ale przestałeś kłamać. – Zadrzała gwałtownie i Vos miał wrażenie, że pęka mu serce. Wpiła mu palce w ramię i spojrzała głęboko w oczy. – Pamiętaj... zawsze możesz wybrać bycie lepszym. Zawsze możesz... wybrać właściwą drogę. – Uśmiechnęła się smutno. – Nawet jeśli dokonujesz wyboru nieco zbyt późno.

Nie. Nie mogło być za późno. Vos wciąż musiał jej powiedzieć o wszystkim, co czuje. O tym, jak serce zabiło mu mocniej pierwszy raz, gdy dotknęła go czule, opatrując jego rany na pokładzie „Banshee”. Miał wrażenie, że od tamtej chwili minęły setki lat. O tym, co czuł, gdy spytała go, jak wygląda w tamtej sukni na przyjęciu. I podczas ich pierwszego pocałunku. Asajj Ventress zmieniała cały jego świat – wciąż go zmieniała, teraz, w tej sekundzie. Jednak było tyle do powiedzenia... a czasu tak mało, słowa zaś więzły mu w gardle, zmuszając do milczenia.

Z wyraźnym wysiłkiem Ventress wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, wodząc palcami po jego żółtym tatuażu, zatrzymując je przelotnie na jego ustach. Kiedy się odezwała, głos miała tak słaby, że musiał wyteńczyć słuch, by ją usłyszeć:

– I zawsze pamiętaj... że kochałam cię... całym sercem.

Wiedział o tym. Jednak nigdy wcześniej nie usłyszał tego z jej ust. Gdy odkrył, że nie może już mówić, złożył jej najprostszą obietnicę:

– Będę.

Ventress zaczerpnęła spazmatycznie tchu. Z jej ciała zniknęło dotychczasowe

napięciu, spoczęła miękko w jego ramionach, gdy zaczęły jej opadać powieki.

Nie...

– Asajj – powtórzył błagalnym tonem. – Asajj... Proszę, nie odchodź.

Powieki jej zatrzepotały, a kącik ust podniósł się w figlarnym uśmiechu.

– Muszę, Quinlanie. Nadszedł mój czas. Moje siostry... czekają na mnie.

Zdjęty strachem, jakiego dotąd nie znał, otoczył ją mocniej ramionami, jakby w ten sposób mógł ją w jakiś sposób uchronić przed śmiercią.

– Proszę... – jęknął. – Proszę, nie...

– Musisz pozwolić mi odejść, ukochany – powiedziała cicho i czule, po czym uśmiechnęła się do niego z bezgraniczną miłością. – Taka jest droga Jedi.

Z tymi słowami odeszła, na zawsze.

Rozdział czterdziesty drugi

To było kilka boleśnie długich miesięcy pełnych udręki.

Po wszystkim Vos trzymał Ventress w ramionach – tulił ją, nie wiedział, jak długo, jednak w pewnym momencie usłyszał strzały z blastera i okrzyki Obi-Wana, wołającego go po imieniu, proszącego o wsparcie. Pomógł mu i trójka Jedi walczyła znów ramię w ramię, podczas gdy Dooku ponownie im się wymknął. Darth Sidious, dla poznania tożsamości którego Vos tak wiele poświęcił, najwyraźniej postanowił jednak pomóc swojemu uczniowi.

Quinlan nie pamiętał podróży na Coruscant. Podejrzewał, że wpadł w lekki amok. Anakin zamknął go w areszcie. Poszedł do niego z własnej woli, jednak kiedy zdał sobie sprawę, że w ten sposób zostanie rozdzielony z Ventress, oświadczył stanowczo, że chce z nią być. Kenobi zapewnił go, że Asajj jest w komorze hibernacyjnej i że zostanie potraktowana z należnym szacunkiem. W pewnym momencie Vos jakimś cudem zdołał usnąć.

Tak jak się spodziewał, został postawiony przed Radą Jedi, której – wyczerpany i załamany – wyznał wszystkie swoje winy. Powiedział im, że przeszedł na ciemną stronę, jednak wcześniej nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Zamierzał wykorzystać Dooku, by dotrzeć do Dartha Sidiousa, aby potem pozbyć się lordów Sithów raz na zawsze. Przyjął na siebie odpowiedzialność za kampanię, którą poprowadził pod przewodnictwem Dooku, za podłożenie bomb na asteroidzie i za ostrzeżenie hrabiego przed atakiem na placówkę nasłuchową. Za zabicie Bayonsa i klonów na pokładzie „Vigilance”.

Za zamordowanie przyjaciela, Akar-Deshu.

Mówił, dopóki nie ochrypl. Był spokojny przez większą część przesłuchania, ale kiedy zapytali go o Asajj Ventress, załamał się.

– Ocaliła mnie – wyszłochał. – Ocaliła mnie!

Nalegali, by udzielił im szczegółów, jednak nie potrafił wykrztusić nic poza tymi dwoma słowami. Następnie, ku zaskoczeniu Rady, Obi-Wan wystąpił, by przemówić – nie tylko w imieniu Vosa, ale także kobiety, która była niegdyś jednym z najzacieklejszych wrogów Jedi. Jak się okazało, wraz z Anakinem byli świadkami wszystkiego, co wydarzyło się tuż przed śmiercią Ventress.

– Asajj Ventress uchroniła Vosa przed atakiem Dooku, przyjmując na siebie jego

błyskawice Mocy – poinformował Radę Kenobi. – Oddała życie, by go ocalić.

– To bardzo chwalebne – stwierdził Mace Windu. – Poświęcenie życia, by ochronić inne, dobrze o niej świadczy.

Kenobi pokręcił głową i uśmiechnął się łagodnie.

– To nie tak, mistrzu Windu. Źle to interpretujecie, wszyscy. Ona nie tylko ocaliła mu życie. Ocaliła Quinlana... I sądzę, że także nas.

Yoda uciszył wszystkie pytania i protesty, prosząc Kenobiego, by wyjaśnił, co ma na myśli.

– Zbłądziliśmy – powiedział Obi-Wan. – Zbłądziliśmy, kiedy postanowiliśmy dopuścić się zabójstwa, zbrodni tak typowej dla ciemnej strony, po to, by osiągnąć własne cele, nieważne, że w dobrej wierze. Wszystko, co wydarzyło się od tego momentu... przejście Vosa na ciemną stronę, śmierć, za którą był odpowiedzialny pośrednio i bezpośrednio, wyciek najpilniej strzeżonych tajemnic, narażanie nas na ryzyko, wszystko to można złożyć na karb tej jednej decyzji. Mistrzowie, śmiem twierdzić, że wyłącznie my ponosimy winę za upadek Vosa. I to my mamy na rękach krew Asajj Ventress. To, że Vos jest tu dzisiaj z nami – zdruzgotany, jednak ponownie kroczący ścieżką światła – nie jest zasługą naszą, lecz jej. Zginęła jako prawdziwa przyjaciółka Jedi i jestem zdania, że zasługuje na pochówek z odpowiednimi honorami i szacunkiem, całą wdzięcznością za życie, które oddała... i życie, które nam przywróciła, a także gorzką lekcję, za której udzielenie nam przyszło jej zapłacić tak wysoką cenę. Jesteśmy Jedi i każdy z nas, zawsze, musi pamiętać o tym, co to oznacza.

Vos wiedział, że nigdy nie zdoła się odwdzińczyć Kenobiemu za to, co zrobił – jednak miał przed sobą całe życie na to, by chociaż próbować.

Przez jakiś czas ściśle współpracował z Yodą, robiąc wszystko, czego od niego żądano. Powoli, ale stopniowo zaczął odzyskiwać zaufanie Rady. Zdawał sobie sprawę, że nic nie naprawi zła, które uczynił, jednak krok po kroku zbliżał się do punktu, w którym mógł zacząć próbować za nie zadośćuczynić. Wreszcie Yoda zgodził się wysłać go pod pieczę Kenobiego, by towarzyszył Asajj Ventress w jej ostatniej podróży.

I tak oto Vos i Obi-Wan dotarli na Dathomirę.

Na repulsorowej platformie między nimi spoczywała trumna z ciałem Ventress. Vos szedł, trzymając jedną dłoń na jej wieku. Widząc reakcję swojego przyjaciela

na porozrzucane tu i ówdzie szkielety, które mijali w drodze do fortecy, wyjaśnił:

– Dooku zamordował je, bo sprzymierzyły się z Ventress. A mimo to zdołała się powstrzymać od zemsty.

Kenobi nic nie powiedział, jednak Vos dostrzegł kątem oka, że także położył dłoń na trumnie. Gdy dotarli do jaskini prowadzącej do fortecy, Kenobi spytał:

– Jesteś tego pewien, Quinlanie? Ciemna strona jest tam bardzo silna...

– Owszem – przytaknął – jednak w tej chwili ciemna strona nie jest naszym wrogiem. Czujesz to?

Przyglądał się, jak Kenobi bierze głęboki oddech, zanurzając swoje zmysły w Mocy. Obi-Wan ściągnął brwi, gdy doświadczył tego samego, co Vos. Wyraźnie zbity z tropu, zerknął na przyjaciela ze zdziwieniem.

– Dlaczego... Dlaczego tak jest?

– Tutaj ciemna strona należy do Sióstr Nocy. A my zwracamy jej jedną z nich. Ja... nie wiem, skąd to wiem, ale tak jest.

– Wierzę ci – powiedział otwarcie Kenobi i Vos poczuł przypływ wdzięczności.

Weszli w chłodne cienie, mijając kolumny wyrzeźbione na podobieństwo muskularnych kobiet. Vos przypomniał sobie, co czuł, kiedy wszedł tu pierwszy raz. Ścigał Ventress, z sercem przepelnionym gniewem. Teraz czuł tylko żal, palące poczucie straty, które – jak wiedział – osłabnie z upływem czasu, jednak nigdy do końca go nie opuści. I prawdę mówiąc, wcale tego nie chciał. Choć mogło się to wydawać dziwne, rozumiał, że w tym bólu były siła i dobro – stanowił on przypomnienie o tym, o czym nigdy nie powinien był zapominać.

– Nigdy nie sądziłem, że dostrzegę w Dathomirze piękno – wyznał Kenobi, gdy znaleźli się w sercu jaskini mieszczącej wioskę sióstr Ventress.

– Jest piękna – przytaknął cicho Vos.

Wkroczyli w rozpadlinę, w której lśniła ciemna, nieruchoma tafla sadzawki. W przeciwieństwie do świetlistych, błękitnych źródeł rozświetlających wnętrze pieczary, woda zbiornika, w którym żył niegdyś starożytny Śpiący, była czarna jak noc. Jej lustrzanej powierzchni nie mąciła najlżejsza fala. W skale niecki wykuto stopnie.

Vos położył na trumnie obie dłonie. Teraz, kiedy nadszedł czas pożegnania, uświadomił sobie, jak wiele będzie go to kosztowało.

– Powiedz tylko, jeśli potrzebujesz prywatności – powiedział Kenobi.

– Dzięki. Ja... chyba rzeczywiście chciałbym zostać z nią sam na sam. Tylko

przez chwilę.

Obi-Wan przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Będę musiał...

– ...mieć mnie na oku, rozumiem – dokończył za niego Vos. – Nie ma sprawy.

Nie miał mu tego za złe. Wiedział, że Rada nie pochwaliłaby zostawiania go samego w miejscu tak przesiąkniętym ciemną stroną – Kenobi i nie mógł mu na to pozwolić. Jeszcze nie. Może pewnego dnia? Obi-Wan kiwnął głową i uśmiechnął się smutno, a potem odszedł kilka metrów, zostawiając go samego. Z Asajj. Vos odwrócił się do trumny. Zebrał w sobie wszystkie siły i otworzył ją.

Ventress została zahibernowana wkrótce po śmierci, a w Świątyni jej ciało potraktowano z odpowiednim szacunkiem. Quinlan wiedział, że Kenobi wydobył z wraku „Banshee” nieco jej ubrań, jednak gdy uchylił wieko trumny, zupełnie nie był przygotowany na to, co ukazało się jego oczom.

Na twarzy Asajj Ventress malował się spokój. Umyto i uczesano jej jasne, miękkie włosy. Opatrzona ramiona miała złożone na piersi. Wciąż znaczyły je ciemne ślady błyskawic Mocy, które wyssały z niej życie, jednak teraz ich pajęcza siatka wydała mu się dziwnie piękna i szlachetna. Asajj miała na sobie elegancką, czarną suknię, którą nosiła tamtej nocy, gdy...

– Tak bardzo mi przykro – szepnął, świadom, jak banalnie brzmią jego słowa, jednak musiał je z siebie wyrzucić. – Oddałbym wszystko, by cofnąć czas. Gdybym tylko mógł... – Z piersi wyrwał mu się gorzki, bezradosny śmiech. – Od czego powinienem zacząć? Jest tyle rzeczy, które powinienem był ci powiedzieć... Tyle rzeczy, których... – Gardło ścisnęło mu wzruszenie i echo jego słów poniosło się w głąb jaskini. – A teraz jest za późno i nigdy nie przestanę tego żałować. Wróciłem jednak na ścieżkę dobra, Asajj. Zapłaciłaś za tę szansę własną krwią i nie zmarnuję jej, przysięgam. Wykorzystam dobrze każdy dzień, każdą minutę mojego życia. Dla siebie... i dla ciebie. Będę walczyć, bo ty już nie możesz... i zrobię wszystko, co w mojej mocy, oddam wszystko, co mam, aby czynić dobro. Bo galaktyka oglądała już zbyt wiele mroku. – Pogładził ją delikatnie po policzku. – Odpoczywaj, moja ukochana. Zabrałem cię na Dathomirę. Twoje siostry nie muszą już dłużej czekać. Powiedziałaś mi, że odrodziłaś się tutaj, w tej sadzawce. Mam nadzieję, że dobrze robie, zwracając cię jej wodom. – Wziął drżący oddech. Sądził, że będzie się bał tej chwili, jednak z zaskoczeniem odkrył, że zamiast bólu ogarnia go raczej uczucie spokoju. Wiedział, że postępuje właściwie, był o tym

głęboko przekonany. Powoli, z szacunkiem, podniósł ramiona, jakby trzymał w nich swą ukochaną. W odpowiedzi na gest jej ciało uniosło się z trumny. Vos sprowadził ją Mocą ku ciemnej, nieruchomej powierzchni sadzawki. Powoli, jakby z szacunkiem, czarne wody zamknęły się nad nią, przyjmując ją w swe objęcia. Jej twarz była ostatnią rzeczą, którą dostrzegł – blada, ozdobiona wyrazem spokoju, jakiego nie zaznała za życia.

Zamrugął nieprzytomnie. Czyżby woda... zmieniała kolor?

Ku tafli unosiły się z głębin zielone, lśniące smużki. Zielone – jak blask towarzyszący dathomirskiej magii, zielone niczym Woda Życia. Zaczepnął gwałtownie tchu. Jego uszu dobiegł cichy szelest, brzęący niemal jak...

Kenobi w jednej chwili znalazł się u jego boku, z mieczem świetlnym w dłoni, gotów zapalić go w każdej chwili.

– Vos? Co się dzieje?

Powoli, z niedowierzaniem Quinlan pojął – i serce zatrzepotało mu w piersi od słodko-gorzkiej radości.

– Słuchaj – powiedział tylko.

Kenobi otworzył szeroko oczy. Teraz on także to słyszał: szepty, kobiece głosy. Moc przyjęła do siebie zbłąkane dziecko Dathomiry, a gdy Vos sięgnął ku niej, żeby pożegnać po raz ostatni kobietę, którą ukochał nad wszystko, wydało mu się, że wyłowił spośród szeptów jedno ciche słowo: „siostra”.

Asajj Ventress wróciła wreszcie do domu.

O autorce

Christie Golden to wielokrotnie nagradzana autorka bestsellerów z listy „New York Timesa” – ponad trzydziestu powieści, a także opowiadań z gatunku fantasy, science fiction i horroru. Ma na swoim koncie publikacje między innymi ze świata „Ravenloft”, który w 1991 roku wzbogaciła *Wampirem z mgieł*, kilkanaście pozycji z cyklu „Star Trek” oraz książki z uniwersum Warcrafta: *Rise of the Horde*, *Władca klanów*, *Arthas: Rise of the Lich King* i *Zbrodnie wojenne*, jak również powieści z cyklu „Star Wars: Przeznaczenie Jedi”: *Omen*, *Sojusznicy* i *Hegemonia*.

christiegolden.com

Strona Christie Golden na Facebooku:

@ChristieGolden

Przekład: Anna Hikiert
Konsultacja merytoryczna: Jacek Drewnowski
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Artur Kaniewski, Marcin Grabski
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
al. 3 Maja 12, 00-391 Warszawa
Tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3219-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo